



Lois Battle
PENSJONAT

„Dobrze napisana,
dowcipna i pełna czułości
opowieść”.



„Kirkus Reviews”

Battle Lois

Pensjonat

W rodzinnym domu spotykają się cztery kobiety – Josie Tatternall i jej dojrzałe córki: Cam, Evie i Lila. Łączy je więź pełna skrajnych uczuć i cichych pretensji. Po latach postanawiają naprawić błędy z przeszłości. Czy uda im się tym razem i zasiądą radośnie przy świątecznym stole?



PROLOG

Josie nie miała żadnego przeczucia. W każdym razie nic specjalnie silnego. Ot, tylko wrażenie, że c o ś się wydarzy i będzie to ponad jej siły. Towarzyszyło jej to uczucie od chwili, kiedy otworzyła oczy i przypomniała sobie, że dziś dziewczyny przychodzą do niej na cotygodniowego brydża. Usiłowała odgonić od siebie natrętnie wrażenie, ale ono nie ustępowało — tak samo rzeczywiste jak kichnięcia i bóle mięśni sygnalizujące gripę — aż do chwili, którą zapowiadało. Wiedziała, co się dzieje, ale i tak była zaskoczona, zupełnie jakby oglądała stary film, który widziała już dziesiątki razy.

Wszystkie cztery — ona, jej siostra Edna, Peatsy Gibbs i Mary Gebhardt — grały w brydża u niej na werandzie. Zegar szafkowy w jadalni, który ledwie w zeszłym tygodniu odebrała z naprawy, a mimo to nadal spieszył się jakieś siedem minut, akurat wybił trzecią. Peatsy właśnie przebiła atutem asa Mary i powiedziała, że kręci jej się w głowie.

— Oczywiście, że kręci ci się w głowie — odpowiedziała Edna — przecież jesteś zakręconą laską. — Zamiast jednak uśmiechnąć się kwaśno, jak to zwykle robiła, gdy Edna używała slangu, Peatsy zamknęła oczy i zrobiła dziwną minę, jakby ktoś stanął za nią i wyszeptał: „Zgadnij kto to?”. Dłoń jej powędrowała do naszyjnika z pereł, zawa-

hała się w pół drogi i przecięła powietrze. A potem Peatsy runęła do przodu, uderzając w blat stołu z okropnym łomotem, jedna ręka opadła, rozrzucając karty i strącając pełną niedopałków popielniczkę.

— Matko Boska! — krzyknęła Mary, podbiegła do niej i pociągnęła za ramiona do tyłu, aż ręce Peatsy opadły luźno, a głowa się odchyliła do tyłu tak, że przez otwarte usta widać było protezę. — Matko Boska! — powtórzyła.

Edna wstała, jakby ktoś ją pociągnął za włosy i, nie odrywając oczu od Peatsy, chlusnęła mrożoną herbatą na tłącego się papierosa, który wypadł z popielniczki, a potem klapnęła ciężko na krzesło. Ale ona, Josie, wiedziała, co trzeba zrobić.

Podeszła do kuchennego telefonu i wykręciła 912, a kiedy powiedziała: „Tu Josephine Tatternall z The Point. Potrzebujemy pomocy”, jej głos był tak spokojny, jakby to była zwykła towarzyska rozmowa.

Odpowiedziała na wszystkie pytania, mówiąc wolno i wyraźnie, bo sądząc po głosie, przyjmująca zgłoszenie dziewczyna była młoda i niezbyt bystra. Gdy już usłyszała, że wysłano karetkę, pamiętała nawet, żeby powiedzieć: „Dziękuję. Wesołych świąt”.

CZĘŚĆ PIERWSZA

Obudziła się koło siódmej, wyłączyła budzik nastawiany zawsze na wszelki wypadek i odwróciła się, żeby spojrzeć pomiędzy kolumnkami łóżka w okna. Były odsłonięte, ponieważ sypialnia znajdowała się na pierwszym piętrze, gdzie nikt nie mógł jej zobaczyć, a lubiła, jak budziło ją naturalne światło. Słońce świeciło już niemrawo i zapowiadał się ładny dzień jak na połowę grudnia. Chętnie by jeszcze poleniuchowała, ale nie było takiej możliwości. Jeśli prowadzi się pensjonat, to trzeba wstać. Wyciągając ręce za głowę, przebiegła myślami czekające ją dziś zadania: przygotuje śniadanie dla gości, którzy przyjechali wczoraj wieczorem, wyprawi ich, pozmywa naczynia, potem zajmie się ogrodem, podczas gdy Cuba będzie robić pranie. Następnie uda się w odwiedziny do Mawmaw do Domu Spokojnej Starości „Azalia”. Jej siostra Edna twierdziła, że nie ma najmniejszego sensu tam jeździć, ponieważ Mawmaw nawet nie zdaje sobie sprawy, że ktoś do niej przychodzi, ale w zeszłym tygodniu, kiedy Josie już się zbierała, Mawmaw powiedziała: „Cieszę się, że wpadłaś. Wiesz, zawsze uważałam cię za jedną z rodziny”. Więc nawet jeśli Mawmaw już nie pamięta, że ona jest jej córką, to przynajmniej docenia jej obecność.

Kiedy wróci do domu z „Azalii”, przygotuje sobie lunch z resztek, a potem ubierze choinkę. Pudła z ozdo-

bami zniosła ze strychu już ponad tydzień temu, gdy mąż Edny, Dozier, przywiózł drzewko i wniósł je do salonu, ale nie mogła się przemóc i ubrać choinki sama. Gdyby chociaż Cuba jej pomogła... no, jeżeli Cuba w ogóle przyjdzie. Na hasło święta Bożego Narodzenia czy jak je nazywała „narodziny naszego pana Jezuska”, Cuba wpadała w amok. Wszystkie krzaki i drzewa wokół swojego domu obwiesiła kolorowymi lampkami, na porośniętym krzakami trawniku postawiła posąg trzech mędrców, a na dachu przymocowała Mikołaja z czarną twarzą, szykującego się do wskoczenia w komin. Przygotowała wianuszki i stroiki świąteczne, upiekła góry ciasteczek oraz ciast kokosowych i codziennie robiła rundkę swoim poobijanym oldsmobilem rocznik '83 po mieście, odwiedzając Wal-Marta, Kmarta i sklepy przy Bay Street, gdzie zadłużała swoją kartę kredytową, kupując wszystkie zabawki i świecidełka, jakie jej wnuki zobaczyły w telewizji. A w tym roku Cuba szyła nowe szaty (a właściwie tradycyjne afrykańskie *dashiki*) oraz nakrycia głowy dla chóru Pierwszego Afro-amerykańskiego Kościoła Baptystycznego, więc od razu zapowiedziała Josie, że aż do Nowego Roku me będzie przychodziła regularnie i o stałych godzinach. Więc... jeśli Cuba nie przyjdzie, sama robi pranie, przygotowuje lunch, potem... i wtedy przypomniła sobie, że dziewczyny przychodzą do niej na cotygodniową partyjkę brydża i mimochodem wyrzuciła z siebie „cholera!”.

W trzecią środę każdego miesiąca zazwyczaj spotykały się u Mary Gebhardt na wyspie Dataw, ale w zeszłą środę Mary spytała, czy ktoś mógłby się z nią zamienić, ponieważ jej dzieci i wnuki zjeżdżają się „z całego kraju” na święta.

Peatsy powiedziała, że nie może jej pomóc, bo nadzoruje szykowanie paczek dla dzieciaków w fundacji i ma próbę *Mesjasza* w episkopalnym kościele Świętej Heleny, a potem wyjeżdża do syna, Waringa, do Waszyngtonu. Edna, co było do przewidzenia, też się wykręciła, mówiąc, że zamyka swój sklep z upominkami później niż zwykle, żeby skorzystać na przedświątecznej gorączce handlowej, a potem ona i Dozier jadą do syna do Columbii. Więc wypadło na Josie Jak więc mogłaby odmówić, skoro wszystkie wiedziały, że nie ma konkretnych planów? Żadna z jej trzech córek nie przyjeżdża na Boże Narodzenie. W pierwszy dzień świąt Lila podjedzie po nią z Hilton Head. Zabierze ją do siebie i swojego męża Orriego, otworzą górę prezentów, a następnie Orrie zawiezie ją, Lilę i dzieciaki do jakiejś drogiej restauracji. Nic więc dziwnego, że Josie powiedziała: „Jasne, dziewczyny, za tydzień może być znowu u mnie”.

Edna, która dostała obsesji na punkcie ruchu feministycznego, od kiedy zaczęła prowadzić własną firmę, sprzeciwiła się: „Nie jesteśmy dziewczynami, Josie. Jesteśmy k o b i e t a m i”.

Josie mogła wytknąć Ednie, że ta, choć jest o dwa lata starsza, nadal nie przyznaje się do swojego wieku, podczas gdy ona zawsze mówi prawdę (częściowo dlatego, że w tak małym mieście jak Beaufort i tak wszyscy wiedzą, ile kto ma lat, a częściowo dlatego, że jak przyznawała się do swoich siedemdziesięciu trzech, większość mówiła, że wygląda na znacznie młodszą), ale odpowiedziała tylko: „Dobrze, wszystkie jesteście tu mile widziane”.

Wówczas rzeczywiście tak myślała, ale teraz już miała dość czekających ją rozmów o świątecznych planach oraz

najnowszych wiadomości na temat tego, co słyhać u dzieci i wnuków, w gruncie rzeczy stanowiących powszechnie przyjętą formę przechwałek (mniej przyjemne tematy jak bankructwa, niechciane ciąży oraz rozwody zachowywano na spotkania w cztery oczy). Z promiennym uśmiechem, służącym tylko podkreśleniu przepełniającego ją współczucia, Mary spyta, czy Josie wie, co tam u Camilli. Mary nigdy nie poznała najstarszej córki Josie, nazywanej Cam, ale wiedziała (choć to nie Josie jej o tym powiedziała), że Cam poprzysięgła jakieś dziesięć lat temu na pogrzebie swojego ojca nigdy więcej nie wrócić do Beaufort ani nie odezwać się do Josie. Wiedziała także, że choć Cam ustąpiła i telefonowała raz w miesiącu, konsekwentnie nie odwiedzała domu rodzinnego. Ponieważ była niezamężna, mieszkała w Nowym Jorku i pracowała w wydawnictwie, Mary uważała ją za kogoś w rodzaju kusicielki z opery mydlanej — atrakcyjnej, lecz pozbawionej serca. Josie sama tak czasem o niej myślała.

Potem Mary pytają o najmłodszą córkę, Evie, która kiedyś zdobyła drugie miejsce w konkursie na miss piękności Karoliny Południowej. Evie zamieszczała felietony w gazecie w Savannah, w których dzieliła się najintymniej-szymi szczegółami ze swojego życia, w tym „dysfunkcyjnego” dzieciństwa. Pisała jako „Babeczka z Południa”, ale, jak zauważyła kiedyś Cuba, było to bardzo enigmatyczne.

Josie skupiła wzrok na oknach sypialni, pocieszając się, że przynajmniej może opowiadać o Liii. Lila zrealizowała ten staromodny ideał Południa i została elegancką żoną człowieka sukcesu. Jej mąż, Orrie Gadsden, prowadził firmę deweloperską, a kilka miesięcy temu został wybrany do

legislatury stanowej. Lila miała pieniądze, pozycję społeczną, piękny dom i dwójkę uroczych nastolatków. Dzwoniła do Josie codziennie i widywały się przynajmniej raz w tygodniu. Chodziły wspólnie na zakupy, a czasem nawet razem wyjeżdżały. Lila była taką córką, o jakiej mogła marzyć każda matka. Przynajmniej wszyscy tak uważali. A Josie nie zamierzała rozwiewać tych złudzeń. Mimo to...

Bogu dzięki, że ma dziś tylko tę miłą parę Kanadyjczyków, którzy, z wdzięczności za pozwolenie, wbrew obowiązującym zasadom, na trzymanie pieska w pokoju, powiedzieli, że przed wyjazdem na Florydę chcą tylko herbaty i grzanek. Ale jako że większość gości przyjeżdżała do pensjonatu z polecenia, postara się i przygotuje domowe kielbaski, sos, bułeczki i dżem brzoskwiniowy, z którego zasłużenie słynęła. Może nawet sprzeda im egzemplarz książki kucharskiej, którą wydała lata temu i trzymała na kuchennej szafce. Była zbyt taktowna, by ją wpychać gościom, ale bardzo często zdarzało się, że po tym, jak spróbowali potraw Josie sami chcieli ją kupić. Dodatkowe pieniądze zawsze się przydadzą.

Słyszając w głowie komendę zmarłego męża, Niedźwiedzia: „Pobudka! Wstawaj!”, zdecydowanym ruchem odrzuciła kołdrę, chwyciła się kolumnienki i wstała. Skrzypnięcie podłogi zabrzmiało niczym jęk protestu jej stóp, ale wyprostowała się, założyła zielony atlasowy szlafrok na flanelową koszulę nocną, zatknęła dłonie pod pachy, żeby je ogrzać, i podeszła do okna. W świetle wczesnego poranka ogród przypominał impresjonistyczny obraz — mgliste smugi zieleni, błękitu, szarości i bieli rozświetlone jasnozłocistymi promieniami. Drobne białe narcy-

zy, zwane „Śniegiem Południa”, które zasadziła z okazji bożonarodzeniowej wycieczki po historycznych domach organizowanej przez Klub Ogrodnika, rosły tak gęsto, że naprawdę wyglądały niczym śnieg, i myślami powróciła do dnia, w którym pierwszy raz zobaczyła śnieg — kiedy pojechała odwiedzić Niedźwiedzia w bazie w New Jersey, zaraz po tym, jak się pobrali. Wtedy „Pobudka! Wstawaj!” oznaczało zupełnie inne poranki. Pierwsze, co robił każdego dnia, to kochał się z nią, a potem znowu, gdy wracali do motelu po spacerach, które jego zdaniem wzmacniały organizm, ale w jej przekonaniu powodowały tylko odmrożenia. Rozbierał ją, zdejmując czapkę, rękawiczki, kalosze i skarpetki, naśmiewał się, że jest cieplarnianym kwiatem, rozcierał, a potem masował ręce i stopy i zachrypniętym głosem mówił: „Jestem dżentelmenem, zawsze zaczynam od najbardziej potrzebujących części ciała”. Była to cudownie pobudzająca forma gry wstępnej, choć Josie wówczas była tak niewinna, że nawet nie знаła tego słowa, a co dopiero mówić o zdaniu sobie sprawy, że musiał doskonalić swoją technikę na innych kobietach.

Myśl o tych dawno minionych porankach wprowadziła ją w stan lekkiego oszołomienia. Palce poruszyły się, delikatnie gładząc pierś, aż wspomnienie operacji zawisło nad nią cieniem. Guzek był niezłośliwy i, przekornie, po zabiegu zaprzestała samobadania. Nie chciała myśleć o swoich piersiach jako o strefie zagrożenia. Jeśli coś się stanie, to dowie się o tym od tego doktora, do którego chodziła kontrolnie co pół roku. Owszem, nie dotrzymała ostatniego terminu, zignorowała telefon od pielęgniarki

i kartkę pocztową z przypomnieniem, ale nie zamierzała się tym teraz zajmować. Przynajmniej nie do świąt.

Kiedy sięgała do szuflady po świeżą bieliznę, jej wzrok zatrzymał się na stojących na komodzie dwóch oprawionych w srebrne ramki fotografiach. Znalazła okulary koło miski z potpourri i przyjrzała się im.

Nigdy, nawet w pierwszych latach, nie była w stanie patrzeć na swoje zdjęcie ślubne bez poczucia żalu. Niedźwiedź, ubrany cały na biało, wyglądał znakomicie, a jednak na swój sposób groźnie, już jak wcielenie bohatera drugiej wojny światowej, którym miał się wkrótce stać. Oczy pod daszkiem czapki zdawały się mówić spojrzeniem „cały świat stoi przede mną otworem”. Gdy go poznała, nalewając bezalkoholowy poncz na wieczorku towarzyskim dla stacjonujących w pobliskiej bazie żołnierzy, właśnie to spojrzenie tak ją urzekło. Gdyby nie nos — złamany podczas bójki, kiedy miał dziesięć lat i jeden z dzieciaków w sierocińcu w Baton Rouge nazwał go bękartem, po czym wyjaśnił, co to słowo oznacza — wyglądałby jak gwiazdor filmowy. A obok ona, jak zwykle niefotogeniczna, ale choć raz wyglądająca naprawdę pięknie z kasztanowymi włosami opadającymi na ramiona, lśniącymi oczyma i promiennym uśmiechem z ledwie widoczną nutką zmysłowości.

Fotografia była czarno-biała, ale patrząc na nią, zawsze widziała czekoladowe oczy i włosy Niedźwiedzia, złote guziki na jego mundurze, swą suknię „barwy popielatej róży” (takie określenie sprzedawczyni bardzo jej się spodobało). Była to droga, dobrze uszyta kreacja, a kremowe rękawiczki i kapelusz oraz purpurowy bukietik dobrze

do niej pasowały. Lecz nie była to suknia ślubna. Prawdziwy ślub wymagałby kolejnych tygodni przygotowań. Dlaczego uległa naleganiom Niedźwiedzia i zrezygnowała z przepychu i fety, o jakich marzyła? Ponieważ wtedy, jak to stwierdziła Mawmaw, skoczyłaby w przepaść, gdyby Niedźwiedź tak kazał. Jej wina, nie jego. „Sami tworzymy swoją rzeczywistość — mawia jej córka Evie. — Zawsze dostajemy to, czego tak naprawdę pragniemy”. Ale to nie może być prawdą. Nigdy nie dostała niczego, czego pragnęła, z wyjątkiem tego domu, a i tu musiała wbić ostateczny klin pomiędzy siebie a Niedźwiedzia i zagrozić rozwodem, żeby go zdobyć.

Drugie zdjęcie, zrobione jakieś dziesięć lat później, było studyjnym portretem typowej (choć z pewnością wyglądającej lepiej niż przeciętna), dobrze urodzonej, zdrowej i zadbanej amerykańskiej rodziny z lat pięćdziesiątych. Kiedyś ta fotografia napawała ją dumą, lecz z czasem zaczęła postrzegać ją inaczej. Ona i Niedźwiedź, którego mundur był teraz udekorowany medalami, siedzieli, a pomiędzy nimi stały Cam i Lila. Evie, liczącą wówczas ledwie parę tygodni, trzymała na ręku. Niedźwiedź, jeśli to możliwe, wyglądał jeszcze przystojniej niż na zdjęciu ślubnym, lecz wyczuwało się sztywność. Rola tatusia nigdy nie była dla niego łatwa, a w dniu, w którym zrobiono zdjęcie, obudził się z okropnym kacem. Jeśli się dobrze przyjrzeć, to można dostrzec zadraśnięcie na lewym policzku — pamiętała, jak biegał po domu, szukając ałunu w sztyfcie. Ale to było w czasach, kiedy zdrowi i sprawni mężczyźni upijali się na cotygodniowych przyjęciach i nie było w tym nic dziwnego, gdyż alkohol raczej zwiększał,

niż zmniejszał jego sprawność seksualną, a ona nie miała odwagi przyznać, że jej mąż ma problem.

Na zdjęciu jest w stroju ciążowym (tym zielono-niebieskim kostiumie z kokardą przy szyi, który tak znienawidziła). Jej twarz była pełniejsza, włosy zebrane w węzeł nisko na karku — w tamtych czasach styl związany był z etapem życia, na którym znalazła się kobieta i młoda matka nie mogła wyglądać jak nastolatka. Z jej uśmiechu zniknęła już ta odrobina ponętności widoczna na zdjęciu ślubnym, lecz nadal pozostał ufny i szczery. Na twarzach dzisiejszych dziewczyn już nie maluje się taka niewinność, nawet te młode, ale ona wtedy jeszcze wierzyła w to, co mówi jej mąż, rząd i gazety. A jeśli miała jakiegokolwiek wątpliwości, to je skrywała, ponieważ taki był jej obowiązek.

Nie zamierzałam zostać żoną wojskowego. Kiedy brali ślub podczas wojny, nie dało się niczego planować. Modliła się tylko, żeby wrócił cały i zdrowy. Sądziła, że kiedy tak się stanie, prawdopodobnie pójdzie do college'u na koszt armii. Ale zanim wojna się skończyła, on już nie był Tedem Tatternallem; stał się, jak go ochrzcili koledzy z wojska, „Niedźwiedziem”, nieustraszoną zawodowym wojownikiem. I wiedziała, z zazdrością, do której nie była w stanie się przyznać, że wojsko stało się nie tylko jego zawodem, ale też żoną i kochanką. Proszenie go, by zaczął pracować w biurze lub usiadł w szkolnej sali, byłoby jak namawianie Tarzana do włożenia trzyczęściowego garnituru. Więc pogodziła się z jego decyzją, jak na kochającą żonę przystało. Niedźwiedź wspinał się po szczeblach kariery i pisał książkę o swoich przeżyciach na Pacyfiku. Kiedy zostanie wydana (a nigdy nie wątpiła, że tak się stanie),

ona dostanie dom, o jakim zawsze marzyła. W tym czasie będzie cierpliwie znosić nostalgię i pokona panikę na samą myśl o ciągłych przenosinach i konieczności zadomawiania się w obcych miastach, a nawet krajach.

Podczas długich okresów nieobecności Niedźwiedzia zadaniem Josie było, jak to ujął, „zostawanie na gospodarstwie”. Wygląd i zachowanie jej, a nawet ich dzieci, było odnotowywane w okresowych raportach dotyczących Niedźwiedzia. Jeden błąd mógł zniszczyć jego szanse na awans (zgodnie z tokiem rozumowania, że jeśli mężczyzna nie jest w stanie utrzymać w ryzach swojej rodziny, to jak miałby dowodzić wojskiem?). Przestudiowała podręcznik dla żon. Czytając ściśle, szczegółowe instrukcje, miała ochotę się śmiać („odbieraj telefon niskim, modulowanym głosem... Postaw popielniczkę przy każdym z nakryć, po lewej stronie szklanki do wody, i włóż do niej dwa lub trzy papierosy oraz pudełko zapalek... Podczas wizyt towarzyskich w domu wyższego rangą oficera nigdy nie zostawaj tam na dłużej niż dwadzieścia minut...”), ale nigdy z nich nie dowcipkowała. Jakakolwiek oznaka, że jego żona nie traktuje tych wszystkich konwenansów poważnie, mogłaby zagrozić Niedźwiedziowi. Więc zapisywała się do odpowiednich organizacji, przewodziła imprezom dobroczynnym i komitetom powitalnym oraz pilnowała, by ona, dzieci i dom były zawsze gotowe na wypadek kontroli. Kiedy Niedźwiedź wracał, żartowali, że należy jej się piątka. Obsypywał ją prezentami przywożonymi z miejsc, do których go przydzielano, ale prawdziwa nagroda nadchodziła po tym, jak już dziewczynki pokazały mu swoje świadectwa, nowe zęby, rysunki i odznaki, a on

obdarowywał je tym swoim uśmiechem, który rozjaśniał cały świat, i mówił: „A niech mnie, dzwoń po nianię. Chcę się zabawić z moją żonką”.

A bawić się potrafił jak nikt inny. Od najlepszych hoteli i klubów nocnych po przydrożne knajpy z szafą grającą; żadne miejsce, w którym można było śmiać się i zaszaleć, wypić i potańczyć, nie mogło ukryć się przed Niedźwiedziem Tatternallem. Potrafił zdobyć najlepsze miejsce u nadętego kierownika sali, namówić barmana w wiejskiej gospodzie do sięgnięcia pod ladę i wyciągnięcia samogonu w niedzielę czy rozbawić gości przy stoliku w kasynie oficerskim. A jak tańczył! Przy wolnych kawałkach prowadził lekko, ale po mistrzowsku, a kiedy tańczył jitterburga, to kołysał biodrami z taką gibkością i witalnością, że inne pary zatrzymywały się i biły brawo. Był, całkiem dosłownie, duszą każdego towarzystwa. Kiedy jednak rzucał jej to spojrzenie, które nazywali „miękkim okiem”, i dotykał jej nogi pod stołem, ledwie nadażała z sięgnięciem po płaszcz.

Ich pożycie było równie emocjonujące i ekscytujące jak na początku, już bez jej początkowego wstydu i nieudolności. Jak cudownie było go mieć z powrotem! Mieć to, co pamiętała, o czym myślała, za czym tęskniła. Rano budziła się, jak tylko dzieci zaczęły się kręcić, mówiła „śpij jeszcze”, wkładała szlafrok i szła do kuchni. Przewracała na patelni plastry bekonu lub parzyła kawę, a on wychodził, umyty i ogolony, bez żadnych śladów zmęczenia, mówił dziewczynkom, żeby były grzeczne, gdy go nie będzie, bo teraz mamusia jest jednocześnie tatusiem, na co Cam raz zachichotała, „nie, ona nie jest tatusiem, tylko udaje, że jest twarda”. Poniekąd było to prawdą. Josie nakłaniała je

do grzeczności, ale dopiero to, co powiedział Niedźwiedź, było święte.

Na zdjęciu Cam, wówczas prawie sześciolatka, stała obok Niedźwiedzia, trzymając go pod ramię, z buzią tuż przy jego twarzy, co uwidaczniało ich ogromne podobieństwo. Czterolatka Lila koło Josie, udając, że jest już dużą dziewczynką, z dłońmi splecionymi na wysokości talii. Obie córki nosiły jednakowe białe wydziergane przez nią sukienki z bufiastymi rękawami, które im zrobiła na Wielkanoc, a do tego białe rękawiczki i małe złote krzyżyki kupione w sklepie garnizonowym. Lila miała kokardę we włosach, lecz Camilla zdjęła swoją, twierdząc, że to dziecinne. Josie tłumaczyła i prosiła, a potem Niedźwiedź przywołał córkę do porządku krótkim poleceniem „popraw się” i fotograf ustawił ich do zdjęcia.

Na fotografii nic było widać żadnych oznak różnicy zdań. Wszyscy — nawet jasnooka Evie — uśmiechali się i patrzyli w tym samym kierunku, jakby widzieli świetlaną i niczym nieograniczoną przyszłość. W rzeczywistości wpatrywali się w zabawkę, którą fotograf trzymał tuż koło swojego prawego ucha. Żółty plastikowy ptaszek z pojedynczym i w dodatku ze złamanym piórem w ogonie. Aby podtrzymać zainteresowanie dzieci, Josie wyrecytowała wiersz Emily Dickinson, który uwielbiała: „Nadzieja — pierzaste stworzenie — mości się w duszy na grzędzie — śpiewa piosenkę bez słów — i zawsze śpiewać będzie”*. Ale jak długo można mieć nadzieję?

* Wiersz *Nadzieja* w przekładzie Ludmiły Marjańskiej.

„Jestem matką — powiedziała jej kiedyś Peatsy_ponieważ urodziłam się z kobiecymi narządami płciowymi przed erą Pigułki. Ale ty jesteś inną matką. Bez względu na to, ile lat mają twoje dzieci, nadal wierzysz, że będzie lepiej”.

Josie wiedziała, że to prawda. Mimo że nie miało to najmniejszego sensu, nie umiała przestać martwić się o swoje dzieci, nie potrafiła przestać zastanawiać się, gdzie popełniła błąd. Czyż nie urodziła ich, nie wykarmiła i wychowała? Czyż nie tuliła do snu, nie czytała im, nie całowała, kiedy bolało, nie nauczyła dobrych manier, nie dyscyplinowała, choć wówczas serce się krajało? Czyż nie wypatrywała ich osobistych upodobań i talentów, a potem me starała się rozwijać najlepiej, jak potrafiła? Nawet kiedy już dorosły i opuściły dom rodzinny, czyż me dzwoniła i pisała, nic dokonywała cudów z rachunkiem bankowym, żeby podesłać im trochę pieniędzy, nie przyjmowała ich, kiedy tylko chciały pomieszkać w domu rodzinnym? Czyż nie zrezygnowała ze swoich wielkich marzeń na rzecz powściągliwego „jak wolicie”, które, co starannie ukrywała, ledwo jej przechodziło przez gardło. Lecz zrozumienie, kompromisy czy manewrowanie w niczym jej nie pomogły. Straciła wszystkie dzieci (nawet Lilę, jeśli odrzucić pozory). To nieważne, że jej małżeństwo zaczęło się na fali miłości, potem roztrzaskało się, aż wyblakło i się rozeszło, pozostawiając po sobie jedynie gorycz. To zdarza się wielu kobietom. Ale porażka w kwestii dzieci — to był ból, którego nie mógł uśmierzyć żaden środek.

— Przestań — powiedziała na głos. Zaciągnęła mocniej pasek szlafroka i odwróciła się, żeby pościelić łóżko. Nie przekroczyła rozsądnej wagi sześćdziesięciu kilogramów, więc to przez ten szlafrok, tę uwodzicielską szmatkę w stylu Jean Harlow, z wirującym dołem i szerokimi rękawami, poczuła się gruba i głupia.

Lila stwierdziła, całkiem słusznie, że jest stary i sfatygowany, a jej niezdolność do wyrzucenia go jest objawem „mentalności Wielkiego Kryzysu”. Lila dawała jej w prezencie szlafrok niemal w każde święta Bożego Narodzenia — kosztowny, lecz praktyczny babciny szlafrok w pastelowych barwach, z marszczeniami, kieszeniami i zapinany na suwak. Ale ona nie mogła się przemóc i wyrzucić tego starego zielonego satynowego. To ostatni prezent, jaki dostała od Cam z miłości. Córka dołączyła do niego bilecik: „Dla tej Josie, którą ukrywasz”. Nikt inny nie odgadłby, że marzyła o czymś tak luksusowym i niepraktycznym.

Nawet jako dziecko Cam przejawiała tę niesamowitą zdolność dostrzegania tego, co się naprawdę dzieje. Gdy miała niespełna cztery lata, potrafiła wyczuć zdenerwowanie i niezadowolenie u Josie. Pocieszała ją, dotykając dłoni lub policzka i dając buziaka na znak, że „będzie dobrze”. Jednak wszystko się zmieniło, kiedy Cam miała jakieś dwanaście lat. Wpadła wtedy w szal, obwiniając Josie za cały świat. Stało się to w te okropne święta, kiedy Niedźwiedź zadzwonił z Okinawy w ostatniej chwili i powiedział, że dowództwo odwołało jego urlop, więc nie przyjedzie do domu, jak to zaplanowali. Wówczas po raz pierwszy nie była w stanie stłumić podejrzeń, że tak naprawdę to on wcale nie chce przyjeżdżać do domu, gdyż już miała niepodważalny dowód jego kłamstw.

Robiła wszystko, żeby te święta były wyjątkowe: choinka, prezenty, pięciokilogramowy indyk. Lecz w bożo-

narodzeniowy poranek Cam odmówiła wyjścia z łóżka, a kiedy Josie kazała jej natychmiast wstać, ta wrzasnęła: „Och, i opowiedz nam jeszcze o tym, jak kiedyś cieszyłaś się, gdy w skarpecie na prezenty znalazłaś chociaż pomarańczę!”, a wtedy Josie wymierzyła jej policzek — nie klaps w pupę za przebieganie przez ulicę ani szybkie szturchnięcie w ramię za mądrzenie się, ale siarczysty policzek, jakby były śmiertelnymi wrogami. Dziś nazywa się to maltretowaniem nieletnich, ale wtedy była tak zrozpaczona, tak bardzo nic panowała nas sobą, że cudem tylko nie chwyciła noża i nie pozabijała ich wszystkich. „Dziecki — stwierdziła Cuba w zeszłym tygodniu, kiedy jej najmłodsza córka (która uciekła do Filadelfii i zostawiła jej swoje dziecko) zadzwoniła z wiadomością, że nie przyjedzie do domu na święta — równie dobrze mogłabym wychować stado kosów, które by mi wydziobały oczy”.

Skończyła ścielić łóżko i uznała, że odda satynowy szlafrok do pralni po raz ostatni. Potem zawinie go z kulkami naftalinowymi w bibułę i schowa na strychu, gdzie stoją bezużyteczne meble Mawmaw i dziadków, koło ubranek do chrztu, sukien z balów maturalnych, maseł nicy, patefonu na korbkę, kolekcji broni Niedźwiedzia oraz pudeł z papierami, w których znajdowały się dokumenty poborowe pradziadka Mariona z wojny secesyjnej, dyplomy, fotografie i nieukończone pamiątniki Niedźwiedzia. Czasami żałowała, że nie jest taka jak jej siostra Edna, która mieszkała po sąsiedzku z mężem, Dozierem. Dla Edny nic nie było święte. Robiła wielkie porządki co dwa, trzy lata, wyrzucając ubrania, sprzęty, meble. Zabudowała nawet uroczą werandę otaczającą jej dom, zastąpiła siatkę drewnianymi żaluzjami, pomalowała sufit (który zgodnie z tradycją w większości historycznych domów był koloru morskiego) na ciemnogranatowo i okleiła go świecącymi gwiazdkami.

Ale ona nigdy nie będzie taka jak Edna. Dziesiątki lat przeprowadzek z jednej bazy do drugiej przekształciły jej pragnienie uwicia sobie gniazdka w przymus gromadzenia i przechowywania przedmiotów. Jednym z powodów, dla których wybrała ten zbudowany przed wojną secesyjną dom z pięcioma sypialniami, było miejsce na trzymanie tych wszystkich rzeczy. A jeśli kiedykolwiek będzie się go musiała pozbyć (niedawno w telewizji pokazali materiał o starej kobiecie, której odebrano wszystko, a ją przeniesiono do domu opieki), po prostu go podpali.

Zaniepokojona tak wichrzycielskimi pomysłami, rozebrała się i weszła pod prysznic. Umyła głowę, nucąc standard *Fm Gonna Wash That Man Right Outta My Hair*, wytarła się, skórę posypała talkiem i założyła bieliznę i rajstopy. Zwijając długie, przyprószone siwizną włosy w kok na czubku głowy, wyciągnęła kilka kosmyków i zawinęła je, używając pianki, tak jak nauczyła ją Lila. Przybliżyła się do lustra, niemal dotykając go nosem, i starannie obejrzała twarz. Już nie uważała jej za swoją — jej prawdziwa twarz została na tej rodzinnej fotografii, a ta była czymś, z czego istnieniem musiała się pogodzić, jak z chwastami w ogrodzie. Wyrwała pęsetą biały włoszek z brwi, musnęła odrobiną różu kości policzkowe i nałożyła blad różową szminkę. — Wystarczy — mruknęła.

Włożyła szarą plisowaną spódnicę, zapięła guziki kolorowej bluzki, narzuciła kardigan na ramiona i wsunęła

stopy w płaskie buty. Ślinka jej ciekła na myśl o domowych kiełbaskach i czuła radość, że ma się z kim nimi podzielić, nawet jeśli byli to płacący za nie goście pensjonatu. Większość znajomych była w dużo lepszej sytuacji finansowej i współczuli, że musi pracować, ale jej to wcale nie przeszkadzało. Przynajmniej nie jest staruszką objającą się po domu. Przywykła do tego, że śpi i robi większość rzeczy bez czyjejś pomocy na długo przed śmiercią Niedźwiedzia, ale jedzenie w samotności było jawnym barbarzyństwem.

Gdy Kanadyjczycy już zjedli i pojechali, niosła naczynia do zlewu i, wyjrzawszy przez okno, zobaczyła, że podwórko przemierza jej szwagier. Choć Dozier przeszedł na emeryturę wiele lat temu, nadal ją zaskakiwał jego widok w roboczym ubraniu, zamiast w trzyczęściowym garniturze. Obserwowała, jak zatrzymał się, wepchnął dłonie do tylnych kieszeni dżinsów i, patrząc na najwyższy z dębów, westchnął tak głęboko, aż ramiona mu się podniosły nopały. Ostatni huragan nadłamał jeden z konarów drzewa i Dozier chciał go odciąć. Jednak Edna uparła się, że stary człowiek z piłą na drabinie tylko się prosi o amputację i dodała: „Jeśli ci się wydaje, że spokojnie przyjmę wiadomość, iż resztę życia miałabym spędzić, robiąc za pielęgniarkę, to jesteś w błędzie”. Josie wiedziała, że Edna ma rację. Z tej odległości, mimo prawie całkowitej łysiny i lekkiego brzuszka, Dozier wyglądał na smukłego i sprawnego, lecz jego chwyt nie był już tak mocny jak kiedyś, a nowe okulary to nie w pełni zdrowe

oczy. Ale solidaryzowała się z Dozierem. Tak jak ona zmagał się z życiem, nawet jeżeli wiązało się to z pewnym ryzykiem.

Wiedziała, że nigdy nie przepadał za tartakiem, który odziedziczył, ale rolę żywiciela rodziny traktował poważnie, więc przez kolejne dekady pracował, aż zamienił to przedsięwzięcie w lukratywną firmę działającą na terenie trzech stanów. Przez te wszystkie lata w codziennym kieracie marzył o emeryturze, jednak ta okazała się rozczarowaniem, niczym piękna dziewczyna, którą podziwiał z oddali, lecz czar prysł po bliższym poznaniu. Jako złota rączka całą energię spożytkował, zajmując się stolarstwem i dokonując napraw. Stukał młotkiem w skrzypiące schody, robił regały i skrzynki na kwiaty, rzeźbił drewniane zabawki dla dzieciaków, które i tak wołały konsole do gier. Często bywał w antykwariatach, szukając zepsutych lamp, wentylatorów i starych radioodbiorników, które naprawiał i oddawał na kościelne kiermasze dobroczynne, gdzie, jak wytknęła Edna, sprzedawały się (jeśli w ogóle) za tę samą cenę, zająkaje kupił.

Dla Josie jego umiejętności były prawdziwym błogosławieństwem. Niedźwiedź opanował aerodynamikę, radar i skomplikowane rodzaje broni, lecz nienawidził prac domowych do tego stopnia, że zrzędził, nawet jeśli miał wymienić żarówkę. A Dozier naprawiał, jak tylko coś zaczęło szwankować, i nie czekał, aż go o to poproszą.

W zamian za to wszystko, co robił wokół domu, Josie nauczyła go ogrodnictwa i, po cichu, podsuwała mu pikantne i bogate w cholesterol pyszności, które nie miały prawa zagościć na stole Edny. „Wyjścieście dla siebie stwo-

rzeni — mawiała Edna. — Dwoje domatorów jak dwa wykastrowane koty". Ale Dozier z całą pewnością nie był wykastrowany. Czasami, gdy ich spojrzenia się spotykały, Josie czuła przepływający pomiędzy nimi prąd. Nie młodzieńczy skok tętna i rumieniec, tylko intensywną sympatię, tym czulszą, że oboje zdawali sobie sprawę, że nigdy nie dojdzie do żadnych słów, a co dopiero czynów. Nie uważała, że zna Doziera lepiej niż Edna, ale poznała go z innej strony. Czasami żony gubią się w szczegółach, skupiają się na detalach, nie widząc całości i nie zauważając tego, co ważne. Tak niestety bywa, że żona nie potrafi docenić męża i okazać mu wdzięczności.

Zajęła się myciem naczyń, gdy wszedł przez kuchenne drzwi.

— Dobry, siostró — przywitał się, a ona uśmiechnęła się, słysząc to wiejskie pozdrowienie, i powiedziała, żeby poczęstował się ostatnią kiełbaską i bułeczkami. Wziął nóż, sięgnął po masło, w pół drogi zwalczył w sobie tę słabość, ale nie był w stanie oprzeć się dżemowi brzoskwiniowemu. — Czekałem, aż twoi wczorajsi goście odjadą — odezwał się. — Widziałem, że mieli kanadyjskie blachy.

— Z samego Toronto — odpowiedziała, zdejmując pierścionki i kładąc je na półeczce nad zlewem.

Dozier zaproponował, że załaduje zmywarę.

— Sama pozmywam, to tylko kilka talerzy — odparła. Właściwie to lubiła tę ciepłą pianę, piskliwe skrzypienie pocieranych talerzy podczas płukania, poczucie, że w ciągu piętnastu minut dzięki niej coś stało się wyraźnie lepsze. — To bardzo miła para — opowiadała. — On jest inżynierem, a ona nauczycielką plastyki, a przynajmniej kiedyś nią była. Od pięciu lat starali się o dziecko, a teraz wreszcie im się udało, więc poszła na urlop...

Pokiwał głową. Zawsze zadziwiało go, jak kobiety potrafią poznać szczegóły życia prywatnego obcych osób.

— Zastanawiam się — zaczął — z jakiego powodu tylu młodych ma teraz problemy z zajściem. Jak myślisz, czy dlatego, że odkładają sprawę, czy ma to coś wspólnego z zanieczyszczeniem środowiska?

— Trudno winić kobiety, że odkładają macierzyństwo. Wiesz, jak trudno się młodym teraz utrzymać, a...

Przerwał jej dzwonek telefonu i Dozier patrzył, jak wyciera ręce w fartuch i idzie odebrać. Była jedyną znaną mu kobietą, którą jeszcze zakładała fartuch kuchenny i ten widok sprawił, że poczuł tęskne ciepło, jakie pojawiała się, kiedy słuchał starych przebojów.

— Halo, kto mówi? — Josie nie czekała na odpowiedź, spytała: — Czy to ty, Cuba? — Wiedziała, że to musi być Cuba, zawiadamiająca, że się spóźni albo w ogóle nie przyjdzie, więc mówiła tylko: — Uhm, aha — podczas gdy Cuba tłumaczyła, że jej najmłodszy wnuczek, An-toinne, ma gorączkę, więc będzie mogła przyjść dopiero późnym popołudniem, kiedy wrócą inne dzieci i się nim zaopiekują. Przez tyle lat, ile się znały, Josie nie była w stanie wyperswadować Cubie używania błędnej liczby mnogiej („dziecka" zamiast dzieci, „mężczyzny" zamiast „mężczyźni"), tak samo jak nie potrafiła nakłonić jej do mówienia „proszę" zamiast „prosię". „I ja prosię tych państwa", mówiła Cuba, a Josie natychmiast wyobrażała sobie ludzi trzymających prosiątko.

Powiedziała Cubie, żeby przysłała, kiedy będzie mogła, rozłączyła się i sięgnęła do szafy po wózek ze środkami czystości.

— Muszę sprzątnąć pokój — powiedziała do Doziera.

— Nie możesz tego zostawić na później? Potrząsnęła przecząco głową.

— Nie mówiłam ci, że dziś po południu przyjeżdża pani Beasley? Będzie chciała pokój lawendowy, bo jest z łazienką i telewizorem, a musi mieć telewizor, no a wczoraj dałam go Kanadyjczykom.

— Nie wiedziałem, że pani B. nas zaszczyci. To jak znaleźć węgiel w skarpecie na prezenty.

— Ano owszem, ale wiesz, że o tej porze roku jest mniejszy ruch, więc nie mogłam jej odmówić. Uwinę się i zaraz wrócę.

Pokój lawendowy był typowo zaśmieciony — muszelki i szyszki sosnowe z plaży na wyspie Hunting, broszury reklamujące nieruchomości, które turyści zawsze brali i zostawiali — ale poza tym było czysto. Przetarła komodę i toaletkę olejkiem cytrynowym i popatrzyła na dywan. Nic chciała zmuszać Doziera do taszczenia odkurzacza na górę, więc postanowiła to sobie odpuścić. Ogarniało ją dobrze znane od dzieciństwa uczucie i z nerwów aż odczuwała mdłości: za dużo roboty i za mało czasu.

Szorując muszlę klozetową, umywalkę i wannę oraz zbierając ręczniki, pomyślała o pani Beasley i zrobiło się jej jeszcze bardziej niedobrze. Pani Beasley miała mieszkanie w Boca Raton, lecz jej jedyna krewna, siostrzenica, mieszkała na wyspie Fripp. Pani B. odwiedzała ją kilka razy w roku i zawsze zatrzymywała się u Josie, mówiąc, że nie

chce mieszkać u rodziny, ponieważ ceni sobie prywatność. Josie szybko zorientowała się, że siostrzenica pani B., licząc na pokaźny spadek, nie mogła sobie pozwolić na zerwanie z ciotką kontaktów, ale jednocześnie nie była w stanie z nią wytrzymać pod jednym dachem. Josie ją rozumiała. Pani B. naoglądała się tyle programów Oprah Winfrey i innych talk-show, że przyjęła ich styl, zadając najbardziej osobiste pytania w taki sposób, jakby chciała się jedynie dowiedzieć, która godzina. Była też okropnie wścibska. Gdy była ostatnio, Josie przypadkiem zauważyła, jak czaiła się w korytarzu i podsłuchiwała jej rozmowę telefoniczną. Nie pozwoliłaby na takie zachowanie komuś bliskiemu, ale wówczas udała, że nic nie widzi. Pani B. była stałym gościem jej pensjonatu, więc nie chciała jej zrazić.

Zdejmując pościel z łóżka, zorientowała się, że będzie musiała ubrać choinkę przed przyjazdem pani B., inaczej tamta to zauważy i licząc na dolewkę bezpłatnego kieliszka sherry, który Josie podawała gościom na powitanie (nikt nie rozgląda się za darmowymi rzeczami tak gorliwie jak bogaci), zapyta, dlaczego żadne z dzieci Josie nie przyjeżdża na święta, wymamrocze jakiś banał o „nas, biednych samotnych wdowach” i zaoferuje pomoc przy ubieraniu drzewka. Josie odstręczała sama myśl, że pani B. miałaby dotykać ozdób należących do rodziny od pokoleń. Odstrecała ją sama myśl o pani B.

Cała nakręcona usiadła na łóżku, trzymając brudną pościel na kolanach. Słyszała, niemal słowo w słowo, okropną kłótnię, do jakiej doszło między nią a Niedźwiedziem, kiedy zbliżała się jego emerytura, a ona powiedziała, że chce kupić ten dom. Co też, pytał gniewnie, chce robić z tą

„cholerną plantacją”? Nie stać ich na to. On chce podróżować. Podróżować?, spytała szeptem i jej głos przeszedł w wyjący protest. Podróżować? Po tym jak spędziła całe dorosłe życie przetrucana z jednej bazy do drugiej, jak zniszczył jej życie i życie ich dzieci tym ciągłym przesiedlaniem? Żeby jeszcze mieli pieniądze na wystawne podróże, siedzieli przed jakimś bielonym hotelikiem w Portugalii i przyglądali się rybakom. Jeśli będą podróżować, to przyczepą kempingową, w której nie będzie nawet mogła przygotować porządnego posiłku! Nie musiała mu przypominać, że roztrwonili ich oszczędności, że teraz nie mają już żadnego zabezpieczenia, ponieważ z doświadczenia, po toczonych przez całe życie kłótniach wiedziała, że jeśli poczuje się winny, po prostu wyjdzie z domu i wróci dopiero za kilka dni. Przypomniała mu jednak, jaką sobie kiedyś złożyli obietnicę: kiedy przejdzie na emeryturę, będą mieli prawdziwy piękny dom. Czy to był tylko kolejny ochłap, jaki jej rzucił? Kłamstwo, jak wtedy powiedziała, „takie samo jak inne kłamstwa w tym beznadziejnym małżeństwie?” (dlaczego te wstrętne słowa, których nic można cofnąć, tak mocno utkwiły jej w pamięci?). Chce właśnie tego domu, obok domu, który szwagier kupił jej siostrze, w tym mieście, w którym się urodziła, chce go tak bardzo, że jeśli on go dla niej nie kupi, odejdzie i zarazem oskubie go doszczętnie.

Wiedziała dobrze, że ten dom jest za duży dla nich dwojga, zdawała sobie sprawę, że tak naprawdę ich na niego nie stać (choć sprzedawano go za śmieszłą cenę, a tylko ślepiec nie widział, że miasto się rozwija), lecz była gotowa pracować, żeby móc tu mieszkać. Postanowiła zmienić go w pensjonat, nie taki z prostackim szyldem z przodu (sąsiedzi z The Point i tak by się na to nie zgodzili), ale w eleganckie przyjemne miejsce, które zapewni im stały dopływ gotówki. Mimo jej argumentów i tak wyszedł. Nie wrócił na noc,

choć od wielu lat już mu się to nie zdarzyło, ale również później już nigdy się to nie powtórzyło.

Kiedy pojawił się następnego ranka, powiedział tylko: „Zrób, jak chcesz. To już nie ma znaczenia”. Zrozumiała, że wygrała ostateczną bitwę, ale straciła go na dobre.

Na wspomnienie tego okropnego poranka zakryła dłońmi usta, pochyliła głowę i wciągnęła głęboko powietrze. Ponieważ sama myśl o przygotowywaniu jedzenia zazwyczaj ją uspokajała, skupiła się na lunchu. Przygotuję szpinak, pomyślała. Peatsy lubi sałatkę ze szpinakiem. Ale nadal czuła jakiś lęk, nie z powodu wspomnienia dawnych problemów, lecz z poczucia, że tego dnia stanie się coś strasznego. — Jesteś świrnięta — powiedziała głośno i zabierając wózek, wyszła z pokoju.

Dozier dokończył zmywanie i kiedy zeszła na dół, siedział przy kuchennym stole, czytając ogłoszenia drobne w „Gazette”.

— W porządku? — spytał, gdy wrzucała brudną pościel i ręczniki do kosza w pralni.

Wzięła pierścionki z półeczki i wkładając je, popatrzyła krytycznie na swoje dłonie.

— Jestem w tyle jak krowi ogon. Dziewczyny przychodzą dziś na brydża, więc muszę pobiec do Winn Dixie i kupić coś na lunch.

Kiedy przewrócił oczyma, dodała: — Wiem, uważasz mnie za frajerkę.

— Nie, jesteś po prostu odrobinę zbyt uczynna. Zawsze taka byłaś. Nic na to nie poradzisz. Taka twoja słodka natura.

Taki komplement, w chwili kiedy czuła, że nic jej nie wychodzi, sprawił, że łzy napłynęły jej do oczu.

— Masz czasem takie dni... — zaczęła — ...od chwili, kiedy otworzyłam dziś oczy, wiedziałam...

Złożył gazetę i wstał.

— Trzymaj kurs, siostrze. Dasz radę. — Najbardziej naturalną rzeczą byłoby przytulić jej głowę do piersi i objąć, ale poprawił zsuwające się okulary i powiedział: — Widziałem ogłoszenie o wyprzedaży z okazji wyprowadzki

w Port Royal. Mówią na to teraz „wyprzedaż rozwodowa”. Już tak oficjalnie to nazywają. Chyba podjadę. Może trafię jakąś okazję. Pamiętasz, jak znalazłem ten kinkiet art deco, który tak ci się podobał?

— Aha. I pamiętam, że mało cię prąd nie zabił, kiedy go montowałeś.

— Są gorsze sposoby na zejście z tego świata. Przy okazji, zauważyłem, że jedna z lamp na werandzie nie świeci.

— No wiesz... — przechyliła głowę i uśmiechnęła się do niego. — Gdy byłem młoda, zawsze myślałam, że te piosenki o tym, jak to kobieta potrzebuje fachowca, są sprośne, ale od kiedy mam ten dom, zdałam sobie sprawę, że jeśli dziewczyna nuci, że ktoś musi zająć się jej piecem, to naprawdę może mieć zepsuty piec.

Dozier poklepał ją po ramieniu.

— Sprawdzę to światło po powrocie. Jak wygrasz w karty, możesz mi dać napiwek.

* * *

Kwadrans przed południem, gdy mieszała sałatkę szpinakową, rozległ się dzwonek do drzwi. Wiedziała, że to musi być Mary Gebhardt. Mary była dyrektorką szkoły w Cleveland, zanim wraz z mężem przeszli na emeryturę i przeprowadzili się na Południe, i nadal zachowywała się tak, jakby szkolny dzwonek rozbrzmiewał co godzinę.

— Przyszłam nieco wcześniej — tłumaczyła się, przeciągając ręką po krótko obciętych siwych włosach — bo chciałabym zanotować sobie twój przepis na farsz z chleba kukurydzianego. Teraz, gdy stołujemy się głównie w klubie, ledwo pamiętam, jak się smaży jajko.

Mary mieszkała na wyspie Dataw od lat, ale nadal ubierała się jak turystka. Tego ranka miała na sobie reeboki, zielononiebieski welurowy dres i, w roli torebki, saszetkę na pasku wokół bioder. Josie, prowadząc Mary do kuchni, zastanawiała się, dlaczego dziś ludzie, nawet ci, którzy mają pieniądze, ubierają się w stroje treningowe, ale zazwyczaj nie są w dobrej formie fizycznej. A w przypadku Mary naprawdę nie miało to sensu, ponieważ jej cera była ogorziała nie od ćwiczeń na powietrzu, tylko leżenia koło basenu z papierosami pod ręką.

Ledwie posadziła Mary przy stole kuchennym, dała jej długopis, kartkę i egzemplarz *Kuchni Południa* (o której to książce Mary ciągle mówiła, że musi sobie ją wreszcie kupić, i nigdy tego nie robiła), kiedy dzwonek rozbrzmiał po raz drugi.

— To musi być Peatsy — oznajmiła Josie. W drodze do drzwi zerknęła w lustro i wygładziła włosy i spódnicę. Były to zupełnie niepotrzebne gesty, ponieważ dobrze wiedziała, że Peatsy, jak na arystokratkę przystało, całkowicie lekceważy konwenanse, i jej równie dobrze mogłaby otworzyć drzwi goła.

Kiedy Mary poznała Peatsy, odciągnęła Josie na obok i powiedziała: „Jest taki dowcip — są dwa rodzaje mieszkańców Karoliny Południowej: ci, którzy nigdy nie noszą butów, i ci, którzy sprawiają, że masz wrażenie, jakbyś to t y nigdy nie nosiła butów. Mam tytuł magistra, a Peatsy Gibbs poprzestała na liceum, ale przy niej czuję się, jakbym całe życie biegała na bosaka. Czy to dlatego, że wyszła za generała?”. Na co Josie odparła: „Częściowo, ale Peatsy... cóż, Peatsy jest z Charlestonu”. Mary nie zrozu-

miała, więc Josie musiała jej wyjaśnić, że dla mieszkańców Charlestonu, takich jak Peatsy, których rodowód sięga dworzan króla Karola II, odpowiedź na pytanie „Skąd pochodzisz?” jest dużo ważniejsza od wykształcenia, zdolności, a nawet pieniędzy.

Peatsy, w welwetowym zakiecie i jaskrawej jedwabnej sukience, chwiejąc się na tak wysokich obcasach, jakich żadna zdrowa na umyśle kobieta po siedemdziesiątce by nie włożyła, weszła w obłoku perfum Youth Dew. Josie od razu wiedziała, że zjawiała się prosto z salonu piękności, ponieważ jej włosy, ciężaru i barwy puchu kurczątką, zostały wymodelowane w puszystą koafiurę, a spod makijażu przebierał rumieniec, jakby dopiero co wyszła spod suszarki.

— Dobrze się czujesz? — spytała nowo przybyłą.

— Dobrze, dobrze — zapewniła ją Peatsy. — Zwykła gorączka przedświąteczna. — Jedną dłonią, teraz tak kościstą, że diamentowe pierścionki przesuwają się na jej palcach, wyłowiła perły z dekoltu sukienki. Drugą trzymała wyciągniętą przed siebie, a na nadgarstku dyndała jej torebka i sponiewierana torba na zakupy z logo Harrodsa. — Bądź tak kochana i schowaj to gdzieś, dopóki nie skończymy grać, dobrze?

Josie wzięła torbę i dostrzegła, że zawiera trzy małe pudełka owinięte w złoty papier. Nie musiała być jasnowidzem, żeby odgadnąć ich zawartość: perfumy Estee Lauder. Wiedziała nawet jakie: *Cinnabar* dla Mary, *White Linen* dla Edny i *Beautiful* dla niej. Zapewne Mary jako jedyna potraktowała poważnie ich ustalenie, żeby nie dawać sobie żadnych prezentów. Josie kupiła każdej z nich po książce

o historii Karoliny Południowej, którą Mary uważała za interesującą, a Peatsy mogłaby sama napisać, gdyby tylko się do tego zmobilizowała.

Ponieważ pogoda dopisała, uznały, że zagrają na werandzie. Usadowiły się przy stoliku, gdy Edna przekroczyła kuchenne drzwi, które zamknęły się za nią z trzaskiem. Peatsy podskoczyła, a Mary powiedziała: — Do diabła!

Josie była przyzwyczajona do wejść Edny. Od dzieciństwa miała wrażenie, że wtapia się w tapetę, kiedy jej siostra zjawiała się w pokoju.

— Przepraszam za spóźnienie. — Edna rzuciła dużą torbę obok swojego krzesła i zdjęła marynarkę od jasno-czerwonego spodnium. — Na tej nowej, którą przyjąłem do pracy w sklepie, można polegać jak na obietnicach polityka.

Peatsy uśmiechnęła się, ale spojrzała na Josie z miną: „Edna znowu się spóźniła”, a potem sięgnęła po karty i zaczęła je tasować. Josie postawiła szklanekę mrożonej herbaty koło nakrycia Edny i poszła do kuchni.

— Nigdy nie zrozumieję, jak możecie przez cały rok pić mrożoną herbatę. — Mary udała, że trzęsie się z zimna.

— Myślicie, że możemy zaczynać? — spytała Peatsy.

— Zostało mi jeszcze mnóstwo do spakowania, a wiecie, że jutro rano lecę do Waszyngtonu. I muszę dokupić kilka rzeczy.

— Zakupy — Mary jęknęła, gdy Edna zdjęła złote bransoletki i poprosiła Josie o słodzik. Kiedy Josie postawiła przed nimi talerze z sałatką, Mary powiedziała:

— Czytałam dziś felieton Evie. Ma absolutną rację co do tych okropnych świąt Bożego Narodzenia.

Josie spięła się w sobie, mając nadzieję, że Evie nie napisała o jakichś koszmarnych awanturach rodzinnych z przeszłości.

— A wszyscy psycholodzy się z nią zgadzają — ciągnęła Mary. — Mówią, że znacznie więcej osób wpada w depresję w okolicach świąt. Świąta to trauma. Cieszę się, że wyszłam za Żyda. Przynajmniej nigdy nie musieliśmy popadać w przesadę na Gwiazdkę, chociaż kiedy dzieci były małe...

— Trauma? — przerwała jej Peatsy. — A dlaczego świąta miałyby być traumatyczne?

— No jak to dlaczego? — zdziwiła się Mary. — Wszyscy mają te nierealistyczne oczekiwania, że miłość, poczucie wspólnoty, i jeszcze kupowanie prezentów...

— Nikt nam nie rozkazuje świętować — przypomniała jej Peatsy. — Jeśli ludzie na to nie mają ochoty, to po prostu nie powinni sobie tym zawracać głowy.

— A presja społeczna? — upierała się Mary.

— Och, presja społeczna! — zawołała szyderczo Peatsy.

— Kompletnie nie rozumiem tego całego bzdurnego głę-dzenia. — Dla Peatsy podporządkowywanie się normom społecznym nie było kaftanem bezpieczeństwa, tylko tarczą, i od dzieciństwa wiedziała, że można robić wszystko, na co ma się ochotę, jeśli ta tarcza jest na swoim miejscu.

— Gramy w końcu czy nie?

Po czwartym robrze skończyły jeść sałatkę i zabrały się do gry w morderczym skupieniu. Rozmowa dotyczyła zwyczajowych tematów — pogody, diet, komercjalizacji świąt — zanim przeszła na poważniejsze tory plotek.

— Zajrzałam wczoraj do Beaufort Memoriał odwiedzić Grace — powiedziała Peatsy. — Zniżyła karty, które

zawsze trzymała sztywno na wysokości ust niczym gejsza wachlarz. — George powiedział mi, że zabierają ją do Charlestonu na kolejną operację, ale ona jeszcze o niczym nie wie.

Mary poprzekładała swoje karty jak zwykle szybko i precyzyjnie.

— Moim zdaniem to po prostu zbrodnia tak ukrywać prawdę przed ludźmi, którzy są w takim stanie. W pewnym momencie zdają sobie sprawę, że umierają, a to, że wszyscy dokoła nie potrafią o tym mówić, sprawia, że czują się osamotnieni.

— Mówisz jak Shirley MacLaine — powiedziała Edna.

— Skąd do cholery ludzie mają wiedzieć, kiedy umrą?

— Myślę, że tak jest — upierała się Mary. — Kiedy Grace miała pierwszą operację i przeszła chemioterapię, powiedzieli jej, że wszystko zniknęło, ale teraz, ledwie pół roku później, znowu jest w szpitalu. Musi coś wyczuwać. Gdyby jej bliscy mieli dość odwagi, żeby powiedzieć prawdę, przynajmniej mogłaby się na to przygotować.

— Jak miałyby się na to przygotować? — spytała Josie.

— Noo, mogłaby wtedy zmusić tego swojego bezna-
dziejnego synusia, żeby ją odwiedził. Strasznie ją zaniedbuje. Nie przyjeżdżał do niej od lat. — Zorientowawszy się, że dotknęła drażliwego tematu, szybko odwróciła wzrok od Josie. — Mogłaby zrobić testament — zająknęła się.

— Mogłaby się pożegnać. Mogłaby... no nie żebym była wierząca, ale mogłaby się na to przygotować duchowo.

— Coś ci powiem — rzuciła Peatsy. — Mnie na che-
mioteraapii nie zobaczysz.

Edna zaśmiała się.

— Och Peatsy, jesteś tak próżna, że prędzej umrzesz, niż pozwolisz, żeby ci wypadła połowa włosów.

— Niewykluczone — zgodziła się Peatsy — ponieważ moim zdaniem ważniejsza jest jakość życia. Jeśli trzymasz się go pazurami, kiedy po chemii garściami wypadają ci włosy, a tobie jest tak niedobrze, że nie możesz ani jeść, ani pić... nie widzę sensu.

Odezwała się Josie.

— Chyba żadna z nas nie wie, co zrobi, dopóki nie znajdzie się w takiej sytuacji. — Doprowadzało ją do furii, gdy rozmowa schodziła, a zawsze tak się działo, na chorych znajomych, lekarzy i rachunki za leczenie, lecz uznała, że w ich wieku jest to równie naturalne jak temat randek u nastolatek. — Zajrzę do Grace dziś po południu. — I wstając, spytała: — Gotowe na deser?

— A co masz dobrego? — spytała Edna.

— Och, nic specjalnego. Rozmroziłam ciasto kokosowe i truskawki.

— Ja dziękuję — odpowiedziała Peatsy. — Biegam od wczesnego ranka i trochę mi się kręci w głowie.

— A ty jako jedyna z nas nie musisz pilnować wagi — poskarżyła się Mary. — Ja poproszę tylko truskawki. Pamiętacie nasze dzieciństwo? Wówczas tylko bogaci jedli owoce poza sezonem. Cud, że nie dostaliśmy szkorbutu podczas tych zim w Cleveland. A propos zim, oglądałam wczoraj kanał pogodowy i widziałam, że w Nowym Jorku będzie śnieżyca. Mam nadzieję, że Cam jest na to przygotowana.

— Och, Cam jest zbyt młoda, żeby się martwić pogodą. — Josie zebrała miseczki po sałatce. Jak zwykle, kiedy ktoś wspominał Cam, sztywniała i odwracała wzrok, ni-

czym dzieciak gotowy na uderzenie. — Chcesz jedno i drugie, Edna? — Siostra nie odpowiedziała na pytanie. — Mary, gdybyś знаła Cam, wiedziałabyś, że pogoda guzik ją obchodzi. Pamiętam raz, kiedy miała nie więcej niż dziesięć czy jedenaście lat i zaczął się huragan, a ona wybiegła przed dom. Nikt nie mógł jej zatrzymać. Wypadła na podwórko i stała tam, śmiejąc się jak szalona i machając rękoma.

— Zostaje w Nowym Jorku na święta? — Mary nie ustawała.

— Zdaje się, że jedzie do Connecticut z jakimiś przyjaciółmi — skłamała Josie. Prawda była taka, że podczas ich ostatniej rozmowy telefonicznej Cam nic nie powiedziała o świętach. Ani o swoim przyjacielu. Ani o pracy w wydawnictwie Athena. Josie wiedziała, że nie należy o nic pytać, ale ponieważ nie chciała skończyć rozmowy, wpadła w pułapkę paplania o gościach, przepisach i dzieciach Liii, mając świadomość, że brzmi jak małostkowa osoba, za jaką mają Cam. — Edna, dwa razy cię pytałam. Chcesz ciasto i truskawki?

— Och, no dobrze, zmusiłaś mnie.

Gdy Josie odnosiła talerze do kuchni, usłyszała, jak zniżają głosy do, jak się jej wydawało, szeptu pełnego współczucia. — Popadam w paranoję — powiedziała do siebie, stawiając talerze na blacie i wyjmując deser z lodówki. Głosy nagle stały się wyraźnie słyszalne: Mary chwaliła się, że jej wnuczka na teście zdolności akademickich osiągnęła tak dobre wyniki, że w college w Wellesley zaproponowano jej miejsce; Edna zakomunikowała z satysfakcją, że jej syn Skip właśnie sfinalizował umowę na duże dostawy drewna z jakąś japońską firmą; Peatsy opowiadała, jak nic może się doczekać wyjazdu do Waszyngtonu, ponieważ jej syn Waring, prowadzący tam galerię sztuki, właśnie kupił kilka obrazów przedstawiających ludowe ceremonie chrztu od prymitywisty z Georgii, który

zapowiada się na tak popularnego malarza jak Grandma Moses. Josie zastanowiła się, jak daleko trzeba wjechać w lasy Georgii, żeby znaleźć ksznidziejów wsadzających ludzi do dziur z wodą. Prawdopodobnie znacznie dalej, niż sądziła większość mieszkańców Północy. Aby zagłuszyć rozmowę, odkręciła kurek i zaczęła myć naczynia, rozważając, co Cam naprawdę robi w święta.

Ostatni raz widziała ją ponad rok temu, kiedy Lila zabrała ją na wycieczkę do Nowego Jorku i Cam nawet nie zaprosiła ich do swojego mieszkania. Umówiły się na lunch w hotelu Waldorf gdzie mieszkały z Lilą dzięki szczodrości Orriego. Kiedy Lila przeprosiła i wyszła do toalety, Cam zamówiła Krwawą Mary (już trzecią) i zapaliła kolejnego papierosa (Josie straciła rachubę). Myślała, że nic nie dała po sobie poznać, lecz Cam powiedziała: „Nie rozumiem, czemu się o mnie martwisz, mamó. Nie wydajesz się przejmować Lilą, a ta wygląda jak pączek w polewie — taki nadmuchany i błyszczący, ale z wielką dziurą w środku. Może bierze środki uspokajające albo leki antydepresyjne?”. I przez całe popołudnie, kiedy była z Lilą na popołudniowym seansie *Upiora w operze*, przyglądała się Liii i myślała o Cam.

— Zostaw na razie ten deser, Josie — zawołała Peatsy. — Zjecie go później. Jestem pięćdziesiąt centów do tyłu i chcę zagrać ostatniego robra, zanim będę musiała pędzić.

Josie dołała im kawy, a Ednie mrożonej herbaty i zajęła swoje miejsce przy stole. Potem Peatsy przebiła atutem asa Mary, powiedziała, że kręci się jej w głowie, a potem...

Szybkość, z jaką przyjechała karetka zadziwiła ją. Ledwo zdążyły ustalić, czy należy przenieść Peatsy na kanapę. Edna powtarzała, że nigdy nie wolno dotykać rannej osoby. Mary wrzeszczała: „Bzdura! Nie mogę jej tak podierać jak worka ziemniaków!” i w końcu kazała Josie chwycić Peatsy pod ramiona, a sama wzięła ją za nogi. We trzy podniosły przyjaciółkę i przenieśli ją ostrożnie do salonu, bo była tak lekka i krucha, że wydawało się, że jak ją upuszczą, to się potłucze. Josie usiłowała sprawdzić tętno, a Mary i Edna prześcigały się w domysłach. Tylko omdlenie? Atak serca? Udar? Mary powiedziała, że jej samej się chyba kręci w głowie i pospieszyła na werandę, żeby zapalić. Przez zaciśnięte zęby Edna stwierdziła: „Będziesz następna, jeśli nie rzucisz tych cholernych papierosów”. A potem usłyszały jęk syreny.

W drzwiach stał krzepki czarnoskóry mężczyzna około trzydziestki i młoda biała kobieta, oboje w kitlach. Josie cofnęła się, odpowiadając na ich pytania, i podziwiała sprawność, z jaką wyjęli swoje narzędzia, sprawdzili oznaki życia u Peatsy i przenieśli ją na nosze.

Przed domem zebrali się sąsiedzi. Josie rozejrzała się za Dozierem, ale nigdzie go dostrzegła. Patrzyła, jak ratownicy wsuwają nosze do ambulansu. Chciała wsiąść, ale powiedzieli jej, żeby jechała swoim samochodem. Mary wyjaśniła zgromadzonym, co się stało, i powiedziała, że jedzie do klubu po męża, Morty'ego, i zjawi się w szpitalu. Edna, która musiała pójść do swojego domu, wróciła, klnąc, że

Doziera nigdy nie ma, kiedy jest potrzebny. Oznajmiła, że jedzie do sklepu, i kazała Josie tam zadzwonić.

Josie wróciła do domu, wzięła kluczyki z haczyka przy drzwiach kuchennych, wyszła, po czym zawróciła po torebkę Peatsy. Była w pół drogi do szpitala, kiedy zorientowała się, że nie zabrała swojej.

Powiedziała wolontariuszce w recepcji, kobiecie mniej więcej w jej wieku, która wydawała się znajoma, kim jest i po co przyszła. Kobieta poprosiła, żeby poczekała. Josie zapytała, gdzie są telefony, usiadła i otworzyła torebkę Peatsy. Było w niej wszystko: pogniecione chusteczki higieniczne ze śladami odcisniętej szminki, notes z adresami, przedarty na pół mandat za nieprzepisowe parkowanie, próbki obicia na metalowym kółku, podniszczony portfel z wężowej skóry, rolka dropsów, składana szczotka do włosów, flakonik pigułek na ciśnienie, pióro Watermana, kupony zniżkowe do Broad River Seafood, kosmetyczka i — na samym dnie — pęk kluczy ze złotym brelokiem w kształcie palmy, jednego z symboli ich stanu, monety ćwierćdolarowe, dziesięcio- i jednocentowe, pojedynczy kolczyk z granatem i parę agrafek. Josie wyjęła kilka ćwierćdolarówek i notes z adresami. Był oprawiony w miękką granatową skórę i miał wytłoczone złote inicjały PWG, czyli Peatsy Waring Gibbs. Cała Peatsy, pomyślała Josie, a potem przypomniała sobie, że sama jej to ofiarowała na Gwiazdkę rok temu. Przypomniała sobie również, że wydała więcej pieniędzy, niż zamierzała, ale jako że Peatsy to Peatsy, czułaby się źle, nie dając jej tego, co najlepsze. Od pierwszego dnia ich znajomości — kiedy miała szesnaście lat i odwiedziła kuzynkę, która pozwoliła

jej iść z sobą na nocny bal debiutantek wydany na cześć Peatsy Josie patrzyła na nią z podziwem.

Peatsy wydawała się z innej epoki. To ona była złotą dziewczyną z powieści F. Scotta Fitzgeralda (choć barwa jej włosów przypominających nitki kukurydzy pochodziła z tubki), postacią ze standardu Gershwin (choć to jej mama była bogata, a tata przystojny), to ona nosiła zwiewne sukienki, miała wąskie biodra i jeździła kabrioletem. Była bystra i, czego chyba Josie zazdrościła jej najbardziej, pewna siebie.

Po latach przyjaźni, a dokładniej rzecz biorąc znajomości, przekonała się, że Peatsy jest bardziej elegancka niż piękna, raczej przebiegła niż mądra i prawdopodobnie niezdolna do prawdziwej przyjaźni z inną kobietą, lecz wbrew zdrowemu rozsądkowi nadal patrzyła na nią z podziwem. Być może, przewrotnie, dlatego że Peatsy tyle razy ją zraniła. Nadal pamiętała ten okropny moment na swoim przyjęciu zaręczynowym, kiedy poszła na górę do łazienki i mijając sypialnię, którą dzieliła z Edną, przez uchylone drzwi dostrzegła siostrę siedzącą przy toalecie i Peatsy rozciągniętą na łóżku, która powiedziała: „Oczywiście, że jest śliczniutki, ale założę się, że nie miał nawet garnituru, dopóki Wuj Sam nie wydał mu munduru. Jasne, mógłby postawić buty pod moim łóżkiem, kiedy by tylko chciał, ale wychodzić za niego za mąż? Josie chyba oszalała”.

Podziwiała ją przez te wszystkie lata podczas wojny, kiedy ona, jak większość kobiet, malowała sobie szwy pończoch na nogach, a Peatsy jakimś cudem miała nylony. A nawet po wojnie, gdy Josie została żoną oficera, a Peatsy była już „panią generałową”. Nawet wtedy — Boże, nie

pozwalala sobie o tym od lat myśleć — kiedy wszyscy byli niewiele przed czterdziestką i odkryła, że Peatsy w końcu pozwoliła Niedźwiedziowi postawić buty pod swoim łóżkiem, a generał Gibbs dowiedział się o tym i zablokował awans Niedźwiedzia, co zapoczątkowało jego kolejne upadki, z których już nigdy się nie podniósł. A jednak, gdyby ktoś ją o to spytał, określiłaby Peatsy jako swoją przyjaciółkę. Dlaczego myśli o tym wszystkim teraz, kiedy Peatsy może umierać? Żołądek podszedł jej do gardła. Skupiła się z powrotem na notesie z adresami.

Nie mogła znaleźć numeru Waringa ani pod „Gibbs” ani pod „Waring”. Ze zdumieniem zobaczyła na pierwszej stronie, pod nagłówkiem „W razie potrzeby”, własne nazwisko i numer telefonu zapisane zawijasami. W końcu pod literą S, na początku, dostrzegła wpis: „Syn —Waring Gibbs, III”, numer do galerii Green Carnation, numer domowy, dalej „towarzysz Waringa” z wykreślonym imieniem i numerem, a pod tym „Alonzo?” i kolejny numer.

Podeszła do recepcji i ponownie zapytała, gdzie jest telefon. Usiadła na plastikowym krześle przy aparacie, żałując, że nie ma już budek z zamykanymi drzwiami dających trochę prywatności. Postanowiwszy nie używać ćwierćdolarówek, znalazła kartę telefoniczną i wstukała okropnie długą serię cyfr, jak się okazało błędnie. Spróbowała ponownie, w końcu udało się jej połączyć z Green Carnation Gallery, zaczęła mówić, jak tylko usłyszała głos, ale zdała sobie sprawę, że to automatyczna sekretarka, i rozłączyła się w panice.

Bezskutecznie usiłowała sobie przypomnieć, czy podała sanitariuszom nazwisko i numer Waringa. Potem

zadzwoiła jeszcze raz, wstukujac cyfry tak wolno, jak przedszkolak bawiacy sie nowa zabawka edukacyjna, i po sygnale powiedziala:

— Nie wiem, czy mnie pamietasz, Waring. Tu Josie Tatternall. Twoja mama zachorowala. Proszę zadzwoń pod...
— Przez ułamek sekundy nie mogła sobie przypomniec własnego numeru telefonu. A co, jeśli jej mózg nie funkcjonuje prawidłowo, jeśli miała —jak to się nazywa — mikrowylew? Cóż, przynajmniej jestem w odpowiednim miejscu, pomyslała i kiedy się zaśmiała, przypomniał jej się numer.

Kolejna automatyczna sekretarka odezwała się w telefonie Alonza. Na tle zgrzytliwej muzyki rockowej ktoś powiedział z silnym akcentem: „Ty jesteś tam. A tu nie ma mnie. Wiesz, co robic, *amigo*”. Urządzenie powtórzyło wiadomość po hiszpańsku, więc się poddała. Siedziała bez ruchu, po czym wybrała numer do Liii i akurat gdy włączyl się automat, przypomniała sobie, że to wtorek, więc Lila jako wolontariuszka dziala na rzecz zwalczania analfabetyzmu. Serce jej biło, jakby wbiegła po schodach. Nienawidziła automatycznych sekretarek równie mocno jak komputerów. Na chwile wpadła jej do głowy szalona myśl, żeby zadzwonic do Cam, ale wróciła do poczekalni i padła na krzesło, uśmiechając się odruchowo na widok małego chłopca, który wiercił się na kolanach drzemającego ojca.

Nie spodziewała się zobaczyc tu Edny — jej siostra byla taka sama jak mężczyźni, jeśli chodziło o choroby. Może Dozier przyjedzie. Ale dlaczego pomyslała, że Edna jest „taka sama jak mężczyźni”, jeśli spodziewa się Doziera, który przecież jest mężczyzna? Boże, jej umysł jest jak to błoto — ten miękki chlupoczacy muł, w który weszła jako dziecko, gdy wybrali się na ostrygi.

Dostrzegła, iż na widok jej uśmiechu wiercący się chłopczyk pomyślał, że może będzie się z nim bawić, więc przymknęła oczy. Błoto, pomyślała, wyobrażając sobie zapach żyznej czystej ziemi i chłodny dotyk papki zasysającej jej stopy.

* * *

— Co?... — Poderwała się, odskakując na widok twarzy Morta Gebhardta znajdującej się kilkanaście centymetrów od niej.

— To my — Mary poklepała ją po ramieniu.

— Tylko na moment zamknęłam oczy — powiedziała defensywnie, zorientowawszy się, że musiała zasnąć.

Mary pokiwała głową.

— Niektórzy tak reagują na szok. Byłam raz w Los Angeles, kiedy zdarzyło się trzęsienie ziemi i jak tylko się skończyło, wpelzłam do łóżka i spałam parę godzin. Już jesteśmy, więc powinnaś iść do domu. Peatsy jest ustabilizowana, cokolwiek to oznacza.

— Czy?...

— Aha. To był atak serca. Mówiłam tak, prawda? Lekarz wyszedł i powiedział nam, ledwo przyjechaliśmy, parę minut temu. Dodzwonili się do Waringa, przyjedzie, jak tylko złapie samolot. Nie masz tu nic do roboty, Josie. Powinnaś jechać do domu. I tak cię do niej nie wpuszczą. Mort cię odwiezie.

Mort uśmiechnął się i podał jej rękę. Był, zauważyła nie po raz pierwszy, szarmancki i uprzejmy, czego nikt by

się nie spodziewał po mężczyźnie, który palił cygara, ważył dziewięćdziesiąt kilo i zrobił wielkie pieniądze na paczkowanym mięsie.

— No dalej, panienko Josie — powiedział żartobliwie z południowym akcentem — panienska pozwoli, że zawiozę ją do domu.

— Nie, nie, dam radę — podziękowała. Zauważyła, że palą się już światła, a na zegarze zbliża się szósta. Musiała drzemać ponad godzinę. — Więc z Peatsy wszystko w porządku?

— Jej stan jest stabilny, tak mi powiedzieli — Mary odpowiedziała z powątpiewaniem. — Zadzwoń do naszego Davida. Wiesz, tego internisty, poda mi więcej informacji, niż wyciągnę z tych tutaj. Pozwól się Mortowi odwieźć.

Josie denerwowała się, prowadząc po zmroku, ale odmówiła.

— Nie, nie. Naprawdę wolę jechać własnym autem. Dobrze się czuję. Mój dom jest dziesięć minut drogi stąd. Naprawdę nic mi nie jest. Pojadę. Ale obiecaj, że dasz mi znać, co z nią.

Mort nalegał na podwiezienie, ale Mary, głosem sugerującym jakąś ich nieustanną kłótnię, powiedziała:

— Mort, w ogóle nie słuchasz! Ta kobieta mówi, że da sobie radę. Dlaczego nie potrafisz uszanować tej decyzji i pozwolić jej jechać samej?

— Szanuję, szanuję. — Mort objął krzepkim ramieniem Mary. — Jak to się stało, że ożeniłem się z gojką, a teraz ona brzmi jak moja matka?

Josie uśmiechnęła się, wstając.

— Zadzwonisz? — Wręczyła jej torebkę Peatsy, którą trzymała przyciśniętą do piersi. Mary obiecała, że się odezwie.

Mijając recepcję, Josie obejrzała się za siebie. Mort obejmował Mary w pasie, a ona trzymała głowę na jego ramieniu i gadała jak najęta, a on tylko kiwał głową potakująco, jakby mówił: „tak, tak, słucham cię”. Potem przyciągnął ją do siebie, przestała mówić i wtuliła się w mego. Josie poczuła się tak samotna, że mało się nie rozplakała.

— Och, proszę pani — odezwała się do recepcjonistki, zastanawiając się, jak mogła być tak głupia, żeby nie zrobić tego wcześniej — zdaje się, że jest tu jeszcze jedna moja znajoma. Grace Koch. — Kobieta poprawiająca zawijającą się literę „W” w napisie WESOŁYCH ŚWIĄT przyczepionym do ściany za biurkiem odwróciła się. — Grace Koch — powtórzyła Josie.

— Ach! — Sprawdziła grafik dyżurów, uśmiechnęła się, wybierając numer, i się odwróciła. Rozmowa skończyła się szybko. - Przykro mi, proszę pani, ale pani Koch zmarła wczoraj rano. Jej rodzina została już powiadomiona, więc może będzie pani chciała się z nimi skontaktować.

Skręcając na swój podjazd, Josie zobaczyła, że światła palą się w kuchni, salonie i pokoju lawendowym na górze. Weszła przez drzwi kuchenne, poruszając się tak cicho jak włamywacz i wdychając sosnowy zapach choinki. Weranda i kuchnia zostały posprzątane. Na środku kuchennego stołu leżała kartka od Cuby. Zdażyła przeczytać tylko „Kohana pani Tatternall...”, gdy usłyszała kroki na schodach i jękliwy głos pani Beasley.

- Czy to pani, pani Tatternall?

Mój Boże, nie teraz.

— Tak, pani Beasley! — zawołała, starając się, by w jej głosie nie zabrzmiała irytacja. — Nie ma powodu do niepokoju. To tylko ja. Nie musi pani schodzić.

— Tracę zmysły, pani Tatternall. Pani gosposia powiedziała, że zdarzyła się wyjątkowa sytuacja i zaraz pani wróci, ale...

— Wszystko jest w porządku, pani Beasley. Zaraz do pani przyjdę.

— Od zmysłów odchodziłam. Co też mogło się stać? Pani gosposia powiedziała...

— Pani Beasley — zawołała ponownie, nie kryjąc już tym razem rozdrażnienia — muszę panią przeprosić na kilka minut! Mam do wykonania parę telefonów, a potem u pani napijemy się sherry, dobrze?

W głosie pani Beasley wyczuwało się pretensję:

— Zatem pójdę wziąć prysznic. Może potem porozmawiamy.

Josie odczekała, aż pani B. niechętnie wróci do siebie, a potem przeczytała notatkę: „Kohana pani Tatternall, Pan Dozier powiedział mi co się stało. Spszontnęłam i dałam pani Beastlyjej pokuj”. Josie uśmiechnęła się. Mimo odwiecznych kłopotów Cuby z ortografią podejrzewała, że „Beastly” było celowe*. „Zawiesiłam światełka na choince — czytała dalej. — Modle się, żeby pani Peatsy wyzdrowiała. Modle się za niem i za paniom. Pszyjde jutro rano. Cuba”.

Nadal trzymając kartkę, weszła przez pogrążoną w półmroku jadalnię do jasno oświetlonego salonu, wyłączając

* *Beastly* (ang.) — wredny, paskudny.

po drodze lampy, żeby zostały tylko światełka na choince. Opadła na kanapę i wpatrzyła się w pudełka z ozdobami stojące pod drzewkiem. Grace Koch nie żyje. Nigdy nie były blisko, ale знаła ją, Boże drogi, z pięćdziesiąt lat. I życie tak gaśnie, człowiek nagle znika z tego świata... A być może Peatsy, która jeszcze parę godzin temu siedziała w tym pokoju i irytowała się z powodu przegrania pięćdziesięciu centów w brydża, właśnie w tej chwili umiera. A Peatsy jest zaledwie parę lat starsza od Josie.

Wygladziła kartkę na kolanach. Cuba będzie się za nią modlić. Jakież pocieszenie musi dawać wiara we wszechmocnego i opiekuńczego Boga, który zawsze odpowiada na wezwanie. Została wychowana na metodystkę i, na prośbę Niedźwiedzia, „nawróciła się” po ślubie. Nadal chodziła na mszę, ponieważ lubiła ojca Lazereta, lecz tak naprawdę przestała wierzyć w Boga, który interesuje się życiem swoich owieczek, jeszcze zanim poznała Niedźwiedzia — gdy była w szkole średniej i przestała się modlić o zwycięstwo w meczach baseballowych. Zapewne istniał jakiś Bóg — a przynajmniej inteligentna siła we wszechświecie — lecz była ona poza jej pojmowaniem i nie mogła liczyć na to, że On, Ona lub Ono troszczy się o to, czyjej drużyna wygra lub czy stać ją na opłacenie rachunków, ani nawet o to, czy ma raka. W takich sprawach polegać należy na rodzinie i przyjaciołach. Niemniej jednak czuła ogromną potrzebę modlitwy. — Proszę — zaczęła. Ale potem tylko wpatrywała się w choinkę, myśląc o minionych świętach.

Przypomniała sobie jedno, zaraz po przenosinach do nowej bazy, kiedy od sześciu tygodni była w ciąży z Evie i miała nudności poranne silne jak nigdy wcześniej. Dom

był ciasny i tandetny, a ona nie знаła ani jednej osoby. Wtedy po raz pierwszy kupili składane plastikowe drzewko w sklepie garnizonowym, i nieomal się popłakała. Teraz wiedziała dostatecznie dużo, żeby zdawać sobie sprawę, że przechodziła wahania hormonalne i dopadła ją depresja, chociaż wtedy powiedziałyby po prostu, że tęskni za domem i ma chandrę. Och, ależ była nieszczęśliwa. A jednak tamte święta okazały się jednymi z najlepszych, jakie kiedykolwiek przeżyła.

Tamtej Wigilii, kiedy położyła już Cam i Lilę spać, z Niedźwiedziem wyłożyli prezenty, w piżamach tańczyli do muzyki z wojskowej stacji radiowej i kochali się na składanej sofie służącej im za łóżko. Po tym, kiedy szeptali i się śmiali, ona pijąc mleko i zjadając ciasteczka, które dziewczynki zostawiły dla Mikołaja, a on pijąc kolejny grog, podniosła oczy i zobaczyła stojącą w drzwiach Lilę, z buzią zapuchniętą od snu i wpatrzoną szeroko otwartymi oczyma w prezenty. Wstała, żeby położyć ją do łóżka, ale Niedźwiedź wyciągnął ręce i powiedział: „Tak, Lila, kochanie, Mikołaj już nas odwiedził”. A gdy Lila spytała: „Kiedy? Kiedy tu był?”, Niedźwiedź zniżył głos do dwuznacznego szeptu, pocałował dłoń Josie i odparł: „Jakieś piętnaście minut temu. A więc — wciągnął spodnie od piżamy i wstał z łóżka — obudź siostrę i zaczniemy święta już teraz”. Lila mimo protestów Josie pobiegła po Cam.

Potem nastąpiło pełne radości zamieszanie — piski zachwytu, wstażki, pudełka, a gdy — tego nie zapomni nigdy — wszystkie prezenty zostały rozpakowane, Niedźwiedź poszedł wziąć prysznic, a Lila siedziała w kucki na podłodze zmieniając pieluszkę swojej nowej lalce dzidziusiowi.

Cam, która nie mogła mieć wtedy więcej niż pięć lat, podeszła do matki i wyszeptała: „Wiem, że to nie Mikołaj, tylko ty i tata”. Josie zaczęła protestować, ale Cam rzuciła to swoje dorosłe poważne spojrzenie i powiedziała: „Nie martw się, nie powiem Liii. Jest jeszcze dzieckiem i me chcę jej psuć zabawy”, a josie przyciągnęła Cam do siebie i roześmiała się tak serdecznie, że prawie się posikała.

Wstała z kanapy, przeszła przez jadalnię, kuchnię i otworzyła tylne drzwi. Dostała gęziej skórki na rękach z powodu chłodnego powietrza, a w nozdrza uderzył ją zapach ziemi z ogrodu. Jej córki nigdy nie mieszkały w tym domu, jednak otworzyła usta, jakby chciała je zawołać, tak jak wołała z niezliczonych drzwi kuchennych niezliczone wieczory, gdy zapadał zmrok i robiło się chłodno: „Camilla! Lila! Evie! Kończcie zabawę i wracajcie. Chodźcie do domu. No już!”. Postąła jeszcze minutę, skonsternowana i oszołomiona. Wzdrygnęła się, zawróciła do kuchni, zamknęła drzwi i podeszła do telefonu. Zadzwoeni do nich, właśnie teraz, powie, że życie jest krótkie i czas ucieka. Nie, nie może tak powiedzieć. Powie im po prostu, że muszą przyjechać do domu na święta. A one nie mogą jej odmówić. Nie tym razem. Tym razem nie przyjmie odmowy.

Cam nigdy nie płakała. Nigdy. Nie płaczę, powiedziała sobie, rozdzierając plastikowe opakowanie rolki ręczników papierowych, wycierając oczy i wydmuchując nos.

Nie płakała, kiedy Sam, jej kochanek od trzech lat, oświadczył, że przeprowadza się z powrotem do Atlanty, i nie płakała we wtorek, kiedy jej szefowa, Elaine, powiedziała, że nie dostali dotacji i w Athena Press będą cięcia, a może nawet zwolnienia. Ale teraz płakała. Mało tego, szlochała, ryczała, łkała. Dlaczego? Bo upuściła torbę z zakupami.

* * *

Było już ciemno i zaczął padać deszcz ze śniegiem, kiedy wyszła z biura. Stojąc w holu budynku i wyglądając przez szklane drzwi na większy niż zwykle tłum ludzi robiących przedświąteczne zakupy, zastanawiała się, jak mogła być taka głupia, wierzyć w prognozę pogody („zimno, lecz słonecznie, temperatura nie przekroczy minus pięć”) i wkładać najlepszy płaszcz oraz czerwone zamszowe botki. Znała odpowiedź na to pytanie: jeśli jesteś po niewłaściwej stronie czterdziestki, pracujesz wśród samych kobiet i właśnie straciłaś faceta, wiesz, że jak się nie postarasz i o siebie nie zadbasz, to zamienisz się w żebraczkę szybciej niż powóz Kopciuszka w dynię.

Wyjęła z kosmetyczki lusterko i przesuwając je, obejrzała swoją twarz. Określeniem, które się jej nasunęło, było „wypłowiała”. Miała blade policzki, oczy straciły blask, a usta wydawały się nie mieć wyraźnych konturów, z wyjątkiem tych malutkich zmarszczek rozczarowania, które ściągały kąciki w dół. Nigdy nie uważała się za ładną (tylko jej matka i mężczyźni, którzy chcieli się z nią przespać, tak ją określali), ale często słyszała, nawet niedawno, słowa „interesująca” i „seksowna” (szczególnie seksowna). Przecież teraz jest zima, powiedziała sobie, nakładając szminkę, i wszyscy mają ziemistą cerę, a w holu jest fluorescencyjne światło, w którym każdy wygląda na chorego. Poza tym nie spała ostatnio dobrze, i zamknęła z trzaskiem lusterko — prędzej czy później człowiek płowieje jak stare zdjęcie polaroidowe. I nigdy nie wie, jak bardzo jest próżny, dopóki nie zacznie się starzeć.

— Wiesz, Cam, nie potrzebujesz żadnego makijażu. — Jej asystentka, Maria Giacomini, stanęła koło niej, kładąc plecak na podłodze, żeby zapiąć guziki płaszcza. — Makijaż jest taki retro, a ty wyglądasz świetnie bez niego. Przepraszam, jeśli się wtrącam.

Cam rzeczywiście uważała, że Maria się wtrąca, ale uśmiechnęła się i powiedziała: — To tylko twoja opinia, dziewczyno.

Maria przewróciła oczyma, kiedy nazwała ją dziewczyną, i wyjrzała za szklane drzwi.

— Cholera — powiedziała — ale paskudna pogoda! Bóg niebios znowu na nas sika.

Cam przytaknęła. Maria, czy Młoda Maria, jak o niej myślała (ponieważ od niedawna każdy poniżej trzydzieste-

go piątego roku życia wydawał się młody), miała zarumienione policzki, błyszczące oczy i delikatne łuki brwiowe renesansowej madonny, lecz tę naturalną urodę usilnie maskowała krótko ostrzyżonymi i nastroszonymi włosami oraz workowatymi ubraniami. Odbierając telefony w biurze, była tak uprzejma, jak mogła być jej babcia, podając *biscotti* i kawę księdzu, lecz gdy tylko wychodziła z pracy, zaczynała przypominać sierżanta w koszarach piechoty morskiej.

— I popatrz na te pieprzone korki — ciągnęła Maria. — To przez tych przeklętych klientów z przedmieść. Nie mogliby siedzieć u siebie i kupować w tych swoich centrach handlowych. Ech, i tak chrzanię święta.

Chociaż Cam nie ujęłaby tego w ten sposób (ciągłe używanie wulgaryzmów, podobnie jak zamiłowanie do komputerów czy umiejętność zaprogramowania magnetowidu stanowiło chyba cechę pokoleniową), skłonna była się z nią zgodzić. Czym są święta jak nie sparaliżowanymi ulicami, rozdrażnieniem, kiepskimi kolędami w windach, tandetnymi dekoracjami i przyjęciami biurowymi, na których ludzie upijają się i usiłują poderwać innych? Przynajmniej to ostatnie ma z głowy, ponieważ cztery z dziesięciu kobiet pracujących w wydawnictwie Athena były żydówkami, jedna przeszła na buddyzm, a kolejne dwie, „kolorowe kobiety”, jak powiedziała jej szefowa Elaine (to nowe określenie zawsze sprawiało, że Cam czuła się niezręcznie, ponieważ brzmiało niebezpiecznie podobnie do słów babki, Mawmaw, mówiącej o „czarnych”), odrzuciły tradycje baptystów i planowały obchodzić nowo ustanowione afroamerykańskie święto Kwanzaa.

— I jeszcze muszę zrobić zakupy — jęknęła Maria. — Bo jak się pojawię u brata bez prezentów dla jego smarkaczy, matka mi tyłek odgryzie. Ty już masz to z głowy?

— Zazwyczaj zamawiam coś z katalogów — odpowiedziała Cam. Miała już za sobą bunt w postaci całkowitego ignorowania Bożego Narodzenia. W tym roku wysłała swojej rodzinie książki: *Ogrody wiktoriańskie matce*, *Mary Cassatt Liii* i *Z modą przez wieki* Evie. Do sklepów wybrała się tylko po drogą patelnię dla najlepszej przyjaciółki Reby i kaszmirowy sweter dla swojego kochanka Sama. Nadal nie zdecydowała, czy mu go pośle do Atlanty, czy też odniesie po świętach do Brooks Brothers.

— Żałuję, że na to nie wpadłam — odpowiedziała Maria. — Teraz utknę w dziale dziecięcym w Macy's i wydam resztę pieniędzy. Kurde. Mam tylko nadzieję, że nie zobaczę bandy dzieciaków w kolejce do jakiegoś pijaczka odgrywającego Świętego Mikołaja. Zastanawiałaś się w ogóle kiedyś nad tym, że małe dziewczynki siadają na kolanach staremu facetowi w czerwonej bieliźnie i proszą go o prezenty? — Cam zaśmiała się, ale zerknięcie na Marię potwierdziło, że dziewczyna mówi śmiertelnie poważnie. Ta dwudziestodwuletnia absolwentka Wydziału Studiów Kobięcych na Uniwersytecie Rutgersa nie należała do frywolnych osób. — No dobra, Dick Trący startuje — przygładziła dłonią sterczące włosy, naciągnęła na uszy męski kapelusz w stylu lat trzydziestych i pchnęła drzwi.

Cam skuliła się przed mroźnym podmuchem, uginając się pod ciężarem torby pełnej rękopisów, popatrzyła, jak Maria przepycha się przez tłum, i ruszyła w kierunku

przystanku autobusowego. Przekrzywiona głowa, żeby ukryć twarz przed igiełkami śniegu i deszczu. Rany boskie, pomyślała, pewnie wyglądam jak Quasimodo. I po co targam te teksty do domu, skoro prędzej piekło zamarznie, niż Athena Press je wyda? Żałowała, że nie może pisać szczerych listów: „Drogi Autorze, być może wieści nie dotarły jeszcze do Lincoln w Nebrasce, ale małe wydawnictwa kiepsko sobie radzą. Zanim ten list do Ciebie dotrze, być może ja już stracę tę pracę”. Ale i tak przeczyta te rękopisy, zrecenzuje je i jeśli oceni pozytywnie, doda kilka słów zachęty. Wiedziała, ile trzeba pracy, żeby napisać książkę. Szczególnie podrzędną. Jej ojciec, Niedźwiedź, zawsze powtarzał, nie opuszcza się pola tylko dlatego, że bitwa zapowiada się na przegraną.

Gdy autobus wreszcie przyjechał — tłum wcisnął się do niego niczym mięso na kiełbasę wpychane do osłonki — znalazła się w tyle pojazdu, przygnieciona łokciami, torbami zakupowymi, pudełkami i parasolkami. Jakieś pięćdziesiąt przecznic dalej, spocona i z zawrotami głowy od zapachu mokrej wełny, pociągnęła za sznurek, dając znać, że chce wysiąść. Ale autobus toczył się dalej. Zawołała: „Och, proszę pana?!”, ze słodkim południowym akcentem, lecz gdy została zignorowana, powtórzyła głośniej: „Hej, niech się pan zatrzyma!”. Nastolatek z napisem „Malcolm X” na czapce, który wysiadał przed nią, nie zwracał na nic uwagi i drzwi zatrzasnęły się tuż przed jej twarzą. Pchnęła je i wpadła prosto w śniegową breję. No to już po czerwonych zamszowych botkach.

Śnieg z deszczem osłabł i poczuła lodowaty, przenikliwy wiatr. Przekładając torbę na drugie ramie, skręciła

za róg Broadwayu i ruszyła w kierunku Amsterdam Avenue, mijając japońską restaurację z jedzeniem na wynos, koreański sklep spożywczy, kiosk, sklep z meblami dziecięcymi, który musiał być zasłoną dymną (z jakiego innego powodu tylu mężczyzn kręciłoby się przed sklepem z meblami dla dzieci?), oraz wypożyczalnię wideo Blockbuster. Zwolniła przy „Okazyjnych biletach lotniczych”, zastanawiając się, kiedy dołączyła do ludzi narzekających na zimę i gapiących się w słoneczne plakaty reklamujące wycieczki. Przechodząc koło Ray's Pizza, poczuła głód, chociaż umówiła się ze swoją przyjaciółką Reba na lunch w restauracji serwującej kuchnię *cajun*, gdzie zjadły wielkie miski gumbo i dużo bułeczek kukurydzianych.

* * *

Ona i Reba kumplowały się od chwili, gdy poznały się w agencji pośrednictwa pracy tymczasowej, kiedy obie studiowały w college'u. Od tego czasu wspólnie mieszkały (krótco), pożyczały sobie pieniądze, wspierały jedna drugą przy zmianach koloru włosów i pracy, pocieszały w czasie przeziębienia, kaca, drobniejszych zabiegów operacyjnych, złamanych serc i śmierci osób z rodziny.

Kiedy spotkały się, w restauracji była kolejka osób czekających na stoliki, lecz Reba już znalazła miejsce, zdjęła płaszcz i przejrzała menu.

— Wkurza mnie, że muszę płacić dwanaście dolarów za gumbo z ketmią i bułeczki kukurydziane, kiedy wiem, że składniki kosztują jedynie dolara i dziewięćdziesiąt pięć centów — powiedziała zamiast powitania.

— Doświadczenia szefa nie da się oszacować. Czy nie tak zawsze mówisz klientom swojego cateringu? — drażniła się Cam.

— No, tak właśnie im mówię. Ponieważ boję się, że zorientują się, że składniki kosztują tylko dolara i dziewięćdziesiąt pięć centów. Siadaj, siadaj. Pozwoliłam sobie zamówić już to, co lubisz, wiem, że musisz wracać do biura. — Pochylając się nad stołem, wzięła Cam za rękę. — Nie wyglądasz najlepiej — powiedziała tak szczerze zaniepokojona, że nie można było się za to obrazić. — No dobrze. Opowiedz mi jeszcze raz o Samie.

— Nie ma o czym mówić — skwitowała Cam, a gdy Reba przewróciła oczyma i zrobiła minę pod tytułem „och, daj spokój”, dodała — poza tym już ci wszystko opowiedziałam.

— Ale Cam, przecież to nie jest tak, że on cię zostawił. Skoro zaproponowano mu awans w Atlancie, co miał zrobić. Odmówić?

— Oczywiście, że nie. Nie spodziewałabym się, że tak zrobi. W końcu tam mieszkają jego dzieci.

— No właśnie. I nie powiedział, że chce się z tobą rozstać, prawda?

— Jasne, że nie. Mężczyźni nigdy nie mają dość odwagi, żeby to powiedzieć. Po prostu spotykają się z innymi kobietami albo ciągle są zajęci, albo ze strachu stają się tak nierozmowni, że to kobieta zrywa z nimi. W ten sposób nie muszą ponosić żadnej odpowiedzialności.

— Ale Sam nie zrobił żadnej z tych rzeczy, prawda? Nie mówimy tu o typowym facecie. Mówimy o Samie. A on nie jest taki.

— Znasz go lepiej niż ja? — zaatakowała ją Cam, układając sztucce.

— Właśnie, może widzę więcej od ciebie. Miłość oślepia i takie tam.

— Czyja wyglądam na osobę, która ma tego rodzaju kłopoty? — Cam strząsnęła serwetkę, jakby były na niej robaki.

— Och nie, ty zwykle jesteś Kasandrą. Zawsze widzisz to, co najgorsze. — Reba potrząsnęła głową. — Po prostu nie wierzę, że ty i Sam mielibyście się rozstać. Kochacie się. To jasne jak słońce. No, może nie akurat dzisiejsze słońce — dodała z typową dla siebie dokładnością.

— Reba, naoglądałaś się starych filmów Disneya, w których słodkie małe zwierzątka łączą się w pary na całe życie.

— Ale ty i Sam... — Reba niemal krzyknęła z irytacji, zmierzwiła gęste włosy i obniżając głos, utkwiała spojrzenie w Cam, jakby była obrońcą wygłaszającym mowę końcową w sądzie. — Powiem tak: pewnego niedzielnego poranka w zeszłym roku, kiedy pocięłam się z Cheryl, przyjechałam do ciebie. Byłam w kiepskim stanie, miałam twoje klucze, więc otworzyłam sobie drzwi, weszłam po schodach i już miałam wcisnąć dzwonek, kiedy was usłyszałam. Nie mogłam rozróżnić słów, ale wyczułam intymną atmosferę. Oboje rozmawialiście i śmialiście się, i pamiętam, że tak stałam, podsłuchując i czując się nieco zazdrosna. Wtedy pomyślałam: „To jest to. Wzięło ich”. Sam to porządny facet. Wygląda na uczciwego, ale jest też trochę zakręcony. No i ma świetne nogi.

— Chcesz powiedzieć, że gdybyś nie była lesbijką, to-byś się w nim zakochała?

Reba wzruszyła ramionami.

— Ze wszystkich twoich facetów Sam jest najlepszy. Po prostu nie wierzę, że mógłby cię wystawić do wiatru. — Przerwała na moment, żeby podziękować kelnerce stawiającej miski, i perorowała dalej. — Z iloma facetami dotąd zerwałaś?

— Pomyślmy. — Cam wlała trochę ostrego sosu do swojego gumbo i zaczęła wyliczać. — Najpierw był Fred.

— Ach, pan Gnida — typowy błąd młodości.

— Owszem. Dalej Richard.

— Księżę Ciemności. Co za krętacz. Nigdy nie zapomnę, jaka z niego była gadzina.

— Jeffrey.

— Od razu się na nim poznałam.

— Potem...

— Pamiętam. Wszystkich ich pamiętam. — Reba pokręciła głową i spróbowała gumbo. — Dali nieco za dużo liści laurowych, poza tym w porządku — oceniła. — Cam, znam cię. Jeżeli tylko coś zaczyna kuleć albo jeśli facet jest dla ciebie zbyt spokojny, zawsze szukasz argumentów przeciwko niemu. Chcesz być tą stroną, która się pierwsza pożegna, bo masz ten ciągły lęk, z którym się nie uporałaś, że zostaniesz porzucona.

— Masz rację — zgodziła się Cam, wycierając kącik ust serwetką. — Nieco za dużo liścia laurowego.

— Przez ciebie będę miała niestrawność — oskarżyła ją Reba, wyrzucając ręce do góry. A po kilka minutach pałaszowania gumbo w milczeniu, poprosiła: — Opowiedz mi jeszcze raz, co się stało.

Cam odłożyła łyżkę i popatrzyła przez restauracyjne okno na ulicę.

— Wiedziałam, że istnieje możliwość awansu. Sam powiedział mi o niej, jak tylko się o tym dowiedział, że dwa miesiące temu.

— Widzisz, więc nie ukrywał przed tobą niczego. Nie szukał wymówki do zerwania. Powiedział, że nadal chce z tobą być, tak?

— Tak, tak. Że nadal możemy być parą. Ja polecę do niego, on przyleci do mnie. — Nie spytała go, jak często, nie powiedziała, że związki na odległość zazwyczaj rozpadają się z powodu gigantycznych rachunków za telefon, opóźnionych lotów, pospiesznego seksu i nieustannej tęsknoty oraz bólu przy rozstaniach. Nie przyznała się, że nie zniesie samotności i podejrzeń, które nieuchronnie, nawet jeśli bezpodstawnie, pojawią się, jeśli ona zadzwoni, a jego nie będzie w domu.

— No ale po tym wszystkim? Mogłaś przynajmniej spróbować coś wymyślić!

— Reba, wierz mi, pogląd, że rozstanie korzystnie wpływa na miłość, to mit. — A ból po rozstaniu raz na zawsze jest lepszy od agonii przyglądania się temu, jak coś ogromnie ważnego więdnie i umiera.

— Ale on cię kocha. Nie powiedział ci tego? — Nie no, jasne. Kocha mnie tak...

— Kiedyś zwierzył mi się, że nie dałby tu rady bez ciebie.

— ...jak każdy facet, który był długo żonaty, kocha kobietę, która z nim sypia, podczas gdy on się rozwodzi. Ale teraz rozwód już się skończył i wreszcie jest wolny...

— Był już w trakcie rozwodu, jeszcze zanim cię poznał!

— Owszem. Ale myślę, że już nadeszła pora i on musi iść dalej, do innego miejsca, do innej, prawdopodobnie młodszej, kobiety.

— Więc ty powiedziałaś „kurtyna” i ukłoniłaś się, i to by było na tyle? — domagała się odpowiedzi Reba.

Cam wzruszyła ramionami i sięgnęła po łyżkę. Nie była w stanie się przyznać — nawet Rebie — że kiedy Sam zakomunikował, że wyjeżdża, rzuciła tę karygodnie jędzowatą, płaczliwą uwagę: „Wygląda na to, że tak jak mama prowadzę pensjonat. Z tą tylko różnicą, że u mnie jeszcze jest seks i nie dostaję za to pieniędzy”. To go strasznie rozgniewało, myślała, że ją uderzy. Kiedy odzyskała panowanie nad sobą i przeprosiła, powiedziała, że woli się rozstać bez przeciągania całej sprawy, odprowadziła go do drzwi i rzuciła „do widzenia”, jakby szedł do sklepu na rogu po karton mleka. A potem opadła na kanapę, czując, jakby wybito jej w sercu dziurę.

— Wierz mi, Reba. W jego głosie była ulga, kiedy mu oznajmiłam, żeby więcej do mnie nie dzwonił.

— No, a co miał zrobić? Błagać? Nigdy by tego nie zrobił. Jest tak samo dumny jak ty.

— Teraz to ty mnie pripraviasz o niestrawność. Czy mogłybyśmy porozmawiać o czymś innym?

— Na przykład o czym? O pogodzie? — Reba wyjadła resztki ze swojej miski i zaproponowała Cam ostatnią bułeczkę kukurydzianą. — Pamiętasz to pierwsze przyjęcie noworoczne, które zrobiłaś z Samem? Za każdym razem bułeczki kukurydziane kojarzą mi się właśnie z nim.

Cam przyjęła bułeczkę i ugryzła kęs, czując się pełna, ale nienajedzona.

— Reba, kiedy mieszkasz z kimś przez trzy lata... — W zasadzie ona i Sam nie mieszkali razem. Z powodu długich godzin pracy w laboratorium farmaceutycznym zatrzymał mieszkanie w New Jersey, a w ich związku od samego początku przewijał się zaskakujący dla niej motyw domowy. Z wyjątkiem tych weekendów, w które leciał do Atlanty zobaczyć się z dziećmi i porozmawiać z prawnikami o rozwodzie, przyjeżdżał do miasta w piątki wieczorem i zostawał u niej na weekend. Kochali się, a potem wychodzili coś zjeść lub najpierw szli na kolację, a potem do łóżka. W sobotnie ranki wpadali do pralni, chodzili na długie spacery i na zakupy, głównie jedzeniowe. Wieczorami wybierali się do kina, spotykali się ze znajomymi lub szli na koncert. Lecz niedziele spędzali tylko we dwoje, śpiąc do późna, zjadając smakołyki kupione poprzedniego dnia w delikatesach Zabar lub Citarella, czytając gazety, obijając się w szlafrokach, gawędząc i kochając się, aż Sam musiał wracać. — Kiedy żyjesz z kimś przez trzy lata — powtórzyła — wszystko ci się z nim kojarzy.

Gdyby ona i Sam nadal byli parą, pomyślała, mijając sklepik z mieniącym się napisem *Feliz Navidad* nad drzwiami i żłobkiem położonym na wystawie pomiędzy skrzynkami zielonych bananów, pieluchami i proszkami, nadal miałyby w lodówce pełno delikatesowych resztek. A tak będzie musiała zatrzymać się w sieciówce Food City, gdzie robiła zakupy od ośmiu lat i ani razu nie usłyszała „Bardzo

proszę" w odpowiedzi na swoje „Dziękuję”, albo będzie musiała pójść do baru sałatkowego, gdzie, wyglądający na samotnych, ludzie powłóczą nogami wokół rozłożonego jedzenia dla królików. Gdyby Sam jej nie zostawił, nie musiałyby wyglądać i czuć się jak Quasimodo. Przynajmniej nie musiałyby sama mierzyć się ze świętami. Reba też miała zostać w mieście, ponieważ Cheryl, jej partnerka w firmie cateringowej i „druga połowa”, jechała odwiedzić rodzinę w Raleigh.

„Zastanawiam się, jak mogę kochać kogoś, kto jest takim tchórzem, że nawet w wieku czterdziestu pięciu lat me jest w stanie wypełznąć z ukrycia — na ogół lamentowała Reba podczas lunchu. — Ale skoro obie zostałyśmy słomianymi wdowami, możemy przynajmniej spędzić trochę czasu razem. Pójdziemy popatrzeć na łyżwiarzy w Rockefeller Center albo posłuchamy chóru w kościele Riverside, a może po prostu wypożyczymy *To wspaniałe życie* i się upijemy”. — Jakoś wytrzymam, pomyślała wówczas Cam, starając się w to wierzyć.

Ciepły mydlany zapach buchnął z otwartych drzwi pralni „Delta Mekongu”, gdy zajrzała do środka, żeby spytać Mai o zgubione w zeszłym tygodniu prześcieradło. Mai pokręciła przecząco głową i powiedziała: „Psikro mi. Nic niealeziono. Nic nie skubiono psietem”. To była prawda. Choć miejsce było malutkie, zatłoczone i pozornie ogarnięte chaosem — pranie rzucone na stosy, kłębiące się w maszynach, kręcące w suszarkach, stłoczone mokre w plastikowych koszykach, leżące w stertach na stole z laminatu, na którym siostra i kuzynka Mai strzepywały je, wygładzały i składały — nigdy nie zginęła jej tu nawet

skarpetka. „Psikro mi. Ja siukać. Ty jechać na śięta? Rodzina?” Cam zaprzeczyła ruchem głowy, zastanawiając się, czy prześcieradło nie trafiło do rzeczy Sama, a więc już go nie odzyska. A nie było to byle jakie stare prześcieradło. Stanowiło część kompletu. Najdroższego kompletu, jaki kiedykolwiek miała: bladobłękitnego, sto procent egipskiej bawełny, kupionego na Białej Wyprzedaży u Bloomingdale'a dwa lata temu, kiedy świętowali z Samem pierwszą rocznicę pójścia do łóżka. To było szczególne prześcieradło. Przeżyło co nieco.

Powiedziała Mai, że zajrzy w tygodniu, wyszła i skręcając w stronę Central Parku, niemal zderzyła się z niosącą choinkę parą. Nagle zdała sobie sprawę, że nie ma dość energii, by stać w kolejkach Food City. Będzie musiała zajrzeć do sklepu na rogu, potem pójdzie do domu, zamknie drzwi, weźmie długą kąpiel z dodatkiem olejku ziołowego, który dostała od Reby, założy flanelową koszulę, zapnie się pod szyję i zrobi sobie kakao lub grog. Może w telewizji będzie jakiś program przyrodniczy, to wyłączy dźwięk i usiądzie na kanapie z podwiniętymi nogami w skarpetkach Sama i zabierze się do czytania rękopisów, co jakiś czas zerkając dla pocieszenia na niedźwiedzia polarnego chowającego młode lub na mówiącego do goryla antropologa w średnim wieku, który nadal wygląda dobrze w szortach. „Jeżeli nie ma nikogo, kto by cię rozpieszczał, sama musisz się rozpieszczać, w przeciwnym razie się pogrążysz”, pouczyła ją Reba podczas lunchu.

— Czysta prawda — wymruczała Cam, brnąc w kierunku sklepu spożywczego.

Kiedy wyszła z niego bezdomna kobieta, którą nazywała Marią Callas, stała koło wejścia i, potrząsając styropianowym kubkiem, śpiewała kolędę *Raduj się, świecie* łamiącym się sopranem.

— Potrzebujesz rękawiczek — powiedziała Cam, szukając drobnych w torebce. — Rękawiczek — powtórzyła, wrzucając pięćdziesiąt centów do kubka i machając swoimi przed twarzą kobiety.

Ta przestała śpiewać i pokiwała żarliwie głową, a potem jej oczy znowu stały się szkliste i zaczęła śpiewać kolędę od początku, w przyspieszonym tempie, chcąc dotrzeć do miejsca, w którym przerwała.

— A niech tam — powiedziała Cam niecierpliwie. Spojrzała na swoje rękawiczki — jedną z wielu par za osiem dolarów, które kupowała w promocji po kilka par, ponieważ zawsze je gubiła — i wepchnęła je kobiecie do kieszeni kurtki. Gdy odchodziła, usłyszała: „Raduj się, świecie, przyszedł Pan! Niech zabrzmie chwały pieśń. Niech każde serce...”. — ...Mu zrobi miejsce... — przyłączyła się Cam i urwała. — Weź się w garść! — wymamrotała niepewna, czy mówi do kobiety, czy do siebie.

Boże, ależ ona nienawidzi słodyczy i światła, tej fałszywej obietnicy, którą niosą kolędy! A tej szczególnie, ponieważ przypominała jej o tym, jak ojciec, Niedźwiedź, umierał, a ona zostawiła matkę, Evie, Lilę i męża Liii, Orriego, którzy opadli bezwładnie na pomarańczowe plastikowe foteliki przed oddziałem intensywnej opieki, mówiąc, że idzie na kawę, ale tak naprawdę musiała zapalić i się napić.

Grupka koledników stała przed choinką w westybulu, ćwierkając o radości i odkupieniu, a ona nie mogła znieść ich niewyczerpanej wesołości i ślepej wiary, ponieważ wiedziała, że będzie musiała podjąć decyzję i powiedzieć lekarzom, żeby odłączyli maszynę, ale nie czuła się na siłach. Lecz żadna z jej sióstr, ani jej szwagier, który zazwyczaj podkreślał swoją rolę mężczyzny, nie byłby zdolny do tej decyzji. A już na pewno nie Josie — poczucie winy byłoby dla niej zbyt duże. To ona, Cam, będzie musiała ich do tego przekonać. Będą się nad tym godzinami zastanawiać, płakać, lecz w głębi duszy odczują ulgę.

Jeżdżąc nerwowo nowym BMW Orriego po miasteczku, którego już nie pamiętała, w końcu znalazła jakąś knajpkę i usiadła przy barze koło starego czarnego faceta, który trzymał się tak prosto i był tak bardzo uprzejmy, że musiał swego czasu służyć w armii. Podczas gdy piosenki Elvisa Presleya i Arethy Franklin rozbrzmiewały bardzo głośno, rozmawiali o czymś, co on nazywał „Wielkie W”*, i przypomniała sobie, jak Niedźwiedź kiedyś jej powiedział, gdy była wystarczająco duża, żeby wyobrazić sobie, co musiał zrobić, by zostać bohaterem: że strach nie jest niczym wstydliwym. Tylko głupcy go nie odczuwają. Być odważnym to pokonać strach, a jeśli to potrafisz — w wyobraźni widziała jego twarz rozpromieniającą się tym szerokim, prowokującym uśmiechem — to idziesz przed siebie i dokonujesz odważnych czynów. Na jedno wychodzi. Niedźwiedź nigdy tego nie powiedział, choć ona to wiedziała — że chciał mieć syna — ale od czasu, kiedy miała sześć lub siedem lat, zawsze kiedy wyjeżdżał,

* Miejsce, w którym w filmie *Ten szalony, szalony świat* ukryto walizkę z 350 tysiącami dolarów.

mówił jej, że mianuje ją zastępcą dowódcy. Żałowała, że nie może zrobić czegoś, z czego mógłby być dumny, ale przynajmniej w tej kwestii go nie zawiedzie. Była jedyną osobą, która go naprawdę kochała, dlatego miała prawo zdecydować o zakończeniu jego życia.

Uskakując przed taksówką i przechodząc na drugą stronę ulicy, przypomniała sobie swoją pierwszą zimę w tym mieście, kiedy zobaczyła wirujące płatki z okna autobusu na Piątej Alei i tak ją to podekscytowało, że wysiadła i przeszła piechotą całą drogę do nory, którą wynajmowała z dwiema dziewczynami w Village. Szła i nuciała, kiwała głową obcym, dostając w zamian uśmiechy, a przystojny młody mężczyzna, wychodząc z kwaciarni, wyciągnął z bukietu żółtą różę i wręczył jej ze słowami „Wesołych świąt, ślicznotko”. Cóż, pomyślała, wlokąc się ostatnią przecznicą do swojego mieszkania, i ona, i Nowy Jork się zmienili. Gdyby teraz jakiś mężczyzna podszedł do niej na ulicy, prawdopodobnie prosiłby o jałmużnę.

— Niech cię szlag, Rodriguez, ty leniu patentowany — wymamrotała, podchodząc do swojego budynku i widząc, że dozorca nie posypał chodnika solą. — Nie licz na świąteczny napiwek.

Kiedy zbliżała się do wejścia i szukała kluczy w kieszeni płaszcza, usiłując utrzymać torbę z książkami, torebkę oraz zakupy, nagle stopy straciły grunt, jakby była na łyżwach, i torba z zakupami poleciała w powietrze. Cam wylądowała na czworakach. Tampaxy, woolite, rolka ręczników papierowych, paczka marlboro, karton soku żurawinowego i pieczona szynka z żytnim chlebem, którą miała zjeść na kolację, leżały rozrzucone w śniegowej brei. Puszczając wiązanek przekleństw, z której Maria byłaby dumna, wytarła każdą rzecz i wrzuciła z powrotem do siatki i zaczęła wstawać.

Wówczas odpadło dno od torby z zakupami. To ją przerosło i padła na kolana. Schyliła głowę, niemal dotykając nią chodnika i usłyszała własny płacz: — Ratunku, niech mi ktoś pomoże. — Usiłowała wstać, ale nie miała siły się ruszyć. Nie było nikogo, kto mógłby jej pomóc, i dobrze o tym wiedziała. Szlochała. Skręciwszy głowę, dostrzegła, że mieszkający piętro nad nią mężczyzna wychodzi właśnie zza rogu. Gorączkowo wepchnęła rozrzucone rzeczy do torby na książki, rolkę ręczników papierowych wsadziła sobie pod ramię, chwając się, wstała i wepchnęła klucz do zamka, modląc się, żeby nie utknął. Zatrząskując za sobą drzwi, wbiegła po schodach.

W mieszkaniu było ciemno, przez okna wpadało tylko światło latarni. Słyszać było jedynie szum grzejnika i jej łkanie. Podeszła do bufetu oddzielającego aneks kuchenny od salonu, oddarła kawałek papieru z rolki ręczników, wytarła twarz i wydmuchała nos. Wzięła głęboki oddech, wygrzebała z torebki paczkę marlboro, wymacała zapalnik nad kuchenką, zapaliła, zaciągnęła się, zakaszła i jeszcze raz wciągnęła dym. Po prostu się rozkleiła. Rozkleiła się na środku ulicy. Z powodu upuszczonej torby z zakupami. Słodki Jezu! Jest w gorszym stanie, niż sądziła. Jedną rzeczą jest zdawać sobie sprawę, że człowiek jest bliski paniki takiej jak z *Krzyku* Edwarda Muncha, ale zupełnie czym innym jest dostać nagle jej napadu. Wtedy przychodzą sanitariusze, dają zastrzyk uspokajający i zgarniają do wariatkowa.

Szarpnęła drzwi lodówki i sięgnęła po butelkę wina, naląła sobie trochę do kubka stojącego na blacie i upiła

łyk. Alkohol zmieszany z czymś, co musiało być resztkami porannej kawy, miał tak paskudny smak, że przechyliła się do zlewu i wypluła. Znowu się rozszlochała. Jest beznadziejna. Przegrana. Nie potrafi nawet umyć kubka! Ale wiedziała, że płacze nie z powodu upuszczonej torby z zakupami i nieumytego kubka. Płacze, ponieważ ona, która była pewna, że zdobędzie wszystko, skończyła z niczym.

Przyjechała do Nowego Jorku, mając osiemnaście lat, upojona triumfem wyrwania się ze swojej szalonej rodziny i życia w małym miasteczku na Południu. Zdobyła stypendium na uniwersytecie Columbia i już ukazało się jej opowiadanie. Wystarczy tylko zaznać życia i napisać Wielką Amerykańską Powieść. Wówczas spełni marzenie nie tylko swoje, ale i swojego ojca, ponieważ tak właśnie by zrobił, gdyby to dławiące domatorstwo matki nie podcięło mu skrzydeł.

Zdawała sobie sprawę, że pisanie będzie dla niej pewnego rodzaju wyzwaniem — bez wątpienia trochę przecierpi, a kiedy już osiągnie sławę, zapewne będzie dość zblazowana, ale liczyła się z taką ceną, ponieważ jej Przeznaczeniem, przez wielkie P, było zostać pisarką. W wyobraźni była już Carson McCullers (tylko z mnóstwem kochanków), Eudorą Welty (znacznie ładniejszą), Flannery O'Connor, ale zdrową, Trumanem Capote'em bez wady wymowy. Głównie była Trumanem Capote'em, ponieważ opowiadanie, które miała szczęście opublikować, przypominało jego wczesne utwory — wspomnienie dzieciństwa, ociekające ekscentrycznym urokiem Południa, dotyczące wiekowej ciotki. Wzorem głównej postaci była jej babka, Mawmaw, lecz Cam postarała się to zamaskować, czyniąc z niej ubogą, uzależnioną od tabaki

starą pannę, podczas gdy w rzeczywistości Mawmaw zdecydowanie należała do klasy średniej, urodziła piątkę dzieci i prędzej włożyłaby głowę do piecyka, niż wciągnęła tabakę. Jednak w tamtych czasach publiczne spowiedzi i „dzielenie się” swoim życiem w talk-show jeszcze uważano za rzecz w złym guście. Wierzyła wtedy (i teraz też), że jeśli ktoś publicznie krytykuje, a co dopiero miesza z błotem, swoich krewnych, to żadna sława ani pieniądze nie zrekompensują mu wstydu. „Ja po prostu wymyślam te historie”, powiedziała przed wyjazdem do Nowego Jorku reporterowi, który napisał tekst o tym, jak to miejscowa dziewczyna jedzie do wielkiego świata. Wówczas przewidywała triumfalne, choć rzadkie wizyty w domu rodzinnym. Wjedzie do miasta kabrioletem, ubrana w szaleńczo drogie ciuchy, jakie miejscowi oglądają tylko w „Vogue’u”, a te wszystkie dziewczyny, które mówiły, że jest puszczalska, i chłopcy, którzy uważali ją za wariatkę, będą patrzeć z zachwytem. Nawet jej matka będzie dumna. Nie żeby jej na tym zależało.

Niemal od razu, jak przyjechała do miasta, zrozumiała, że wszystko ją przerasta. Inni studenci byli generalnie lepiej wykształceni i mieli więcej poloru. Jej profesorowie zdołali ją przekonać, że pisanie bez składni, stylu i umiejętności zdefiniowania swoich intencji jest równie beznadziejne jak próby oddychania bez płuc. (Nigdy nie zapomni tej strasznej chwili na pierwszym roku zajęć z pisania, kiedy doktor Ehrlich — który później ją podrywał — kazał jej opisać strumień świadomości, a ona myślała, że chodzi o jakiś rzeczywisty strumień). Czuła się niczym badacz, który natknął się na niebezpieczne plemię, którego języka

i zwyczajów zupełnie nie rozumie. Wszyscy czytali Faulknera, także Camusa, ale nadal automatycznie uważali ludzi z Południa za tępaków. Szalała wojna wietnamska i ci, których spotykała, uważali ludzi w mundurach w najlepszym przypadku za obiekt żartów, a w najgorszym odrazy. Wdawała się w spory, aż była bliska łez, ale kiedy fakty przekonały ją, że ta wojna jest zła, czuła się opuszczona niczym żarliwy chrześcijanin, który utracił wiarę w Boga. Tego roku pisała tylko wiersze miłosne do niepełnosprawnego, narcystycznego weterana pacyfisty, z którym wówczas romansowała.

W połowie przedostatniego roku zaniedbała oceny i straciła stypendium. Nie żeby się tym przejęła. Bycie studentką college'u nie miało jej zdaniem wiele wspólnego z prawdziwym życiem pełnym przemówień, dyskusji i demonstracji. Nie miała odwagi przyznać się rodzicom, więc znalazła pracę na pół etatu, żeby opłacić czesne, i wpadła w kierat pracy oraz szkoły, ledwo wiążąc koniec z końcem. Pisanie zeszło na daleki plan. O czym miała opowiadać? Jak mogła to wszystko zrozumieć, a co dopiero wyrazić? Gdy patrzyła na sterty papierów na swoim biurku, słyszała tylko głos matki: „Camilla, posprzątaj u siebie”. Nie była w stanie uporządkować własnego pokoju, a co dopiero życia.

Oczywiście nie była jedyną osobą, która w wieku lat osiemnastu sądziła, że ma prostą drogę na szczyt góry, a koło trzydziestki znalazła się na nizinach bez mapy. Betsy, która myślała, że zostanie filmowcem, wylądowała w reklamie; Shelley przyjechała do Nowego Jorku, żeby być śpiewaczką operową, ale wróciła do Santa Fe, gdzie zajęła się zbieraniem funduszy dla miejscowej orkiestry;

Ueba, która zamierzała być rzeźbiarką, trafiła do cateringu i rzeźbiła jedynie ozdoby z lukru na drogich tortach.

Ale, napomniała się Cam, bez względu na to, jak kiepsko potoczyły się sprawy i jak blisko krawędzi się znalazła, nigdy się całkiem nie poddała, ponieważ zawsze słyszała w głowie te głosy. Mawmaw mówiąca: „Nie pozwól, żeby ktoś, z wyjątkiem Pana, przyłapał cię na płaczu” albo Niedźwiedzia rozkazującego jej nie odpuszczać, nigdy nie poddawać się bez względu na rozwój bitwy, a nawet Josie: „No, Camilla, czy tak się zachowuje dama?”. Słyszała je nawet teraz, kiedy ostatni raz wydmuchała nos, wzięła kolejny głęboki oddech i wróciła do drzwi, żeby przekręcić zamki i pstryknąć światło.

Nalewając wino do czystego kieliszka, zauważyła, że obtarła sobie kostki na dłoniach i usłyszała głos Reby: „Sama musisz się rozpieszczać”. Nie musiała zaglądać do szafki w łazience, by wiedzieć, że znajdzie tam słoiczek kremu odmładzającego za dwadzieścia pięć dolarów, ale nie plastry i wodę utlenioną. Przynajmniej była bezpieczna w swojej norze, i jeśli zignoruje „Timesa” z poprzedniej niedzieli, książki nie mieszczące się na półkach, porozrzucane ubrania, śmieci czekające na wyniesienie, zwiędłe kwiaty, bo Rodriguez upierał się przy utrzymywaniu temperatury bliskiej tej, która panowała w jego rodzinnym San Juan, to jej nora wygląda całkiem nieźle.

Salon z kuchnią miał wysokość ponad trzech i pół metra, a sufit zachował oryginalną sztukaterię dającą wrażenie przestrzeni. Jedną ścianę stanowiły odsłonięte cegły z pięknym (choć niedziałającym) kominkiem z przełomu wieków, nad którym wisiało zabytkowe lustro (znalezisko

z pchłego targu). Pozostałe ściany pomalowała półmatową farbą koloru gołębiego (potrzebne były dwie warstwy, żeby przykryć rysy, tak jak przewidywał Sam, który pomagał jej malować w ten okropnie gorący dzień zeszłego lata). A jeśli skupić się na dużym obrazie abstrakcyjnym (prezent od dawnego chłopaka artysty, który zrobił karierę); zabytkowej mapie archipelagu wysp Karoliny Południowej, którą kupiła po pierwszej podwyżce w Athena Press, oprawionych w ramki okładek książek, które wydała i z których była dumna; bucharskim dywanem o intensywnych odcieniach niebieskiego i czerwonego (odziedziczony po przyjacielu, Wallym, który dwa lata temu zmarł na AIDS); eleganckim stoliku z chromu i szkła, który Betsy i John zostawili jej, przeprowadzając się do Connecticut na wieś, jej mieszkanie wyglądało na miejsce, które zajmuje ktoś obdarzony gustem, choć dysponujący ograniczonymi środkami. Przynajmniej tak prezentowało się dla jej nowojorskich znajomych, z których część żyła w warunkach niewiele lepszych niż te w Europie "wschodniej".

Oczywiście zdawała sobie sprawę z tego, że ani jej matka, która uważała „śliczny dom” za życiowe osiągnięcie, ani jej siostra Lila, której rezydencja na wyspie Hilton Head została opisana w „Domach Południa”, tak jej mieszkania nie postrzegają. W ich oczach było ciasne i brudne, „cygańskie”. Już widziała, jak Josie uśmiecha się i próbuje powiedzieć coś miłego o nowojorskich kamienicach z piaskowca albo jak Lila rozgląda się i usiłuje znaleźć nieobecna zmywarke lub wtyka głowę do malutkiej sypialni, widzi japońską grafikę erotyczną nad łóżkiem i ocenia ją jako „naprawdę urocza i artystyczna”. I dlatego właśnie nie za-

prosiła ich do siebie, kiedy ostatnio były w Nowym Jorku. Już lepiej, żeby uważały ją za nieuprzejmą, niż potraktowały protekcjonalnie lub się nad nią litowały.

Przeniosła się na kanapę, ściągając czapkę, zrzucając płaszcz i rozpinając zniszczone buty. Lampka automatycznej sekretarki zamigłała dwa razy. Może Sam zadzwonił, i choć kazała mu tego nie robić. Wcisnęła przycisk odtwarzania i wstała, powtarzając niczym mantrę „Sam, niech to będzie Sam”, dopóki nie usłyszała głosu Reby:

— Cam? Cam, słyszysz mnie? Odbierz. No dalej. Już widzę, jak się dąsas i ukrywasz. Odbierz... no dobra. Chyba cię tam jednak nie ma. Słuchaj, kiedy wróciłam do sklepu po naszym lunchu, Cheryl stroiła fochy w poczuciu winy, że nie chce mnie zabrać do swojej rodziny do Raleigh. Okropnie się pokłóciłyśmy. Nie będę marnować ci miejsca na taśmie na krwawe szczegóły, ale skutek jest taki, że zebrała się na odwagę i poprosiła, żebym z nią pojechała. I się zgodziłam. Wiem, że powiedziałam ci, że zostaję, i wiem, że przechodzisz zły okres, więc jeśli chcesz, to zostanę. Prawda jest taka — kiedy mam to, czelno chciałam, jestem przerażona. Nie mam nic przeciwko wykorzystaniu cię jako wymówki do zostania w mieście. Więc... zadzwoń, jak tylko wrócisz, dobra?

Cam wcisnęła guzik STOP i stała bez ruchu, przygryzając wargę. A jednak. Mięczakowata Cheryl, która jej zdaniem nigdy nie zasługiwała na Rebę, wreszcie się przemogła. Oferta pozostania w mieście brzmiała niezdarnie, ale była szczerą. Jeśli ją poprosi, żeby została, to Reba zostanie i nigdy nie wypomni jej tego poświęcenia. Ale nie... Przecież ma jeszcze innych przyjaciół. Otrzymała

mnóstwo zaproszeń. Zdawała sobie jednak sprawę, że jest zbyt niestabilna emocjonalnie, żeby widzieć się z kimkolwiek innym poza Rebą. Z pewnością kobieta zbliżająca się do menopauzy potrafi zachować się jak duża dziewczynka i przetrwać święta samotnie.

Poza tym nie odsłuchiwała jeszcze drugiej wiadomości. Może przecież być od... Wcisnęła guzik:

— Cześć, Cam, tu Betsy. Jezu, jak ja za tobą tęsknię. Mam wrażenie, że nie było cię u nas od wieków. — Cam potrząsnęła głową, wzbraniając się przed napływającymi do oczu łzami i przeszła do kuchni po kanapkę z pieczoną wołowiną, podczas gdy automatyczna sekretarka pracowała dalej: — Jedyne znajome, jakie mam w East Haddam, to kobiety z komitetu ekologicznego i matki z placu zabaw, ale to nie to samo. Właśnie mówiłam do Josha któregoś dnia... — w tle rozległo się miauczenie kota i łoskot — och Cam, poczekaj chwilę, dobrze? Robię kolację, a Terrence... Terrence! — Betsy podniosła władczo głos. — Terrence, chyba ustaliliśmy! — Josh, mógłbyś — och, chwilka, dobrze, Cam? — Wyobrażając sobie, jak Betsy biegnie, żeby powstrzymać dwuipółletniego Terrence'a (którego Cam i Reba przeżywały Małym Napoleonem) przed uduszeniem kota lub uwieszeniem się na zasłonach, Cam wzięła kanapkę, która jednak okazała się zgnieciona i przemoknięta po upadku w śnieg, i zdała sobie sprawę, że musi zadowolić się typową kolacją pracującej zawodowo kobiety, czyli jajecznicą, grzanką i kieliszkiem wina.

— Cam? — Betsy wróciła do telefonu z westchnięciem — Cam, już jestem. Terrence przewrócił osłonę kominka. Od czasu, kiedy powiedzieliśmy mu, że Mikołaj

wejdzie przez komin, usiłuje dostać się do kominka za każdym razem, gdy na moment spuścimy go z oczu. Ale o czym to ja mówiłam? Ach tak, któregoś wieczoru Josh i

ja rozmawialiśmy, że od miesiący nie mieliśmy kontaktu .mi z tobą, ani z Samem. Jak wam się układa? Nadal macie motyle w brzuchu? — powiedziała to tonem szelmowskiej swatki, w czym nie było nic dziwnego, ponieważ Cam poznała Sama u Josha i Betsy.

Betsy i Josh wydali przyjęcie, żeby oficjalnie ogłosić sukces kosztującego dziesięć tysięcy dolarów i niemożliwego bez osiągnięć nauki powstania zarodka Terrence'a. Był to wyjątkowo współczesny i dziwny powód do świętowania, który przypominał jej o nietradycyjnych ślubach w początkach lat siedemdziesiątych, kiedy to hippisowskie pary z kwiatami we włosach brały śluby w parkach publicznych, mówiąc jak aktorzy improwizujący swoje role, a nie kobieta i mężczyzna składający przysięgę małżeńską. Nie lubiła tych damskich przyjęć, pań z pokolenia jej matki, pełnych chichotów i szeptania, na których podawano ciasteczka i poncz, a o ciąży mówiono jako o „cieście rosnącym w piekarniku” lub „połknięciu pestki dyni”, ale czuła się jeszcze bardziej skrepowana, chrupiąc makrobiotyczne przystawki i słuchając, jak mężczyźni omawiają nacięcie krocza i depresję poporodową. Kiedy Josh wzniósł toast „za naszego przebywającego w łonie matki syna” i wychylił kieliszek szampana, którego, rzecz jasna, Betsy nie mogła pic, a potem dodał „czuję się fantastycznie w ciąży”, odwróciła głowę i stłumiła uśmiech.

Napotkała spojrzenie stojącego w rogu wysokiego nieznajomego i utrzymała kontakt wzrokowy — ich mówiące „wiem, o czym myślisz” rozbawienie w oczach było tak niezaprzeczalne, że uśmiechnęła się, zupełnie jak na widok starego znajomego. Przez ułamek sekundy wydawało jej się, że może go rzeczywiście zna, ponieważ przez głowę przemknęło jej Południe, koszykówka i wojsko.

Gdy goście zaczęli bić brawo i gratulować, odwróciła wzrok, zastanawiając się, skąd taki zestaw skojarzeń, i gdy przeciskała się do bufetu, zaczęła rozwikływać tę zagadkę. Koszykówka była stosunkowo prosta: miał ciało koszykarza, wzrost około metra dziewięćdziesięciu, patykowate kończyny, nadal szczupłą sylwetkę, choć nabierającą brzucha. Skojarzenie z wojskiem prawdopodobnie wywołała jego wyprostowana postawa i uczesanie prosto od wojskowego fryzjera. Ale Południe? Może to serdeczne spojrzenie natychmiast stonowane pełnym szacunku uśmiechem. No i co za uśmiech. Brązowo zielone oczy, na widok których dziewczynie serce skakało do góry, i, jeśli się nie myliła, jego uśmiech mówił, że jemu też serce skacze.

Zobaczyła go ponownie dopiero wtedy, kiedy wszyscy rozeszli się po salonie, żeby jeść dania ze szwedzkiego stołu, i okazało się, że dzielą ich dwie osoby. Rozmowa, całe szczęście, zeszła z próbek spermy i technik porodu naturalnego na potrawy, szczególnie świąteczne. Usłyszała, jak mówi do rudowłosej kobiety, która siedziała koło niego: — Zawsze podajemy Hoppin' Johna, żeby Nowy Rok przyniósł szczęście.

— Jesteś z Południa? — zaciekała się ruda.

— Jestem tak bardzo z Południa, że mam kuzynkę, którą nazywam Cioteczką Siostrą — zażartował, ale nikt poza Cam się nie zaśmiał, więc mówił dalej: — Żeby zrobić Hoppin'Johna, bierzesz pół litra fasolnika...

— Czego? — przerwała ruda. Spojrzał na Cam.

— Suszonej miejscowej fasoli, może być czarne oczko — odparł, a ona skinęła głową.

Następne, co pamiętała, to jak stała obok niego przed mieszkaniem gospodarzy, podczas gdy goście zabierali swoje płaszcze z wieszaka, który Betsy postawiła w korytarzu. Wyciągnął ręce, by jej pomóc, ale ona, z przyzwyczajenia, już sama wkładała swoje okrycie. Wówczas, gestem tak poufałym, że poczuła się, jakby ją rozbierał, sięgnął i zapiął górny guzikowej płaszcza. Znaleźli się w zatłoczonej windzie z innymi gośćmi, a gdy dotarli do westybulu, ta ruda, której wyraźnie wpadł w oko, chwyciła go pod ramię i pociągnęła. „Nawet nie znasz jego imienia”, napomniała się Cam, czując absurdalne ukłucie zazdrości, ale zwlekała z odejściem, prosząc portiera o sprowadzenie taksówki, chociaż bez problemu mogła to zrobić sama, i zazwyczaj tak robiła. Na ulicy goście kręcili się bezładnie, ustalając, czy jadać razem i kto pierwszy wysiada, a gdy już miała wejść do auta z ludźmi jadącymi na West Side, stanął za nią i powiedział, że ma samochód i z przyjemnością ją odwiezie.

— Tak? — spytała z niedowierzaniem. — Albo jesteś bogaty, albo mieszkasz tu od niedawna.

— Przykro mi, to drugie — rozejrzał się. — Powiedz, proszę, którądy do Lexington Avenue? Tam właśnie zaparkowałem.

Kiedy szli do samochodu, a on trzymał ją za łokieć, żeby nie pośliznęła się w śniegu, opowiedział, że został niedawno przeniesiony z Atlanty, żeby kierować laboratorium badawczym w New Jersey. Poznał Josha, który robił film o jego firmie, a ten był tak miły, że zaprosił go na przyjęcie.

— Przyjąłem zaproszenie — tłumaczył — ponieważ jestem tu od dwóch miesięcy i nie znam absolutnie nikogo spoza pracy. Nie wiedziałem tylko, czym jest „przyjęcie z okazji punkcji owodni”.

— Dla mnie to też była nowość.

— Nie całkiem zrozumiałem tę przemowę Josha, o tym jak to ludzie zachodzą w ciążę. Nawet w Nowym Jorku chyba nadal tylko kobiety to potrafią, prawda, panno...

— Tatternall. Cam, od Camilli, Tatternall. I wolę pani.

— Dlaczego?

— Ponieważ gdy mężczyźni mówią „pan”, nie wiadomo, czy są żonaci, a „pani” daje kobietom taką samą korzyść. — Jak tylko to powiedziała, zdała sobie sprawę, że wyszło to, jakby chciała go pociągnąć za język i dowiedzieć się, czy on ma żonę. Oczywiście chciała się dowiedzieć.

— Jak sobie życzysz.

— A jak mówić do ciebie?

— Doktor Samuel Magruder. Nie taki prawdziwy doktor, jak powiedziałaaby moja mama. Doktorat z chemii. Wystarczy Sam. — Zatrzymali się pod latarnią. Padał śnieg tak sypki, że przypominał cukier puder. — Sam i Cam — powiedział. — Rymuje się, ale czy da się do tego zatańczyć? A kiedy pani przyjechała do Wielkiego Złego Miasta, pani Cam?

— Ach, jeszcze wtedy, kiedy sądziłam, że Utopia to rzeczywiste miejsce.

— A skąd?

_Trudno powiedzieć. Urodziłam się w Quantico w Wirginii, kiedy mój tata tam stacjonował. Pochodził z Luizjany. Rodzina mojej matki jest z Beaufort w Karolinie Południowej. Poznali się, gdy był na szkoleniu w bazie na wyspie Parris. Zawsze tam wracaliśmy, kiedy z nim nie podróżowaliśmy, więc pewnie to mój dom rodzinny. Moja mama bardzo potrzebuje swojego miejsca na ziemi. Zapuściła tam korzenie głębiej niż zimozielone dęby, ale ja... Mieszkałam w bazach całego świata. Jestem po prostu dzieciakiem wojskowego.

_Wiedziałem, że jest w tobie coś takiego. Ja też jestem dzieciakiem wojskowego. — Och, ten uśmiech miał moc setek megawatów. — Moja mama pochodzi z Brunszwiku w Georgii — tam się urodziłem — a tatko był z Waxahachie w Teksasie. Ale zanim poszedłem do college'u, chodziłem do dwunastu różnych szkół i mieszkałem w jakichś osiemnastu różnych miejscach.

_Dobrze wiem, co masz na myśli. Przyzwyczaisz się do jednego miejsca i nagle — trach, znowu przenosiny — trafiasz gdzie indziej. Szybko zaczynasz wyczuwać nowe miejsca. Ale zawsze wiesz, że nawet jak znajdziesz sobie fajną paczkę, ta znajomość długo nie przetrwa.

— Ale fantastycznie było tak podróżować — powiedział. — Szczególnie jeśli było się dzieciakiem i nie musiało zajmować się pakowaniem. Mój dziadzio nigdy nie ruszył się na więcej niż pięćdziesiąt kilometrów od farmy, na której się urodził, i zawsze nam powtarzał, że tylko

bogacze jeżdżą po całym świecie tak jak my. Więc co złego jest w byciu żółwiem i noszeniu domu na plecach? Dom jest tam, gdzie serce. Dom jest tam, gdzie sobie go stworzysz. Cała ta gadanina o traumie człowieka pozbawionego korzeni brzmi jak wypowiedź bohaterów w filmach Woody'ego Allena. No ale też, muszę przyznać, nie jestem szczególnie introspekcyjnym typem.

— Nie zostaliśmy nauczeni wglądu w siebie. Przyuczono nas do słuchania rozkazów.

— W dyscyplinie nie ma nic złego. Wiele dzieciaków wojskowych miało najlepsze oceny w klasie.

— Albo było kompletnymi świrami.

— Założę się, że ty byłaś prymuską.

— Właściwie to jednym i drugim. Czasami myślę, że nadal jestem. No dobra, Sam, co ci pierwsze przychodzi na myśl, kiedy słyszysz słowo zabezpieczyć.

— „Zabezpieczyć klapy luków”. Zaśmiała się.

— Widzisz, o co mi chodzi? Również się roześmiał.

— Jasne, rozumiem. Jeśli wierzyć mojej mamie, moje pierwsze słowa to „lewa-lewa”, bo mieszkaliśmy blisko placu apelowego. Nie miałem problemu z przenosinami tutaj, ale moja żona nie mogła znieść myśli o opuszczeniu naszego domu w Atlancie. Pomyślałem sobie, że to jest budynek, tylko budynek. Oczywiście od dawna zdaję sobie sprawę, że łączy nas tylko ten dom. No i dzieci. Ale one są już prawie dorosłe. I prawdę mówiąc, nigdy nie zależało mi na majątku, rzeczach czy pieniądzech.

- Mnie też nie — powiedziała filuternie. — Co może tłumaczyć, dlaczego pracuję dla organizacji nie nastawionej na zysk i niewiele zarabiam.

— Ja zarabiam więcej, niż kiedykolwiek sądziłem. Pieniądze nie są dla mnie problemem. — Zatrzymał się nagle, kiedy doszli do rogu i zmieniły się światła. Popatrzył na tabliczki z nazwami ulic i wymamrotał jakby potrzeba ustalenia położenia była najważniejsza: — To jest Lexington i Osiemdziesiąta Trzecia, czyli jeszcze przecznica do samochodu.

Chciała wiedzieć więcej o jego małżeństwie, ale zdawała sobie sprawę, że nie powinna pytać. Nie wyglądał na człowieka, który mówi o swoich związkach czy uczuciach. W zasadzie w ogóle była zdziwiona, że powiedział nawet tyle. Z takim mężczyzną — „z mężczyzną jak Niedźwiedź” przemknęło jej przez głowę — presją nic się nie osiągnie. Tego właśnie nigdy nie rozumiała jej matka. Po prostu nie rozumiała mężczyzn, podczas gdy ona... Czy niezliczone romanse i brak prawdziwego partnera świadczą o tym? Będzie musiała się nad tym jutro zastanowić. Spojrzała w obie strony, zeszła z chodnika i ruszyła przez ulicę mimo czerwonego światła, mówiąc:

— Chodź, to jest Nowy Jork. Piesi mają tu jeszcze jakieś prawa. — Ale on czekał, aż sygnalizacja się zmieni, zanim ją dogonił.

— Taa, to jest Nowy Jork. Dlatego kilka godzin parkowania kosztuje mnie piętnaście dolarów.

Pojechali w górę Roosevelt Avenue, a on podkreślił mocno ogrzewanie w volvo, ale lekko uchylając okna, tak że w stopy było jej ciepło, a w twarz szczypało zimno.

Powiedziała, że fajnie jest jechać samochodem zamiast taksówką, a kiedy zbliżali się do Triborough Bridge poprosiła, żeby dalej jechał na północ. Spytał, czy może włączyć odtwarzacz. — Jasne — odpowiedziała, modląc się, żeby to nie było jakieś country. Ku jej zdziwieniu z głośników rozległo się energiczne i erotyczne argentyńskie tango i oboje zamilkli, myśląc jedno o drugim.

Znaleźli rozsypującą się restauracyjkę, która oświetleniem przypominała obraz Edwarda Hoppera *Nonie jastrzębie*. Obsługiwała w niej kelnerka o ostrych rysach, jakby specjalnie dostosowana do wyglądu miejsca. Cam zamówiła kawę, a on stwierdził, że wcale nie najadł się makro-biotycznym jedzeniem u Betsy i Josha i poprosił o smażone ziemniaki, jajka sadzone, kielbaskę i grzanekę z białego pieczywa. Przeszli przez rutynowe pytania: „Gdzie byłeś, kiedy zastrzelono Kennedy'ego?” i „Co robiłeś podczas Wietnamu?”, które nadal wydawały się ważne dla ich pokolenia.

— Wiesz, gdybyśmy się poznali, mając po dwadzieścia parę lat, pewnie byśmy tak nie rozmawiali — zauważył. — Uznałabyś mnie za zabójcę dzieci, a ja bym wziął cię za wariatkę, która działa na szkodę kraju.

— Ale to ja miałam rację. Co do Wietnamu.

— Wiem. Wiedziałem to, zanim tam pojechałem.

— To dlaczego... — ale już znała odpowiedź. Chłopcy z Południa, którzy mieli ojców w wojsku, nie wymigiwali się od obowiązku.

Przekonana, że wygląda niezdrowo blado, przeprosiła i wyszła do damskiej toalety, gdzie ulżyła swojemu pęcherzowi. Poprawiła róż, posmarowała usta wazeliną i pomyś-

łała, że wygląda całkiem nieźle. Uśmiech, którym powitał ją po powrocie do stolika, utwierdził ją w tym przekonaniu. Ponieważ wspomniała, że nie ma własnego samochodu, spytał, czy nie chciałaby usiąść za kierownicą. Odpowiedziała twierdząco, więc wręczył jej kluczyki, odsunął siedzenie pasażera, żeby mieć miejsce na nogi i wyciągnął się, przymykając oczy.

— Widzi mi się, że z panienki szybka kobieta. Proszę nie zarobić mandatu, panienko Camillo.

- Racja - przyznała. — Nie będę ukrywać, że mam ciężką stopę. Uwielbiam szybką jazdę. — Przemierzanie niemal pustej drogi o drugiej nad ranem sprawiło, że poczuła się podekscytowana, zadowolona i młoda.

- Wybierasz się do domu na święta? — spytał.

- Nie. Nie byłam tam od śmierci taty.

Czekał, aż powie coś więcej, a gdy milczała, wyznał: — Te święta będą dla mnie dziwne. Lecę spotkać się z dziećmi, ale ponieważ jestem z żoną w separacji, pewnie zatrzymam się w hotelu, więc me zostanę tam długo. No i jeszcze sylwester. Bez względu na to, ile masz lat, nadal czujesz się jak dzieciak, z którego wyśmiewa się cała klasa, kiedy nie masz planów na sylwestra.

— Lata temu zorientowałam się, że nikt nie ma planów na sylwestra — powiedziała nonszalancko — ale każdy uważa, że inni je mają, więc wstydzi się do tego przyznać. Potem, koło dwudziestego dziewiątego grudnia ludzie zaczynają do siebie dzwonić. Z początku rozmowa dotyczy zwyczajnych spraw, ale w końcu ktoś się przełamuje i wyznaje, że chyba sam spędzi sylwestra. Ludzie zawsze coś wymyślają, ale zwykle na ostatnią chwilę.

Spojrzał na nią.

— Ty pewnie masz już plany. Bo jeżeli nie — dodał szybko — to co powiesz na to, żebyśmy się spotkali i przygotowali trochę Hoppin' Johna?

— Czemu nie. Zamierzałam zaprosić kilkoro znajomych — powiedziała, choć była to tylko ewentualność, ostatnia deska ratunku na wypadek, gdyby nie trafiła na nic lepszego. — Przyjdź, z kim chcesz, zjaw się wcześniej i pomóż mi gotować.

— Nikt nie przychodzi mi do głowy i nie umiem gotować, ale z przyjemnością kupię alkohol, przyjdę wcześniej i będę mieszał łyżką w garnku we wskazanym kierunku.

— No to ustalone.

— Jesteśmy umówieni. — Wyciągnął przed siebie nogi i lekko dotknął jej dłoni. — No cóż, życie jest pełne niespodzianek, a ten dzień był ich pełen. Mogę znowu włączyć to tango?

Słuchając muzyki, mówili coraz mniej, aż w końcu zamilkli, tak jak to robią kochankowie tuż przed snem. Nie poczuła się ignorowana ani odrzucona. Zwolniła nieco, odkręciła okno i była zaskoczona tym, jak dobrze się czuje, gdy zorientowała się, że on pochrapuje. Gdy znaleźli się w jej dzielnicy, okrążyła swój budynek, szukając miejsca do zaparkowania. Na szczęście nie ma żadnych, powiedziała do siebie, zatrzymując się na drugiego, ponieważ on wygląda tak cholernie cudownie — wyciągnięty obok niej, z tą mocną linią szyi i szczęki zarysowaną w świetle księżyca, z wielkimi dłońmi zwiniętymi na udach — że wbrew rozsądkowi chciała go zaprosić na górę.

Potrząsnęła nim delikatnie. Upierał się, że ją odprowadzi do drzwi, ale pojawiła się za nimi furgonetka.

— Miasto nigdy nie śpi — powiedziała, przekręcając klucz w stacyjce.

— Zadzwoń rano.

— Przecież nie masz mojego numeru.

— Jasne, że mam. Wziąłem od Betsy, jak tylko zobaczyłem cię na przyjęciu. — Zasalutował, mrugnął do niej i skreślił. — Chłopcy ze wsi są kuci na cztery nogi.

Dzwonili do siebie kilka razy w ciągu następnych dziesięciu dni, pozornie, żeby dograć szczegóły przyjęcia, ale długo po ich omówieniu zawsze jeszcze gawędzili i żartowali.

W sylwestra, wahając się pomiędzy erotycznym wyczekiwaniem a jego wyparciem, wykąpała się, ogoliła nogi, umyła włosy i wysuszyła je, spryskując obficie sprayem powiększającym objętość. Włożyła śnieżnobiałe spodnie i satynową bluzkę. Odwróciła się i obejrzała w wysokim lustrze — zobaczyła wielki tyłek w bieli i uznała, że nie powinna nikogo oślepić, więc przekopała szafę w poszukiwaniu czegoś, co będzie wystarczająco odświeżające i jednocześnie luźne, żeby zakryć jej wałeczki. W ciemnozielonych spodniach i dopasowanym swetrze — w końcu będzie gotować, a nie występować w klubie nocnym — wróciła do łazienki.

Nakładając makijaż, zastanawiała się, czy nie okazuje seksistowskiej niezdolności do zaakceptowania siebie taką, jaka jest. Ale przecież F. Scott Fitzgerald powiedział, że miarą inteligencji najwyższej klasy jest zdolność do uznawania dwóch przeciwstawnych idei jednocześnie.

— Cholernie oczywiste — powiedziała do lustra. — Akceptują siebie taką, jaką jestem, a jednocześnie akceptuję fakt, że Estee Lauder może mi trochę pomóc.

Wracając do kuchni, dostrzegła chaos — garnki, formy do pieczenia, pasty do polerowania srebrnych sztucców, nie wyjęte z folii kwiaty. Dlaczego zawsze zostawia wszystko na ostatnią chwilę? Umyła i pokroiła zieleninę, wygrzebała z głębi lodówki golonki, wrzuciła je do garnka, znalazła serwetki na dnie bieliźniarki — lniane, ponieważ zgadzała się ze swoją matką, że dama zawsze ma serwetki z materiału — przygotowała srebra stołowe, zapaliła świece, ułożyła kwiaty i naprędce zrobiła bułeczki kukurydziane. Gdy wyglądało na to, że chaos został opanowany, poszła na łazienki.

Po szmince na ustach ani śladu, sweter zachlapany olejem, a włosy zmierzwione niczym u lwa z czołówki MGM. Dlaczego była taka głupia, żeby ubrać się przed skończeniem gotowania? Prawdopodobnie to przyjęcie okaże się katastrofą. Zupełnie jak jej szóste urodziny, tuż po tym, jak przeprowadzili się na Okinawę. Nie byli tam na tyle długo, żeby zdążyła bliżej poznać inne dzieci, więc Josie zaprosiła całą pierwszą klasę i zrobiła tort w kształcie karuzeli z małutkimi plastikowymi końmi na obrzeżach, których wstążki zbiegały się do stojącego na środku masztu z chorągiewką z napisem CAMILLA. Och, ileż pracy jej matka musiała włożyć w to głupie ciasto! A przyszła tylko połowa zaproszonych gości. Pewnie tak samo będzie dziś. Może nawet Sam się nie pojawi.

Kiedy o dziesiątej rozległ się dzwonek domofonu, była już po dwóch drinkach, miała włosy podpięte plastikowymi klamrami i siedziała w futrzanych kapciach i T-shircie z napisem WÓDKA SZKODZI PRACY, który dostała od Reby razem z butelką Stolicznej na ostatnie urodziny. Wpuściła Sama do budynku, otworzyła drzwi i patrzyła jak wchodzi po schodach. Był bez czapki i płaszcza, miał na sobie zimowy garnitur i sweter. Nie powiedziała „Witaj” ani „Szczęśliwego Nowego Roku”, ani niczego takiego, czego można się spodziewać, tylko:

— Hej, potrzebujesz płaszcza.

— No, tak — odpowiedział, kiedy znalazł się na podeście.
— Zwykle nie potrzebuję zimowych ubrań i muszę się przyznać, że nienawidzę chodzić na zakupy. Nigdy nie nauczyłem się ich robić. Nie mówiłem ci, że moja mama zmarła, kiedy miałem dziesięć lat i tatko zamawiał wszystko z katalogów? Nie mam żadnych szans na rozkładówkę w „GQ”.

Niósł torby z zakupami i nietypowo dużą książkę pod pachą.

— Skoro jesteś redaktorką, uznałem, że książek ci nie brakuje — powiedział, wchodząc za nią do mieszkania — ale pomyślałem, że ta może ci się spodobać.

Było to *Jericho: Widoki Południa*, album z akwarelami Huberta Shuptrine'a i tekstem Jamesa Dickeya, trudna do zdobycia książka, wydana w latach siedemdziesiątych, którą widziała raz i o której marzyła.

Nie pamiętała już, kiedy prezent sprawił jej tak ogromną radość.

— Och, ty czytasz w myślach. — Była zakłopotana tym, że nie pomyślała o kupnie jakiegoś drobiazgu dla

niego. — Zawsze chciałam ją mieć. Musiałeś się sporo natrudzić, żeby ją zdobyć.

— Nowy Jork ma dwa plusy: księgarnię Strand i... — uśmiechnął się do niej i odetchnął głęboko. — Ładnie pachnie. Bułeczki kukurydziane już gotowe?

— Aha. Moim zdaniem ten piekarnik jest starszy niż Abraham Lincoln, więc rzadko coś piekę, ale bułeczek kukurydzianych chyba nie da się zepsuć. Czego się napijesz?

Podniósł pokrywkę garnka z warzywami, powąchał i gestem poprosił o łyżkę.

— Najpierw coś bezalkoholowego, potem procenty, jeśli nie masz nic przeciwko temu. — Podała mu łyżkę i patrzyła, jak zaczerpnął trochę wywaru, podmuchał i spróbował. — Doskonale — oznajmił.

Miała ochotę odpowiedzieć: Zupełnie jak kształt twoich ust, ale się pohamowała.

— Moja matka nauczyła mnie i moje siostry gotować, szyc, szydełkować — wszystkich tych domowych pierdoł. Unikałam ich jak ognia.

— Ale nadal gotujesz?

— Rzadko. I tylko dlatego, że kilka lat temu przekonałam się, że nawet to lubię.

— Może powinniśmy czekać do pewnego wieku, kiedy mamy już dość rozumu, żeby wiedzieć, co naprawdę sprawia nam przyjemność, zamiast się dostosowywać, co było moim problemem, albo buntować, co bardziej pasuje do ciebie.

— Aha. Dowiedz się, co naprawdę lubisz. To się chyba nazywa kryzys wieku średniego. Chcesz się w końcu czegoś napić?

— Jasne, poproszę burbona z wodą. Mogę się jakoś przydać?

— Kuchnia, jeśli można ją tak nazwać, jest za mała dla dwóch osób. Po prostu się rozgość. — Zrobiła mu drinka i wskazała ruchem głowy salon. — Przejrzyj płyty i wybierz coś.

Przeszedł za bar i popatrzył na regały, kiwając z aprobatą głową, zdejmując marynarkę i przykucając zgrabnie, żeby przejrzeć płyty i kasety. Wybrał wczesne nagrania Preservation Hall Jazz Band i wyciągnął się na kanapie. Zamieszała w garnkach, wyjęła masło oraz ostry sos i rozłożyła serwetki.

Tuż przed jedenastą włączył telewizor, żeby obejrzyć radosny zamęt na Times Square.

— Jak dobrze, że nas tam nie ma — powiedział i poklepał miejsce obok siebie. Usiadła. Uśmiechnął się: — Dziękuję za zaproszenie. — Odgarnął jej włosy z czoła.

Jej głos nagle stał się chrapliwy.

— Większość moich znajomych powiedziała, że wpadną w drodze do domu z innych imprez. Zaczynam się zastanawiać, co zrobimy z tym całym jedzeniem, jeśli nikt nie przyjdzie.

— Ależ przyjdą. Wszyscy przyjdą. A kiedy się pojawią, będziemy żałowali, że przyszli. — I wtedy ją pocałował.

* * *

— No więc, Cam — głos Betsy przywołał ją do teraźniejszości — prawdziwy powód, dla którego dzwonię — och, nie za bardzo wiem, jak to powiedzieć, więc chyba po prostu powiem wprost: Josh i ja zastanawialiśmy się, dlaczego

nie zostaliśmy zaproszeni na coroczne Cam & Sam Party z udziałem Hoppin' Johna. Coś się stało? Czy jesteście zbyt zajęci, żeby w tym roku robić sylwestra? Sądziliśmy... Terrence! Cholera, znowu wlaźł do kominka. Zadzwoń, jak będziesz mogła, dobrze? I wesołych świąt! — Automatyczna sekretarka piknęła i przewinęła taśmę do przodu.

Cam oparła się na sofie. Płakała bezgłośnie. Łzy ciekły jej po policzkach. Nie ma to jak przypomnienie minionych chwil szczęścia w samym środku rozpacz. Co ona ma teraz zrobić? Kiedy telefon zadzwonił, nie poruszyła się, dopóki nie włączyła się sekretarka i nie usłyszała:

— Cam, tu mama. Jeśli tam jesteś, to proszę, odbierz.

Lila zerwała się, wyęzając słuch, przekonana, że słyszała dźwięk, na który czekała. Ale nie. To nie był samochód wjeżdżający na podjazd. Tylko silny wiatr miotał drzewami tak, że ich gałęzie ocierały się o dom.

Opadła na wielkie łoże, ze złączonymi stopami i dłońmi skrzyżowanymi na piersiach. Orrie, który zawsze spał, jakby został ogłuszony, leżał obok w podobnej pozycji, na tyle blisko, że mogłaby go dotknąć, gdyby wyciągnęła rękę na całą długość. Jesteśmy nieruchomi niczym kamienie, pomyślała, a ta myśl przywołała wspomnienie, równie widmowe co gra cieni na suficie, dwóch naturalnej wielkości posągów — rycerza i jego damy, leżących obok siebie. Gdzie ona je widziała? W jakim kraju? Na jakiej wycieczce? Nowy Jork? Tak, tam. To średniowieczne muzeum, które Cam jej poleciła — The Cloisters. Ona i Orrie pojechali tam wkrótce po ślubie. On, wbrew sobie, dowcipkując o zardzewiałej zbroi i pasach cnoty. Poza. posągami, zdobiącymi pokrywy jednakowych kamiennych trumien, w małym, ciemnym pomieszczeniu z dwoma równoległymi oknami z witrażami nie znajdowało się nic więcej. Orrie powiedział, że musieli być parą ważniaków swego czasu, a kiedy odszedł, ociągała się z wyjściem, dotykając kamiennego policzka damy i zastanawiając się, czy ona i rycerz się kochali, ile mieli dzieci, kto z nich zmarł

pierwszy i czy w trumnach znajdowały się ich szczątki. Widziała ich całkiem wyraźnie, jak leżą wyprostowani ze złączonymi stopami i dłońmi skrzyżowanymi na piersiach, w bardzo podobnej pozie, jaką przybrali z Orrie teraz. Ta wizja tak przestraszyła ją, że zaparło jej dech i poczuła paraliżujący lęk.

Chciała obudzić Orriego. Wyjaśniłaby, że przyśnił się jej jakiś koszmar, którego nie pamięta, w przeciwnym razie pomyślałaby, że zwariowała. Ale budzenie go nie byłoby w porządku. Był taki zmęczony, kiedy kładli się spać. Poza tym już jest dobrze. Przekręciła się w stronę nocnego stolika, żeby spojrzeć na podświetlaną tarczkę cyfrowego zegarka. Dziesięć po jedenastej. Nie ma sensu nasłuchiwać, czy ich syn wraca. Ricky, który przyjechał z Clemson na święta, miał mieć szlaban, ponieważ przekroczył limit na swojej karcie kredytowej, ale Orrie ustąpił (jak zwykle), argumentując, że uniemożliwienie mu spotkania się z przyjaciółmi byłoby podłością z ich strony. Kazała Ricky'emu wrócić o jedenastej, lecz Orrie przesunął godzinę powrotu na północ, co oznacza, że syn jeszcze to przeciągnie... Czekanie na niego jest głupotą. Nie czeka się na osiemnastoletniego chłopaka, nawet jeśli w ciągu ostatnich dwóch lat rozbił dwa samochody. Z drugiej strony, jeśli jest się matką, to nie idzie się spać.

Jakby słyszała Josie: „Kiedy będziesz matką, zrozumiesz”. Josie mówiła tak o wielu rzeczach, ale Lila dobrze wiedziała, co znaczy czekanie na kogoś do późna, zanim sama została matką. Kiedy miała piersi nie większe niż kasztany i pryszcze czerwone niczym papryka, budziła się w nocy i jeszcze, zanim otworzyła oczy, żeby sprawdzić,

czy drugie łóżko jest puste, wiedziała, że Josie czeka, aż Cam wróci z jednej ze swoich randek. Gdy Niedźwiedź był w domu, Cam trzymała się wyznaczonej godziny powrotu, ale gdy wyjeżdżał... Lila wyczuwała, że Josie jest w kuchni, siedzi przy stole w niebieskim pluszowym szlafroku i przegląda czasopisma oraz książki kucharskie, ponieważ nie jest w stanie skupić się na niczym innym. Czasami Josie włączała podczas takiego czuwania radio albo testowała nowy przepis i to słodki zapach ciast lub ciasteczek sprowadzał Lilę na dół. Przekradała się koło pokoju Evie (nic poza alarmem pożarowym by jej nie obudziło) i szła do kuchni. Zazwyczaj Josie kazała jej wracać do łóżka, ale czasem pozwalała zostać. Przygotowywała dla nich obu kakao lub herbatę, a ciepło i światło kuchni oraz, miała taką nadzieję, jej obecność niemal równoważyły matczynej niepokój.

Kiedy Josie w końcu słyszała podjeżdżający samochód, gasiła światła i stawała przy frontowych drzwiach. Czasami pomiędzy wyłączeniem silnika a cichym szcękaniem otwieranego zamka upływało sporo czasu. Do tego momentu Lila była już w łóżku, ale widziała i słyszała to, co działo się na dole, jakby stała tuż przy drzwiach: Josie zaciskała poły szlafroka, wściekłym szeptem dopytując się, czy Cam zdaje sobie sprawę, która jest godzina, a Cam wymyślała jakieś szalone usprawiedliwienia, a czasem po prostu, mijając matkę, pyskowała, że skoro jest późno, to dlaczego Josie jeszcze nie śpi. Innym razem kończyło się prawdziwym zamieszaniem — Josie mówiła podniesionym głosem, Cam krzyczała, zapalały światła, tłukły garnkami — ale znacznie częściej była to rytualna konfrontacja szeptanych

pretensji i wysyczanych zaprzeczeń, po których następowała cisza, ciche kroki na schodach, zgaszenie światła na korytarzu, a potem Cam wchodziła do ich sypialni i zamykała drzwi.

Wydawało się, że siostra niemal świeci w ciemności. Rozbierała się na ogół szybko i wskakiwała do łóżka bez słowa, ale czasem pytała: „Nie śpisz?“, i przychodziła do Lili do łóżka, z rozpaloną twarzą i ciałem, ale pachnąc tak, jakby dopiero co wyszła z oceanu. Przytulała siostrę i szeptała jej o tańcach, przyjęciu, chłopcu, z którym się umówiła. Lila była podekscytowana uwagą starszej siostry, ale też zdezorientowana. Było jej przykro, gdy dziewczęta w szkole mówiły, że Cam „cieszy się reputacją“. Może i Cam szalała na punkcie chłopców, ale oni też szaleli na jej punkcie. Lila zastanawiała się, kiedy (jeśli w ogóle) na nią chłopcy zaczną tak patrzeć, i jak to będzie, kiedy już podrośnie. Ale nawet wtedy wiedziała, że nigdy nie zachowa się jak Cam, ponieważ nie byłaby w stanie patrzeć na twarz matki wykrzywioną gniewem i zmartwieniem. Nie byłoby w porządku przysparzać jej cierpienia, zbyt wiele problemów stwarzał ojciec. Nawet wtedy Lila wiedziała, że zawsze będzie grzeczną dziewczyną.

Zerknęła na Orriego i wstała. Może ulgę jej przyniesie kubek herbaty rumiankowej. Szczególnie jeśli popije nim Halcion*. Zwiesiła nogi i przesuwiała stopami po gęstym dywanie, szukając kapci. W domu utrzymywano przez cały rok jednakową temperaturę dwudziestu dwóch

* Halcion — nazwa handlowa triazolanu; lek psychotropowy o działaniu nasennym i uspokajającym.

stopni, ale z niezrozumiałego powodu miała zimne kończyny. Wymacała palcami jedwabne pantofle, które Orrie przywiózł jej z zeszłorocznego wyjazdu do Japonii. Były trochę za małe i duży palec już przedziurawił smoka wyhaftowanego na lewym z nich. Może to był największy, jaki robili w Japonii. A może on nie pamiętał jej numeru. Czy w ogóle znał jej rozmiar? Żeby wyprzeć z umysłu wizje rozbitej przedniej szyby i ratowników medycznych biegających w oślepiającym blasku reflektorów wywróconego samochodu Ricky'ego, powtórzyła sobie w myślach rozmiary ubrań i butów Orriego, potem Ricky'ego i na koniec Susan.

Zamknęła za sobą drzwi sypialni i przez chwilę stała w korytarzu. Jego długość i umieszczone w niszach kinkiety sprawiły, że poczuła się, jakby była w hotelu. Wrażenie nie minęło, gdy w końcu dotarła do salonu. Była to ogromna przestrzeń zaprojektowana do podejmowania gości, z dużym, wolno stojącym kominkiem, barem i kanapami rozstawionymi wokół niskich marmurowych stolików. Nie musiała zapalać świateł, ponieważ po obu stronach salonu zamiast ścian były szklane panele, na tyle wysokie, że po ich wewnętrznej stronie mogły rosnąć drzewa. Lampy umieszczone w krzewach od frontu domu oraz blask basenu z tyłu nadawały wszystkiemu srebrną poświatę. Nawet sztuczny śnieg na choince mierzącej ponad trzy i pół metra wyglądał na prawdziwy.

Idąc do północnego skrzydła domu, zobaczyła żółty napis WSTĘP WZBRONIONY. TAK, TOBIE! na drzwiach pokoju Ricky'ego. Lata temu, kiedy go zawiesił, uznała, że to słodkie. Teraz napis uderzył ją jako kolejne przypo-

mnienie zatrważającej niedojrzałości syna. Wiedziała, że go nie ma w środku, ale tak czy inaczej otworzyła drzwi, przeszła do jego łazienki i zapaliła światło. Po nieskazitelnym porządku salonu to był wstrząs: na blacie przy umywalce leżały w nieładzie szampon, żel do włosów, suszarka, woda po goleniu, woda kolońska, nie zakrecona tubka pasty do zębów, stos drobniaków, zmięty rachunek, płyty. Istna graciarnia. Papier toaletowy dotykał wykładziny usłanej ubraniami, mokrymi ręcznikami, sztangami, rakieta tenisową i czasopismami. Robił tu większy bałagan niż w pokoju dziecinnym, kiedy miał dwa latka. Dobry Boże, pomyślała, gdyby tylko mama to zobaczyła. Jak to możliwe, że ona, która starała się wpoić swoim dzieciom takie same zasady, jakie przekazała jej Josie, poniosła tak dotkliwą porażkę? Wiedziała, że nie ma sensu dyskutować o tym z Rickym. Kiedy o tym któregoś dnia wspomniała, odpowiedział, z tą swoją brutalnie znudzoną miną, na którą wpływ mieli jego znajomi obojga płci: „Jeśli po sobie posprzątam, pokojówka nie będzie miała nic do roboty, co nic?”. Bardziej od jego niechlujstwa i niegrzeczności martwiło ją to, że nazwał „pokojówką” Sarę, która od sześciu lat była u nich gospodynią.

Odwracając się, stanęła na jakimś piśmie, spojrzała w dół i zobaczyła nagą modelkę w pozie, która kojarzyła się jej tylko z gabinetem ginekologicznym. Powiedziała Ricky'emu, a raczej poprosiła Orriego, żeby zwrócił uwagę synowi, że nie życzy sobie „Hustlera” w domu, ale jeśli znowu poruszy ten temat, będzie musiała przyznać, że myszkowała w jego pokoju. Zgasła światło i wyszła na korytarz.

Drzwi do pokoju Susan były lekko uchylone, więc delikatnie pchnęła. Córka, w bokserkach i T-shircie, spała skulona z kolanami prawie przy klatce piersiowej, rękoma obejmując poduszkę. Włosy miała ciasno ściągnięte w koński ogon. Lila miała ochotę usiąść przy mej i uwolnić te cudowne włosy — już nic tak złote jak w dzieciństwie, ale dzięki słońcu i chlorowanej wodzie nadal blond — bała się jednak, że ją obudzi. Susan jest w porządku, powiedziała sobie. To dobre dziecko. Nie muszę się o nią martwić. W wieku piętnastu lat nadal była bardziej zainteresowana nauką niż chłopcami, ale przede wszystkim zajmował ją sport. Odziedziczyła po Omem zarówno urodę, jak i jego koordynację ruchową i z małej chłopczycy wyrosła na zaciekle ambitną lekkoatletkę. Choć miała bardziej stanowcze niż pogodne usposobienie (od dziecka dostawała napadów złości, gdy nie wygrywała), nic było z nią żadnych poważnych problemów. Oczywiście była zbyt chuda, miała obsesję na punkcie diety i narzekała na artykuły spożywcze kupowane przez Lilę lub Sarę, ważyła się co rano, a potem odmierzała porcje jedzenia, ale to me było niczym niezwykłym. Wszystkie matki mówią, że ich córki mają obsesję na punkcie diety, ale matki też się nią przejmują. Sama zamawiała sałatki, choć miała ochotę na ziemniaki, grała w golfa, choć nie sprawiał jej przyjemności, chodziła na zajęcia aerobiku, choć wolałaby poczytać.

Przymknęła drzwi i ruszyła dalej. Mijając mniejszy pokój gościnny, w którym pakowała i przechowywała prezenty świąteczne, zajrzała do środka, podniosła z fotela papier, nożyczki i taśmę i usiadła. Światło z korytarza lśniło na stercie prezentów, istnym rogu obfitości upominków

zawiniętych w złoty papier i przewiązanych biało-złotymi wstążkami z dołączonymi małymi welinowymi bilecikami, na których sama złotym atramentem wykaligrafowała „Najserdeczniejsze życzenia od Orriego i Liii Gadsdenów”. Ten widok sprawił, że poczuła się bezpiecznie. Nie przeszkadzało jej, że ludzie mogą ją uznać za mięczaka; uwielbiała Boże Narodzenie, uwielbiała być hojną i pełną nadziei. Były tu prezenty dla wszystkich — przede wszystkim dla rodziny, ale też dla przyjaciół, Sary i współpracowników Orriego, ludzi pracujących przy jego kampanii, dla kobiet z Komitetu Sztuki i Kultury, ogrodnika, czyściciela basenu, dla trenerów tenisa i pływania Susan. Miała nawet stos prezentów odpowiednich dla każdego — papeterie, słoiczki dżemów, zestawy importowanych herbat i mydeł — na wypadek gdyby potrzebowała dodatkowego podarunku, lecz większość wybrała z rozwagą i, jak uważała, wyczuciem dla osoby umieszczonej na liście. Miesiącami szukała szlafroka dla Josie, co sprawiłoby, że wyrzuci to stare zielone satynowe paskudztwo, które wyglądało jak kostium ze sztuki Tennessee Williamsa, i w końcu znalazła szyty ręcznie, kaszmirowy, w szkocką kratę z klanu Stuartów, choć w cenie nie było nic szkockiego.

Jedyną osobą, dla której nie potrafiła wymyślić niczego odpowiedniego, była Cam. Wiedziała, że to dlatego, że tak naprawdę nie chce jej niczego dać. Josie zawsze mówiła: „dla Cam trudno jest coś kupić”, ale zdaniem Liii należałoby to zmienić na: „Cam jest po prostu trudna”. Słyszała głos Cam — ten niski, seksowny (tak naprawdę zniszczony przez papierosy), lekko szydarczy, z typowym dla Południa przeciąganiem samogłosek, lekko przyprawionym

jankeską nosowością — wyrażający, że święta gównem ją obchodzą. Dlaczego miałyby kupować prezent dla kogoś, kto nie jest wdzięczny, komu na tym nie zależy? Po ich ostatnim spotkaniu, tym fatalnym lunchu, Lila stwierdziła, nie po raz pierwszy, że jej też nie zależy, nie dba o to, czy kiedykolwiek jeszcze zobaczy się z siostrą.

Pamiętała, jak siedziały z matką w restauracji Peacock Alley w Waldorfie, czekając na Cam, która jak zwykle się spóźniała. Josie składała i rozkładała serwetkę, jakby chcąc wyprostować tę sytuację, którą tak boleśnie odczuła. Cam nie zaprosiła ich do siebie, mówiąc, że skoro mają bilety na popołudniowy seans, a ona musi wracać do pracy, będzie „znacznie wygodniej spotkać się w hotelu”. Pamiętała, jak Cam przemaszerowała przez hol, mierząc wzrokiem turystów i zagranicznych biznesmenów oraz łabędzie wyrzeźbione z lodu na bufecie, jakby to budziło jej odrazę, cała w czerni, w butach na wysokich obcasach, z dużą, stylizowaną na ludową chustą w barwny deseń, udrapowaną na ramionach i w rosyjskiej kozackiej czapce.

Ucałowała Lilę w policzek, przytuliła Josie i usiadła, ledwie widocznym gestem przywołując kelnera, który pojawił się natychmiast, choć wcześniej starannie ignorował Lilę. Cam znowu się zmieniła: ostatnim razem, kiedy się spotkały, jakieś trzy lata wcześniej, jej lekko siwiejące włosy były krótko obcięte, nie miała makijażu, mówiła o zaletach „nagiej twarzy” i deklarowała, że nigdy nie ufarbuje włosów. Lila wyszła z tego spotkania, mając wrażenie, że jej twarz jest wytapetowana, a delikatnie rozjaśnione pasemka, które kosztowały sto pięćdziesiąt dolarów, nie wyglądają naturalnie. Teraz Cam miała włosy do ramion, odrobinę

bardziej kasztanowate niż jej naturalne, oczy podkreślone konturówką i tak jednolitą cerę, że musiał to być efekt dobrego podkładu. Lila poczuła się poniekąd zdradzona, ponieważ zmiana wyglądu Cam przypomniała jej o tych wszystkich sytuacjach z okresu dorastania, kiedy siostra przyjmowała jakiś styl lub ideę, upierała się i przekonywała Lile, niemal bez przerwy, żeby je przyjęła, a potem zmieniała zdanie. Gdy Cam miała dwanaście lat, powiedziała Liii, że Bóg („nie Bóg, o którym mówią nam w kościele, ale ten prawdziwy, tak blisko ciebie jakja teraz”) jest centrum wszechświata, ale jak tylko Lila zaczęła się naprawdę modlić, Cam się odmieniło i stwierdziła, że Bóg w ogóle nie istnieje. Cam oświadczyła, że nie należy jeść mięsa, ale kiedy Lila wyrzekła się hamburgerów, Cam stwierdziła, że wegetarianie to mięczaki. Można było tak wymieniać bez końca: integracja była jedyną możliwą przyszłością — integracja jest nic nie warta; kobiety i mężczyźni powinni być przyjaciółmi — kobiety są idiotkami, myśląc, że mogą się przyjaźnić z mężczyznami. Gdy Lila wypominała jej te zwroty, Cam mówiła, że głupia stałość jest typowa dla ciasnych umysłów. Oczywiście poczucie zdezorientowania i beznadziei nie było dla Liii niczym nowym. Znała je od czasu, kiedy miała nie więcej niż cztery latka, a sześciolatnia Cam wyłączyła nocną lampkę w kształcie kaczki Daisy, przy której Lila chciała zasnąć, i powiedziała: „Zapamiętaj to sobie, ja zawsze będę starszą siostrą”.

„A więc macie bilety na *Upiora w operze* — powiedziała Cam tamtego dnia w Waldorfie i Lila natychmiast zrozumiała, że ten musical nie jest modny. Potem Cam oznajmiła: — Cóż, nie jestem może Leoną Helmsley, ale

przynajmniej zarabiam na życie", a Lila poczuła się przegrana, jak zawsze, gdy w rubryce zawód pisała „gospodyni domowa”. A najgorsze było to, że nie potrafiła stwierdzić, czy faktycznie słyszy ironię w głosie Cam, czy też ją sobie dopowiada, lecz kiedy siostra wypila drugą Krwawą Mary, mówiła zupełnie jak Niedźwiedź, jednocześnie pełna uroku i tak apodyktyczna, że Lila przeprosiła i wyszła do toalety. Gdy wróciła do stolika, Cam już płaciła rachunek.

Josie nie mówiła wiele w drodze do teatru, ale potem, w taksówce, odezwała się płaczącym głosem:

„Chciałabym wiedzieć więcej, co się dzieje u Cam.

— Mamo — Lila nie próbowała ukryć zniecierpliwienia — nigdy tego nie wiedziałyśmy, i nigdy się nie dowiemy”.

Josie utkwiała wzrok za oknem, z miną tak zdezorientowaną jak u Mawmaw, i powiedziała, że krew to nie woda. Na pewno, pomyślała Lila, krew jest lepka, zostawia plamy i wywołuje lęk. Dokładnie takjak robiła i będzie robić Cam.

„Gdyby tylko Cam przyjechała do domu. Tak na trochę”, powiedziała matka, gdy taksówka podjechała do krawężnika.

Nadal najbardziej zależy ci na Cam, myślała Lila, gdy przechodziły przez hol, ciągle masz nadzieję, że będziesz mogła na nią liczyć, ale coś ci powiem — nie będziesz mogła na nią liczyć, tak samo jak na tatę nie mogłaś, tak samo jak na Evie nigdy nie będziesz mogła liczyć. To mnie złapiesz. W każdej rodzinie jest ktoś, kogo się łapie, zupełnie jak w berka. To na mnie możesz polegać, jeśli kogoś potrzebujesz.

Gorycz własnych myśli ją zadziwiła, ponieważ kochała matkę, czasami wręcz bardziej niż swojego męża czy dzie-

ci, ale dręczyło ją, jak w ogóle Josie może myśleć o powrocie Cam, nawet w odwiedzinach? Czy Cam nie sprawiała kłopotów za każdym razem, kiedy przyjeżdżała do domu? Podczas ich ślubu Josie uparła się, żeby to Cam była jej druzną, a Cam — czego nigdy jej nie wybaczy — spóźniła się na samolot, pojawiła się w ostatniej chwili, wyglądając jak wyciśnięta przez wyżymaczkę, odmówiła noszenia kokard we włosach jak pozostałe dziewczyny i założenia majtek wyszczuplających, więc nawet gdy Lila szła nawą, wiedziała, że ludzie nie patrzą na nią, tylko na kołyszający się bezczelny tyłek Cam. A na przyjęciu weselnym natknęła się na siostrę w objęciach ojca Orriego! I ta jej przemowa na pogrzebie Niedźwiedzia. Zachowała się jakjakaś porębana aktorka grająca w nadziei na Oscara. Potem, w domu, te jej oskarżenia... jakby Josie i reszta rodziny — Cam jak zawsze będąca wyjątkiem — zatręły Niedźwiedziowi życie i wpędziły go do grobu.

Liii zrobiło się niedobrze od tych wspomnień i nawet widok tych uroczych prezentów gwiazdkowych nie pomagał. Wstała, pozwalając, by papier, taśma i nożyczk spadły, i nie podnosząc ich z podłogi, wyszła.

W kuchni nastawiła czajnik, sięgnęła do półki z przyprawami po ceramiczny pojemniczek z napisem CHILI Z SANTA FE i wysypała jego zawartość na dłoń. Pastylki Halcionu były małe i gładkie, szarobiałe niczym wczesne poranne niebo; pigułki valium jeszcze mniejsze z malu-teńkim serduszkem po środku; percodanu* — bladożółte

* Valium — lek psychotropowy o działaniu uspokajającym i nasennym, natomiast percodan to opioidowy lek przeciwbólowy.

jak sukienka z jej pierwszego balu. Jedną czy dwie? Którą, które? W zasadzie wszystko jest w porządku, powiedziała sobie. Zegar na ścianie pokazywał 23.50. Nie ma powodu do paniki. Jeden Halcion wystarczy. Napije się herbaty i wróci do łóżka. Przełknęła pigułkę bez popijania, trochę dumna, jakby odrobiła pracę domową, zanim rodzice o to zapytali. Wpatrywała się w stojące nad zlewem kolorowe ceramiczne owoce i warzywa, wykonane na specjalne zamówienie w Prowansji, kiedy uznała, że ozdobne miedziane foremki są już niemodne. Czekając, aż woda zawrze, wzięła pilota, uruchomiła telewizor, wcisnęła guzik wyciszenia dźwięku i zaczęła przeskakiwać po kanałach. Wiadomości, wiadomości i jeszcze więcej wiadomości. Talk-show z jakimiś transwestytami, powtórka *Kocham Lucy*. Kanał pogodowy. Ciągące się notowania giełdowe. Program reklamowy o przyrządach do ćwiczeń. Film o drugiej wojnie światowej, który, rzecz jasna, przypomniał jej o Niedźwiedziu. Choć ojciec raczej nie był nowoczesnym troskliwym rodzicem, ograniczał im czas oglądania telewizji, to zawsze całą rodziną oglądali *Zwycięstwo na morzu*. Zanuciła temat przewodni z tego serialu, przeskakując na kanał zakupowy, na którym prezentowano tandetne pozłacane bransoletki. Dalej. Madonna, znowu się obmacująca publicznie. Nie pokazała chyba tylko jeszcze rentgena zębów. Prawniczka w markowym garniturze przeciwko sędziemu. Kompletnie naga para wymieniająca długi pocałunek z języczkiem. Kolejna kobieta ukrywająca się w szafie, podczas gdy mężczyzna z nożem przebijał się przez ścianę. Czarni raperzy w workowatych spodniach i przekrzywionych czapczkach bejsbolowych skaczący

wokół śmietnika i wygrażający pięściami do kamery. Pięćdziesiąt kanałów i nic, tylko... jak brzmi do słowo, którego Cam zawsze używała? Szajs. Amerykę zalewa szajs.

Sięgnęła po czajnik, jak tylko ciche świstanie zaczęło przechodzić w gwizd. Wyrzucając torebkę herbaty do kosza, zauważyła opakowanie lodów karmelowych z czekoladą. Susan, która zawsze odmawiała deseru, musiała zjeść je, kiedy już poszli spać. I nie zadała sobie trudu, żeby ukryć opakowanie, licząc na to, że Sara zacznie jutrzejszy dzień od wyrzucenia śmieci.

Czy Susan cały czas podkradała jedzenie? Jak Lila ma ją o to spytać? Przecież córka spojrzy jej prosto w oczy, powie, że oszalała, i przypomni, że to ona zorganizowała wśród uczniów petycję o zdrowsze obiady w szkole, że waży jedzenie i jest na diecie sportowej. Ale kto mógł wyrzucić to opakowanie jak nie Susan? Będzie musiała o to spytać Sarę. To upokarzające pytać gosposię o sekrety własnej córki.

Usiadła ciężko i wbiła niewidzący wzrok w kubek. Gdy zadzwonił telefon, podskoczyła i rzuciła się, odbierając go przy drugim dzwonku.

— Halo? — Miała nadzieję, że to może Ricky, ale w słuchawce usłyszała głos matki.

— Lila, to ja. Mam nadzieję, że nie...

— Nie, nie obudziłaś mnie. Właśnie siedzę w kuchni i piję herbatę.

— Nie dzwoniłabym tak późno, ale zostawiłam na waszej sekretarce wiadomość dziś po południu, a potem drugą wieczorem, a ponieważ nie dawaliście znaku...

— Obawiam się, że to przez Ricky'ego. Kiedy odsłucha swoje wiadomości, kasuje wszystko. Miałam do ciebie zadzwonić... — urwała w pół zdania. — Coś się stało? Masz dziwny głos.

— Peatsy Gibbs dostała ataku serca, kiedy dziś grałyśmy w brydża.

— Och nie!

— Zabrało ją pogotowie. Kiedy ostatni raz sprawdzałam, mówili, że jej stan jest stabilny, ale wiesz, co mówią o kobietach, które przeżyły zawał.

— Boże. — Lila zastanawiała się, dlaczego brzmi tak nieszczerze. Nie przepadała za Peatsy — była z niej taka snobka, żywy przykład porzekadła, że mieszkańcy Karoliny Południowej są jak Chińczycy, ponieważ jedzą ryż i czczą swoich przodków. Peatsy wiecznie narzekała, jak to deweloperzy zniszczyli wybrzeże, chociaż wiedziała, że rodzina Orriego dorobiła się właśnie na nieruchomościach

— ale nie życzyła tej kobiecie źle. — Powiedz mi, co się stało. — Upiła łyk herbaty. Spodziewała się, że Josie, która potrafiła zamienić wyjście do sklepu spożywczego w sage, opowie jej rozwlekłą historię, ale słyszała tylko jej oddech.

— Mamo, a z tobą w porządku?

— Chyba tak.

— Mówisz, jakbyś nie czuła się dobrze.

— Ja tylko... — Pauza. — Ja tylko zaczęłam się zastanawiać, Lilu. Tak poważnie zastanawiać, wiesz? — Dłuższa pauza. — Nad śmiercią i umieraniem.

— Och, mamo, proszę — Lila napomniała ją wesoło

— nie bądź taka ponura.

Kolejna pauza, tak długa, że spytała z prawdziwym niepokojem:

— Mamo, na pewno wszystko okej? Bo mogę się szybko ubrać i podjechać do ciebie.

— O tej porze!? Nie bądź niemądra. Czuję się świetnie. Ja tylko... wiem, że powinnam była porozmawiać z tobą pierwszą, Lila, bo wiem, że masz mnóstwo planów, ale postanowiłam przygotować staroświecki obiad świąteczny, tu u mnie, i myślę, że powinnyśmy się wszystkie spotkać, więc zadzwoniłam do Evie...

— Już mówiłam Evie, że oczekujemy ją u nas. — Trudno było jej się zdobyć na takie zaproszenie, ponieważ nadal irytowały ją te felietony, w których Evie wywnętrzała się na temat swojej rodziny, szczególnie teraz, kiedy Orrie ubiegał się o miejsce w parlamencie.

— Evie powiedziała — ciągnęła Josie — że już ma wstępne plany, ale chyba może je zmienić.

To oznacza, pomyślała Lila, że przyjedzie, jeśli jej żonaty amant wyjedzie z miasta, a prawdopodobnie tak zrobi podczas świąt.

— I — dodała matka pospiesznie — zadzwoniłam do Cam.

— Co?

— Zadzwoniłam do Cam.

Lila wstrzymała oddech, a potem powiedziała:

— Po prostu własnym uszom nie wierzę. Po co miałabyś dzwonić do Cam?

— Powiedziałam. Długo się zastanawiałam nad różnymi rzeczami i...

— Mamo, Cam nie przyjedzie.

— Powiedziała, że przyjedzie.

— Powiedziała też, że nigdy tu nie wróci, i trzyma się tego od dziesięciu lat.

— Powiedziała, że teraz przyjedzie.

— Mamo, co się u licha z tobą dzieje? — Jej głos był raczej pełen niedowierzania niż złości. — Nie pamiętasz, jak to było za każdym razem? Wiesz, jak będzie. Zdenerwuje wszystkich. Szczególnie ciebie. — Czekala, mając nadzieję, że Josie przyzna jej rację. — Mamo — już spokojnym tonem przekonywała ją dalej. — Wiem, że chcesz zrobić słuszną rzecz. Rozumiem to, ale pamiętasz, jak w zeszłym roku musiałam przestać uczyć tego czarnego chłopca w programie zwalczania analfabetyzmu. Mówiłam ci, jak bardzo tego nie chcę, bo go naprawdę polubiłam, ale w pewnym momencie, jeśli nie jest się ślepym na jedno oko i nie widzi na drugie, trzeba się przyznać do porażki. — Teraz już podniosła głos. — Sama się prosisz o cierpienie! Masz doskonałą kondycję, ale nie jesteś już tak młoda jak kiedyś. Ty...

— Wiesz, jak to jest, kiedy człowiek jest w moim wieku, Lilu? Już się inaczej śpi. Czasami, kiedy śpisz tylko godzinę, noc wydaje się tak długa, że opowiadasz sobie historię swojego życia, opowiadasz ją sobie dziesięć razy, czekając, aż nadejdzie świt, a innym razem jest taka krótka, mija tak szybko jak upuszczony kłębek wełny, co toczy się po gładkiej podłodze.

Lila oparła głowę na dłoni.

— Mamo...

— Już ją spytałam i przyjeżdża.

— Nie załatwi biletów lotniczych, zostało mało czasu do świąt. Ona... — zakrztusiła się, jakby się śmiejąc. — No dobrze, pomyślę o tym jutro. Poczekam, aż dostaniemy jej numer lotu, ponieważ, szczerze mówiąc, mam, nie zdziwię się, jeśli nie przyjedzie, bez względu na to, co powiedziała. I powiedz mi prawdę, kiedy z nią rozmawiałaś, czy ona piła? — Tego nie powinna była mówić i, jak się spodziewała, musiała chwilę poczekać na odpowiedź.

— Nie wiem. Miała trochę taki głos, jakby... Pewnie była przeziębiona.

— No cóż, dolary przeciwko orzechom, że nie przyjedzie. — Teraz chciała szybko zakończyć tę rozmowę, żeby zadzwonić do Cam i poprosić ją, żeby nie przyjeżdżała. — Posłuchaj, mam, jestem trochę zmęczona. Odezwę się do ciebie jutro z samego rana, dobrze? Umówimy się, żeby odwiedzić Peatsy. A teraz odpocznij.

Znalazła notes z telefonami i sprawdziła numer Cam. Nieważne, że już po północy. Nie będzie owijała niczego w bawełnę. Powie jej to bez ogródek. Choć raz jej się przeciwstawi. Stanowczymi uderzeniami wystukała numer. Ale po pierwszym sygnale się rozłączyła.

O piątej trzydzieści następnego ranka Cam obudziła się gwałtownie, wymacała wyłącznik radiobudzika i zaczęła z powrotem zapadać w sen, w którym błąkała się po podziemiach zamku rodem z powieści Brama Stokera, usiłując znaleźć kogoś, kogo miała uratować. Jakąś małą dziewczynkę... a może swoją matkę... albo... Otworzyła oczy, usiłując oddzielić sen od jawy, i rzeczywistość uderzyła ją jak mocna fala, na której nie umiała się utrzymać. Matka zadzwoniła do niej zeszłego wieczoru, ponieważ Peatsy Gibbs dostała ataku serca. Matka poprosiła ją o przyjazd do domu na święta. A ona się zgodziła. Co było gorsze? Koszmar senny czy koszmar na jawie? Włączyła z powrotem radiobudzik i tryskający energią flet zdawał się wbijającymi w mózg igłami. Nie poradzę sobie, pomyślała. Nie poradzę sobie z niczym.

A potem usłyszała grzmiący głos Niedźwiedzia: „Pobudka! Wstawać!”. Zadrzała, włożyła szlafrok i gdy powlokła się do kuchni, żeby zmielić kawę, przypomniała sobie te wszystkie poranki, kiedy Niedźwiedź świtem budził rodzinę przed wyprawą na biwak. Zamaszystym krokiem przemierzał korytarze, włączał światła, walił w drzwi, rozkazywał natychmiast schodzić na dół, a ona, która zazwyczaj uwielbiała wylegiwać się w łóżku, zawsze pierwsza odpowiadała na jego wezwanie, czasem nawet

spała w ubraniu, żeby zdążyć przed innymi. „Jesteś jedynym ochotnikiem w tej operacji — mówił Niedźwiedź, gdy pomagała mu załadować samochód sprzętem turystycznym — reszta to poborowi”.

A ona rumieniła się z dumy, wiedząc, że to prawda. Lila słuchała poleceń, jak to zawsze ona, lecz cechującą ją chęć dostosowania się hamowało rozzalenie, narzekała na ból gardła lub brzucha. Evie jęczała, że jest jeszcze ciemno, i siedziała bezradnie na łóżku, czekając, aż ktoś pomoże jej się ubrać. Josie była w kuchni, jednocześnie szykując śniadanie i pakując jedzenie, garnki, patelnie, apteczkę oraz inne potrzebne rzeczy — ze zrezygnowaną miną, bo nie była w stanie zrozumieć, dlaczego Niedźwiedź chce spać w namiocie, gotować na ognisku i jeść z cynowych talerzy, skoro może korzystać z wygod czystych prześcieradeł, toalety ze spłuczką i ładnej porcelany. Ale, nawet jako dziecko, Cam rozumiała, że pozorne niewygody biwakowania są lepsze niż zostanie w domu. Kiedy Niedźwiedź siedział w nim za długo, robił się nerwowy, a potem posepniał. Zagłębiał się w swoim wielkim fotelu, czytał, a potem patrzył w przestrzeń. Lepiej było uciec, odsunąć na bok wszystkie problemy i nieszczęścia, skupić się na podejmowaniu decyzji, dokąd jechać, jaką trasę obrać, co spakować. Tak jak ja teraz, pomyślała, gdy warkot młynka wyrwał ją z zamyślenia.

Nie tyle jedzie dokądś, ile ucieka, rozmyślała, stojąc pod prysznicem. Ale lepiej wyjechać, niż siedzieć przy telefonie i czekać na telefon od Sama lub popadać w pełnoobjawową świąteczną depresję. Wychodząc spod prysznicza, spojrzała na swoje odbicie w lustrze. Co ją napadło,

żeby kupować do łazienki lustro ukazujące całą sylwetkę? Wycierając się, sprawdziła pachy i piersi. Piersi nadal były piękne. „Wszystkie kobiety w naszej rodzinie mają ładne biusty”, powiedziała jej Mawmaw, kiedy Cam zaczęła dojrzewać. Ta rodzinowa cecha ominęła Lilę, która jednak odziedziczyła — zapewne po rodzinie Niedźwiedzia, o której nie było nic wiadomo — nadzwyczajne nogi, podczas gdy nogi Cam były co najwyżej przeciętne. Jedynie Evie, pierwsza wicemiss w konkursie na Miss Karoliny Południowej, miała i nogi, i biust, ale to, jak powiedziała Mawmaw, przekonana, że Dobry Bóg rozdawał atuty po równo, było sprawiedliwe, ponieważ Evie „urodziła się głupia, a potem tylko jej się pogorszyło”.

Cam obróciła się tyłem do lustra, patrząc przez ramię na nogi i pośladki. Skąd te ciągle szalone wahania oceny własnego ciała? Kilka tygodni temu, po tym jak kochała się z Samem, popatrzyła na siebie w tym samym lustrze i pomyślała: „Świetnie się trzymasz, dziewczyno”, ale teraz zauważyła dołki w pośladkach, małe worki i obwisy, drobniutkie linie popekanych naczynek, ogólne oklapnięcie. „Kobiety powinny być miękkie”, powiedział kiedyś Sam, ale teraz miękkość budziła w niej obrzydzenie. Miękkość to bezbronność. Miękkość to słabość. W dodatku — podeszła bliżej do lustra i przyjrzała się twarzy — widać siwiznę na linii włosów. Musi coś z tym zrobić. Patrick, jej fryzjer, pewnie ją wciśnie do swojego grafiku. Choćby się waliło, do domu rodzinnego musi pojechać, wyglądając świetnie. Wyciągając majtki, szukając biustonosza, przypomniała sobie, żeby zadzwonić do Sabry, firmy samochodowej, bo w tę pogodę może nie złapać taksówki.

Wchodząc na krzesło, żeby zdjąć walizkę ze szczytu szafy, zastanawiała się, czy nie powinna odezwać się do Josie i powiedzieć, że zmieniła zdanie. Ale nie może tego zrobić. Przecież wczoraj wieczorem zadzwoniła do koleżanki pracującej w biurze podróży, która przez ponad godzinę szukała w komputerze wolnego miejsca w samolocie.

— Powinnaś iść do psychiatry — wymamrotała do siebie.

O wpół do ósmej, zatrzymawszy się najpierw na kolejną kawę i McMuffina z jajkiem, złapała taksówkę wożącą ludzi nielegalnie i dotarła do biura, gdzie przekonała nowego strażnika, żeby ją wpuścił. Przed dziesiątą, kiedy inni ludzie zaczęli się schodzić, pozbyła się z biurka najpilniejszych zadań i czekała na szefową, Elaine, żeby ją poprosić, a raczej powiadomić o tygodniowym urlopie.

Elaine jak zwykle spóźniona, zdzierając z siebie szalik i płaszcz, przeleciała przez biuro niczym pszczelarz uciekający przed rojem.

— Żadnych telefonów, nie przeszkadzać — warknęła i machnęła ręką na widok pliku wiadomości, które Maria do niej wyciągnęła. — Zrób mi dzbanek kawy.

Jak tylko zamknęły się drzwi gabinetu Elaine, Maria, której talent parodystyczny pomógł Cam przetrwać wiele dni skądinąd dalekich od zabawnych, wyciągnęła ramię w salucie, a potem, imitując typowy dla Bronxu akcent Elaine, rzuciła:

— Nie przeszkadzać. Chyba że to Gloria, Betty albo Hillary. — Cam nie mogła powstrzymać się od śmiechu. Elaine prawiała wszystkim kazania o równości i solidarności kobiet oraz o wadze zniszczenia hierarchicznych struktur,

ale popisywała się znajomościami. — I „zrób mi dzbanek kawy” — prychnęła Maria. — No jakbym pracowała dla faceta. Owszem, gramy w jednej drużynie, ale nie będę jej workiem treningowym, kiedy ona ma PMS-a.

— Ja zrobię tę kawę. To dla mnie ćwiczenie duchowe. Poza tym muszę z nią porozmawiać.

Cam wiedziała, że Elaine dręczą nie tylko uderzenia gorąca, ale też poczucie wielkiej porażki. Elaine założyła Athena Press dwadzieścia pięć lat temu. Poświęciła mu swą niebagatelną inteligencję i całą energię, ale wydawnictwo nie miało się najlepiej. Więc jeśli Elaine musiała poprawić stan swojego ego, wspominając znajomości z Glorią Steinem albo Betty Friedan, czy innymi kobietami, które zyskały większą sławę, o bogactwie nie wspominając, podczas gdy ona ledwie wiązała koniec z końcem dzięki coraz mniejszym dotacjom, to Cam miała poczucie, przynajmniej w chwilach szlachetności, że powinna jej trochę odpuścić.

Ze świeżo zaparzoną kawą zapukała do drzwi Elaine, otworzyła je po usłyszeniu niecierpliwego „wejść”, usiadła na krześle naprzeciwko biurka i przyglądała się usychającemu rododendronowi, podczas gdy Elaine, ze słuchawką przyklejoną do ucha, burczała:

— Aha... aha... dobra, do zobaczenia w piątek. — A potem tonem ociekającym sarkazmem: — Dzięki, tobie też życzę wesołych świąt.

Rozłączyła się i przewróciła oczami.

— Moja córka, Sheila, dzwoniła z Brown. Przywozi do domu na święta swojego chłopaka, tego, o którym ci mówiłam, że jest nieprzeciętnie przeciętny, a teraz chce

też zabrać swoją koleżankę z pokoju, która jest za bardzo przybita, żeby jechać do swoich rodziców. Sheila i ten palant zatrzymają się u mojego byłego męża, ja mam niańczyć jej zdołowaną współlokatorkę. Och, i jeszcze zapłacić za jej bilet autobusowy. Daję słowo, daj dolara, wypisz czek, święta tuż! Och, dzięki za kawę. — Upiła łyk.

— O, a może wpadniesz w Wigilię? Napijemy się grzanego wina i pomożesz mi zabawić myślącą o samobójstwie studentkę drugiego roku.

— Brzmi doskonale, ale nie mogę. Nie będzie mnie w mieście. Moja matka dzwoniła wczoraj wieczorem. Jej bliska przyjaciółka miała atak serca i kiepsko się trzyma, więc jadę do domu na święta.

— Kto się kiepsko trzyma? Twoja matka czyjej przyjaciółka?

— Obie, jak sadzę. Chciałabym wyjść w porze lunchu.

— Mamy...

— Wiem, ale nie potrzebujesz mnie na kolegium. Do stałaś już moją notkę i wiesz, jakbym zagłosowała. — Jakże pogardzała tymi niekończącymi się spotkaniami pracowników, organizowanymi dla stworzenia pozorów demokracji, kiedy i tak wszystkie decyzje były już przesądzone.

— Podgoniłam większość rzeczy.

— Nie masz już szans na bilet.

— Znajoma pracuje w biurze podróży. Zadzwoiłam do niej wczoraj i zdołała coś znaleźć.

Elaine patrzyła powątpiewająco.

— Zastanawiam się po prostu, po co ci to. Przez tyle lat, jak się znamy, nigdy...

— Po prostu czuję, że muszę.

— Stało się coś jeszcze? — Cam potrząsnęła przecząco głową. — Ale to ty zawsze mówiłaś, że powrót do domu rodzinnego jest niemożliwy.

— Właściwie to Thomas Wolfe.

— No, a Garrison Keillor powiedział, że cudowne w świętach jest to, że są obowiązkowe. Wszyscy musimy je przetrwać, jak burzę. Serio, Cam, wiesz, jak będzie — upierała się Elaine. — Pierwszego dnia ciepło na sercu i mokro w oczach, drugiego będziesz niezadowolona, że musisz się dobrze zachowywać, a trzeciego wszystkie powody, które zignorowałaś na początku, zwałą się na ciebie i zaczniesz chodzić po ścianach, żeby się wydostać, ale bez powodzenia. Wierz mi, dobrze to znam. Dlatego nie jeżdżę do swojej matki.

— Pewnie masz rację, ale i tak pojedę. A ty napchaj indyka prozakiem i będzie dobrze.

O drugiej wychodziła z salonu Patricka z błyszczącymi, gładkimi włosami i saldem książeczki czekowej pomniejszonym o gigantyczne sto pięćdziesiąt dolarów (sto pięć za farbę i modelowanie, dwadzieścia na napiwek, bo Patrick ledwo ją wcisnął na listę, i dwadzieścia pięć, bo namówił na kolejny datek dla chorych na AIDS). Do czwartej zjadła dwa hot dogi, poszła do banku, zrobiła sobie manikiur i pedikiur w jakimś salonie po drodze, przy czym radość z rozpieszczania się przyćmiła troska o młode Koreanki pracujące tam za nędzne grosze oraz zieloną kartę i niszczące sobie zdrowie przez całodniowe wdychanie trujących oparów.

Przebiła się przez zatłoczone w godzinach szczytu ulice i dotarła do sklepu Lord & Taylor, żeby kupić prezent dla

Josie. Na pierwszym piętrze przepychano ją od lady do lady, a ona zastanawiała się i odrzucała kolejno perfumy, skórzaną torebkę, srebrną broszkę w kształcie ząby. Spocona, bezradna jak śmieć niesiony rwącym strumieniem, została porwana przez tłum kupujących sunący do wind i wysiadła na drugim piętrze, bez powodu, tylko dlatego, że zatłoczona winda przyprowadziła ją o klaustrofobię. Popatrzyła na szary wełniany sweter, została odepchnięta na bok, kiedy szukała ceny jedwabnej bluzki, a potem poniesiona ku schodom ruchomym, wpadła na kogoś, wymamrotała uprzejmie „bardzo przepraszam”, które zostało natychmiast skwitowane lodowatym spojrzeniem. Czy to w *Zjadaczu dyni* Anne Bancroft dostaje załamania nerwowego w domu towarowym? W dziale z bielizną damską jakiś mężczyzna ze zmartwioną miną oglądał czarne koronkowe body na ramiączkach; odwróciła się szybko, kiedy dostrzegł jej spojrzenie, ponieważ poczuła się jak podglądaczka, a wtedy jej wzrok padł na manekin ubrany w opinający, bladoróżowy szlafrok z pliskami idącymi od haftowanych ramion do wciętej talii i ciętego ze skosu szerokiego dołu. Przypomniała sobie, jak bardzo Josie podobał się zielony satynowy szlafrok, który dała jej lata temu.

Nawet będąc dzieckiem — które zdawało sobie sprawę, że jest ładne, ale ciągle ubierało się jak, no, jak dyktowała matka — żałowała, że Josie nie jest taka jak te seksowne kobiety w filmach i czasopiśmie, a czasem i w prawdziwym życiu. Jak Peatsy Gibbs. Czy Peatsy faktycznie była seksowna, nie wiedziała, ale według niej zawsze była próżna, co w dziecięcym umyśle wychodziło na to samo.

Peatsy w swoich najlepszych latach była taką kobietą, na którą patrzyli mężczyźni. Pamiętała, jak obserwowała Niedźwiedzia przyglądającego się Peatsy, a raczej pani Gibbs, jak ją wtedy nazywała, podczas jakiejś uroczystości rodzinnej w klubie oficerskim, i zobaczyła na jego twarzy taki wyraz, jakiego wcześniej nie widziała.

Śliska różana tkanina aż się prosiła o dotyk. Przesunęła dłoń po rękawie, ukradkiem szukając metki z ceną, i przypomniała sobie, jak, gdy miała zaledwie dwanaście lub trzynaście lat, oszczędzała pieniądze zarobione na opiekowaniu się dziećmi i kupiła Josie czarną koronkową halkę. Były to te okropne święta, na które Niedźwiedź miał przyjechać do domu, ale tego nie zrobił. Josie otworzyła paczkę, powiedziała, że jest zachwycona, ale wyglądała tak, jakby miała się rozplakać. A następnego ranka, kiedy Cam odmówiła wstania i pójścia do kościoła, Josie wymierzyła jej mocny policzek, i ten ogłuszający cios wyznaczył początek działań wojennych, trwających z okazjonalnymi, ale nieskutecznymi rozejmami do chwili obecnej. I do dzisiaj, z wyjątkiem tych sytuacji, kiedy była tak spłukana albo zrażona, że ignorowała Gwiazdkę, kupowała Josie rzeczy praktyczne. Wyjątkiem okazał się ten zielony satynowy szlafrok... ale to był czysty przypadek. Ona i Reba całkiem nieźle wtedy zarabiała. Opuściły biurową imprezę i lekko wstawione weszły do Bergdorfa. Chciała kupić coś Josie, ale nic jej nie przychodziło do głowy, a Reba stwierdziła, że jeśli ktoś nie jest w stanie wymyślić prezentu odpowiadającego gustom odbiorcy, to najlepiej dać mu coś, co samemu chciałoby się mieć. A ją zachwycił zielony szlafrok, z którego, o dziwo, Josie strasznie się ucieszyła.

„Chciałaby go pani przymierzyć? — spytała sprzedawczyni, która była równie sztywna jak manekin. — Nie, to na prezent. Dla mojej matki. — Brwi dziewczyny, wyskubane na kształt półksiężyców, podniosły się jeszcze wyżej. — Jeśli jest w rozmiarze, och, chyba czterdzieści, to poproszę — powiedziała z nutą przekory, widząc, że dziewczyna uznała szlafrok za zbyt uwodzicielski dla starszej, a w jej oczach po prostu starej kobiety. — Sprawdź”.

Sprzedawczyni odeszła niespiesznie, a Cam wyciągnęła portfel i zdała sobie sprawę, że nie sprawdziła ceny, ponieważ tak naprawdę nie myślała o wieku matki, tylko własnym. W ciągu ostatnich kilku lat orientowała się, że przypatruje się z ogromną ciekawością starszym kobietom, w duchu gratulując tym nielicznym, które potrafiły wyglądać stylowo, nie robiąc z siebie idiotek. Nawet Sam, który generalnie nie zwracał uwagi na modę, zauważył — ale który mężczyzna by nie zauważył — że mini wróciły do łask i namawiał ją na kupno jednej. Odpowiedziała mu, że jeśli kobieta żyje wystarczająco długo, żeby pamiętać, jak coś było kiedyś popularne, to nie powinna korzystać z tego, że dana rzecz wróciła do łask.

Ile trzeba mieć lat, żeby się całkiem poddać, przestać się starać? Kiedy pragnienie miłości i seksu, potrzeba bycia atrakcyjną, duma i próżność zaczynają wygasać? Samo zadanie sobie tego pytania oznacza, że to już początek równi pochyłej, ale starzenie się jest bardzo osobniczą kwestią. Kiedyś spytała Josie, czy nie brakuje jej seksu, a matka, z płonąca twarzą, powiedziała tylko: „Brakuje mi tańca. Uwielbiałam tańczyć”. Czy naprawdę bardziej tęskniła za tańczeniem? Zastanawiała się, jak to jest znać tylko jednego mężczyznę, nigdy nie zaznać seksu z innym. Co nie było takie dziwne dla pokolenia jej matki, choć ciotka Edna, która podczas drugiej wojny światowej dołączyła do korpusu kobiet, napomknęła, że miała kilka przelotnych romansów, zanim

związała się z wujkiem Dozierem. Ale Edna zawsze była śmielsza, a Josie stała się kura domową. Może starsza siostra automatycznie jest tą dominującą? Przypomniała sobie te wszystkie lata z dzieciństwa, kiedy traktowała z góry Lilę, bo Lila nie potrafiła ani zawiązać sobie butów, ani czytać, ani się czesać. Mała Lila, która zawsze błagała, żeby spały razem. Nagle Cam tak bardzo zapragnęła zobaczyć siostrę, że łzy napłynęły jej do oczu. Chciała zobaczyć też Evie i wujka Doziera, ciotkę Ednę i Mawmaw... musiała zobaczyć ich wszystkich. A najbardziej swoją matkę.

Pamiętała powroty do domu jako dziecko. Niektóre miejsca bardzo wyraźnie — ten ohydny dom w Camp Lejeune, kiedy była w drugiej (a może trzeciej?) klasie, gdzie ciągle śmierdziało pleśnią i środkiem czyszczącym o zapachu lasu sosnowego, którym Josie usiłowała się jej pozbyć. Było tam nierówno powycierane linoleum, skrzypiące schody, piekarnik, który trzeba było zapalać zapałką, i ogród z tak nieurodzajną i zbitą ziemią, że nawet Josie nie zdołała na niej wyhodować ani jednej marchewki czy geranium.

Ale przenoszono ich tak często. Zapamiętanie wszystkich miejsc, w których mieszkali, przypominało próbę zarejestrowania wszystkich stacji podczas podróży pociągiem ekspresowym. Powrót do domu nigdy nie oznaczał żadnego konkretnego miejsca. Powrót do domu to zawsze

mama, świeża po południowej kąpieli, którą brała nawet, kiedy nie było taty, bo chciała wyglądać ładnie dla dzieci. Mama w bawełnianej podomce pachnąca perfumowanym talkiem White Shoulders, który przysyłała jej Mawmaw; mama z upiętymi włosami i pomalowanymi ustami, pracująca w ogródku lub, częściej, obierająca warzywa na kolację; mama wycierająca ręce w fartuch, biorąca twarz Cam w dłonie i pytająca: „Jak się ma mój aniołek? Byłaś grzeczna w szkole?”.

— Jest rozmiar czterdzieści, psze pani — powiedziała sprzedawczyni. — Bierze pani?

— Ile?... — zaczęła, a potem potrząsnęła głową i starła łzę spływającą po nosie. — To znaczy tak. Tak, poproszę.

Zadzwoił dzwonek i podbiegła do domofonu. — Przewozy Sabra — usłyszała głos z silnym akcentem. Wypiła ostatni łyk kawy i odstawiła kubek do zlewu. Weszła do łazienki, zerknęła na swoje odbicie, zaczęła zasuwać kosmetyczkę, a potem sięgnęła po pudełko tamponów stojące na blacie. Nie może ich zapomnieć. Pewnie się zacznie w środku lotu. Już ma kilka dni opóźnienia. Zamarła. Ile? Cztery? W porządku. Od miesiący nie miała regularnych okresów. Stres. A może to już klimakterium? Rebie zaczęło się rok temu, więc znała objawy. Ale... ostatnio je jak świnia. A co z tymi napadami płaczu? Och, kto by nie płakał. Święta. Praca. Sam. Znowu domofon.

— No już! To ja muszę złapać ten cholerny samolot. Chwila! — wrzasnęła, zanim wcisnęła guzik, a potem cichutko powiedziała: — Proszę chwilkę poczekać, już schodzę.

Wepchnęła pudełko tampaxów do kosmetyczki, podeszła do kanapy po torbę, którą postanowiła wziąć zamiast walizki, i zastygła. Jeśli będzie stać nieruchomo i się nie odezwie — tak jak lata temu po tym wypadku, kiedy wyrzuciło ją z samochodu i leżała na lodowatej drodze, oszołomiona, ale

świadoma, że jeśli ma wstrząs, to lepiej się nie ruszać — więc jeśli ani drgnie, to wszystko będzie w porządku.

Nie może być w ciąży. Tyle lat, tylu kochanków — jasne, stosowała antykoncepcję — ale miała koleżanki, które też się pilnowały a mimo to wpadły. Już nawet podejrzewała, że jest bezpłodna.

Wycie klaksonu przestraszyło ją i wyjrzała przez okno. Wynajęty samochód blokował ciężarówkę, wściekły kierowca pokazywał środkowy palec. Jej kierowca, Sikh w turbanie i czerwonej wiatrówce, wzruszył ramionami i ręką z papierosem pokazał na jej okno. Zrzuciła torbę na ramię, ugięła się pod jej ciężarem, złapała torebkę i klucze, i podeszła do drzwi.

— Gaz zakręcony, światła wyłączone... Nie. To niemożliwe.

— Wesołych świąt, skarbie! — Przez ułamek sekundy Cam nie poznała kobiety w jaskrawozielonym spodnim, która przepychała się przez tłum na lotnisku w Savannah, idąc ku niej z wyciągniętymi ramionami.

— Ciocia Edna — powiedziała, kiedy znalazła się w jej uścisku i poczuła chłodny policzek, pancerny stanik i włosy sztywne od lakieru.

Edna, tak bystrooka, że potrafiła wypatrzeć przeceniony markowy ciuch z pięćdziesięciu kroków, skomentowała to:

— Nie poznałaś mnie, co? Nie żebym się tego nie spodziewała. Ile to już lat? Dziesięć? A stara siwa klacz już nie jest taka jak kiedyś.

Cam roześmiała się. Po części nie rozpoznała ciotki dlatego, że jej włosy, teraz w wielu odcieniach blondu, ostatnim razem, kiedy ją widziała, były właśnie siwe.

— Pamiętasz, jak ciotka wścieka się, kiedy bezskutecznie domaga się komplementów? — Wujek Dozier objął ramieniem Cam i uścisnął. — Lepiej powiedz jej, że dobrze wygląda.

— Wygląda świetnie. I ty też, wujku. — Choć trudno jej było pogodzić widok tego niemal łysego mężczyzny w okularach, który, prostując plecy, twardo opierał się ciężarowi wieku, z młodszym wujkiem Dozierem, którego obraz miała w głowie.

— No, ty się zupełnie nie zmieniłaś — rozpływała się Edna. — Tak samo elegancka jak zawsze.

— Ty też — powtórzyła Cam, przypominając sobie, że kobiety z Południa, z pokolenia jej ciotki, komplementowały swój wygląd z natręctwem zwykle zarezerwowanym dla osób ze światka artystycznego. — Ja... — zdała sobie sprawę, że przeszkadzają innym pasażerom i odsunęła się z drogi — nie spodziewałam się was. Sądziłam, że odbierze mnie mama.

— Pamięć twojej matki nie działa już tak dobrze jak kiedyś — powiedziała Edna.

— Jak wszystkich z nas. Mówiłaś, że jak masz na imię, dziewczyno? — zażartował Dozier.

— Josie kompletnie zapomniała, że Lila i Orrie wydają dziś przyjęcie, więc jest u nich i pomaga Liii. Nie żeby ta potrzebowała pomocy, ale znasz Lilę i swoją matkę. Więc postanowiliśmy cię odebrać.

— Prawdę mówiąc — Dozier mrugnął do Cam — postanowiliśmy cię odebrać, bo to jedyny sposób, w jaki Edna mogła się dostać na to przyjęcie.

— Dozier, wiesz, że to nieprawda — warknęła Edna, a Cam zastanowiła się, jak można być z mężem od pięćdziesięciu lat i nie rozumieć jego poczucia humoru. — Więc — ciągnęła Edna — pojedziemy najpierw do Hilton Head na przyjęcie, a potem do domu. W ten sposób zobaczysz się z Lilą i Orriem, no i z Evie.

— W porządku? — spytał Dozier

— Tak. Po prostu myślałam...

Strach przed ewentualnością ciąży był niczym ciągłym szumem, słyszalny tylko przez nią, który uniemożliwiał jej

skupienie na tym, co się dzieje. Wiedziała, że załamię się, jeśli będzie musiała przetrwać kilka kolejnych dni bez pewności co do swojego stanu, ale jak ma umówić się na wizytę do lekarza przez świętami, i to w tak krótkim czasie? Nie za bardzo widziała się w poczekalni Poradni Świadomego Macierzyństwa wśród mnóstwa nieszczęsnych nastolatek. Oczywiście są jeszcze te domowe testy ciążowe, ale czy można na nich polegać?

Podczas lotu przypomniawszy sobie rozmowę z Josie o tym, skąd się biorą dzieci, którą odbyły, kiedy zaczęła miesiączkować. Czuła się wówczas lepsza i zadowolona z siebie, przekonana, że dzięki tajemnicom opowiadanym podczas przyjęć piżamowych i wertowaniu książek w bibliotece (przeczytała *Raport Kinseya*, podręczniki do biologii i każdą książkę o seksie, jaką zdołała znaleźć) wie tyle samo co jej matka, a może i więcej. Ale Josie zakończyła swój wykład, mówiąc: „Gdybyś kiedyś znalazła się w kłopotach — co za żaloszny eufemizm! — przyjdź do mnie”. Kiedy samolot wylądował, a żołądek Cam wywrócił się do góry nogami, postanowiła, że jeśli Josie zapyta o jej życie, to ona, która chlubiła się szczerością, ale rzadko kiedy mówiła Josie prawdę, zacznie od początku i wreszcie powie matce wszystko. Ukrywanie przed nią prawdy będzie zbyt męczące i dezorientujące.

— ...że mama mnie odbierze — skończyła, nie potrafiąc ukryć rozczarowania w głosie.

— Bo jeśli ta cała podróż cię zmęczyła... — dociekał Dozier.

— Nic jej nie jest — Edna odpowiedziała za nią. — Urodziła się w podróży. Przejechała pół świata, ledwie

od ziemi odrosła. — Widząc kropelki potu na czole Cam, dodała: — Cam, złotko, zrzuć ten ciężki płaszcz. Nie jest ci tu potrzebny. — Popatrzyła morderczo z ukosa na mężczyznę, który na nią wpadł i nie przeprosił. — Mamy tu cudowną pogodę.

— Bo jeśli jesteś zmęczona — nie ustępował Dozier — możemy pojechać prosto do Beaufort.

— Nie możemy — upierała się Edna. — Słowo daje, zamienił się w hibernującego miśka, od kiedy przeszedł na emeryturę. Nigdzie się nie rusza za wyjątkiem tego przekłętą sklepu z narzędziami. A to nie będzie jakieś bardzo wykwintne przyjęcie. Po prostu koktajle i przystawki od szóstej do ósmej. Lila testuje nową firmę cateringową, która podobno jest doskonała. Ma nieco zawyżone ceny, ale to dla Liii żaden problem. Pewnie wiesz, że zbili kokosy. Kto by pomyślał, że z tego Orriego coś będzie. Nie chcę być okropna, ale nie wyglądał na dobrą partię, kiedy Lila za niego wychodziła.

— Dla niektórych nadal nie wygląda — odezwał się Dozier.

— No, Dozier, ja już nie wiem, jak trzeba wyglądać, żeby zrobić na tobie wrażenie — odparowała Edna. — Przecież Orrie będzie w legislaturze stanowej.

— Reprezentując wszystkich deweloperów, którzy chcą zamienić bagna w pola golfowe i pirsy w mariny.

— Och, Dozier, przymknij się. Weź od Cam płaszcz, torbę i jazda z tym koksem. — Edna przyjrzała się czarnemu golfowi i spodniom Cam. — Nie martw się o ubranie. Ludzie nie stroją się już tak jak kiedyś, nawet w święta. A pamiętam, jak Mawmaw nie pozwalała nam iść na za-

kupy, jeśli nie założyłyśmy białych rękawiczek. Wyglądasz dobrze. Prawda, Dozier?

— Ślicznie jak z obrazka, ale nieco zmęczona. Tak jak powiedziałem, możemy jechać do domu, usiąść wygodnie, pogadać.

— Jeśli o mnie chodzi, to jest mi wszystko jedno — powiedziała Edna — ale domyślam się, że Cam chciałaby zobaczyć dom Liii i Orriego, a Lila i Josie już na nas tam czekają, więc byłoby samolubnie zepsuć im plany. — Typowa ciotka Edna, przypomniała sobie Cam. Nigdy nie mówiła, że czegoś chce, ale zawsze stawiała na swoim, pozornie stosując się do życzeń innych. — Będziemy tam tylko godzinę lub dwie, a potem odwieziemy ciebie i mamę do domu. A teraz chodźmy po twój bagaż.

— Bałam się, że może się zgubić, więc wzięłam tylko tę torbę. — Wręczyła ją Dozierowi, przewiesiła płaszcz przez ramię i poszła za ciotką przez tłum. Edna pokazywała udogodnienia nowego terminalu i komentowała ścisk, jakby to było jakieś osiągnięcie.

— Nie uwierzysz, jak się zmieniło, Cam. Jesteśmy coraz więksi. Jesteśmy popularni.

— To pewnie tłumaczy, dlaczego ci wszyscy głupi Jankesi chcą tu przyjeżdżać — gderał Dozier. — Czy mama mówiła ci, że po naszej okolicy jeżdżą wycieczki? Nie można wyjść z domu, żeby nie natknąć się na powóz z gapiącymi się turystami. Jeden z nich był tak bezczelny, że wszedł do naszego ogrodu z aparatem.

— Dzięki tym głupim Jankesom, jak ich nieładnie nazywasz, ja zarabiam, Dozier. Poczekaj, aż zobaczysz mój sklep z pamiątkami, Cam. Będiesz ze mnie dumna.

— Oni kupują wszystko. Muszelki, które mogliby sobie sami znaleźć na plażach, torebki z mchem, który mogliby zebrać z drzew.

— A propos głupoty kupujących, to kto kupił w zeszłym tygodniu wentylator z brakującą łopatką?

— Mam na strychu łopatkę, która będzie idealnie do niego pasować.

— Obok nakręcanego gramofonu i lodówki turystycznej na lód, którą znalazłeś u Mawmaw? Daję słowo, Dozier...

Drzwi terminalu rozsunęły się i Cam poczuła wszechobecny zapach z fabryki papieru. Ludzie zawsze mówili, że kojarzy im się z gnijącymi jajkami i choć smród był niewątpliwie paskudny, dla niej stanowił wędchowy odpowiednik starej piosenki — tak pełny skojarzeń, że niemal przyjemny. Stała z Edną na chodniku, podczas gdy Dozier poszedł po samochód.

— Och, jak Peatsy? — spytała.

— Byłam zbyt zajęta, żeby zdążyć do szpitala, ale twoja mama i Lila były tam dziś rano i mówią, że się trzyma. Doktorzy nadal zastanawiają się, czy zrobić jej bajpasy, ale kobiety znacznie gorzej znoszą atak serca niż mężczyźni. Wiedziałaś o tym?

— Chyba tak.

— Mama mówiła ci, że zmarła Grace Koch?

— Nie przypominam sobie. — Cam zastanawiała się, kim do cholery była Grace Koch.

— Powiem ci, Cam — Edna osłoniła oczy, patrząc nad parkingiem, gdzie słońce zachodziło nad wierzchołkami drzew, i zniżyła głos, jakby mówiła do siebie — kiedy masz

ponad siedemdziesiątkę, to jakbyś była w strefie działań wojennych. Wszyscy twoi znajomi umierają albo umarli. Może to zabrzmi, jakbym była bez serca, ale niespieszno mi do odwiedzania szpitali. Na co możesz się tam przydać? Musisz udawać, że nie istnieją — że t o nie istnieje — bo inaczej nie dasz rady.

Cam pomyślała, że to rzeczywiście brzmi, jakby ciotka była trochę bez serca. I nigdy nie słyszała od niej tego typu refleksji. Już chciała wziąć ją za rękę, ale Dozier podjechał ostatnim modelem lincolna, a z radia dudnił *String of pearls* Glenna Millera.

— Na litość boską ścisz to, Dozier. — Edna usiadła z przodu i gestem pokazała Cam miejsce z tyłu. — Gorzej słyszy — poinformowała Cam, jakby Doziera tam nie było.

— W porządku — powiedziała Cam — lubię big-band. — Minęły lata, od kiedy jechała w tak paliwożernym krążowniku szos i wyciągnęła się na miękkim siedzeniu, kiedy zatrzymali się przed punktem pobierania opłat za ciężarówką z naklejoną na zderzaku flagą konfederatów z ostrzegawczym napisem: NIE OBCHODZI MNIE, ŻE U WAS NA PÓŁNOCY. Dozier płacąc za przejazd, rozmawiał o pogodzie z czarnoskórą pracownicą z paznokciami pomalowanymi fioletowym lakierem, a potem pojechali drogą pomiędzy wybujałymi sosnami, które tylko częściowo zasłaniały tereny przemysłowe, minęli tory kolejowe, fabrykę cukru Dixie Crystals, potem senne skupisko domów, stacji benzynowych, kościołów i szkół tworzące Port Wentworth. Przyzwyczajona na Manhattanie do efekciarskich reklam futer, broadwayowskich przedstawień, wystaw muzealnych,

koncertów, męskiej bielizny z wypukłościami na kroczu, Cam uśmiechnęła się na widok billboardu z napisem PAMIĘTASZ, KIEDY MÓWILIŚMY: „NIECH BÓG BŁOGOSŁAWI AMERYKĘ”, I NAPRAWDĘ TAK UWAŻALIŚMY? I kolejnego, reklamującego organizowany przez Kościół baptystów konkurs strzelecki z nagrodą w postaci indyka.

W złotopurpurowym zachodzie słońca rzeka lśniła niczym lustro i gdy przejeżdżali przez niewielki most, Edna wskazała na linię nieba nad centrum Savannah w dolnym biegu rzeki po prawej stronie.

— Nie widziałaś pewnie tego nowego wielkiego mostu, co? — spytała. — Robi wrażenie. Oczywiście twoja mama i Dozier są jak ci zwariowani ekolodzy. Nienawidzą postępu. Chcieliby, żebyśmy wszyscy leżeli w hamakach i jeździli powozikami.

Minęli okazałą tablicę z napisem WITAMY W KAROLINIE POŁUDNIOWEJ, przejechali przez niegdyś najważniejsze pola ryżowe w brytyjskich koloniach, a obecnie rezerwat przyrody, przemknęli kawałek nową autostradą i zjechali na starą drogę numer 17.

Dobrze pamiętała, jak jechała nią zaraz po otrzymaniu prawa jazdy, bosą i piekielnie szybko przez granicę stanów ku lśniącym światłom Savannah samochodem pełnym przyjaciół tak głupich i żądnych wrażeń, że uważali za zabawne hasło: „Żyj szybko, umrzyj młodo i pozostaw po sobie piękne zwłoki”. W letnie noce wielki krągły księżyc lśnił jak łyżka, powietrze było aż ciężkie od kapryfolium i pożądania, a paprocie i winorośle rosły tak szybko, że owinęłyby się wokół ciebie, gdybyś stał nieruchomo. Bujna zieleń była teraz w okresie spoczynku. Lecz Cam

te przytłumione zielenie, brązy i szarości ciągle przypominały o lecie. Proste przydrożne stoiska i baraki obiecujące „Świeże brzoskwinie”, „Ogrodowe pomidory” i „Cebule Vidalia” na tabliczkach, które wyglądały jak wymalowane przez dzieci, były tu od zawsze, ale teraz pojawiły się także duże billboardy reklamujące współwłasnościowe domy, „kolonie” emeryckie, sklepy rabatowe i centra handlowe. Chłonęła to wszystko, przykładając minimalną uwagę do rozmowy poprzez sporadyczne zadawanie pytań, co nie było trudnym zadaniem, ponieważ ciotka Edna pochodziła z pokolenia, które myliło niezmordowaną żywotność z urokiem. Zalesioną drogę przecięła wielopasmowa autostrada, a w słabnącym świetle dostrzegła znak zapowiadający zjazd na Hilton Head.

— Mają pociągnąć tę drogę na zachód aż do międzystanowej 95 — powiedziała Edna. — Wówczas będzie można się tu dostać jeszcze szybciej.

— Żebyśmy mogli się pospieszyć, a potem siedzieć i czekać — wymamrotał Dozier. — Zanim umrę, na wyspach pewnie będzie sieć japońskich pociągów.

— Oprócz pól golfowych mają tu też te centra odnowy — nie zwracała na niego uwagi Edna. — Nawet prezydent tu przyjeżdża. Nie żebyśmy go tu jakoś szczególnie zapraszali. — Pas rozdzielający szosy był bardzo zadbane, a znaki informujące o sklepach, bibliotece, poczcie, hotelach i restauracjach częściowo zakryte poprzez palmy sabałowe i gustownie przycięte krzewy.

Po kilku kilometrach przejechali rondo i zatrzymali się przy budce. Dozier powiedział strażnikowi, że wybierają się na przyjęcie do Orriego Gadsdena, strażnik sprawdził

listę i machnięciem pokazał, żeby wjechali. Minęli stajnie, pole golfowe i srebrzące się w mroku sadzawki/Światła oddalonych od siebie domów migotały poprzez kępy drzew. To było życie jej siostry Lili — niekończące się sesje opalania, zakupów, przyjęć, spotkań dobroczynnych, golfa i pływania łodzią. Oczywiście nie był to „prawdziwy świat”, ale co z tego? Dokąd ją zaprowadziło pragnienie przygód?

— To co, jesteś? — spytała Edna.

— Jestem co? — Czyżby mówiła na głos?

— Głodna. Powiedziałam, że pewnie jesteś głodna.

— Troszkę. — Jeśli zje cokolwiek innego niż słonego krakersa, to zwymiotuje.

Najnowsze modele samochodów, głównie amerykańskich, stały po obu stronach drogi, a młody mężczyzna w czarnych spodniach, białej koszuli i czarnej muszce machnął, żeby się zatrzymali.

— Gwiazdkowe przyjęcie Gadsdenów? — Kiedy Dozier skinął głową, młody człowiek powiedział: — Zaparkuję państwa samochód. To tutaj. Ten oświetlony.

— Wiemy — odpowiedziała z protekcjonalną słodyczą Edna — jesteśmy krewnymi.

Dozier czekał, aż obie wezmą go pod rękę, i ruszyli ku domowi. Para w średnim wieku szła przed nimi okrężnym podjazdem, a w ozdobnym oświetleniu domu i krzewów wyraźnie było widać złoty bliźniak kobiety i kraciastą sportową marynarkę mężczyzny.

— Edna, słonko — powiedział Dozier, kierując je ku wyłożonej kamiennymi płytami ścieżce z boku domu — nie pamiętasz, że Lila prosiła nas, żebyśmy weszli tylnymi drzwiami?

— Dlaczego mielibyśmy wchodzić tylnymi drzwiami? Nie jesteśmy służbą.

— Mieliśmy wejść najpierw do kuchni, żeby rodzina mogła się przywitać, nie zakłócając przyjęcia.

Ale już ktoś otworzył drzwi frontowe, doszedł ich ryk śmiechu. Orrie, witając wylewnie mężczyznę w kraciastej marynarce, zerknął nad jego ramieniem i zawołał:

— A niech mnie, toż to Cam!

Gdy Lila spojrzała przez drzwi kuchenne, uśmiech, szeroki i promienny, zamarł jej na umalowanych ustach. Josie poprawiała garnirunek przystrajający półmisek krewetek, a nad nią wisiała spięta i zniecierpliwiona pracownica ca-teringu.

— Mamo — powiedziała Lila — naprawdę nie jesteś tu potrzebna. Chodź do gości.

Cuba, wycierając nieskazitelne blaty, dodała swoje:

— Jasne, proszę iść, psze pani. Nic tu po pani.

Po tobie też, pomyślała Lila, zła na siebie, że ustąpiła przed błaganiami Josie, żeby zatrudnić Cubę na wieczór, bo ta potrzebuje dodatkowych pieniędzy na święta. Na liście gości było kilku przywódców czarnej społeczności, głównie oświatowców i ministrów, a wyczulona na to, co sobie pomyślą, jeśli jedynymi czarnoskórymi poza nimi będą kelnerzy, specjalnie wynajęła tę firmę, ponieważ wiedziała, że zatrudnia tylko młodych i białych. Cuba pojawiła się w ich domu, wyglądając niczym pokojówka z jakiejś podkoloryzowanej czarno-białej komedii z lat czterdziestych — niebieskozielony strój ze sztucznego jedwabiu,

ciasny jak flak od kielbasy, oraz nakrochmalony biały fartuch, większy od półmiska sałaty, który wydymał się jej na brzuchu. Powiedziała, że kupiła te rzeczy specjalnie na przyjęcie i wyglądała na urażoną, kiedy Lila zleciła jej pomaganie w kuchni.

— Zastanawiam się, czy wszystko w porządku z lotem Cam — powiedziała Josie. — Jest wpół do siódmej, więc powinni już tu być. Może coś pomyliłam z godzinami.

— Utrata pamięci krótkiej, psze pani. Widziałam program o tym któregoś dnia. W naszym wieku trza wszystko zapisywać.

— Ale jestem pewna, że miała przylecieć o piątej — powtarzała Josie. — Więc powinni już tu być, prawda?

— Nie wiem. I nic mnie to nie obchodzi. Mam ponad setkę gości, którymi muszę się zająć. — Lila czuła, że jest opryskliwa, ale to też jej nie obchodziło. Mimo przygotowań do przyjęcia poświęciła matce większą część dnia. Zabrała ją do Peatsy do szpitala i siedziała tam nic wiadomo jak długo z synem Peatsy, Waringiem, i jego „towarzyszem”, śniadym milczącym Dominikańczykiem, który ledwie mówił po angielsku. Peatsy, odurzona lekami, otoczona rurkami i urządzeniami, nawet nie wiedziała, że ktoś do niej przyszedł. A potem pojawiła się brydżowa partnerka jej matki, Mary Gebhardt, i wrobiły ją w lunch w Plum's. Zajęło to kolejne półtorej godziny, ponieważ ciągle ktoś się zatrzymywał przy ich stoliku i pytał o Peatsy. Lila była tak zniecierpliwiona, że gardło się jej zacisnęło i ledwo przełykała zupę krabową. Czasami, kiedy była w towarzystwie swojej matki i jej koleżanek, słuchając rozmów typu: „kto się ożenił, kto zmarł, ile kosztuje pro-

szek do prania", miała wrażenie, że została pogrzebana żywcem.

Lata temu, gdy Mawmaw zaczęła tracić pamięć, a ciotka Edna zdystansowała się, zrzucając większość odpowiedzialności na barki Josie, Lila uznała ją za okropnie samolubną. Ludzie w średnim wieku są przecież tak bliscy starości, rozumowała wtedy, dlaczego więc nie mieliby okazywać współczucia. A teraz, kiedy sama przekroczyła czterdziestkę, rozumiała to okropne poczucie uciekającego czasu, które nakazywało dystansować się od starszego pokolenia. Miała wtedy ochotę wrzeszczeć: „Wy wszystkie jesteście na emeryturze, a ja mam mnóstwo do zrobienia!”. To zniecierpliwienie sprawiło, że zaczęła odczuwać wyrzuty sumienia i zaproponowała, że zabierze Josie do jej domu, poczeka, aż weźmie potrzebne rzeczy i zawiezie do Hilton Head, żeby matka nie musiała już sama jechać samochodem.

Gdy Josie poszła wziąć ubranie na przyjęcie, Lilę dopadła ta koszmarna pani Beasley. Potem w drodze do Hilton Head musiała jechać za jakimś osiemdziesięciolatkiem, który włókł się pięćdziesiąt na godzinę, kompletnie nie zauważając, że tworzy kilometrowy korek. A kiedy powiedziała, że ludziom w tym wieku należy odebrać prawo jazdy, Josie rzuciła jej to spojrzenie, mówiące, że jak nie ma nic miłego do powiedzenia, to niech nie mówi niczego, aż poczuła się, jakby miała osiem lat.

Potem miały następne opóźnienie koło miejsca budowy kolejnego osiedla dla emerytów i kiedy wreszcie dojechały do jej domu, okazało się, że Ricky z kolegą siedzą w tym jego zabałaganionym pokoju jak świnie w chle-

wie. Powiedziała Ricky'emu, co o tym myśli, i trzaskając drzwiami, usłyszała jeszcze, jak kolega mówi: „Hej, co ta twoja mama taka nerwowa?”. Zgarnęła Susan i podrzuciła ją do przyjaciółki, u której miała nocować, potem wróciła do domu akurat wtedy, kiedy firma cateringowa zaczęła działać i okazało się, że lodówka przestała robić lód. Podjechała do miejscowego sklepu z alkoholami i kupiła dodatkowe torby z lodem. Kiedy wychodziła spod prysznic, weszła Evie, siadła na sedesie, jakby nadal były dziećmi korzystającymi z jednej łazienki, i zaczęła ją wypytywać, dlaczego Josie ściągnęła tu Cam, a potem mówiła o swoich włosach, sukience, swoim życiu. Wreszcie przyszedł Orrie, nie sam, jak się spodziewała, ale w towarzystwie swojego ojca, Jaspera. Uznała, że nie zdąży już pomalować paznokci u stóp i, ciągle w szlafroku frotté, usadziła Jaspera w salonie i naląła mu burbona z dużą ilością wody. (Po tym, jak z trzaskiem postawił szklanekę na przydymionym lustrzanym blacie stolika, wiedziała, że już trochę wypił, zanim do nich trafił). Kiedy walczyła z suwakiem swojej sukienki w kolorze szampana, przyszła Josie, poprosiła, żeby upiąć jej z tyłu włosy, i zamartwiała się o lot Cam. W rozpaczy więc zaproponowała matce, żeby poszła do kuchni i sprawdziła, jak idą przygotowania.

Gdy wreszcie została sama przy toalecie, surowo przyjrzała się swojemu odbiciu — zaniepokoił ją widok zmarszczek ściągających kąci ust. Zaledwie osiem miesięcy temu robiła peeling chemiczny, a już jego efekt zaczął zanikać. Jesteś czyjąś córką, matką, żoną i czyjąś siostrą — ciebie nie ma wcale, pomyślała. A potem usłyszała dzwonek do

drzwi, więc wstała, otrząsając się jak pies, który wyszedł z wody, i poszła przywitać gości.

— Mamo — powiedziała ponownie, zerkając na pojemniczki chili z Santa Fe, w którym były jej pigułki, i zastanawiając się, jak może odwrócić uwagę obecnych, żeby wziąć valium. — Chodź do gości. Pani Bethune z Klubu Ogrodniczego pytała o ciebie. I prawie nie rozmawiałaś z Evie.

— Powiedz Evie, żeby tu przyszła. Wiesz, że wolę mieć zajęte ręce, jak się denerwuję.

— Mamo, proszę — Lila przechyliła głowę w stronę pracownicy z cateringu, która nakładała kawior i kwaśną śmietanę do foremek z ciasta, właśnie wyjętych z piekarnika. — Gdzie kucharek sześć...

— Och, przepraszam — Josie zorientowała się, że przeszkadza. — Gdzie ja postawiłam sherry?

— Tu, psze pani — Cuba, która zazwyczaj nie pochwałała picia alkoholu, wręczyła jej z uśmiechem kieliszek. Josie zatknęła bluzkę za pasek welwetowej spódnicy, wciągnęła brzuch i poszła za Lilą do salonu, gdzie służący rozstawiali bufet, ale zatrzymała się w drzwiach. — Wygląda na to, że wszystko idzie dobrze.

Ludzie śmiali się, gawędzili i generalnie nie byli zainteresowani przystawkami, tylko popijali drinki i przechodzili z salonu na patio, ogrzewane rozstawionymi wokół basenu pochodniami. Większość (a Josie знаła ich głównie ze słyszenia) stanowili ci rozrzutni ryzykanci, którzy sfinansowali kampanię Orriego, lecz — w geście dobrej woli — zaproszono też kilkoro nękanymi trudnościami demokratów, grupkę kobiet z Poradni Świadomego Macierzyństwa i paru działaczy ekologicznych („doprowadzających wszystkich do białej gorączki ekooszołomów”, jak nazywał ich Orrie). Jeden z nich się wyróżniał: jako jedyny nosił dżinsy (ale ze sportową marynarką Brooks Brothers) i niedbale oparty o drzwi patio nie

rozmawiał z nikim, tylko bystro i spokojnie przyglądał się innym.

— A to Bedford Bethune — powiedziała Lila. — Pamiętasz go, mamó?

— O tak — odparła Josie. Jak mogłaby zapomnieć. Był jednym z chłopaków Cam w czasach liceum i powodem mnóstwa kłótni pomiędzy nią a córką. Niedźwiedź nie ufał mu z powodu poglądów politycznych. Ona też go nie lubiła. Uważała, że jest zimny, zbyt skupiony na sobie. Podejrzewała, że to z nim Cam straciła cnotę.

Jakby słysząc, że o nim rozmawiają, Bedford Bethune spojrział w ich stronę. Lila stwierdziła: — Wygląda na samotnego. Lepiej podejść i się przywitam.

— Dobrze — powiedziała Josie, ale jak Lila odeszła, pomyślała: On nie jest samotny. Izoluje się celowo, żeby być w centrum uwagi. Bedford był jednym z pierwszych chłopaków w hrabstwie, który nosił długie włosy. (Trudno uwierzyć, jakie poruszenie budziły wówczas fryzury młodych mężczyzn). Nadal miał długie, choć teraz już szpakowate i spięte w kucyk. Niedźwiedź nazywał go „małym hipisowskim kutasem” i nie pozwalał wpuszczać do domu, a gdy Bedford dostał się na Yale czy Harvard, czy któryś z tych wschodnich uniwersytetów, do których miejscowi notable posyłali swoje dzieci, zanim południowe zyskały prestiż, Cam chodziła osowiała przez parę tygodni. Mówiło się, że Bedford przeprowadził się do Kanady, żeby

uniknąć poboru, mieszkał tam przez piętnaście lat, wrócił do Stanów, zrobił duże pieniądze na giełdzie, po czym wrócił do domu.

Pojawił się na miejscowej scenie kilka lat temu, pisząc i wydając biuletyn „Lis Błotny”, broniąc praw robotników sezonowych, usiłując doprowadzić do likwidacji zakładów nuklearnych nad rzeką Savannah i generalnie przysparzając kłopotów ludziom sprawującym władzę. Raz przyszedł nawet na jedno ze spotkań klubu ogrodniczego swojej matki, żeby pozyskać wsparcie jego członków. Zasadniczo Josie zgadzała się z jego polityką (tak jak i po cichu w przeszłości), ale było w nim coś... Patrzyła na jego twarz, kiedy Lila do niego mówiła. Wydawał się nieco zbyt uwodzicielski, odrobinę protekcyjny i z pewnością wystarczająco zadowolony z siebie, żeby być, no, tym, kim był zdaniem Niedźwiedzia.

Josie skierowała spojrzenie na bar, gdzie stali Orrie, jego ojciec Jasper i Evie. Pomijając lekko przerzedzone włosy, Orrie właściwie nie zmienił się od czasu, kiedy Lila przyprowadziła go do domu w trzeciej klasie liceum. Składał się wówczas głównie z jabłka Adama i zawstydzonego pożądanca. Niedźwiedź zawsze mówił, że Orriemu brakuje męskich przymiotów. Chłopak deklarował patriotyzm, ale unikał służby wojskowej (wymigiwał się, jak mówił Niedźwiedź) — choć Josie trudno było go za to winić. Ona wiedziała, co to za życie. Pojęcie odwagi u Orriego ograniczało się do przekroczenia linii, kiedy grał w piłkę jako obrońca. I gdyby nie pieniądze i wpływy Jaspera, Orrie byłby pewnie pracownikiem stacji benzynowej, ale cechy, jakie kobiety ceniły u zięcia, niekoniecznie były tymi, które generalnie poważały u mężczyzn. Wiedziała od początku, że Lila będzie z nim bezpieczna, a on jej nie zawiedzie.

Był cierpliwy, pobłażliwy i czuły wobec Liii, a choć ta rzadko była otwarcie złośliwa czy wybuchowa, nie należała — nikt nie wiedział o tym lepiej niż Josie

— do najłatwiejszych osób w pożyciu.

Orrie z uniwersyteckiego mięśniaka stał się biznesmem, a potem politykiem. O ile Josie się nie myliła, nigdy nie zadawał się z innymi kobietami. Jasper ustawił go w interesach i Orrie potrafił zapewnić rodzinie godziwe życie, a teraz stawał się miejscową osobistością. Nie miał cech przywódczych i nie był szczególnie ambitny, ale Jasper owszem. On, wielu zwolenników Orriego, a nawet Lila uważali chyba, że Orrie dopiero postawił stopę na najniższym szczeblu drabiny politycznej i jeszcze wiele kolejnych przed nim. To porządny chłopak z Południa, tak jak jego ojciec, tylko nie tak wyrazisty.

Jasper z kolei był barwną postacią. Miał szerokie plecy i duży twardy brzuch. Jego głowa przypominała bulwę, a policzki pokrywała mozaika popękanych od burbona żyłek. Śmiał się zbyt głośno, poklepywał innych mężczyzn nazbyt energicznie, nadal autentycznie opłakiwał swoją cudowną nieżyjącą żonę, ale nigdy nie przywitał się z kobietą poniżej siedemdziesiątki bez wychwalenia jej seksapilu. W interesach był bezlitosny — jak to Cuba kiedyś powiedziała: „Zabrałby dżdżownicę chorej kurze”

— lecz, Josie musiała to przyznać, miał pewną nieokrzesaną żywotność, której brakowało Orriemu. Jego osobowość, tak jak czerwona sportowa marynarka, składała się z barw podstawowych. Właśnie objął ramieniem talię Evie,

a ona kiwała głową, śmiejąc się, aż Josie odechciało się wszystkiego.

Z daleka Evie wyglądała na młodszą o dziesięć lat. Nadal nosiła długie i napuszone włosy, które dziś podpięła do góry małymi czerwonymi satynowymi wstążeczkami, dopasowanymi do sukienki. Wydęte wargi pokryła błyszczącym, a sztuczne rzęsy przykleiła tak umiejętnie, że gdyby Josie nie patrzyła, jak na zmianę wciąga powietrze i przeklina podczas wykonywania tej czynności w jednej z gościnnych sypialni Liii, toby pomyślała, że są prawdziwe. Na zdjęciu Evie z łatwością zostałaby najpiękniejszą kobietą z obecnych, ale było w niej coś — lekko ustawione do środka stopy i wymuszony uśmiech — co skazywało ją na bycie „pierwszą wicemiss i miss koleżeńskośći”, tak jak w wyborach na miss Karoliny Południowej ponad dwadzieścia lat temu.

Niedźwiedź zawsze był przeciwny występom Evie na konkursach piękności — wszystko, co przyciągało nadmierną uwagę, było w wojskowej rodzinie błędem, a w takich konkursach, jego zdaniem, startowały tylko „ladacznice”. Josie też się to specjalnie nie podobało, ale argumentowała, że Evie ma prawo zabłysnąć tak jak tylko potrafi, ponieważ wiedziała od czasu, kiedy córka była małą dziewczynką, że zabłysnąć może tylko na polu wyglądu. Nigdy nie uważała, że Evie jest pozbawiona inteligencji, ale tak się jakoś złożyło, że sprawiała takie wrażenie, i nie wiedziała, jak to zmienić.

Evie została poczęta przypadkiem, po corocznym Balu Piechoty Morskiej. Josie nie włożyła krążka dopochwowego — Josie już mniej myślała o „cudzie narodzin”, a bar-

dziej praktycznie wyliczała, jak wychować trzecie dziecko, będąc w zasadzie samotną matką. Była to trudna ciąża i Niedźwiedź nawet próbował uzyskać zmianę rozkazów, żeby być z nią, lecz — nie po raz pierwszy ani nie ostatni — miał kiepskie relacje z przełożonym i właściwie cały okres jej ciąży spędził za granicą.

Po porodzie, kiedy wreszcie przyjechał do domu, żartował, że musiała znaleźć Evie pod krzewem różanym. Gdyby Evie była synem, którego pragnął, zarówno ona, jak i Evie może by się zrehabilitowały, ale — choć Niedźwiedź nigdy wprost nie okazał rozczarowania — wiedziała, że żywił głębokie, zabobonne przekonanie, że jest coś nie tak z parą, która przy trzecim podejściu nie spłodziła syna. Nie próbowała spłycić tego do psychologii ludowej, dzięki której felietony Evie były tak popularne, ale Evie zawsze źle znosiła brak zainteresowania Niedźwiedzia — a być może także i jej. Była „dzieckiem przypadkowym”, któremu nie poświęcano takiej uwagi, jaką otrzymało pierworodne, ani dyscypliny, jaką wpajano drugiemu.

Pojawiło się jednak jeszcze coś poza tym, jakaś wada, którą Josie zauważyła od samego początku. Evie była — trudno o lepsze słowo, chociaż nigdy by nie powiedziała tego na głos — urodzoną frajerką. Mając dwa latka, oddawała swoje zabawki i wycofywała się przy pierwszych oznakach zastraszania przez innych. Mając cztery, kiedy większość malców zwraca uwagę na zachowanie sprawiedliwej kolejności podczas zabawy, odsuwała się i pozwalała stojącemu za nią dziecku wejść na zjeżdżalnię. W pierwszej klasie oddawała swoje ciasteczka za kanapkę z tuńczykiem i, choć Josie objaśniła jej wartości monet, nadal wymienia-

ła ćwierćdolarówkę za pięciocentówkę, ponieważ „dzieci lubią mnie bardziej, kiedy wymieniam się, tak jak chcą”.

W liceum Cam przecierała szlaki szpanu i pyskowania, Lila błyszczała mniej wyraźnie, ale konsekwentnie, w stowarzyszeniach i samorządzie uczniowskim, lecz Evie nie mogła rywalizować ani jako gwiazda towarzyska, ani jako porządna obywatelka. Została cheerleaderką, „ślicznotką” chłopców stowarzyszeń, królową balu absolwentów, lecz o dziwo, pewnie dlatego, że chłopcy uważali, że ma mnóstwo adoratorów, chodziła na mniej randek niż Cam czy Lila. Jej najlepszym przyjacielem, a czasami osobą towarzyszącą, był Lance, maskotka drużyny, wątpy, inteligentny chłopak przez los obdarzony okropnym przypadkiem trądziku i ciętym dowcipem. Josie nie zastanawiała się szczególnie nad skłonnościami seksualnymi Lance'a. Wiedziała tylko, że nie ma nic przeciwko temu, gdy Lance i Evie przebywali sami w jej pokoju.

Na pierwszym roku studiów za Evie uganiało się kilku przesadnie pewnych siebie kampusowych szych, ale nie zagrzało długo miejsca. Kto mógł ich winić? Mimo ostrzeżeń Josie, że nie powinna się spieszyć i kierować głową, a nie sercem, Evie zaczynała ustalać kolor sukien swoich druhen już po trzeciej randce.

Na drugim roku, po tym jak rzucił ją chłopak, z którym była nieoficjalnie zaręczona, Evie uciekła na Zachodnie Wybrzeże z Lance'em. Od tego czasu Niedźwiedź przestał interesować się wszystkim z wyjątkiem swoich wspomnień oraz butelki i nie był szczególnie zmartwiony, gdy Evie napisała, że wzięła ślub z Lance'em w Las Vegas. Zamieszkali w San Francisco, gdzie młody mąż znalazł pra-

cę w kwaciarni, a Evie wróciła na studia — ich skromne dochody zasilala Josie, jeśli tylko zostawało jej coś z pieniędzy na dom. Po kilku latach Evie oznajmiła, że wraca do domu. Nie rozmawiała z Josie o swoim małżeństwie ani o rozwodzie, ale jej relacje z Lance'em było zadziwiająco przyjacielskie. Do tego stopnia, że gdy ku zaskoczeniu wszystkich Lance zajął się sprzedażą wysyłkową sztucznych dekoracji stołowych i zrobił na tym fortunę, nadal ją wspierał, zarówno finansowo, jak i emocjonalnie, przez jej kolejne dwa małżeństwa i rozwody.

W ciągu kilku ostatnich lat Evie chyba zamknęła się w sobie. Popularność jej felietonów wynikała w dużej mierze ze skarg na męskie zachowanie, ale gdy, tak jak teraz, znajdowała się w towarzystwie płci przeciwnej, wracała do słodkiego stylu bycia i okazywała tak wyraźną bezbronność, że Josie czasami chciała podbiec i zarzucić na nią koc. I choć nie miała żadnych dowodów, podejrzewała, że Evie wdała się w kolejny beznadziejny romans.

Sama czując się beznadziejną, wróciła do jadalni i poszła do stołu, poprawiając widelec tak, żeby tworzył półkole z innymi. Czy to jej wina, że Evie jest nieszczęśliwa? Oczekiwanie, że rodzic przyjmie odpowiedzialność za wszystko, co zrobił — lub czego nie zrobił — wydawało się niesprawiedliwe. Czasami, kiedy budziła się w środku nocy, myślała o napisie na grobie, który kiedyś widziała na St. Simons Island. Inskrypcja głosiła: „Robiła, co mogła”. Z początku śmiała się z tego, ponieważ wydawało jej się to przyznaniem do błędu, lecz kiedy powiedziała o tym Dozierowi, ten odebrał to inaczej. Stwierdził, że pogodzenie się z tym, iż człowiek robił, co mógł, jest oznaką mądro-

ści. „Zostało nam tyle lat życia, ile zostało, Josie. Jeśli naprawdę robiliśmy wszystko, co było możliwe, to najlepiej zbyć resztę wielkim kosmicznym wzruszeniem ramion”. Uwielbiała to kosmiczne wzruszenie ramion. Pokazywało, że Dozier nadal interesuje się filozofią, a przynajmniej fantastyką naukową. Żałowała, że nie ma tu z nią Doziera. Nie z nią — rzecz jasna nie mógł być z nią — ale po prostu w tym samym pomieszczeniu, naprzeciwko i z tym swoim szczególnym spojrzeniem wyrażającym zrozumienie. I to ona ma ganić Evie za słabość do mężczyzn, podczas gdy sama, w jej wieku, tęskni za obecnością własnego szwagra?

— Proszę tylko spojrzeć na te rurki penne? — szepnęła Cuba, która podeszła do niej. — Mówią, że domowe, ale ja wiem, że kupne. A to? — wskazała głową duży półmisek krwistej pieczeni wołowej. — Tylko na pokaz, bo jak ludzie mają jeść bez krojenia, a jak mają kroić, jak nie ma ostrego noża ani chleba, ani bułeczek, żeby zrobić kanapkę?

Josie zgodziła się z nią.

— Masz rację, ale stół wygląda przepięknie.

— Zna pani kogoś, kto je oczyma?

— Och, tak, ludzie przecież tak jedzą. Cuba zacisnęła powieki.

— Ciekawe, jaki jest rachunek, bardzo ciekawe.

— Cóż, zawsze możemy zjeść resztki.

— Pani Tatternall, po co nam resztki przed Bożym Narodzeniem? — westchnęła Cuba. — Chyba teraz nie da się młodych nauczyć poszanowania pieniądza. Tak jak moje wnuki gadające o jakichś tenisówkach...

— Tak. Cóż... — Josie zerknęła do salonu. Lila, nadal rozmawiając z Bedfordem, zerknęła na nie z taką miną, że Josie poczuła się nieswojo. Gdy ona i Cuba były same w jej domu, zachowywały się swobodnie jak stare dobre znajome, ale nie wiedziała, jak mają się traktować u Liii. — Może powinniśmy pójść do kuchni i sprawdzić, czy możemy się na coś przydać?

— O, wszystko już gotowe. Mają iść do pani Liii, żeby wołała na kolację. Jak tylko to zrobi, ja zbiorę kieliszki w salonie.

Pracownica cateringu, przepychając się przez tłum, podeszła do Liii, która skinęła głową, dała znak Orriemu, uśmiechnęła do Bedforda i odeszła, ogłosiła, że zaprasza do bufetu, i ruszyła do jadalni. Kiedy goście za nią podążyli, nad gwarem głosów rozbrzmiał dźwięk dzwonka i Orrie poszedł do drzwi wejściowych przywitać jakichś spóźnialskich. Zupełnie jakby zebrani niecierpliwie czekali na paradę i ktoś dostrzegł pierwszą platformę, uwaga wszystkich skierowała się na drzwi.

— To pewnie oni — Josie wyciągnęła głowę, a serce jej biło jak oszalałe.

— Prosiłam przecież ciotkę Ednę, żeby weszły przez kuchnię, ale ona musi zrobić wejście, akurat jak podałam jedzenie — wymamrotała Lila, przechodząc koło Josie do kuchni i sięgając po pojemniczek chili ze stojaka z przyprawami.

— Cześć, dawnośmy się nie widzieli! — Orrie powitał Cam uściskiem, który ona nazywała objęciami w literę „A”: jego usta dotknęły jej policzka, ale sztywne ciało było nachylone ku niej pod dużym kątem. Podeszła do nich Evie z wyciągniętymi rękoma, przypominająca reklamę kolekcjonerskiej lalki w regionalnym dodatku niedzielnym.

— Och, siostrzyczko. Moja najstarsza siostra, Camilla!

— oznajmiła głosem małej dziewczynki, cmokając Cam w policzki i robiąc krok w tył, żeby potrząsnąć głową i otrzeć łzę czubkiem pomalowanego lakierem paznokcia. Ruch głowy wyglądał na wystudiowany, a dotknięcie powieki palcem służyło raczej sprawdzeniu, czy tusz się nie rozmazał, niż kontrolowaniu emocji, ale w tym dziecinnym stwierdzeniu „och, siostrzyczko” było echo, które przypomniało Cam o czasach, kiedy Evie błagała ją o wspólne spanie czy zabawę, i zorientowała się, że budzi to w niej uśmiech. — Cam, zbyt długo się nie widziałyśmy. Ile to już?

Cam zaczęła odpowiadać, ale ktoś się na nią rzucił z boku. Nie były to objęcia w literę „A”. Mężczyzna ścisnął ją mocno, pytając:

— Nie pamiętasz mnie? Jestem Jasper, ojciec Orriego.

— Oczywiście, że pamiętam. — Ten stary cap zagonił ją w róg na weselu Liii, która do niej miała potem za to pretensje.

— A to — Jasper gestem wskazał na parę w półkolu, które się już wokół nich ustawiło — Jerry i Ruth Cremoni. Od lat moi sąsiedzi. Ty i Jerry tańczyliście tarantelę na weselu Liii i Orriego. — Cam przytaknęła niepewnie, żałując, że nie weszli tylnymi drzwiami, tak jak proponował Dozier. — A to osobista asystentka Orriego, Jennifer. — Cam wyciągnęła rękę do kobiety w za dużych okularach i z króliczymi zębami, która powiedziała: — Wiele o pani słyszałam, panno Tatternall — zanim Jasper przerwał jej: — No to co myślisz o tym, że twój szwagier zostaje politykiem, he?

— Moje gratulacje, Orrie.

— Któregoś dnia może być gubernatorem — nie odpuszczał Jasper.

— Dziś hrabstwo Beaufort, jutro cały świat — uśmiechnęła się Cam i zlustrowała tłum. — Gdzie mama?

— Jestem tu.

Przez chwilę spojrzała na matkę jak na obcą osobę. Niewiele kobiet po siedemdziesiątce można uczciwie nazwać atrakcyjnymi, ale w Josie była jakaś delikatność, która naprawdę czyniła ją ładną. Napięcie i rozczarowanie, zniekształcające jej rysy twarzy, kiedy była w średnim wieku, zniknęły, więc, według Cam, teraz wyglądała wręcz młodziej niż te dziesięć lat temu. Ale cały obiektywizm zniknął, gdy Josie ją przytuliła. Cam przylgnęła do niej, myśląc: „To moja matka. Ciało, które mnie urodziło”, i odczuwając lekkie zawroty głowy. Josie puściła ją i wzięła pod brodę, pytając:

— Dobrze się czujesz?

Było to jednocześnie pytanie i napomnienie, żeby się zachowywała należycie, tak jak to lekkie szczygnięcie,

kiedy była dzieckiem i uczestniczyły w jakiejś publicznej ceremonii, a ona się garbiła.

— Tak, dobrze. — Josie dostrzegła Liłę. Zbliżała się szybko do nich i wyglądała na urażoną. Podniosła rękę, jakby wzywała taksówkę, a ta przemknęła obok, nawet nie zwalniając.

— A więc w końcu jesteś — powiedziała Lila. — Już niemal straciliśmy nadzieję, że przyjedziesz. — Cmoknęła powietrze koło policzka Cam, uśmiechnęła się, tocząc wzrokiem po zebranych, a potem, jakby zdała sobie sprawę, że jej powitanie było zbyt zdawkowe, dodała: — Dobrze cię widzieć. Wesołych świąt. Jestem nieco niepozbita, bo właśnie mieliśmy przejść do bufetu.

— Pewnie nie jadłaś w samolocie — domyślała się Ruth Cremoni — wiedząc, że czeka na ciebie mnóstwo pysznych dań kuchni Południa. Naprawdę nie wiem, jakim cudem wytrzymujesz w Nowym Jorku.

— Czasami sama się temu dziwię. — Och nie, proszę, nie wyskakuj mi z tymi banałami o złym wielkim mieście.

— Oczywiście jeździmy tam kilka razy do roku, żeby wchłonąć trochę kultury. Wystawy, przedstawienia, wiesz.

— W samolotach już nie karmią — oznajmił Jasper. — Cięcia. Rzucają w ciebie tycią torebką orzeszków, jak w jakąś małpę.

— Ostatnio, kiedy lecieliśmy... — wtrącił się ktoś inny, opowiadając historię, którą Cam знаła z jakiegoś nocnego programu rozrywkowego. Wszyscy się obowiązkowo zaśmiali.

Orrie wziął ją pod rękę i zaczął prowadzić przez salon.

— Cam, chciałbym, żebyś poznała...

Poruszali się między ludźmi w jaskrawych strojach. Wszyscy byli mniej więcej w średnim wieku, jednakowo zadbani (choć niektórzy nie dostali na czas wiadomości o szkodliwym wpływie słońca), a ich uśmiechy sprawiły, że zaczęła myśleć o postępach stomatologii kosmetycznej. Panowało tu wieczne lato — a przynajmniej wieczna jesień. A tak naprawdę nie było tu żadnych pór roku, pomyślała, patrząc nad głowami gości na basen i oświetlone patio.

— Wiem, że nigdy się nie poznaliśmy... Tyle o tobie słyszeliśmy... Pewnie mnie nie pamiętasz, ale... — Wydawało jej się, że sobie przypomina, albo tak powiedziała, pani takiej i takiej z klubu ogrodniczego swojej matki. I jeszcze ten wyglądający na wysportowanego mężczyznę z białymi jak śnieg włosami i spiczastym nosem, który wydawał się znajomy, ale wyglądał na takiego orła biznesu, że nie była pewna, czy go poznała, czy tylko widziała na okładce „Forbesa” albo „Business Week”.

Josie pojawiła się obok niej, a w jej tonie pobrzmiwała nuta zaniepokojenia:

— Tak się cieszę, że tu jesteś — wyszeptała. — Wkrótce będziemy mogły porozmawiać.

Rozejrzawszy się, Josie zobaczyła Lilę usiłującą zaprowadzić gości do bufetu. Wiedząc, jak bardzo się córka przejmuje, kiedy nie dzieje się zgodnie z planem, Josie powiedziała:

— Chyba pójde dać dobry przykład i nałożę sobie coś na talerz. Do zobaczenia. — Uściśnęła dłoń Cam i odeszła.

— ...i mam nadzieję, że wzięłaś jakieś lżejsze ubrania — mówiła kobieta w sukience tak jaskrawej jak apaszka od Gucciego.

— Cóż, w Nowym Jorku jest dość zimno — odparła Cam, odchylając od szyi golf.

Chwilę później, kiedy Orriego dopadł jakiś niski i uparty czarnoskóry mężczyzna, który chciał porozmawiać o finansowaniu Festiwalu Sztuk Gullah, ktoś inny skomentował jej czarny ubiór i powiedział, że wygląda w nim jak Anne Rice. Kilka kroków dalej, w odpowiedzi na kolejną uwagę na temat jej stroju, oświadczyła gardłowym głosem z wyraźnym akcentem:

— Ubieram się na czarno, ponieważ noszę żałobę po moim życiu — a widząc konsternację, jaką to wywołało, dodała: — To cytat z Czechowa. — Och, weź się w garść, napomniała siebie. Schyliła głowę, żeby się uspokoić, przywołała na twarz uśmiech i podnosząc wzrok, napotkała spojrzenie mężczyzny z kucykiem.

Bedford Bethune. Była z nim w jednej drużynie w klubie dyskusyjnym. Potem pływali na golasa. Palila z nim trawkę i rozmawiała o polityce. Nawet kochała się z nim na plaży na wyspie Hunting. I pozwoliła mu myśleć, że był jej pierwszym, choć cnotę straciła z Chetem Sumterem w szamotaninie na tylnym siedzeniu oldsa jego ojca. Jednak nigdy nawet nie lubiła Cheta Sumtera. Był mięśniakiem, głupim jak but. Co ona sobie wtedy myślała? Cóż, w ogóle wtedy nie myślała. Przy jej doskonałym wychowaniu oficerskiej córki, wszystkich zasadach, napomnieniach i ostrzeżeniach — czego też ona nie wyrabiała! Wówczas sądziła, że rozwiązłe życie oznacza „szalone”, ale teraz знаła prawdziwą definicję tego słowa, co było jeszcze bardziej żenujące: niewybredne, przygodne, pozbawione standardów. Ona, która chciała wyznaczać własne standardy wszystkiego, była ich kompletnie pozbawiona, jeśli chodziło o chłopaków.

A biedna Josie musiała o tym wiedzieć i pewnie szalała z niepokoju. Dlaczego stawiała swoją matkę w takim paskudnym położeniu, wymagając od niej ciągłych kłamstw i tuszowania jej wyskoków? Dlaczego ryzykowała złość Niedźwiedzia? Bo gdyby Niedźwiedź się dowiedział, to czekałaby ją nie tylko złość, ale gniew, wściekłość, powolna śmierć podczas zadawania tortur chińskich. Ale och, te wielkie stare samochody pożyczone od ojców, z ich przestronnymi tylnymi kanapami, zapach benzyny i skóry, zaparowane okna. Bedford przebił się przez tłum.

— Pamiętasz mnie?

— Oczywiście. Prawie się nie zmieniłeś.

— Ty też nie. Ale wiesz, mam teorię, że silne osobowości nie zmieniają się tak bardzo.

Kpi sobie czy zamienił się w jakiegoś guru New Age?

— Słyszałam, że wróciłeś do Stanów, ale nie spodziewałam się ciebie tutaj.

— Nie wiesz, że tu właśnie jest mekka? Jankesi ściągają do niej po przejściu na emeryturę, nawet czarni, którzy pojechali na Północ, wracają.

— I zatęskniłeś za domem?

— Nie tyle za ludźmi, zbyt dobrze ich znam, ale za samym Południem. Chciałem patrzeć na słońce zachodzące nad mokradłami, póki jeszcze są.

— Czym się tu zajmujesz?

— Jestem ziemianinem, chociaż może podżegacz byłby lepszym określeniem. Wydaję mały biuletyn na tematy ekologiczne. Próbuję przekonać lokalnych polityków

do robienia właściwych rzeczy, ale — zniżył głos do szeptu i skinął głową w kierunku Orriego — nie zawsze to takie proste. Tak, droga pani, czasy się zmieniły. Zagarnianie ziemi nazywa się teraz zagospodarowaniem i zarządzaniem, poklepywanie tyłków zastąpiło wartości rodzinne, polowanie przegrało z golfem, żony pastorów noszą sztuczne rzęsy, a my pasujemy brzuchy i kiesy prawników. Więc... — urwał — ...jak długo tu zostaniesz?

— Wracam do Nowego Jorku zaraz po świętach. Mężczyzna stojący koło nich wtrącił się:

— Nie rozumiem, jak ludzie wytrzymują w Nowym Jorku.

— Brudna robota, ale ktoś to musi robić — odpowiedziała Cam.

Mężczyzna zaśmiał się.

— Zajmujesz się wydawaniem książek, tak? Dlatego musisz tam mieszkać. Sam trochę piszę. Może mogłabyś...

Jezu, pomyślała Cam, a jak spotykasz na przyjęciu dentystę, to otwierasz usta i pokazujesz mu zęby trzonowe?

— Obawiam się, że nie mogę pomóc. Pracuję dla wydawnictwa feministycznego.

— Wydajesz tylko literaturę kobiecą?

— Nie tylko, ale głównie. Wydajemy książki dotyczące...

— Nie jesteś feminazistką?

— Kim?

— Feminazistką — wyjaśniła kobieta trzymająca „pisarza" pod rękę. — Tak nazywa je Rush Limbaugh.

— Ale kogo tak nazywa?

— Wiesz co, lepiej ustawmy się w tej kolejce, inaczej nie zostanie nic do żarcia — wtrącił Bedford, choć jedzenia starczyłoby dla całego pułku.

— Uratowałem ci życie — dodał, kiedy przeprosili i ruszyli do jadalni. — Ile lat cię tu nie było?

— Od kiedy mój ojciec zmarł. Wyjechałam mniej więcej o tej porze roku, ponad dziesięć lat temu.

— Wiele się zmieniło, Camillo. Wiele. — Kiedy tak prowadził ją przez tłum, dobiegały do nich strzępki rozmów.

— Jeśli zamkną bazy, ekonomia całego stanu...

— Mają zamknąć bazę na wyspie Parris, powinniśmy ogłosić secesję.

— Cholerna pogoda, za zimno na golfa...

— Oczywiście, że znasz Peatsy Gibbs. Słyszałam, że podobno nie dają jej wielkich szans.

— Już go otworzyłam. Śliczny malutki miś ze złota, z rubinowymi oczkami...

— Ech, tu się nie da normalnie rozmawiać — stwierdził Bedford. — Chyba zrezygnuję zjedzenia, złożę uszanowanie twojej siostrze i pojedę. Zatrzymasz się u swojej mamy?

— Tak.

— Mogę kiedyś wpaść?

— Oczywiście.

— Może wybierzemy się na wyspę Hunting? Mam tam domek.

— Byłoby miło. Najbardziej lubię plażę zimą.

— Wcale mnie to nie dziwi. — Pochwała czy krytyka? Nie potrafiła tego stwierdzić. — No to zadzwonię — obiecał, zbierając się do wyjścia. — Opowiem ci wszystko, co się tu działo od twojego wyjazdu. Fajnie było cię zobaczyć.

— Och, Cam — Evie u szczytu oświetlonego świecami stołu bufetowego pomachała serwetką. — Chodź tu. Nie masz nic przeciwko temu, że moja starsza siostra się tu wciśnie? — spytała stojącego obok łysego mężczyznę z kokieterijnym uśmiechem.

— Jasne, że nie — odpowiedział, odsuwając się. Cam podziękowała mu, wzięła talerz i poczuła apetyt

na widok grillowanych krewetek, pieczonej wołowiny, wędzonego indyka, duszonych i surowych warzyw oraz rozmaitych bułeczek i serów.

— Nie będziesz chyba cały czas u mamy, co? — spytała ją Evie.

— Nie zostanę tu długo, więc myślę, że postaram dopasować się do planów świątecznych.

— A może przyjedziesz do Savannah? Zobaczysz moje mieszkanie, pójdziemy na jakieś zakupy albo po prostu na lunch i pogadamy. Mamy tam teraz kilka naprawdę znakomitych restauracji. Aż strach pomyśleć, ile się nie widziałyśmy i ile straciłyśmy. — Evie mówiła odrobinę głośniejszym głosem niż było to konieczne, niczym wykształcona supermama zwracająca się do swojego dziecka i pokazująca otoczeniu, jak dobrze je wychowuje. Wokół nich gwar i szum rozmów, ale Cam czuła, że ona i Evie są w centrum uwagi.

Nie popadaj w paranoję, powiedziała sobie. Ludzie nie patrzą na ciebie. Patrzą na nią. Mała Evie jest miejscową osobistością. Nagle jej oczy napotkały spojrzenie wysokiego czarnoskórego mężczyzny mniej więcej w jej wieku, który stał po drugiej stronie stołu. Był bodaj najbardziej konserwatywnie ubranym gościem na przyjęciu — ciemny garnitur, jasnobłękitna koszula i krawat w paski.

Choć nie była sobie w stanie wyobrazić, gdzie i w jakich okolicznościach mogli się poznać, w jego oczach widać było serdeczność i radość, jakby cieszył się na widok starej znajomej.

— Uwielbiam twoje felietony — powiedziała do Evie kobieta w kasku ze złotych włosów, nakładając sobie szparagi. — Są takie szczerze.

— Staram się — odpowiedziała Evie z odpowiednią mieszanką dumy i skromności. — Myślę, że pisanie mam w genach. Mój pradziadunio ze strony mamy pisał precudowne listy z wojny secesyjnej, tatuś próbował uwiecznić przeżycia z drugiej wojny światowej, a Cam opublikowała opowiadanie tuż przed wyjazdem do Nowego Jorku.

— Pamiętam je — odezwał się czarnoskóry, rzucając Cam kolejne spojrzenie pod tytułem „nie kojarzysz mnie?”.

Kobieta o złotych włosach zwróciła się do niego: — Och, H.A., a dlaczego nie ma dziś Constance?

— Chciała przyjść, ale... — podniósł do góry dłonie w przepaszającym geście. Jego ręce były duże, ale poruszały się niemal z kobiecą gracją. — ...nasza córka przylatuje z Howard na święta, więc rzucaliśmy monetą. Constance przegrała i pojechała ją odebrać.

Jego głowa, podobnie jak dłonie, miała przepiękny kształt. „Istny Rodin”, jakby powiedziała Reba. Ale ciągle nie mogła go rozpoznać. Czy kiedykolwiek знаła kogoś, kto nazywa się H.A.?

— No i — ciągnęła Evie — jak zwolnili tego doradcę politycznego, Lila napisała część tekstów do kampanii Orriego. Oj — zakryła usta z udawanym przerażeniem

— tego chyba miałam nie mówić. No i oczywiście mama wydała książkę. Tylko kucharską, ale sprzedają ją w miejscowych księgarniach i w Izbie Handlowej i dostaje niewielkie tantiemy.

— To miłe — potaknęła kobieta, rzucając Cam ukradkowe spojrzenie, kiedy sięgała po sos holenderski.

— Cam, jeszcze niczego sobie nie nałożyłaś — zauważyła Evie.

— Jestem dziś jakaś rozkojarzona. To pewnie przez lot samolotem.

— Z Nowego Jorku? — zdziwiła się kobieta. — Przecież jesteśmy w tej samej strefie czasowej.

— Nie spałam dobrze tej nocy. — Konieczność prowadzenia takich rozmówek towarzyskich z tyloma obcymi osobami wpędzała ją wręcz w katatonię.

— Podać pani coś do picia? — spytał ktoś z obsługi, dokładając chleb do koszyka.

Zaśmiała się.

— Może podwójna szkocka i cykuta na popitkę? — Ale jeśli jest w ciąży, to nie powinna pić.

— Przepraszam?

Jeśli jest w ciąży. Znowu żołądek podszedł jej do gardła.

— Tylko sodową.

— Bardzo przepraszam?

— Och, poproszę wodę mineralną.

— Woda mineralna — powtórzył i odszedł.

— Cam — odezwała się Evie — jak się cieszę, że to rzuciłaś. Przy alkoholizmie w naszej rodzinie...

Cam poruszyła głową, częściowo pytająco, częściowo w proteście. Co ta Evie do cholery wyczynia?

— Wiem, że jeszcze nie udowodniono bezpośrednio genetycznej zależności, przynajmniej nie u córek, ale przy problemie tatusia z piciem...

Cam otworzyła usta. Kiedy w końcu wydobył się z nich głos, brzmiał surowo jak pyszałkowata matrona snobka z brytyjskiej komedii.

— Evie, nie sądzę...

Evie miała szeroko otwarte oczy jak czterolatka, która nie rozumie, dlaczego nie należy wskazywać na garb obcego człowieka.

— Ale taka jest prawda, Cam. Nie ma sensu żyć w kłamstwie.

Niedowierzanie malujące się na twarzy Cam stężało w nagłym zrozumieniu. Oto Evie Niewinna, skarżypyta, która mówi: „Nie wiem, dlaczego się wściekasz, bo powiedziałam prawdę”, dzieciak, który zaczął się zachowywać jak tępak w tak wczesnym wieku, że nie wiadomo, czy jest naprawdę głupi, czy bardzo przebiegły — i czy w ogóle widzi między tym różnicę.

— Nasz tata... — zaczęła Cam, świadoma, że gwar wokół nich właściwie zamarł. Gardło się jej zacisnęło i poczuła swędzące wypieki na karku. — Wielu wojskowych dużo pije — powiedziała bezceremonialnie. — To część ich pracy.

— Już nie — zachichotał stojący obok mężczyzna z beczkowatym torsem. — Przynajmniej nie publicznie. Nie po ostatniej aferze. Generalicja teraz na to krzywo patrzy. To psuje im wizerunek. Kluby oficerskie w piątki są niemal puste.

Evie przytaknęła.

— Możesz to nazywać dużym piciem, ale to tylko eufemizm. Tatuś mógł zostać generałem, gdyby nie alkohol i — wbiła wzrok w sufit — inne historie.

— Evie! — Cam obdarzyła ją spojrzeniem, które zatrzymałoby pędzącego królika. Evie wyglądała na zaskoczoną i urażoną. Złotowłosa zaczęła mówić o obniżkach cen lotów do Cancun, ale nikt jej nie słuchał. Cam miała wrażenie, że nie może oddychać.

Evie powiedziała:

— Cóż, jeśli nie pijesz, powinnaś coś zjeść. Na pewno umierasz z głodu. Masz, weź mój — pojednawczym gestem podała jej swój talerz z dużą porcją.

Mężczyzna z beczkowatym torsem, pozornie nie zwracając uwagi na napiętą atmosferę, nie ustawał.

— Facet w alkoholowym koło nas mówi, że wzrosła mu sprzedaż, bo wojskowi wolą zapłacić pełną cenę, niż żeby ktoś ich zobaczył w garnizonowym.

— Nie wiem, czemu tyle sobie nałożyłam — paplała Evie z wymuszoną wesołością — przecież pilnuję wagi.

Nastąpiła chwila ciszy, po czym czarnoskóry z drugiej strony stołu powiedział:

— Trudno upilnować coś, co chce się zgubić. Najwyraźniej tylko Cam go zrozumiała, bo nikt inny

prócz niej się nie zaśmiał, chociaż inni dołączyli z uprzejmości i po chwili wrócili do swoich rozmów. Kiedy ich spojrzenia się spotkały, mężczyzna uśmiechnął się do Cam porozumiewawczo. I to ta nieśmiała, ale jednocześnie szelmowska mina pobudziła jej pamięć: Hannibal Attucks Staples. Przesadą byłoby powiedzieć, że byli dobrymi przyjaciółmi. Raczej, ponieważ dostrzegali podobieństwo

swoich doświadczeń i położenia, byli milczącymi sojusznikami.

Poznali się pierwszego dnia w liceum. W szkole niedawno wprowadzono integrację rasową i choć wszyscy byli niezmiernie uprzejmi, wyraźnie wyczuwało się napięcie. Wysoki, chuderlawy dzieciak z wielkimi uszami stał za nią w kolejce, czekając na przydział szafki. Z początku wymieniali tylko zniecierpliwione spojrzenia, a potem on spytał: „Czy twój ojciec jest wojskowym?”. Kiedy potwierdziła i zdziwiła się, po czym to poznał, wskazał na blizny na jej gołym ramieniu, mówiąc: „Po szczepionkach. Też j e mam. Założę się, że dostaliśmy zastrzyki na choroby, o których istnieniu większość dzieciaków nie ma pojęcia”. Odpowiedziała mu z sugerującym zmęczenie życiem wzruszeniem ramion, które doskonaliła przed lustrem w łazience, że prawdopodobnie byli w krajach, o których istnieniu mieszkańcy ich miasta nie mają pojęcia. Jeśli dobrze pamiętała, nigdy nawet nie jedli razem lunchu, ale nad laminatowymi stolikami w śmierdzącej starym smalcem kafeterii czy na szkolnych zgromadzeniach wymieniali porozumiewawcze spojrzenia, kiedy ktoś mówił jakieś głupoty.

Posłała mu właśnie teraz takie spojrzenie, nad oświetlonym świecami bufetem siostry, i bezgłośnie wypowiedziała jego imię: Hannibal. Potaknął i ruszył do niej. Wyszła mu na przeciw, mówiąc:

— Jak tylko cię zobaczyłam, czułam, że cię znam, ale nie wiedziałam skąd. A kiedy ta kobieta nazwała cię H.A., nie skojarzyłam.

— Gdyby starzy dali ci na imię Hannibal Attucks — powiedział cicho, a twarz rozjaśnił mu ten szelmowski

uśmiech — nie wolałabyś tego zastąpić inicjałami? Teraz to brzmi jak jakiś gość z *Dynastii*.

— Zmieniłeś się.

— Mam powiedzieć, że ty zupełnie nic?

— Prawie nic. A ty byłeś taką chudziwą w szkole.

— Upłynęło wiele wody.

Trudno było ustalić, co właściwie myślała o Hannibalu w tamtych czasach. Zdała sobie sprawę, że przez jakieś przeoczenie nie dostrzegła, że ten niesamowicie chudy i nieśmiały nastolatek był bardzo przystojny, ale nigdy nawet przez myśl jej nie przeszło, że mogłaby z nim pójść na randkę.

Nie została wychowana w klimacie uprzedzeń rasowych. Niedźwiedź mocno wierzył w merytokrację: człowieka należy sądzić po charakterze i wynikach pracy, nie po kolorze skóry. Josie podzielała jego odczucia. Nawet Mawmaw, która mimo argumentów Cam głosowała na George'a Wallace'a, powiedziała, że nie tyle ma coś przeciw integracji, ile „głupcom w Waszyngtonie, którzy mówią mi, co mam robić, chociaż nie pozwalają na to nawet mojemu ciału i krwi”. Teraz Cam nie uważała, że to było jedyne zastrzeżenie Mawmaw. Babka chciała utrwalić południowy „styl życia”. Słowo „czarnuch” nie budziło w niej oporu moralnego, ale nauczyła swoje dzieci i wnuki rozumieć, że takie określenia są zdecydowanie prostackie.

— A zatem, Hannibalu... to znaczy H.A. — drażniła się Cam. — Boże, to jak podróż w czasie. Kwadrans temu widziałam Bedforda Bethune.

— Tak, niedawno się ze mną zegnał. Nie powiedziałbym, że jesteśmy kumplami, ale jeden ma drugiego na liście.

Wiesz, on dzwoni, żebym podpisał petycję albo dał dotację, pół roku później ja dzwonię do niego. Bedford nadal żyje w latach siedemdziesiątych, ale trudno mu mieć to za złe.

— A ty? Opowiedz mi ostatnie trzydzieści lat w dziesięć minut.

— Spróbuję. Ale ty pierwsza. Nie widzę obrączki. Rozwiedziona?

— Nigdy nie wyszłam za mąż. Zachichotał.

— Nie jestem zaskoczony. Zawsze myślałem: Cam Tatternall albo nie będzie miała żadnego męża, albo przebije Liz Taylor.

— Pochlebia mi, że w ogóle o mnie myślałeś. — Od lat o nim nie pamiętała.

— Jasne. Zawsze się zastanawiałem, co się z tobą stanie. To było niesamowite, kiedy wyjechałaś po szkole do Nowego Jorku. Udało ci się. Osiągnęłaś coś.

Cam chrząknęła, ustępując miejsca kobiecie idącej po ciastka.

— Ależ tak — upierał się H.A. — Jesteś redaktorką w Nowym Jorku, tak? To nie byle co.

— Ale nie takie znowu coś, zwłaszcza finansowo, przynajmniej jeśli pracujesz dla organizacji nie nastawionej na zysk.

— Ach, pieniądze. Przez to czuję się stary. Ciągle trzeba się martwić o pieniądze.

Uniosła brew.

— Nie wyglądasz na dotkniętego biedą.

— Jak stary Lyndon Johnson czekam, aż na końcu tunelu pojawi się światło. Mojej córce został tylko rok

w college'u, a to prawdziwa mądrała. Ale mój syn — mówimy o czarnym chłopaku, który testy końcowe zaliczył w górnym piętnastym centylu, mógł wybrać każdy uniwersytet, jaki by tylko zechciał — co on robi? Rezygnuje i wyjeżdża do Afryki. Do Afryki! Najbardziej żalosego, cholernego kontynentu na ziemi. Byłem tam z Korpusem Pokoju jakieś dwadzieścia pięć lat temu, więc wiem.

— A ty czym się teraz zajmujesz?

— Och, administracją uniwersytecką — powiedział z przesadzonym akcentem Murzyna z plantacji. — To dlatego robię polityczną rundkę po takich imprezach. Możesz sobie wyobrazić, jak mnie to kłuje.

— Tak, też czuję te ukłucia. Masz ochotę wyjść na patio?

— Właściwie powinienem już wracać do domu. Odprowadź mnie do samochodu.

— Zgoda. — Rozejrzała się. — Miałam niezaplanowane efektowne wejście, może będzie spokojniej, jak wyjdę przez kuchnię.

— Ja nie mogę korzystać z kuchennych drzwi, panienko. Zrobię rundkę, pożegnam się i zobaczymy się przed domem.

Ruszyła w kierunku kuchni, ale dostrzegła matkę stojącą przy zlewie z rękoma w mydlinach i gawędzącą z Cubą, która obok niej powoli wycierała talerze, podczas gdy wokół nich krążyła obsługa wyglądająca, jakby właśnie zeszła z desek surfingowych. Cam skrzyła i przepchnęła się przez tłum na patio. Nawet pochodnie nie zdołały od-gonić wieczornego chłodu, dlatego było tam pusto. Dostrzegła przejście w żywopłocie i, zerknąwszy za siebie,

prześliznęła się przez nie. Wyszła niedaleko sztucznego strumienia z mini wodospadem, za którym było coś, co wyglądało na pole golfowe. Stała przez chwilę, oddychając głęboko nocnym powietrzem przesyconym słodkim zapachem i wpatrując się w gwiazdy. Nieczęsto je widziała na Manhattanie, a teraz patrzenie w nie sprawiło nie tyle, że poczuła się nieistotna, ile zaczęła zastanawiać się nad swoim miejscem w świecie i żałować, że obok nie stoi Sam i jej nie obejmuje.

Gdy wzrok przyzwyczał się już do ciemności, dostrzegła, że jest koło potrójnego garażu. Okrążyła go, zaskoczona, że gdzieś tam buty zapadają się jej w miękkiej ziemi, i wyszła przed dom koło gigantycznej choinki.

H.A. stał, paląc papierosa, w dole podjazdu bliżej ulicy.

— Udało ci się — powiedział, machnięciem odprawiając parkingowego, który spieszył im pomóc, i wziął ją pod rękę. — To ta stara honda pod wielkim dębem. — Szli w milczeniu. Otworzył drzwi od strony pasażera, zdjął z fotela książki, pomógł jej wsiąść, przeszedł na drugą stronę, zamknął za sobą drzwi, zgasił papierosa w popielniczce i się roześmiał. — Niczym dzieciak, tak się ulotnić, żeby nikt nie zauważył. Pamiętasz, jak namówiłaś mnie na urwanie się z lekcji?

— Nie przypominam sobie. Dokąd poszliśmy?

— My nigdzie. Ty chyba wagarowałaś ze swoimi znajomymi. To był piękny dzień i uznałaś, że nie chcesz go marnować na lekcje. Musiałem mieć zszokowaną minę, bo byłaś pewna, że ja się na to nie odważę. Pomyślałem, że może pójde na ryby, ale tak się bałem, że zostanę przyłapany na wagarach, że trochę posiedziałem w lesie, potem

ukryłem się w swoim pokoju, a kiedy moja mama wróciła z pracy, powiedziałem jej, że boli mnie brzuch. Nie był to *Wolny dzień pana Ferrisa Buellera*, ale hej, ciebie nic nie mogło powstrzymać. Już szykowałeś się na inną planetę. Byłaś prawdziwym przykładem. „Prowincjonalne”, mówiłaś, wytwornie przeciągając samogłoski, kiedy coś ci się nie podobało. „Prowincjonalne”.

— Długo to ćwiczyłam przed lustrem.

— Powiedziałaś to kiedyś, gdy jacyś kolesie rzucili rasistowską uwagę, a ja już się szykowałem, żeby ich walnąć. Dorastanie w bazach — no sama wiesz, jak było — tam też istniała dyskryminacja, ale nie tak widoczna. Wszystkich obowiązywały te same zasady. Ranga była ważniejsza od rasy. A kiedy ci kolesie w szkole nazwali mnie cizią z dżungli czy jakoś tak, naprawdę mnie to ruszyło. A ty to usłyszałaś i kiedy miałem się na nich rzucić, powiedziałaś: „Och, Hannibal, nie zwracaj uwagi na tych prostaków. Są tacy prowincjonalni”.

— Trudno mnie nazwać Joanną d'Arc.

— Tak, ale zadziałało. Dlatego to zapamiętałem.

— Zawsze myślałam, że zostaniesz wojskowym.

— To było pragnienie mojego taty, żebym został. Często powtarzał: „Twoi dziadkowie łowili krewetki i mieszkali w dwupokojowej ruderze. Wojsko to jedyna instytucja, która nas sprawiedliwie potraktowała. Dlaczego chcesz się do niej odwrócić plecami?”. Nawet teraz mówi: „Generał Colin Powell to jedyny czarny, który ma szansę na urząd prezydencki” — jakbym to ja mógł być Colinem Powellem, gdybym tylko nie uparł się zrobić mu na złość. Do diabła, dorobił się jedynie sierżanta, ale zawsze sądził, że

zostanę oficerem. A ja poszedłem na studia i uświadomiłem sobie wiele spraw. Czytałem Franza Fanona, nosiłem koszulkę z twarzą założyciela Czarnych Panter i nie ścinałem włosów. Też przeszłaś przez poszerzenie świadomości? — Uśmiechnął się szeroko. Odwzajemniła uśmiech.

— Jasne. To było moje główne zajęcie przez jakieś dziesięć lat.

— No i tak — wysunął niepewnie kolejnego papierosa z paczki. Skinęła głową, więc otworzył okno i mówił dalej. — No i tak wykluczyłem wojsko. — Oparł ręce na kierownicy, potrząsnął głową i patrzył przed siebie. — A taki byłem dumny z taty, kiedy dorastałem, chociaż dostawałem lanie, jeśli o centymetr przekroczyłem wyznaczone granice. Zawsze wyglądał tak porządnie. Kanty w spodniach, wypomadowane włosy, wypolerowane buty, krawat prosto. Jak spod igły. „Tak, proszę pani. Nie, proszę pana. Jeśli nabrudziłeś, posprzątaj. Pożyczyłeś, oddaj”.

— „Jeśli coś cenisz, dbaj o to. Jeśli to nie twoja sprawa, nie zadawaj pytań. Jeśli coś zepsuje czyjąś reputację, zachowaj to dla siebie”. — Cam zaśmiała się. — Tych zasad było chyba z pięćdziesiąt. A co robią teraz twoi rodzice?

— Mama zmarła, jak tata szykował się na emeryturę. Z początku było mu ciężko — z powodu emerytury chyba nawet bardziej niż przez jej odejście, jak sadzę. Ale teraz jest chyba szczęśliwy, albo byłby, gdyby jego dzieci musiały go słuchać. Kupił małą farmę niedaleko Waycross, gdzie mieszka jego siostra. Hoduje kury i świnię, sadi warzywa, nawet robi pikle i sosy i rozdaje je ludziom w święta.

— Mój ojciec chyba nigdy nie był szczęśliwy jako cywil. Przynajmniej nie interesowało go zacisze domowe, jakiego chciała matka. Ponieważ wychował się w sierocińcu, sądzę, że idea domu i rodziny zawsze go pociągała — ale rzeczywistość?

— Pamiętam twojego tatę. Wyglądał jak z plakatu werbunkowego. Zawsze myślałem, że pochodzi z długiej linii znakomitych wojowników.

— Jeśli tak, to nigdy ich nie poznał. Zabawne, ale nawet nie myślałam, że jest coś dziwnego w tym, że mam tylko jednych dziadków, aż do pewnego ranka, kiedy przy śniadaniu doszło do wyjątkowo poważnej kłótni...

— Moi rodzice też zawsze kłócili się przy śniadaniu. Do dziś mogę wypić rano tylko kawę.

— Matka nazwała go bękartem. Nigdy nie słyszałam, żeby wcześniej używała tego słowa. Miałam chyba dziesięć lat. Lubiłam czytać historie królewskich rodów, ale nigdy nie łączyłam tego słowa z kimś, kogo znałam. Kiedy go tak nazwała, mało jej nie zabił. I wtedy wszystko poskładałam. — Urwała, zastanawiając się, czy nie powiedziała za dużo. „Nic, co zostało powiedziane w tym domu, nie wyjdzie poza jego drzwi”, brzmiała jedna z zasad, i nadal jej przestrzegała, dlatego tak bulwersowało ją zachowanie Evie. Ale to co innego.

Być może siedzenie w mroku samochodu zaparkowanego pod ogromnym dębem oraz chłodna bryza wpadająca przez okno i poruszająca porastającą drzewa oplątą, która rzucała cienie na przednią szybę, sprawiły, że chciała mówić. A może dlatego, że oboje sobie ufali i wiedzieli, że prawdopodobnie nigdy się już nie spotkają.

— Taak, tata uwielbiał ideę domu i rodziny — powtórzyła — ale bardzo nienawidził rzeczywistości. Wojsko nie było dla niego przygodą czy powinnością, ani nawet sposobem na życie — to był jego żywioł. Z dala od niego cierpiał, jak cierpiałby delfin, gdyby go wyjąć z oceanu. Kiedy przyjeżdżał do domu, był naprawdę szczęśliwy, ale to nigdy nie trwało długo.

Pamiętała podeksycytowanie, świąteczny nastrój jego powrotów do domu, starania Josie, żeby był to szczególny moment, ale po kilku dniach zaczynała swoje „proszę nie” — proszę, nie pal w domu, bo zasłony przesiąkają zapachem; proszę, nie kładź nóg na meblach; uważaj, nie pobrudź oparcia olejkiem do włosów. Z początku był posłuszny, ale bardzo szybko patrzył na ozdobne serwetki pod talerzykami jak na robaki, które miał ochotę przegonić. Siadał w rozpadającym się skórzanym fotelu, oglądał telewizję niewidzącym wzrokiem, usiłował czytać i nie był w stanie się skupić. A poziom burbona w butelce ciągle się obniżał, ale nikt o tym nie mówił. Czasami robił się tak niespokojny, że musiał ćwiczyć pompki w salonie. Josie chciała, żeby przyciął żywopłoty albo skosił trawnik, ale chodził po ogrodzie, jakby to był wybieg w zoo. Innym razem mówił, że idzie do sklepu, i znikał na pół dnia. Zdarzało się, że jechał na plażę lub do kina i zabierał Cam ze sobą. A ona była więcej niż szczęśliwa, że ma go dla siebie, może go rozbawić, wyciągnąć z dusznej atmosfery domu.

— Ja też nie byłam wielką zwolenniczką domowego ogniska. Zawsze chciałam — wymówiła te słowa, jakby były w cudzysłowie — „życia pełnego przygód”. Spytałam

kiedyś ojca, dlaczego się ożenił, a on na to — nigdy tego nie zapomnę — „mężczyzna jest spełniony dopiero wtedy, kiedy się ożeni, a wtedy jest skończony”.

— Nie myślałaś o armii?

— Nigdy. Ani razu. Pewnie moja świadomość nie była aż tak rozwinięta.

— Moja młodsza siostra pracowała w wojsku jako pielęgniarka, ale przede wszystkim dokonała takiego wyboru ze względu na tatę. Choćby do śmierci urabiała sobie ręce po łokcie, on i tak nie będzie w pełni zadowolony. Ale nadal staje po jego stronie, za każdym razem, kiedy on mnie krytykuje. I bądź tu mądry.

— Czasami — ciągnęła Cam, ponieważ nie miała poczucia, że jej przerwał, było raczej, jakby śpiewali w duecie — jechaliśmy pod namiot. Ale kiedy mieli naprawdę na pieńku, wyciągał patelnię i namiot z szafek i jechał sam. Mama czuła się zraniona. Wówczas nigdy nie patrzyłam na to z jej perspektywy. — Westchnęła. — Kiedy wracał, przypominało to nieco inwazję. Panował taki niepokój — jak będzie wyglądał i się zachowywał — i drobina urazy, że ja też będę musiała go słuchać. Ale kiedy znowu wyjeżdżał, zdarzało się, że płakałam przez parę dni. Bałam się, że nigdy nie wróci.

— Tak, te powroty i rozstania były bardzo wyczerpujące emocjonalnie. Do dziś nienawidzę pożegnań. Zawsze załatwiam je ostro i chłodno. Jak salut.

— Postępuje podobnie. — Pomyślała o ostatnim spotkaniu z Samem. — Mama zawsze powtarzała, jak to będzie cudownie, kiedy on przejdzie na emeryturę, ale chyba nigdy w to nie wierzyłam. Oczywiście od dawna mnie już nie było, kiedy to się stało.

Ale przyjechałam w odwiedzinę akurat wtedy, kiedy odszedł z wojska, a ona naciskała go na kupno domu w The Point. Nie chciał tego i tak naprawdę nie było ich na to stać.

Dziwne, pomyślała, być może po raz pierwszy, że jej rodzice nie mieli żadnych oszczędności, chociaż Josie nigdy nie była rozrzutna.

— Wtedy wpadła na pomysł pensjonatu. I to go dobiło. Wykończyło go. Miał spędzić resztę życia jako cholerny hotelarz. Nie wydaje mi się, że kiedykolwiek będę potrafiła to jej wybaczyć, im wszystkim wybaczyć. Bo była tam Lila, która powtarzała: „Masz rację, mamó” i Evie ze swoim: „Jejku, rany, sama nie wiem”. A kiedy miał wylew, to ja zdecydowałam, żeby go odłączyć, bo wiedziałam, że lepiej umrzeć, niż tak żyć.

Nie zdawała sobie sprawy, że ciało jej zeszywniało, a dłonie zacisnęła w pięści, dopóki jej nie objął.

— Znam rodzinne kłótnie — powiedział ściszym głosem, przyciągając ją do siebie. — Bola. Bardzo bola. To nie tyle rana, ile pęknięcie skóry, które nie chce się goić. Nie rozmawiałem z ojcem przez osiem, może dziesięć lat po wielkiej awanturze, że nie idę do wojska. I dopiero Constance, moja żona, to zmieniła. Zaczęła mu wysyłać zdjęcia naszych dzieci. Nawet on nie mógł karać za moje winy swoich wnuków. A w twoim życiu jest ktoś? To znaczy jakiś mężczyzna?

— Nie. Tak — potrząsnęła głową. — Jeśli brzmi, jakbym się pogubiła, to tak właśnie jest. Jest mój chłopak, Sam. — Zaśmiała się krótko. — Chłopak! Ależ to idiotycznie brzmi w naszym wieku. „Przyjaciel” to nie do koń-

ca to, „kochanek” brzmi jak z rzewnej piosenki, a „druga połowa” jak żart.

— Jesteś zakochana?

— Czasami wydaje mi się, że brakuje mi go z przyzwyczajenia, a czasami ogarnia mnie... tęsknota. Chyba więc odpowiedź brzmi: tak.

— Chciałbym móc tak powiedzieć o Constance.

— Cóż, po dwudziestu paru latach trudno o przyspieszony oddech i bicie serca.

— U nas tego nigdy nie było. Constance była urocza, inteligentna i ambitna. Nadal jest. Mieliśmy takie same cele, osobiste i społeczne, więc uznałem, że łatwiej nam będzie zrealizować je wspólnie. Ale bicie serca? Nie. Gdybym miał teraz wybrać partnera w interesach, wybrałbym ją. Problem w tym, że hipoteka jest niemal całkiem spłacona, a mnie już nie zależy ani na domu, ani na basenie, ani na samochodach i mam potąd rasowej walki w szkolnictwie wyższym. Constance nadal walczy o słuszną sprawę. Jest tak zaangażowana w komitety i organizacje, że chyba nawet nie zauważa, czy jestem w domu, czy mnie nie ma. A ja... nie, żebym był zainteresowany innymi kobietami, ale siedzę w swoim biurze i mam dziwaczne fantazje — zbieram przedmioty wyrzucone przez morze albo jestem barmanem w jakiejś dziurze na Ziemi Ognistej. Nikt mnie nie zna, nalewam rum i patrzę, jak nadciągają fale przyboju, a bugenwilla wspina się po bielonej ścianie.

— Kryzys wieku średniego — skomentowała bez cienia sarkazmu.

— Czy czarny może sobie na taki kryzys pozwolić? — I sam sobie odpowiedział: — Nie wydaje mi się. A przy-

najmniej nie, jeśli zmienił się we wzór do naśladowania: dobry mąż i ojciec, filar społeczeństwa, oświatowiec. Może nie jestem Colinem Powellem, ale wiem, co oznacza bycie „chlubą swojej rasy”. Rozczarowałbym mnóstwo osób, w tym siebie, gdybym uchylił się od odpowiedzialności.

Przytaknęła, trzymając głowę na jego ramieniu. Kiedyś może powiedziałaaby coś więcej, ale teraz była w wieku, w którym wiedziała, że cierpliwe wysłuchanie jest często najlepszą rzeczą, na jaką może zdobyć się przyjaciel.

Najpierw jedno, potem drugie światła mignęły im w tylnym lusterku i usłyszeli głosy.

— Chyba — szybko cofnął rękę — przyjęcie się kończy.

Wyprostowała się, nagle uświadamiając sobie, że wyglądało to, jakby się przytulali.

— Mam nadzieję. Jestem tak zmęczona, tak skołowana. Hannibal...

— Hannibal — powiedział śpiewnym głosem ucznia recytującego wyuczoną lekcję — przekroczył Alpy z czterdziestoma tysiącami mężczyzn i stadem słoń. Pokonał Rzymian w jednej z najsłynniejszych bitew w historii, ale gdy nie mógł obronić Kartaginy, zażył truciznę i umarł, nie chcąc być więźniem.

— Chyba nie myślisz o wzięciu trucizny? Zaśmiał się.

— Raczej zacznę od Ziemi Ognistej. Ale trudno dorównać takiemu patronowi. — Odwrócił się do niej. — Cam. Rozmowa z tobą...

— Z nikim tak nie rozmawiasz?

— Wiesz, że mężczyźni rozmawiają o takich rzeczach z kobietami. Ale rozmowa z taką, którą zna się z dzieciństwa...

— Która tu już nie mieszka.

— Jasne. To też. Czuję się bezpiecznie. To chyba najlepszy tegoroczny prezent gwiazdkowy.

Otworzyła drzwiczki.

— Nie licząc prenumeraty „Sports Illustrated”.

— Ba. Może będę w Beaufort przed świętami. Mogę wpaść do domu twojej mamy?

— Koniecznie. — Zaczęła wysiadać, odwróciła się i cmoknęła go w policzek. — Dobrze było z tobą pogadać. Mam nadzieję, że się jeszcze spotkamy, chociaż po to, by wymienić adresy.

— Tak, psze pani — zasalutował.

— Dobranoc, Hannibal.

Wracając do domu, drżała z zimna. Kierowcy uruchamiali silniki, a grupki gości guzdrały się przy drzwiach frontowych, przeciągając pożegnania. Jeden z mężczyzn, mocno wstawiony, zataczał się przy choince na trawniku, pytając: „Czy to nie najpiękniejsze drzewko, jakie kiedykolwiek widziałas, Eleanor?”, a kobieta, która musiała być Eleanor, usiłowała go przytrzymać, zapewniając: „Nasza choinka też jest ładna, Fred. Chodź, pokażę ci”.

Cam postanowiła wejść do domu tylnymi drzwiami.

Lila stała z opuszczonymi rękoma, wpatrując się w spizarnię. Za nią ekipa cateringowa pakowała rzeczy, a Josie pomagała Cubie włożyć płaszcz.

— Ej, kretynie — usłyszała Lila, jak jeden szepcze do drugiego — nie bierz tego. To należy do klienta.

Wiedziała, że powinna ich nadzorować albo rozliczyć się z Cubą, a w ogóle to powinna stać przy drzwiach frontowych z Orriem i mówić do odchodzących gości: „Jak się cieszę, że przyszliście”, ale przeszła przez kuchnię, zatrzymała się przy drzwiach, a potem zawróciła i ruszyła szybko długim korytarzem do sypialni.

Nie chciała trzaskać drzwiami, ale zamknęły się z hukiem. Minęła łóżko, wróciła, położyła się i przycisnęła ręce do piersi. Dlaczego się nie sprzeciwiła? Dlaczego nie powiedziała, że nie będzie zmieniać swoich planów świątecznych, że nie chce, żeby Cam przychodziła na jej przyjęcie. Gorzka flegma podeszła jej do ust, jakby rozpuściła się w jej gardle pigułka, której nie mogła przełknąć. Cóż, spodziewała się kłopotów i miała rację. Dosłownie zbierało się jej na wymioty.

Usłyszała stukanie do drzwi i głos Josie:

— Lilu, mogę wejść?

Nie zadała sobie trudu, żeby odpowiedzieć. Jeśli matka pyta, czy może wejść do twojego pokoju, prawdopodobnie to tylko pytanie retoryczne.

Josie zostawiła otwarte drzwi, więc do środka wpadał snop światła z korytarza, a sama usiadła w nogach łóżka i położyła dłoń na stopie córki, zwalczając chęć powiedzenia jej, że butami może zabrudzić jasnokremową atlasową narzutę.

— Coś się stało?

Lila potrząsnęła przecząco głową.

— W salonie jest kilku maruderów. Może chcą się z tobą pożegnać. — Lila milczała. — Myślę, że przyjęcie się udało. Ludzie chyba dobrze się bawili — mówiła Josie cichym głosem. — I — dodała, choć w duszy zgadzała się z Cubą, że uczta nie była warta swojej ceny — ta firma zrobiła świetną robotę, ale zostało mnóstwo jedzenia. O tej porze roku wszyscy są syści.

— Znowu to zrobiła — powiedziała Lila zduszonym głosem. — Wiedziałam, że to zrobi.

— O czym...

— Nie udawaj, że nie wiesz, mamó. Nie zmuszaj mnie, żebym ci wszystko przypominała. Ona zawsze wszystko psuje. Zawsze.

— Lilu, to nie jej wina, że lot się opóźnił.

— Potem robi wielkie wejście akurat wtedy, kiedy podaję jedzenie. Jest ostentacyjnie uprzejma wobec innych gości. Coś sobie szepcze i flirtuje z Bedfordem Bethune, a potem kłóci się z Evie przy bufecie. Evie mi o tym powiedziała. Cam naskoczyła na nią tylko dlatego, że wspomniała o pićiu.

— Wiem na pewno — powiedziała cicho Josie, wstydząc się przyznać, że się przyglądała — że Cam nie piła.

— A potem... potem — Lila podniosła się na łokciach — wychodzi z przyjęcia i obcałowuje się z HA. Staplesem!

— Lila! Nie wierzę...

— Jeśli chodzi o Cam, to nawet jak coś widzisz na własne oczy, nadal w to nie wierzysz.

— Wiem, że wyszła, ale...

— Mamó! Liz Heffernan mi powiedziała. Liz i Sid podeszli do swojego samochodu i ich zobaczyli. Liz zostawiła

szal w domu i kiedy po niego wróciła, to mi opowiedziała. Zobaczyli Cam i H.A. Staplesa, jak się obściskują w jego aucie. Liz obróciła to w żart — powiedziała: „Wiem, że w Nowym Jorku chodzą i mówią szybko, ale nie wiedziałam, że aż tak szybko się podrywają”. On jest w typie Cam, prawda? Pierwszy wieczór i już musiała wszystkich zszokować, musiała nam to zrobić. — Usiadła, wysuwając stopę spod dłoni Josie i krzyżując ręce. — Wszyscy wiedzą że małżeństwo H A. się rozpada. Dla mnie Cam to nie jest piękność, ale nie jestem facetem. Oni są ślepi w przypadku kobiet, które rozkładają przed nimi nogi.

— Lila! Jak ty mówisz o swojej siostrze? — Padł na nią cień i Josie się odwróciła.

Z korytarza zawołał Orrie.

— Hej, kochanie, jesteś tam? Josie odpowiedziała:

— Troszkę ją boli głowa i omawiamy przyjęcie.

— Świetne przyjęcie, złotko. Przykro mi, że nie czujesz się dobrze. Dasz radę zejść na chwilę i pożegnać się z Pearsonsami?

— Oczywiście. — Lila wstała, zapaliła lampkę na toaletce, wzięła patyczek kosmetyczny i wytarła smugę tuszu spod oka, przesunęła szczotką po włosach i wyszła z pokoju.

Josie siedziała na łóżku. Nie mogła uwierzyć w to, co powiedziała Lila, ale musiało tkwić w tym ziarno prawdy. Ogarnęło ją wielkie zmęczenie — takie samo wycieńczenie, jakie poczuła jako młoda matka zmuszona do siedzenia w baraku z blachy falistej, kiedy wszystkie dzieci jednocześnie były przeziębione, a ona ciągle coś przynosiła

i odnosiła, i usiłowała zapobiec nieustannym rywalizacjom oraz sprzeczkom — „Mamo, to niesprawiedliwe”, „To ona zaczęła”, „To jej wina” — dopóki nie poczuła, że zaraz oszaleje. Teraz jej dzieci były kobietami w średnim wieku i nadal robiły to samo. A ona nie miała ani chęci, ani siły na godzenie ich. Wyszła kiedyś z tamtego baraku, po prostu zdjęła fartuch, zamknęła na klucz drzwi i zostawiła dzieci same. Poszła nad wodę. Miała ochotę iść dalej, aż zakryłyby ją fale, ale usiadła na pomoście i wpatrywała się w ocean, dopóki nie zorientowała się, że jacyś mężczyźni na nią patrzą. Szalona kobieta w kapciach. Wtedy wstała i wróciła do baraku.

Teraz też wstała, wygładziła narzutę, wyłączyła lampkę na toalecie Liii, nie patrząc w lustrzane odbicie swojej twarzy, i poszła do kuchni, mając mimo wszystko nadzieję, że nie trzeba będzie szukać Cam, a Dozier jest już gotowy zabrać je do domu.

— Dozier, jesteś za stary, żeby tak szybko jechać — powiedziała Edna po raz drugi.

— Chcesz znać moją definicję słowa „stary”, słonko?

— spytał Dozier. — Stary to ten, który ma zawsze piętnaście lat więcej niż ja. — Ale zmniejszył nieco prędkość.

Cam uchyliła okno i spojrzała na Josie. Zapowiadało się na długą drogę do domu i to nie dlatego, że Dozier włókł się teraz sześćdziesiąt pięć kilometrów na godzinę. Wyczuwała, że coś jest nie w porządku, ale nie wiedziała, o co chodzi. Wyjaśnienie Josie, że siostra ma migrenę, nie tłumaczyło chłodu pożegnania Liii, zarówno z Cam, jak

i z Josie. Edna też to dostrzegła i od chwili, kiedy znaleźli się w samochodzie, usiłowała wywęszyć przyczynę. Jako że Josie ignorowała jej pytania, Edna zaczęła mówić o różnych gościach, jakby byli towarami wystawionymi na przydrożnym straganie: asystentka Orriego nieźle się trzyma, Marge Larson jest przejrzała, a Evie wygląda kwitnąco.

— Nie uważacie, że Evie wygląda cudownie? — spytała.
— Bo moim zdaniem wyglądała precudownie — odpowiedziała sama sobie. — Sądziłam, Josie, że przyjedzie dziś do ciebie razem z Cam.

— Tak planowała — odpowiedziała Josie — ale ci znajomi Jaspera, państwo Cremoni, jechali na jeszcze jedno przyjęcie i zaprosili ją.

— Rozumiem — powiedziała Edna.

— W zasadzie Jasper ją namówił, żeby się z nimi wybrała.

— Aha, rozumiem — powtórzyła Edna, dając do zrozumienia, że dostrzega w tym znacznie więcej niż inni.

Dozier włączył radio. Leciał stary przebój *Take the „A” train*. Edna wyłączyła radio.

— Chyba wszyscy jesteśmy zbyt zmęczeni, żeby tego słuchać. — Dozier potaknął i zaczął coś sobie cicho nucić. Edna odwróciła się. — Josie, gdzie były dzieci Liii? Byłam przekonana, że Susan i Richard wezmą udział w przyjęciu.

— Nie wydaje mi się, żeby w tym wieku przyjęcia rodziców były dla nich atrakcyjne — odpowiedziała Josie.

— Hm, musi być im trudno mieć ojca, który znalazł się w centrum uwagi. Ludzie zawsze szukają jakichś brudów w życiu polityków. Widziałaś rodzinny portret na ulotkach Orriego, Cam?

— Nie — wymamrotała Cam, jakby przysypiała i żalowała, że tak nie jest.

Eclna cmoknęła współczująco:

— Widać, że Ricky nie jest za szczęśliwy. To pewnie trudne dla dzieciaków w jego wieku.

Cam rzuciła Josie spojrzenie i poklepała ją po rękę. Obie wiedziały, że po wyrażeniu zaniepokojenia problemami w ich rodzinie Edna przejdzie do opowieści o swoim spokojnym i szczęśliwym życiu. I tym razem ich nie rozczarowała. — Mój wnuk, Chip — ciągnęła — jest w wieku Ricky'ego, ale nadal lubi uczestniczyć w rodzinnych spotkaniach. Powiedział mi, że nigdzie się tak dobrze w zeszłym roku nie bawił, jak na naszym wielkim zjeździe.

— Nie wątpię — szepnęła Cam do ucha Josie i nawet w ciemności dostrzegła, że wyjątkowo zmęczona twarz jej matki zmarszczyła się w uśmiechu.

— A co tam u Chipa? — Cam spytała głośno, wiedząc, że ten temat zajmie co najmniej pięć minut przechwałek. Na podobne pytania o pozostałych kuzynów Edna odpowiadała aż do Broad River. Kiedy ją przekraczali, Cam wyjrzała na bezmiar oświetlonej światłem księżycy wody i otworzyła okno, wdychając słono-słodkie powietrze. Może Bedford Bethune miał rację: najlepsze w tej wizycie jest samo miejsce.

— A to — powiedziała Edna, kiedy przejechali kolejne kilka kilometrów—jest nowe centrum handlowe Cross Creek. Kiedy byłaś tu ostatnim razem, te tereny musiał jeszcze porastać las.

Cam zobaczyła ogromny, pusty parking, na miejscu którego niegdyś rosły sosny, a za nim ciągi sklepów, w tym wielki Wal-Mart, oświetlone upiornie zimnymi światłami, oraz strażnika drzemącego w chevrolecie, samotnego obrońcę stoiska z choinkami reklamującego się napisem „wyprzedaż”.

— Może wezmę twój samochód i przyjadę tu jutro, mam — powiedziała, udając zainteresowanie. — Muszę kupić kilka rzeczy. — Na przykład test ciążowy, pomyślała.

— Już prawie jesteśmy w domu — zapewnił je Dozier, który cicho nucił *String o'pearls*, kiedy Edna wskazała na skupisko pozbawionych charakteru budynków miejskich na miejscu kolejnego lasu. Dostrzegli błysk wody, gdy skręcili w Cartaret Street, minęli college i nową bibliotekę, potem wjechali w niemal opustoszałe ulice dzielnicy The Point, enklawy dostojnych i ekscentrycznych domów ocienionych przez zimozielone dęby.

— Wjedź do was, my przejdziemy — powiedziała Josie.

— Bez kieliszeczka na dobranoc?

— Nie dziś. — Josie zauważyła, że w jej domu palą się wszystkie światła. Upadła na duchu, kiedy przypomniała sobie o pani Beasley. — Mam gościa, Cam jest od rana w drodze, a ja chcę wstać wcześniej, żeby odwiedzić Peatsy, no i wiem, że wy też macie mnóstwo rzeczy do zrobienia jutro, więc chyba na dziś koniec.

— O co chodziło z Lilą? — Edna niemal wybuchła, gdy Josie wyciągnęła rękę, żeby otworzyć drzwi. — Wyglądała, jakby ktoś jej nadepnął na odcisk, kiedy wychodziliśmy.

— Mówiłam ci — powiedziała spokojnie Josie — że ma migrenę. O tej porze roku wszyscy usiłują zrobić więcej, niż mogą. Każdy jest spięty.

— Może była zirytowana, że Cam wyszła z przyjęcia.

— Edna była jak nieugięta łowczyni, polowała na swoją ofiarę ponad godzinę i musiała wystrzelić wszystkie pociski.

— No właśnie, gdzie byłaś, Cam?

— Och, spotkałam kolegę, z którym chodziłam do liceum. H.A. Staples. Chyba nikt z was go nie zna. Nigdy nas nie odwiedzał.

— Ten czarny, który wygląda jak Harry Belafonte? — spytała Edna.

— Uhm — potwierdziła Cam, choć Hannibal w ogóle nie był podobny do Harry'ego Belafonte. — Wspominaliśmy dawne czasy. Dobrze mi się z nim rozmawiało.

— Pchnęła drzwi i odwróciła się do środka. — Wujku Dozier, otwórz, proszę, bagażnik. Mam tam neseser i torbę z prezentami.

Dozier pomógł Ednie, a potem Josie wysiąść z samochodu. Siostry ruszyły w dół podjazdu, zdawkowo omawiając swoje jutrzejsze plany, a potem przez ogrody rozeszły się do tylnych wejść swoich domów. Cam czekała, aż Dozier wyciągnie jej torbę z bagażnika, i przyglądała się obu budynkom.

— Zdecydowanie nie chcę wiedzieć, o co chodziło Liii

— powiedziała, tłumiąc ziewnięcie.

— Nie musiało to być nic szczególnego. — Ruszyli w ślady Josie i Edny. — Krewni nawzajem doprowadzają się do szału. Wiesz, co powiedział Linus: „Starsze siostry to chwast na trawniku życia” i... — Spojrzał na oba domy.

— Wiem coś o tym. Na pewno nie chcesz, żebym ci pomógł z tymi torbami?

Potrząsnęła przecząco głową, pocałowała go w policzek.

— Do jutra, wujku. Naprawdę cieszę się, że cię widzę.

— Wzajemnie, panno Camillo. — I poszedł do domu. Odwróciła się i weszła do ogrodu matki. Kępy narcyzów wydawały się fosforyzować w blasku księżyca i nadawały chłodnemu powietrzu słodki zapach. Josie zostawiła otwarte drzwi i kiedy Cam weszła po schodach na werandę, usłyszała kobietę, która mówiła głosem tak piskliwym i zaniepokojonym, jakby opowiadała o wypadku:

— ...i pomyślałam, że to jakiś podejrzany osobnik, więc...

— Nie, pani Beasley — uspokajała ją Josie. — Poznała już pani kota sąsiadów. Należy do pani Smiley, dwa domy dalej, pamięta pani? — Słyszac zamykające się drzwi, Josie urwała i odwróciła się do Cam. — Cam, to mój gość, pani Beasley. — Skinęła kobiecie siedzącej przy stole kuchennym. — Pani Beasley, to jest moja najstarsza córka, Camilla. Przyjechała do domu z Nowego Jorku na święta.

Pani Beasley wpatrywała się w Cam, jakby ją oszukiwano.

— Miło mi panią poznać — powiedziała Cam, choć wcale nie było jej miło. Pani Beasley miała jakby wgniecioną twarz, wypukłe oczy i nieprzyjazny wygląd rozpuszczonego pekińczyka. Jej włosy były nawinięte na malutkie piankowe wałki i przykryte siatkowym czepkiem dopasowanym do jasnoniebieskiego szlafroka i pluszowych kapci.

— Och, był do pani telefon — powiedziała pani Beasley.

— Do mnie? — Cam była zaskoczona. — Ale kto mógłby...

Josie westchnęła.

— Pani Beasley, mówiłam pani, że mam automatyczną sekretarkę, więc nie musi się pani kłopotać odbieraniem telefonu.

— Myślałam, że to może być coś ważnego. To była... — Wstała od stołu, kaczym krokiem poczłapała do aparatu i sprawdziła notatnik na ścianie. — Kobieta, która dzwoniła, chyba ma na imię Reba. Tu jest numer. To w Karolinie Północnej.

— To moja dobra przyjaciółka. Pamiętasz, jak ci mówiłam o Rebie, mamie? Pojechała odwiedzić rodziców swojej lepszej polowy w Durham.

— Wydawała się zdenerwowana — ostrzegła pani Beasley, wręczając jej karteczkę, zanim zwróciła się do Josie. — Mało nie podskoczyłam, kiedy usłyszałam to drapanie w drzwi kuchenne. Nigdy nie zostawałam sama w tym domu.

— Cóż, pani Beasley, wie pani, że to bezpieczna dzielnica. Przynieść pani do łóżka filiżankę ziołowej herbaty?

— Nie, nie, już w porządku, kiedy wiem, że jeszcze ktoś jest w domu.

— Dobrze. No cóż... — zaczęła Josie, zdejmując żakiet i idąc do jadalni, żeby wyłączyć światła. Cam ziewnęła, zasłaniając usta, i czekała, aż pani Beasley powie dobranoc, zerkając na zegarek, czy nie jest za późno oddzwonić do Reby.

— Lord and Taylor! — wykrzyknęła pani Beasley, wskazując na torbę, którą Cam postawiła na stole. — To jeden z moich ulubionych sklepów. Prezenty gwiazdkowe? — Cam potwierdziła i zabrała torbę, obawiając się, że pani Beasley zaraz zajrzy do środka i zacznie przeglądać zawartość pudełek.

— Przyjechałam tu do mojej siostrzenicy — kontynuowała pani Beasley, jakby przekazywała poufne informacje. —

Nie lubię zatrzymywać się u niej, ponieważ ma małe dzieci i nie chcę przeszkadzać. Ale zawsze namawiają mnie, żebym przyjechała na święta, więc zatrzymuję się u pani mamy.

Cam kiwnęła głową.

— To miło. — Zamilkła, po czym przeszła do telefonu, mrużąc: — Chyba oddzwonię.

Jak tylko zaczęła wybierać numer, usłyszała, że Josie wraca i pani Beasley mówi:

— Jednak powinnam się napić herbaty, żeby spokojnie zasnąć. Może wszystkie się napijemy? — I na wypadek gdyby jej propozycja została zignorowana, pani Beasley wzięła czajnik i zaczęła nalewać do niego wody. — Jak mówiłam, zawsze zatrzymuję się u pani mamy — trąkotała. — Tu panuje taka domowa atmosfera.

— To widać — Cam pozwoliła sobie na sarkazm, wiedząc, że pani Beasley i tak tego nie zauważy. Nie uszedł jednak uwagi Josie, która rzuciła jej ostrzegawcze spojrzenie.

— Rumiankowa czy malinowa? — spytała wesoło pani Beasley. Teraz, kiedy szperała w kuchennych szafkach Josie, miała wręcz radosny nastrój.

Cam osłoniła drugie ucho ręką, kiedy ktoś odebrał telefon i męski głos, burkliwy i śpiący, warknął: — Halo?

— Mam nadzieję, że nie przeszkadzam — zaczęła Cam, jeszcze raz zerkając na zegarek, czy na pewno jest

dopiero dwadzieścia po dwudziestej drugiej. — Próbuję się skontaktować z panią Rebą Golden.

Już miała przeprosić, że wykręciła zły numer, kiedy mężczyzna się odezwał.

— Ich tu nie ma — i rozłączył się.

— Tobie też życzę wesołych świąt, dupku.

— Coś się stało? — spytała pani Beasley z nadzieją.

— Nie zastałam swojej przyjaciółki — opowiedziała, tłumiąc kolejne ziewnięcie.

Josie, mając zrezygnowaną minę, rozstawiała filiżanki i spodki. Dobre maniery, zawsze mawiała, polegają na drobnych poświęceniach, lecz akurat teraz Cam nie miała ochoty nawet na najdrobniejsze.

— Jestem naprawdę zmęczona, mamo. Chyba już się położę.

— Ale chciałam z tobą porozmawiać, kochanie. — Josie spojrzała na panią Beasley, żywiąc niemądrą nadzieję, że może ta się zorientuje i zostawi je same.

— Porozmawiamy rano. Gdzie mam spać?

— Na górze pierwszy pokój po prawej. Pomogę ci zanieść bagaże.

— Dam sobie radę. — Cam wzięła torby.

— Na umywalce stoi lawendowa sól kąpielowa. Może po kąpieli...

— Dzięki. — Cam cmoknęła Josie w policzek i ruszyła ku schodom. Wchodząc po nich, czuła rozczarowanie bliskie rozżaleniu. Josie była tak cholernie pozbawiona egoizmu, że znajdowała czas dla wszystkich. Tak jak Niedźwiedź działał w hierarchii służbowej, tak Josie w „hierarchii troski” żon wojskowych. Jej drzwi zawsze były otwarte, a ona gotowa była wysłuchać tych w potrzebie.

Wysyłała kwiaty lub kartki z okazji śmierci czy choroby, urodzin czy awansu; organizowała spotkania przy kawie; pomagała znaleźć wózki z drugiej ręki dla dzieci lub prowadziła zbiórkę pieniędzy na szkolny komitet rodzicielski. I spodziewała się, że tak samo będą postępować jej córki. Złe manieri były równie niewłaściwe co noszenie brudnych butów. „Mnie jest wygodniej być uprzejmą”, mawiała Josie, ale, myślała Cam, u mnie jest na odwrót: wolę być nieuprzejma niż miła, przynajmniej dla takich jak pani Beasley.

— Drogi tato, dzięki Bogu nie dożyłeś bycia hotelarzem — wymamrotała Cam, odstawiając swoje torby i zamykając drzwi.

Nie miała siły na kąpiel w lawendowej soli, nawet nie zapaliła lampki, tylko w świetle księżyca siadła na łóżku z baldachimem, zrzuciła buty, ściągnęła spodnie i sweter, odsunęła narzutę i wsunęła się w pachnącą, miękką pościel.

Jakieś dwadzieścia minut później, po tym jak Josie przyglądała się pani Beasley pijącej herbatę rumiankową, żałując, że nie dosypała jej arszeniku, upewniła się, że tamta już podreptała na górę, i wypłukała filiżanki. Dała pani B. trochę czasu, po czym weszła na piętro i cicho zapukała do drzwi Cam.

— Pewnie już śpi — powiedziała pani Beasley, wystawiając głowę w siatce na włosy na korytarz.

— Chyba wszystkie już powinnyśmy spać.

— Przyjemnych snów. — I pani Beasley zamknęła swoje drzwi.

Cholera, ta kobieta jest wszędzie, jak epidemia!

Josic westchnęła, sprawdziła termostat, umyła ręce, twarz i zęby, odwiesiła ubrania i włożyła koszulę nocną, cały czas myśląc o Cam. Coś było nie tak z tą dziewczyną. Te cienie pod oczami nie wzięły się tylko od lotu z Nowego Jorku. I było coś dziwnego w mowie jej ciała, takie opanowanie i koncentracja — wyglądała jak tuż przed skokiem z wysokiej trampoliny na konkursie pływackim. Stanowczo jest coś nie w porządku. Ale pewnie były nikłe szanse dowiedzieć się co.

Czuła takie zmęczenie, że samo położenie się do łóżka było jak cudowny prezent, ale jak tylko się ułożyła, zadzwonił telefon. Rzuciła się do niego i odebrała po pierwszym dzwonku, przerażona, że dźwięk obudzi Cam albo panią Beasley, i niemal spadła z łóżka.

— Mamo, tu Lila.

— Tak, kochanie — wyszeptała, licząc, że córka zamierza przeprosić. — Jak twoja migrena?

Lila zignorowała jej pytanie i kontynuowała takim tonem, jakby omawiała szczegóły podpisania umowy handlowej.

— Dzwonię, żeby ustalić plany świąteczne. Nie przyjadę jutro, ale pojutrze — w Wigilię — wszyscy przyjedziemy po południu. Evie też się wybiera. I Jasper. Pomogę ci w kuchni, ubierzemy choinkę i pójdziemy na mszę Cuby jeśli będziesz chciała. Zostaniemy na noc. W ten sposób będziemy u ciebie już w święta od rana.

— Świetnie — powiedziała Josie, mimo zmęczenia, już w myśli układając, gdzie kogo położy spać. Susan i Ricky dostaną oddzielne pokoje, Evie może spać z Cam, a ponieważ pani Beasley ma pokój lawendowy, Liii i Or-riemu da pokój żółty. Nie zachwycał jej pomysł przenocowania Jaspera — zapamiętała, żeby kupić jeszcze jedną butelkę burbona — a ponieważ Lila nie przepadała za pichceniem, lepiej będzie, jak sama przygotuje świąteczny obiad. Postanowiła zrobić wszystko, żeby obyło się bez tarć. — Świetnie — powtórzyła. — A poza tym wszystko w porządku?

— Już prawie północ, a Ricky jeszcze nie wrócił.

— Cóż, w tym wieku...

— I Evie dzwoniła. Nadal jest z Jasperem i Cremonimi, chce u nas nocować.

Wiedziała, że nie ośmieli się poradzić Liii, żeby nie przejmowała się Rickym i Evie.

— Naprawdę uważam, że przyjęcie się udało, Lilu. Wszyscy wydawali się...

— Mamo, proszę. Dajmy temu spokój. Muszę odpocząć.

— I przerwała połączenie.

Josie nakryła się kołdrą pod brodę. Lila nigdy jej nie wybaczy zmiany planów świątecznych. Nigdy jej nie wybaczy, kropka.

Usłyszała odgłos spuszczonej wody w toalecie pani Beasley. Kiedyś, gdy była młodsza, czekając aż Niedźwiedź lub Cam wrócą do domu, Josie chodziła po domu, piekła ciasteczka, czytała książki z przepisami albo słuchała radia, gdy nie mogła zasnąć, ale odkąd Evie poszła do liceum,

oduczyła się tego pełnego niepokoju czuwania. Problemy, tak samo jak brudne naczynia, nie znikną do rana. Obróciła się na bok i zmusiła do zaśnięcia.

Wiatr uderzał gałęziami miodli o okno. Nie mogła przestać myśleć o Cam. Rura w jej łazience wydała czkający odgłos. Przypomniała sobie, jak Dozier powiedział, że bojler może przetrwać zimą, ale przed latem koniecznie trzeba przeprowadzić remont kapitalny klimatyzacji.

Usłyszała, jak zegar na dole wybija pierwszą.

Ulicą przejechał samochód, z którego słychać było głośną muzykę. Z pewnością żaden z jej sąsiadów nie jeździł o tej porze, słuchając rapu. To dość wyzywające zakłócenie spokoju, bynajmniej nie subtelny wyraz wrogości jak graffiti: MALCOM X RZĄDZI, które Edna znalazła na swoim sklepie kilka miesięcy temu. Edna chciała złożyć doniesienie na policji, ale Dozier się temu sprzeciwił. Napomknął o tym incydencie zaprzyjaźnionemu czarnemu mężczyźnie, który prowadził sklepik przy Green Street, gdzie często kręcili się nastoletni chłopcy, licząc na to, że starszyzna tej społeczności się tym zajmie. A potem wstał o świcie, zamalował napis i ogłosił koniec całej sprawy.

Podkurczyła nogi i zakryła je koszulą nocną, żeby je rozgrzać, zastanawiając się, czy nie będzie to w złym guście, jeśli wstawi grzejniki przenośne do pokoi.

Wolałaby przygotować świeżego indyka, ale pewnie dostanie tylko mrożone. Jeśli Cuba znajdzie czas i przyjdzie jutro na kilka godzin, to zdąży zrobić zakupy spożywcze. Puree z rzepy. Cam zawsze je uwielbiała, i dobrze pasuje do indyka. Nie może zapomnieć o kupnie rzepy. Oczywiście musi jeszcze odwiedzić Mawmaw i Peatsy...

Prosiła niebiosa, żeby Ricky wrócił do domu. Przewidywała kłopoty z nim od czasu, kiedy był w pieluszkach. Podobnie jak inni rodzice ze swojego pokolenia Lila i Or-rie byli skoncentrowani na dzieciach. Zawsze spełniali wszystkie zachcianki Ricky'ego i Susan, udając, że dają im wolny wybór, choć dzieci potrzebowały stanowczego prowadzenia, wręcz kategorycznych poleceń. Jak rodzic może należycie wychować dziecko, skoro nie jest gotowy na to, że czasem będzie znienawidzony? Nigdy nie ograniczali Ricky'ego i teraz w tym osiemnastolatku nie ma śladu dorosłości, używa pieniędzy, jakby produkowano je w garażu. „Karć syna: kłopotów ci to zaoszczędzi i pociechą twej duszy się stanie”. Pamiętała cytat z Biblii, ale za nic nie mogła sobie przypomnieć rozdziału i wersu. Z pewnością traci rozum.

Po pięciu minutach nieznośnej frustracji (jej Biblia leżała na dole i była przekonana, że szukając jej, obudzi pani Beasley) głos znikąd powiedział głośno: „Księga Przysłów 29,17”. Westchnęła z ulgą i poprawiła poduszki.

Słyszając znowu spluczkę u pani Beasley, zastanowiła się, dlaczego była tak bezmyślna, żeby pozwolić tej kobiecie wypić cały dzbanek herbaty. Wiedziała, że Cam jest na nią zła za spełnianie zachcianek gościa. Ale Cam nie rozumiała, że pani B. była gościem płacącym za pobyt. Poza tym, pani B. była samotną kobietą. A samotność to również paniczny lęk. Żadna istota nie pozostanie przy zdrowych zmysłach, jeśli go poczuje.

Zastanawiając się, czy ma dość orzechów pekanowych do zrobienia trzech ciast...

Cam obudziła się następnego ranka, przekopując przez pościel i odpychając poduszki, jakby coś ją dusiło. Łapiąc powietrze, zdziwiła się na widok baldachimu, a potem odwróciła na bok i się rozejrzała. Zupełnie jakby obudziła się w leśnej dolinie — te zielenie, róże i brązy skąpane w słońcu. Na tle tapety w stylu Williama Morrisa zdobionej uroczym wzorem winorośli i owoców granatu mieściła się szafa z orzecha włoskiego i dopasowana do niej komoda, dalej toaletka z marmurowym blatem i owalne lustro, stojący wieszak na ręczniki, dziewiętnastowieczne ryciny miejscowej flory, kryształowa misa z potpourri — miejsce na wszystko i wszystko na miejscu — z wyjątkiem kupki ubrań, które zrzuciła na podłogę. Bez wątplenia jej matka miała doskonały gust, ale starannie zaaranżowane wiktoriańskie zacisze domowe przyprawiało ją o mdłości. Jak ciężki głaz spadło na nią przypomnienie, że może być w ciąży. Tak, zdecydowanie ma mdłości. Ale też jest głodna jak wilk. Otworzyła drzwi na korytarz i poczuła intensywną woń kawy i cynamonu. Poszła do swojej łazienki, przemyła twarz wodą, sprawdziła, czy ma okres (niestety nie) i włożyła biały frotowy szlafrok wiszący na drzwiach. Ponownie otworzyła drzwi i popatrzyła w obie strony. Uspokojona, że nigdzie nie czai się gotowa do skoku pani Beasley, zeszła na dół.

Blask i ciepło wpadającego przez kuchenne okno słońca był zarówno zaskakujący, jak i zachwycający. Osłoniła oczy, jakby miała kaca, i podniosła kartkę leżącą na stole.

Cam,

Kochanie, wydawałaś się tak zmęczona, że nie chciałam Cię budzić. Pojechałam do szpitala do Peatsy. Wrócę przed jedenastą, a potem możemy odwiedzić Mawmaw.

Całuję, mama.

Cam nalała sobie kawy, wzięła bułeczkę cynamonową z tacy stojącej na kuchence i powoli przeszła do następnego pomieszczenia. Ponieważ nigdy tu nie mieszkała, miała niemal bezcielesne wrażenie, jakiego doznaje się chodząc samotnie po pustym obcym domu. Ściany w jadalni miały intensywną barwę kości słoniowej, a stolarka charlestońskiej zieleni. Stół w stylu królowej Anny, który mógł pomieścić tuzin osób, lśnił w słońcu wpadającym przez wysokie okna, ozdobione ciężkimi zasłonami z motywem palmy sabałowej i ananasa. Podobnie jak reszta domu ten pokój charakteryzował się subtelnym pięknem. Josie wreszcie miała taką jadalnię, o jakiej zawsze marzyła, szkoda tylko, że przy stole siadywali płacący za to goście, a nie rodzina.

Zatrzymała się przy kredensie, zlizła lukier cynamonowy z palców i dotknęła misy z ostrokrzewem. W tym antyku było coś znajomego i nagle zdała sobie sprawę, że kredens był przecież jedną z ulubionych rzeczy Mawmaw — ogromnym meblem pochodzącym z czasów, kiedy ludzie nie wskakiwali do samolotów, żeby przelecieć w jeden dzień pół świata, kiedy mieszkanie całe życie w jednym

domu nie było niczym niezwykłym. Na ścianie wisiał oprawiony list od pradziadka Mawmaw, napisany podczas wojny secesyjnej, który zaczynał się od słów: „Moja najdroższa i najbardziej umiłowana żono...”. Cam pomyślała, że Samowi by się to spodobało. Gdyby tu był, opowiedziałaby mu o pierwszym razie, kiedy pokazano jej ten list, a miała wtedy sześć lat. Mawmaw powiedziała wówczas, że to jedna z najbardziej wartościowych rzeczy, jakie posiada, a gdy spytała ją, ile kosztuje, Mawmaw odparła, z surowością, która utkwiała Cam w głowie, że te prawdziwie wartościowe rzeczy nie mają ceny.

Przechodząc do salonu, Cam zobaczyła zielono-kremowo-czerwony stylowy dywan, który Josie kupiła, mimo sprzeciwu Niedźwiedzia, kiedy podróżowali przez Turcję. Dywany, upierała się wtedy Josie, to dobra inwestycja. Można je wszędzie przewieźć, wysłać i przechowywać. Ponieważ nigdy nie mieli wystarczająco dużego domu, ten był przechowywany do czasu emerytury. Cam siadła ze skrzyżowanymi nogami obok choinki, przesuwając dłonią w tę i z powrotem po włosie dywanu, i wpatrywała się w pudełka z napisem OZDOBY. Pierwsze, które otworzyła, zawierało włosy anielskie i kolorowe bombki. Drugie oznaczono napisem SPECJALNE — OSTROŻNIE. Jego zawartość chroniły styropianowe kulki. Był tam mały srebrny samolocik (prezent od Josie dla Niedźwiedzia), zrobiony z laki motylek z Kyoto, ręcznie wyrzeźbiony konik na biegunach, bez wątpienia po jakimś dalekim krewnym, który go wystrugał i, na samym dnie, owinięty w różową bibułę, aniołek zrobiony przez Mawmaw — z ciałem z materiału, twarzą i rączkami z biskwitu

i ludzkimi włosami. Kiedy dotknęła lalki, zadrżała. Złote włosy należały do jednej z córek Mawmaw, Christiny, która zmarła na jakąś „staromodną” chorobę — szkarlatynę? koklusz? — gdy miała zaledwie cztery latka. Mawmaw zawsze wieszala Christinę na czubku choinki, mówiąc, że ma własnego aniołka.

Cam sądziła, że obsesja jej matki na punkcie domów i ich urzędzenia jest małostkowa, „kobieca” w negatywnym sensie tego słowa. Podejrzewała nawet, że Josie chciała ten dom, obok domu swojej siostry, ponieważ zazdrościła Ednie posiadłości i majątku. Ale teraz dotarło do niej, że pragnienie posiadania domu, jakie żywiła Josie, nie było wynikiem pazerności, a jej potrzeba niepozbywania się rzeczy nie tylko zachłannym zbieraniem. To sposób Josie na stworzenie centrum, na spojenie wszystkiego. Piękny dom był trwałością w nietrwałym świecie, małą utopią, w której starała się dać sobie i swoim najbliższym poczucie wygody, piękna, bezpieczeństwa. Instykt gniazdowania nie był byle „kobiecy”, ale głęboko samiczy.

Zawinęła aniołka, odłożyła go do pudełka, wróciła do kuchni, sprawdziła notatnik i wybrała numer przyjaciółki. Znowu odebrał mężczyzna, który powiedział: „Wesołych świąt” tonem równie radosnym, jaki można usłyszeć, wysłuchując w mediach: „To jest test systemu ostrzegania na wypadek sytuacji awaryjnej. To jest tylko test”.

— Przepraszam, że panu przeszkadzam — zaczęła. — Czy mogłabym rozmawiać z Rebą Golden.

— Nie ma jej tu. — Ta sama odpowiedź, jaką otrzymała zeszłego wieczoru, ale tym razem było w tym coś więcej, na przykład „wyszła” lub „wyjechała”.

— Ach... a kiedy się pan spodziewa, że wróci? Pauza. A potem szorstkie:

— Nie spodziewam się.

— Czy mogłabym zatem rozmawiać z Cheryl? — spytała szybko. Ale mężczyzna już się rozłączył.

Siedziała przy kuchennym oknie, pijąc trzecią kawę i wyglądając na zewnątrz, kiedy zadzwonił telefon. Sięgając po słuchawkę, pomyślała — głupio — że może Sam ją wytropił. Zamiast tego usłyszała znajomy gardłowy głos z akcentem z Bronxu.

— Dzień dobry. Tu Reba Golden. Czy zastałam Cam Tatternall?

— Reba, to ja. Właśnie próbowałam się do ciebie dozwonić.

— A to niepotrzebnie mówiłam dzień dobry. Powinnam zgodnie z prawdą zacząć od dzień gówniany.

— Gdzie jesteś?

— W motelu, w jakimś miejscu, które nazywa się Spartanburg, i wierz mi, jest spartańskie.

— Co tam robisz?

— Jem nachosy na śniadanie i oglądam telezakupy.

— Nie, chodziło mi o...

— Wyrzucili mnie.

— Kto?

— Rodzina Cheryl. No dobra, przesadziłam. Nie wyrzucili mnie. Tylko zachowywali się tak, żebym poczuła się jak coś, co kot przyniósł do domu, a potem pokłóciłyśmy się z Cheryl, więc wyjechałam.

— Och, Reba, tak mi przykro.

— No cóż. Wiedziałam, że to nie będzie bułka z masłem, ale w drodze omawiałyśmy, jak zamierzamy to przeprowadzić. No bo przecież nie odtańczymy namiętnego tanga i nie zrobimy im pierwszych homo świąt. Obiecałam nie dyskutować o polityce, seksie ani religii — a jak wiesz, są to jedyne tematy, które mnie naprawdę interesują. A Cheryl miała przynajmniej przyznać, że razem mieszkamy, żebym nie musiała uważać na wszystko, co mówię. Ale kiedy tam dojechałyśmy, ta zmiękła, trzęsa się jak galareta, nic nie mówiła — nawet że razem mieszkamy

— wspomniała tylko, że jesteśmy współniczkami. Wściekłam się, ale uznałam, że jakoś to przeżyję.

Cam usłyszała trzask zapalniczki i mocny wdech.

— Reba, ty chyba nie wróciłaś do palenia?

— A co, jeśli tak?

— Ale nie paliłaś już półtora roku.

— Jestem na Południu. Faszyści od zdrowia jeszcze nie przejęli tu władzy. Jest jak we Francji. No, zupełnie nie jak we Francji, z wyjątkiem tego, że tubylcy traktują cię jak śmiecia. Wracając do tematu, czy ty mnie w ogóle słuchasz? — I nie czekając na potwierdzenie, kontynuowała.

— Więc zaraz po przyjeździe siadłyśmy do obiadu z tymi wszystkimi kuzynami i ciotkami. To było coś pomiędzy pogrzebem a zebraniem parafialnym. Odmawiamy modlitwę. Jak wiesz, nie mam problemu z dziękowaniem za jedzenie, ale to jedzenie! Limonkowy pudding z torebki z sosem majonezowym ze słoika — to miała być przystawka — biały chleb konsystencji biszkopta grubo posmarowany margaryną, puree z fasoli limeńskiej kon-

systemy kożucha na stawie, kurczak, który został usmażony w głębokim tłuszczu, a potem oblanym jakimś szarym sosem. No proszę! „Jesteś tym, co jesz”, to chyba jedna z najmądrzejszych sentencji ludzkości.

— To nie jest prawdziwa kuchnia Południa — powiedziała Cam defensywnie, ale ponieważ Reba była jedną z najznakomitszych kucharek na Manhattanie, dodała: — Ale wyobrażam sobie, jakie to musiało być dla ciebie trudne.

— Trudne? Trudne? Próbowalaś kiedykolwiek jednocześnie uśmiechać się, przeżuwać i powstrzymać od haftowania? A potem jedna kuzynka dwojga imion zwraca się do mnie cała skąpana we współczuciu: „Jesteś Żydówką, prawda? Nigdy nie miałaś Bożego Narodzenia”. A ja jej tłumaczę, że nie obchodzimy Bożego Narodzenia, ale mamy Chanukę. Na to ona: „Poza bajglami, jakie są wasze tradycyjne potrawy?”, więc mówię, że kuchnia żydowska to w zasadzie kuchnia wschodnioeuropejska, a tradycyjne potrawy jemy tylko z okazji Paschy. Wszyscy spuszczaają wzrok, a kuzynka rzuca, normalnie jak hasło z Archiwum X: „A jakie są te rytualne potrawy?”. Naprawdę chciałam odpowiedzieć, że pieczone chrześcijańskie niemowlęta w sosie bearneńskim przybrane pietruszką. Czujesz to, Cam? Nie miałam pojęcia, że istnieją jeszcze tacy ignoranci. Przecież musieli chyba oglądać chociaż *Seinfelda* albo jakiś film Woody'ego Allena.

— To ciemniacy, Reba. Nie są typowi. Jedną z najstarszych synagog w Ameryce znajduje się w Charlestonie. Pokażę ci...

— A potem — Reba musiała się wygadać — po puddingu bananowym i deserze brzoskwiniowym, które nie byłyby aż takie złe, gdybyśmy nie musieli ich popijać izotonikiem i mrożoną herbatą — włączyli telewizor. W zasadzie to nie włączyli, bo go nigdy nie wyłączają. Chodzi dwadzieścia cztery godziny na dobę jako zabezpieczenie przed rozmową, ale ojciec Cheryl go podgłośnił, i to sporo. Cheryl, jej matka i dwie kuzynki o podwójnych imionach idą zmywać. Proponuję pomoc, ale matka Cheryl na to: „Och nie, proszę sobie odpocząć na fotelu”. Jakbym była zbyt leniwa, żeby coś zrobić.

— Nie, nie pozwoliła ci pomóc, ponieważ byłaś gościem.

— Fotel jest obity musztardowym welurem i przykryty jakimś plastikiem. Chyba tron tatusia, bo wyglądał na wściekłego, kiedy tam usiadłam. No więc telewizor jest nastawiony na jakiegoś kaznodzieję, facet wrzeszczy: „Jezus!”, jakby to było przekleństwo. A potem siostra Cheryl i jej mąż wchodzi z jakimś okrągłym dzieciakiem ubranym w czerwono-zielone śpioszki. Pod brodą śliniak z napisem „Wszystkiego Najlepszego Jezusku”, a smarki wiszą u nosa jak wosk na świecy. Dzieciak zaczyna mnie walić po piersi plastikowym pistoletem M-16, a cała rodzina łypie na mnie, szczególnie kiedy kaznodzieja wydziera się z telewizora: „Chcecie urodzić się ponownie?!”. Ja wtedy, dla żartu, bo wierz mi, to zgromadzenie bardzo potrzebuje uśmiechu, mówię: „Nie sądzę, żeby moja matka mi na to pozwoliła. Z tego, co opowiadała, już pierwszy raz średnio jej się podobał”. Cisza. Czy można się poczuć bardziej samotnym niż wtedy, kiedy powiesz coś zabawnego

i nikt się nie zaśmieje? Mówię ci, Cam, zaczęłam poważnie myśleć o święcie Paschy. Ucieczka z Egiptu nigdy nie znaczyła dla mnie tyle, co wtedy. Bardzo potrzebowałam szklaneczki szkockiej, papierosa i solidnej porcji pepto-bismolu. Więc poszłam do kuchni, gdzie Cheryl ze łzami w oczach wsuwała drugą dokładkę tego ohydneho puddingu bananowego. zaproponowałam, żebyśmy wybrały się do sklepu po fajki. „To idź sama — ona na to. Przecież nie wiem, do cholery, gdzie jestem”, odpowiadam. Więc wychodzimy. Czuję, że wszyscy wyglądają przez te marszczone zasłony, jakbyśmy miały wskoczyć w krzaki i się całować. Jakby możliwe były jakieś czułości, a co dopiero erotyczne nastawienie, w takiej atmosferze. I jak tylko odjechałyśmy, Cheryl się wściekła i naskoczyła na mnie.

— Powiedziałaś coś, co ją wkurzyło?

— Oczywiście, że nie. No, powiedziałam, że teraz wiem, dlaczego musiała wyjechać tak daleko od domu, żeby przyzwoicie zjeść.

— Reba, musisz zrozumieć...

— Ale to był komplement. Naprawdę. Nawet w najśmielszych snach nie sądziłam, że ona jest z aż takiego domu.

— Ludzie są bardzo czuli na krytykę ich rodziny. Sami mogą mówić o niej straszne rzeczy, ale kiedy robi to ktoś inny, nawet najbliższa osoba...

— Ale kiedy zabrałam Cheryl do mojej babci i niemal udławiła się rybą po żydowsku, to obie się z tego śmiałyśmy. I ja przynajmniej miałam jaja, żeby przyznać się do naszego związku. Nigdy tego nie zapomnę: babcia popatrzyła na Cheryl, popatrzyła na mnie, potem wzru-

szyła ramionami i powiedziała „Homo, hetero — ciągle o tym słyszę w telewizji, ale kiedy ja byłam młoda, to nie mieliśmy takiego wyboru”, a potem złączyła nasze dłonie, kazała nam żyć długo i szczęśliwie i poszła zrobić kawę. No dobrze, nie liczyłam na akceptację, ale tolerancja jest podstawą cywilizacji.

— To jak zdanie z listu do redakcji. I oczywiście, że chciałaś akceptacji. Kto by nie chciał? Jak Cheryl to przyjęła, kiedy postanowiłaś wyjechać?

— Stwierdziła, że może tak będzie lepiej. Jeśli ktoś mówi, że może tak będzie lepiej, to wiadomo, że nie będzie. Więc zabrałam swoje rzeczy i ruszyłam do Nowego Jorku. Ale potem zastanowiłam się, do czego ja chcę wracać? Zamknęliśmy interes na dwa tygodnie... — Reba syknęła. — Kiedy pomyślę, o tych wszystkich imprezach, które nam przepadły! Mogłyśmy spłacić dodatkową ratę za mieszkanie. Poza tym ciebie tam nie ma, wszyscy, których znam, mają już jakieś plany. Więc uznałam, że skoro jestem po raz pierwszy na Południu, to mogę je zwiedzić. Czemu nie wziąć pokoju w jakichś czworakach dla niewolników w konfederackim parku tematycznym czy czymś takim? No i tak znalazłam się w Spartanburgu.

— Przyjedź do mnie.

— Nie chcę przeszkadzać. Masz spotkanie rodzinne.

— A jakże. Lila już jest na mnie wkurzona i pluje jadem, tylko nie wiem dlaczego. Przyjedź, proszę. Mama ma mnóstwo pokoi, a mnie się przyda wsparcie.

— Nie wiem, Cam. To chyba nie najlepszy pomysł.

— Reba — powiedziała Cam głosem typu: „a teraz posłuchaj mnie uważnie”. — Okres spóźnia mi się już pięć dni.

— Pięć dni — zadrwiła Reba. — W naszym wieku...

— Reba, czy mam ci przypomnieć, że nie jestem lesbijką?

— Och, myślisz, że... — Zamilkła. Cam raczej wyczuła, niż usłyszała, że Reba zaciąga się mocno papierosem. — Byłaś u lekarza?

— Jakim cudem? Przyleciałam z Nowego Jorku. Są święta. Mama pojechała odwiedzić koleżankę w szpitalu, a kiedy wróci, mamy odwiedzić babcię w domu spokojnej starości, a potem spróbuję się wyrwać i kupić test ciążowy. Wiesz może, czy są dokładne?

— Sam się odzywał?

— Dlaczego miałby? — warknęła Cam. — Szczególnie gdy powiedziałam mu, żeby tego nie robił? Reba, proszę, przyjeźdź. Wiesz, że mama prowadzi pensjonat. Tu jest mnóstwo miejsca.

— Chętnie jej zapłacę.

— Nie wygłupiaj się. Brakuje mi ciebie. Wydaje mi się, że międzystanowa 26 ze Spartanburga do Charlestonu, i krzyżuje się z 95. Zobaczysz zjazd do Beaufort. Musiałabyś sprawdzić na mapie, ale to jakieś cztery godziny jazdy. Proszę, przyjeźdź, potrzebuję cię.

— Skoro tak stawiasz sprawę, to chyba odmówię tym tłumom, które dopraszają się mojego towarzystwa. Cztery godziny?

— Jakoś tak. Zadzwoń, jak dojedziesz, podam ci adres. Pa. Dzięki.

Kiedy odwiesiła słuchawkę, poczuła czyjaś obecność, jakby ktoś się jej przyglądał. W drzwiach na korytarz stała pani Beasley, nadal owinięta jasnoniebieskim szlafrokiem.

Zdjęła już nylonowy czepek oraz wałki i teraz miała na głowie czub pomarańczowych loków, na którego widok aż się prosiło o telefon na infolinię Clairola i poradę w sytuacji kryzysowej. — Będziemy miały jeszcze jednego gościa? — spytała, wytrzeszczając oczy.

— To... — Cam powstrzymała się przed powiedzeniem „nie twoja sprawa”. To dom jej matki. — Kawy?

— Już wypiliśmy jedną z pani mamą. Ale mogę napić się kolejnej. — Rozsiadła się na krześle i wzięła bułeczkę cynamonową. — Pani mama zazwyczaj robi pełne śniadanie. To jeden z powodów, dla których polecam znajomym ten pensjonat. Ale dziś rano... chyba przez święta i w ogóle...

Cam postawiła przed nią filiżankę kawy i już miała odejść, ale pani Beasley zaczęła się skarżyć.

— W nocy było zimno. Pani nie zmarzła? Moim zdaniem termostat był nieprawidłowo ustawiony. I suszarka do włosów nie działała, więc poszłam do łazienki pani mamy. Chyba nie będzie miała nic przeciwko temu.

Ja bym z pewnością miała, pomyślała Cam, ale głośno powiedziała:

— Chyba nie.

— Pani bliska przyjaciółka?

— Proszę?

— Ten gość, co przyjedzie. To pani bliska przyjaciółka?

— Pani Beasley... — To nie ma sensu. Niektórzy ludzie są tępi, bo chcą tacy być, najwyraźniej głupota jest ich jedyną bronią. — Proszę mi wybaczyć.

Ale tylne drzwi otworzyły się po trzykrotnym rytmicznym puknięciu i stanął w nich Dozier, radosny, z zaczer-

wienionymi policzkami i pachnący Old Spicem. Trzymał duże pudełko.

— Dzień dobry, słonko — powiedział do Cam. — O, dzień dobry, pani Beasley.

Pani Beasley złapała poły szlafroka i zacisnęła usta, jakby zwalczając potrzebę puszczenia bąka.

— Och, panie Robido. Jestem zawstydzona, że zastał mnie pan w dezabilu. — Dozier i Cam wymienili szybko spojrzenia.

— Proszę mi wybaczyć. — Dozier z galanterią odwrócił wzrok. — Nie chciałem przeszkadzać. Cam, mama już pojechała?

— Jest w szpitalu u Peatsy.

— Ale wraca po ciebie, zanim odwiedzi Mawmaw?

— Chyba tak.

— Mieliśmy jechać z wami, ale Edna lata jak kot z pęcherzem. Mówi, że ma za dużo do zrobienia, żeby zdążyć do Mawmaw. Już jest w sklepie. Chce, żebyś potem tam zajrzała, żeby mogła się pochwalić. Ja nie mam zbyt wiele do roboty, więc pomyślałem, że pojedę z tobą i Josie. — Położył na stole pakunek owinięty w biały papier ozdobiony srebrnymi dzwoneczkami i serduszkami, jakiego używa się do pakowania prezentów ślubnych. — Chyba Ednie skończył się papier świąteczny. Nie przypuszczam, żeby Mawmaw to zauważyła. To chyba koszula nocna albo kaftanik. Nie byłem z Edną, kiedy to kupowała. Powiedziałem, że moglibyśmy raczej przekazać pieniądze na badania nad chorobą Alzheimera, ale Edna uznała, że to by było niedelikatne.

Jasne, pomyślała Cam, Edna jest tak czuła, że nie ma czasu odwiedzić Mawmaw, więc uspokaja swoje sumienie prezentem za sto dolarów. Ale jakież ona ma prawo do takiej krytyki? Nie przejmowała się Mawmaw od lat, choć ciągle miała pocztówkę, jaką babka wysłała jej, kiedy poszła do domu spokojnej starości. „Droga Camillo, przynoszą mnie do innego miejsca. Mam nadzieję, że mnie odwiedzisz. Pamiętam cię jako dziewczynkę. Tak podobną do mnie”. Cam nie mogła domyślić się, o jakie podobieństwo chodzi Mawmaw. Babka była zawsze dla niej surowa, ale też była surowa dla innych, nie wyłączając siebie. Mawmaw skończyła zaledwie pięć klas szkoły, ale Cam zawsze była przekonana, że miała to, co filozofowie nazwaliby „światopoglądem”. Była świadkiem narodzin i śmierci, potrafiła zabić i oskubać kurczaka, ale była pedantką na punkcie subtelności etykiety. Lubiła nakrochmalone halki, białe rękawiczki, wyprasowane chusteczki do nosa i wyraźny przedziałek na głowie. Gdy, jak to mawiała, „odpicowała się”, potrafiła namówić samorząd hrabstwa, żeby zagłosował po jej myśli. Była w stanie wytargować najlepszą cenę wszystkiego, od starych sreber po sprzedawane przy drodze arbuzy. Umiała zdiagnozować większość dziecięcych chorób szybciej niż pediatra, śledzić giełdowe notowania i tańczyć charlestona. Potrafiła cytować Biblię, lecz woląa czytać Johna Steinbecka lub Pearl Buck. Miała stanowisko w Córach Konfederacji, lecz dotowała Ligę Wyborczyń. Mówiła, że wie wszystko, co trzeba wiedzieć o mężczyznach i dzieciach, ponieważ, w zasadzie, są tacy sami.

— Och, Mawmaw, nie mogę się doczekać spotkania z tobą.

— Wiesz, że najprawdopodobniej cię nie pozna. Twoja mama uważa, że ona czasem ma przebłyski, ale obawiam się, że to tylko pobożne życzenia.

— To ja w takim razie pójdę na górę i wezmę szybki prysznic — zakomunikowała Cam.

— Nie zamierza pani zrobić sobie śniadania? — spytała pani Beasley.

— Nie. Bułeczka cynamonowa mi wystarczyła. — Aż nadto. Rosła jej w przetyku i sprawiała, że czuła się bliska omdlenia. Widziała, że Dozier jest rozdarty, bo, z jednej strony, chciałby usiąść przy stole i rozkoszować się kawą z bułeczkami, ale równie mocno chciał uniknąć towarzystwa pani Beasley.

— Aja sprawdzę ogród — podjął decyzję. — Jak tylko skończą się święta, twoja mama i ja będziemy mieć mnóstwo roboty wokół domu.

— Dozier, naprawdę się cieszę, że przyjechałeś — powiedziała Josie, gdy wsiadała z Cam do lincolna. — Nie sądzę, żebym się dziś już nadawała do prowadzenia. Wiesz, że ostatnim razem, kiedy jechałam z Mary Gebhardt, ona marudziła, że nie po to przeniosła się do małego miasteczka na Południu, żeby stać na zielonym świetle. Powiedziałam, żeby się uspokoiła, ale wiesz, że ma rację. Jeszcze nigdy nie widziałam tu takiego ruchu. — Josie nie chciała im mówić, że wcisnęła pedał hamulca zamiast pedału gazu, gdy wyjeżdżała ze szpitalnego parkingu. — Wiesz, że

nie używam klaksonu, zdarzyło mi się to może kilka razy w całym życiu, ale dziś, na Bay Street, jechałam za jakimiś turystami z rejestracją z New Jersey, którzy tak się rozglądali po okolicy, że sunęli jakieś piętnaście kilometrów na godzinę, aż się po prostu oparłam na klaksonie.

— I bardzo dobrze, siostrze. Musisz dbać o swoje prawa. Zapięłaś pasy, Cam? — Dozier odwrócił się do tyłu. Cam przytaknęła, więc ruszył z podjazdu. — Jak się ma Peatsy?

— Lekarze mówią, że jej stan jest stabilny. Dozier chrząknął.

— Peatsy Gibbs stabilna? To chyba pierwszy raz, od kiedy ją znam.

— Zachowywała się tak jak zwykle.

Bardzo tak jak zwykle. Jeszcze zanim Josie dotarła do jej sali, słyszała słodki komenderujący głos Peatsy zwracającej się do swojego syna, Waringa:

— Zabierz część tych kwiatów do domu, mam wrażenie, że już jestem na swoim pogrzebie. Na moim biurku w bibliotece są karteczki z podziękowaniami — nie te z grubego pergaminu, wystarczą te zwykłe z niebieskim monogramem — napisz coś prostego, jak: „Mama bardzo dziękuje. Wraca do zdrowia i życzy szczęśliwego Nowego Roku”.

Sala wyglądała niczym kwaciarnia. Waring, z twarzą tak samo wymiętą jak jego garnitur, zajmował krzesło pod ścianą. Peatsy, w satynowej lizesce koloru ecru, siedziała podparta poduszkami, trzymała w dłoni małe lusterko

i nakładała jaskraworóżową szminkę, podczas gdy towarzysz Waringa, Alonzo, czesał jej włosy.

— Nadał są takie oklapnięte — narzekła Peatsy.

— Taak, bo potrzeba szampon — zgodził się Alonzo, przeciągając jeszcze raz szczotką po włosach. — Ale wyglądasz elegancko, pani. Bardziej elegancko każdy dzień. — Długie, czarne jak sadza rzęsy Alonza, uroczo beczelna twarz i sposób, w jaki wypowiadał słowa, przypominał Josie o owieczce z programu telewizyjnego.

— A niech mnie, Josie! — wykrzyknęła Peatsy na jej widok. — Ależ ty jesteś kochana, że mnie znowu odwiedzasz! Waring, gdzie twoje maniery? Daj Josie to krzesło.

Josie powiedziała, żeby siedział, ale Waring już wstał, mówiąc, że on i Alonzo idą na lunch. Czy Peatsy jeszcze czegoś potrzebuje? Josie zdziwiła się, słuchając listy zamówień — talk, pilniczek do paznokci, kanapka z mortadela i sosem paprykowym oraz musztardą, której nie wolno jej jeść, więc będą musieli ją przemycić. Czyżby Waring aż tak uwielbiał matkę? Najmilszą rzeczą, jaką Peatsy o nim powiedziała, było to, że przynajmniej odziedziczył po niej rozum, jeśli nie wygląd. I, nawet w obecności Waringa, Peatsy opowiadała szokująco szczegółowo o męczarniach, jakie przechodziła, gdy go rodziła („Miałeś głowę wielkości piłki futbolowej”). Kiedy był jeszcze niemowlęciem, Peatsy wyjeżdżała na całe miesiące, beztrąsko zostawiając syna pod opieką innych, a jak tylko było to możliwe, posłała go do szkoły z internatem. A jednak Waring był bardziej oddany i mniej krytyczny wobec matki niż którakolwiek z córek wobec Josie.

— Zostaw tylko te żółte róże z długimi łodygami. Zabierz całą resztę. Szczególnie gwiazdy betlejemskie. Nigdy ich nie lubiłam. — Kiedy Waring powiedział, że też za nimi nie przepada, dodała: — To połóż je na stopniach jakiegoś kościoła czy gdzieś. W każdym razie niech stąd znikną. I jak już się tym zajmujesz, to wyrzuć tego badziewnego Mikołaja do kosza.

Gdy pielęgniarzka przyszła zrobić zastrzyk, Waring i Alonzo szybko uciekli z naręczami kwiatów. Josie przysunęła sobie krzesło do łóżka chorej i słuchała, gdy Peatsy, mimo kredowej cery, głosem pełnym życia, plotkowała o personelu szpitala i pytała o Cam oraz przyjęcie Liii. Gdy lek zaczął działać, przymknęła oczy, zaczęła mówić wolniej i niewyraźnie. Opowiadała Josie o ustaleniach Waringa na czas jej rekonwalescencji, brzmiała, jakby była mocno wstawiona.

— Idź do domu, kochana. Jeszcze nie odzyskałam siły, a te leki mnie otumaniają, więc głównie drzemię. — Jej ręka opadła miękko na dłoń Josie i ją lekko poklepała. — Naprawdę miło mi, że przyszłaś. — Ziewnęła. — Wiem, czym dla ciebie jest szpital o tej porze roku. Przypomina ci o Niedźwiedziu i całej reszcie. — Na jej twarzy zagościło rozmarzenie. — Niedźwiedź. To dopiero był facet. Nadal mam gdzieś jego zdjęcie, jak stoi przed swoim Grummanem Wildcatem. Wiatr targa mu włosy, a on ma ten długi szal lotnika jak Czerwony Baron. — Zamknęła oczy i zacisnęła usta. Josie nie wiedziała, czy to od jakiegoś nieprzyjemnego wspomnienia, czy fizycznego bólu. — Był dwa razy lepszy od Gibbsa i Gibbs to wiedział. Niedźwiedź był

prawdziwym bohaterem, a prawdziwi bohaterowie, bez względu na to, ile żyją, zawsze umierają młodo.

Dotyk dłoni Peatsy stał się nagle odrażający. Josie wysunęła rękę i wpatrzyła się w okno, żeby powstrzymać się od powiedzenia: „Jakim prawem mówisz tak o moim mężu”. Ale wiedziała jakim.

Wiedziała niemal od początku — przynajmniej dziesięć lat wcześniej, nim tę myśl do siebie dopuściła — że były inne kobiety. Pewnej nocy, wkrótce po tym, jak się pobrali, byli na wielkim przyjęciu pożegnalnym. Kolega Niedźwiedzia, który miał już w czubie, tak samo jak i Niedźwiedź, przysięgał wieczne oddanie swojej wybrance, na co Niedźwiedź zareagował — nigdy tego nie zapomniała — słowami: „Nie słuchaj go, dziewczynko. Sama pomyśl: gdybyś wiedziała, że jutro możesz zginąć, co chciałabyś robić dziś wieczorem?”. Towarzystwo zaryczało ze śmiechu i Josie też się śmiała, ale w duchu myślała: „Chciałabym być z tobą. A gdybym nie mogła być z tobą, chciałabym być sama, żeby o tobie myśleć i się za ciebie modlić”. I naprawdę wierzyła, albo oszukiwała się, że on czuje to samo.

Przez kolejne lata zbywała jego nie do końca wiarygodne usprawiedliwienia i nie chciała kwestionować nie całkiem prawdopodobnych wyjaśnień. Zazwyczaj tłumaczyła swoje ataki wątpliwości i zazdrości, perswadując sobie, że jeśli jest się żoną charyzmatycznego i atrakcyjnego asa przestworzy, którego miesiącami nie ma w domu, doza niepewności jest nie do uniknięcia. Wybaczała flirty, których była świadkiem — co było dość łatwe, ponieważ zazwyczaj inicjowały je kobiety — i pracowała nad wiarą w siebie. Ale czasami, kiedy już położyła dziewczynki spać

i była sama, nie potrafiła wyprzeć z myśli okropnego „a co jeżeli?...”. „A co jeżeli Niedźwiedź ma... jakieś amory?” Zawsze używała tego słowa, ponieważ sprawiało, że zagrożenie wydawało się błahe. Amory nie mogły zranić niczego poza jej ego; poza tym prawdopodobnie by o nich nie wiedziała. Była pewna, że w jego sercu zajmuje pierwsze miejsce i on nigdy nie zrobi niczego, co mogłoby bezpośrednio zagrozić ich małżeństwu. Czyż nie powiedział jej, że jest największą miłością jego życia? I czy wszyscy nie funkcjonujemy, wyrzucając z myśli te straszne „a co jeżeli...”?

Ale nie mogła dłużej negować rzeczywistości w święta, w które zadzwonił z Okinawy z informacją, że jego dowódca, którym akurat był generał Gibbs, odwołał mu urlop. Do dziś nie wie, jak się domyśliła — czy z tonu głosu, z nienaturalnych pauz w rozmowie, z zakłóceń (miała wrażenie, że dzwoni z innej planety) — ale wiedziała, z absolutną pewnością, że on kłamie. Dlaczego, zaczęła się jąkać, Lamar Gibbs (który przecież był poniekąd ich znajomym) miałby odwołać świąteczny urlop, skoro nie ma żadnego zagrożenia? Kiedy ona się nauczy, usłyszała w odpowiedzi, że dowódca to dowódca, a nie przyjaciel? Nic już nie mówiła, niczego nawet nie czuła. Ale kiedy się rozłączyła...

Ta okropna kłótnia z Cam! Córka chyba uważała, że to z winy Josie Niedźwiedź nie przyjeżdża do domu i swoim niepokornym podejściem oraz lekceważącą miną tak bardzo go przypominała, że Josie straciła panowanie nad sobą i uderzyła ją w twarz. Ale to ona, nie Cam, wybuchła płaczem. Drżąca i upokorzona, nakazała Cam pójść do swojego pokoju, po czym opatulila Lilę i Evie i wysłała

je do sąsiadów. Sama poszła do salonu, zamknęła drzwi, zaciągnęła zasłony, usiadła na krześle, które odnowiła u tapicera, i zadzwoniła do Niedźwiedzia, wybierając najpierw numer operatora międzynarodowego, tak jak się wówczas robiło. Mimo iż powiedziała, że to pilne, zrealizowanie połączenia zajęło tyle czasu, że niemal się uspokoiła. Pewnie był również rozczarowany tym, że ona obciążała go problemami wychowywania dzieci, kiedy on przebywał tysiąc kilometrów od domu? Już miała powiedzieć: „Kochanie, byłam tak zdenerwowana, że po prostu musiałam cię usłyszeć...”. Ale po drugiej stronie usłyszała głos starszego sierżanta, który poinformował ją, że kapitan Tatternall opuścił bazę bez podania powodu.

Wówczas zrobiła coś, o czym wiedziała, że Niedźwiedź jej tego nigdy nie wybaczy: zamówiła rozmowę z jego dowódcą. Tym razem, ku jej zaskoczeniu, została od razu połączona. Josie podała swoje nazwisko sekretarce generała Lamara Gibbsa i usilnie myślała, co mu powiedzieć, ale generał Gibbs odebrał natychmiast i jeszcze bardziej zaskoczył ją, mówiąc: „Pani Tatternall, Josie, moja droga, miałem się z tobą skontaktować. — Tym swoim piskliwym głosem, z którego wszyscy mężczyźni się naśmiewali, spytał, jak się ma, co słyhać u dziewczynek, a przez tę niespotykaną serdeczność poczuła, jakby się zapadała w ruchome piaski. — Tak, Josie — powiedział po tych marnych wstępach — i ty, i ja wiemy, że mężczyźni tacy jak kapitan Tatternall, Niedźwiedź, są w swoim żywiole tylko podczas wojny. Szkolenie w czasie pokoju ich nudzi. Ale muszą zrozumieć, że mimo ich wielkich zasług dla kraju, mimo popularności wśród ludzi, nie są zwolnieni z udzia-

łu w programie. — Przytaknęła mruknięciem. — Zapewne nie zdziwi cię — ciągnął — kiedy ci powiem, że twój mąż ma mnóstwo SO — (Nie zrozumiała w pierwszej chwili, ale potem skojarzyła, że chodzi o samowolne nieobecności). — Najwyraźniej Niedźwiedź ma poza bazą — szukał eufemizmu — jakieś zainteresowanie, które pochłania sporo jego czasu... — Zainteresowanie? Błyskawiczne tłumaczenie: inną kobietę — ...a być może także i sporo pieniędzy. Pozwoli pani, że spytam... — już nie była Josie ani nawet panią Tatternall, tylko panią, kiedy przeszedł do rzeczy — ...o ostatnie czeki. Ile pani otrzymuje?" — Nie było sensu tego ukrywać, jeżeli jeszcze nie wiedział, to mógł szybko sprawdzić. — Aha, aha — mruknął, gdy podała mu sumy — cóż... tak myślałem. Zajmę się tym, jak tylko kapitan Tatternall wróci do bazy".

Zapytał ponownie o dziewczynki, powiedział, że jest modelowym przykładem oddanej żony wojskowego, powiedział, że przekaże jej życzenia dla Peatsy (choć nie wspomniała o Peatsy), życzył jej wesołych świąt — i się rozłączył.

Napisała do Niedźwiedzia, że wie o innej kobiecie. Zanim skończyła list, był już cały zaplamiony łzami, dlatego wyglądał tandetnie i melodramatycznie, ale zaniósła go do skrzynki.

Jakiś tydzień później otrzymała spóźnioną kartkę świąteczną od Peatsy i Lamara Gibbsów.

Peatsy swoimi gryzmołami poinformowała ją, że w Okinawie było strasznie nudno i święta spędziła w Tokio na zakupach („Poczekaj, aż zobaczysz te kimona, które kupiłam!"), a w zwięzłym post scriptum Lamar dopisał drukowanymi literami: „Sy-

tuacja pod kontrolą. Wszystkiego dobrego w Nowym Roku". Wiedziała, że ani Niedźwiedź, ani generał Gibbs nie powiedzą jej, co się wydarzyło podczas ich konfrontacji, ale uznała, że Gibbs dał Niedźwiedziowi porządną reprimendę i nakazał zwiększenie jej przydziału, ponieważ kilka dni później otrzymała od oficera finansowego miesięczny czek powiększony o pięćdziesiąt dolarów.

Napisała do Niedźwiedzia ponownie, rzeczowym tonem informując go o podwyżce i pytając, ile, jeśli cokolwiek, ma na koncie oszczędnościowym.

Niedźwiedź zadzwonił do niej jakiś tydzień później, unikając odpowiedzi na jej pytania o finanse i mówiąc, że przyjedzie do domu pod koniec miesiąca. A „ona”, spytała Josie? Przez chwilę milczał, a potem powiedział kategorycznym, lekceważącym tonem: „Wiesz, że to nic nie znaczyło. To skończone. Nie ma o czym mówić”. A kiedy zawyła: „Nie mów mi, że nie ma o czym mówić!”, odparł: „Nikt nie będzie tak do mnie mówił, dziewczyno. Nawet ty”. I rozłączył się, a ona wrzasnęła do ściany salonu: „A kim ty do cholery jesteś? Bogiem?”.

Wyobrażała sobie tę kobietę na wszystkie sposoby, od młodej, ale przeciętnej markietanki po wyrafinowaną piękność, ale o dziwo fakt, że Niedźwiedź marnotrawił pieniądze, bolał ją jeszcze bardziej. Wierzyła, że są partnerami, wspólnie poświęcającymi się, by zaoszczędzić na przyszłość. Kiedy myślała o tym, że męczyła się w autobusach, zamiast wziąć taksówkę; wykorzystywała czeki urodzinowe od Mawmaw na konieczne wydatki domowe; sama się czesała, zamiast pójść do salonu piękności; kupowała fasolę zamiast steków... a potem wyobraziła sobie,

jak on płaci za jakieś miejsce schadzek albo stawia kolejkę drinków obcym ludziom... poczucie niesprawiedliwości wrzało w niej niczym lawa.

Myślała o rozwodzie, ale nigdy o nim nie wspomniała. Miała troje dzieci do wychowania. Nigdy nie pracowała. Dokąd by pojechała? Co by robiła? Wojsko zagwarantowałoby jej jakieś pieniądze, ale zbyt małe. Musiałaby wrócić do domu i mieszkać z Mawmaw i ciągle sobie przypominać, każdego dnia, że popełniła tragiczny błąd, wybierając takiego a nie innego mężczyznę na męża.

Czasami chciała wykrzyczeć jego winę na cały świat. On nie tylko ją zdradził, ale też świadomie, nieodwracalnie zniszczył swoją reputację. Ale bez względu na to, jak bardzo przeklinała go w sercu, nie mogła się zmusić do skompromitowania go w oczach córek. Dziewczynki uważały, że jest super bohaterem — nie potrafiła pozbawić ich tego złudzenia.

Kiedy w końcu wrócił do domu, zaczął się najgorszy okres jej życia. Miała nadzieję, mimo wcześniejszych doświadczeń i wiedzy, że porozmawia z nią o tym, co się stało. Ale oczywiście tego nie zrobił. (Dopiero po jego śmierci zrozumiała, że nie tyle nie chciał, ile, z powodu swojego charakteru, po prostu nie p o t r a f i ł z nią rozmawiać). Jej zaufanie zostało nadszarpnięte w najgorszy sposób. Nigdy się z tego nie otrząśnie. Nigdy nie będzie w stanie przyjąć go do łóżka, a co dopiero do swego serca. A jednak...

Rana zaczęła się goić. Blizna pozostała, ale nie pozwoliła, by ktokolwiek, nawet Niedźwiedź, ją dostrzegł. Skoro miała z nim żyć, nie zamierzała odgrzewać jego grzechów co rano.

Nawyki, konieczność i troska o córkę, napędzane resztkami tłęcej się miłości, która, jak sądziła, wygasła, doprowadziła do nieformalnego pogodzenia. Po roku było niemal jak dawniej. Prawie doszła do punktu, w którym była w stanie pogodzić się z fizycznym pożądaniem wobec niego bez czucia się masochistką. Wszystkie małżeństwa przechodzą przez burzę, mówiła sobie. Te, które oni przeżyli, były bardziej niszczycielskie niż większość, ale czerpała dumę z faktu, że je przetrwali. Po takim spustoszeniu nic nie mogło ich zranić.

Nadeszła noworoczna impreza w kasynie oficerskim na wyspie Parris. Siedzieli przy głównym stoliku z trzema innymi parami, w tym Peatsy i generałem Lamarem Gibbem. Niedźwiedź dał Josie bukiet z orchideą do sukni, a gdy tańczyli, zdobył się na coś, co w jego wykonaniu było wręcz przeprosinami, uśmiechając się, patrząc wilgotnymi oczyma i mówiąc: „Nic ważne, czy się rozbijesz, liczy się to, czy wstaniesz i pójdziesz dalej”. Przeszli przez najgorsze, ich miłość była twarda jak stal. Pomyślała, że tego wieczoru, kiedy wrócą do domu, nie włoży krążka dopochwowego. Zaryzykuje ten ostatni raz, rzuci wyzwanie losowi i może urodzi mu chłopca, którego zawsze pragnęła.

Kiedy Peatsy, w srebrnej sukience, dopasowanej jak łuski na rybie, poprosiła Niedźwiedzia do tańca, Josie nerwowo bawiła się pałeczką do koktajli i uśmiechała do generała Gibbsa. Usiłowała z nim rozmawiać, ale on był tak zelektryzowany widokiem Niedźwiedzia i Peatsy, którzy wirowali, że ledwie zwracał na nią uwagę. Kiedy szybki utwór skończył się rykiem trąbek, tancerze zaklaskali, rozstali się i rozeszli do swoich stolików. Ale Niedź-

wiedź i Peatsy stali dalej, dzieliły ich ledwie centymetry, nie rozmawiali, tylko czekali, a potem przyłgnęli do siebie jak dwie krople rtęci, kiedy zaczął się *Mood Indigo*. Josie wyciągnęła generała Gibbsa na parkiet, przyciskając biust (bała się, że zsunie się jej sukienka bez ramiączek) do jego obwieszanej medalami piersi. Gibbs wykonywał taneczne figury, wyginał wargi w uśmiechu na jej żarciki, ale jego wzrok co chwilę wędrował ku Peatsy i Niedźwiedziowi tańczącym w milczącej, pozbawionej uśmiechu błogości.

Dobry Boże, pomyślała spanikowana Josie, co oni wyprawiają. Peatsy wyraźnie wyrównuje swoje rachunki, upokarzając Gibbsa, ale Niedźwiedź? Czy on nie rozumie, że ryzykuje swoją karierę tak samo, jakby on i Peatsy się rozebrali i zaczęli prowadzić badania anatomiczne na parkiecie? I wówczas zrozumiała, niejasno jakby w zwierciadle, że Niedźwiedź, podrzutek, który nienawidził władzy, celowo mówił „pieprz się”, rzucając generałowi Gibbsowi wyzwanie, by ten go ukarał. I w tym właśnie momencie wiedziała, że Gibbs nie okaże się wielkoduszny i je podejmie. Zablokuje wszelkie awanse i zadba o to, żeby Niedźwiedź doczekał emerytury jako instruktor latania. I tak też się stało.

Josie wypła więcej niż swoje zwyczajowe półtora kieliszka szampana, a kiedy wzniesiono toast za Nowy Rok, uniosła kieliszek wraz z innymi, lecz była pogrążona w rozpaczliwych myślach. Niektóre rzeczy, raz zepsute, nie dadzą się naprawić. Bez względu na to, jak bardzo kocha tego człowieka, nie wolno jej już nigdy mu zaufać. Jeśli z nim zostanie — a nawet wtedy wiedziała, że tak — jej małżeńskie obowiązki będą tylko grą. Będzie musiała realizować

własne plany. Milczała całą drogę do domu. Niedźwiedź, który głośno wtórował Guyowi Lombardo śpiewającemu na Times Square, wydawał się tego nieświadom. W domu telewizor, ciągle włączony, wyświetlał obraz kontrolny, a stolik zastawiony był butelkami po coca-coli i miską po popcornie. Dziewczynki spały w swoich łóżkach. Poszła do łazienki, zmyła makijaż i włożyła krążek dopochwowy. Niedźwiedź kochał się z nią namiętnie, lecz ona czuła emocjonalny dystans, całkowicie obcy jej naturze. Wiedziała, że już nigdy nie będzie potrafiła mu się oddać. Kiedy zasnął, wstała i sprawdziła, czy u dzieci wszystko w porządku, po czym poszła do łazienki, umyła się starannie, usiadła na małej macie łazienkowej, i załkała.

Josie przyglądała się, jak klatka piersiowa Peatsy podnosi się i opada, ale była przekonana, że ona nie śpi. Mogłabym ją teraz spytać: „Czy miałaś romans z moim mężem, Peatsy? To już nie ma znaczenia. Możesz mi powiedzieć”. Ale nawet teraz nie mogła liczyć na to, że Peatsy wyjawí prawdę. A ona sama też by oczywiście kłamała, ponieważ to ciągle miało znaczenie. Pomyślała — patrząc na rurki i butelki, wazon z żółtymi różami, drzewa za oknem, wszystko takie płaskie i dwuwymiarowe — że to, co dwoje ludzi, z których jedno już nie żyło, mogło robić w łóżku czterdzieści lat temu, nadal może sprawiać jej tak dotkliwy ból.

* * *

— Ale chyba nadal jest bardzo zmęczona — powiedziała Dozierowi, wracając do terażniejszości. — Spała, kiedy wychodziłam. Chcę odłożyć zabieg na po świętach. Mają wprowadzić baloniki do żył i je nadmuchać.

— Angioplastyka — odezwała się Cam.

— Tak, to chyba to. I okazało się, że Alonzo, ten przy-
stojny obcokrajowiec, który żyje z synem Peatsy, jest dy-
plomowanym pielęgniarzem, więc przyjedzie i będzie się nią
zajmował, dopóki nie wróci do zdrowia.

— Pielęgniarzem? — spytał Dozier, a jego mina w lu-
sterku wstecznym pokazywała, że uważa pielęgniarstwo za
zawód przypisany kobietom.

— Walt Whitman był pielęgniarzem podczas wojny
secesyjnej — odezwała się Cam.

— Nie wątpię — prychnął Dozier.

— Działa ci na nerwy, bo był gejem, pielęgniarzem,
Jankesem czy poetą?

— Żadne z powyższych. Nawet nie wiedziałem, że był
pedziem.

Cam westchnęła teatralnie. Josie zorientowała się, że Cam
i Dozier zamierzają odbyć jedną z tych tak uwielbianych przez
nich dyskusji, w których przekomarzenie się graniczyło ze
sprzeczką.

— Nie możesz powiedzieć „gej” albo „homoseksualista”?
— spytała Cam.

— Nie mogę powiedzieć „gej”, bo dla mnie słowo „gay”
znaczy co innego. To szczęśliwy, radosny. Nie lubię, kiedy
ludzie zmieniają znaczenie słów. Tak samo jest z Murzynami.
Najpierw chcą, żeby mówić na nich czarnoskórzy, a kiedy się
już do tego przyzwyczailiśmy, to okazuje się, że teraz są
Afroamerykanami. Jak tylko zaczniemy ich tak nazywać, to
znowu będą chcieli innego określenia. To jak

ty, kiedy byłaś mała — uniósł brew i uśmiechnął się do niej — i chciałaś wybrać sobie imię. Pamiętasz, Josie? Kiedy Cam miała jakieś sześć lat, upierała się, że dzieci powinny zdecydować, jakie mają mieć imię. Najpierw chciałaś być Rosą, a potem kazałaś nazywać się Esmeraldą. Bóg jeden wie, skąd to wzięłaś.

— W zasadzie Esmeraldą nawet do mnie pasuje. A język ciągle się zmienia — odparła Cam. — Ty mówisz „Murzyn”, ale twoi rodzice powiedzieliby „czarny” i nie mrugnęliby okiem.

Dozier przemyślał to i zapewne nawet przyznał jej rację, ale nie dał się pokonać.

— Mam siedemdziesiąt pięć lat i jest za późno na zmianę definicji słów, których używałem całe życie. I założę się, że twoi przyjaciele z Nowego Jorku, którzy na pewno przestrzegają... — Dozier nie odrywał oczu od drogi, ale Cam poznała po jego głosie, że ma pustkę w głowie. Zerknął na Josie. — PP? Co to znaczy? Poprawne postępowanie?

— Nie — zaprzeczyła Josie. — Poprawność polityczna.

— Ach, poprawność polityczna. Coś, co próbowali stosować konserwatywni komuniści. — Zmarszczył brwi w skupieniu, aż znalazł zgubiony wątek. — Jak mówiłem, stawiam dolary przeciw orzechom, że twoi nowojorscy znajomi, którzy chcą, żeby wszyscy stosowali zasady politycznej poprawności, natychmiast nazwaliby mnie wieśniakiem — a wiesz dobrze, że żaden ze mnie farmer. Styczność ze wsią mam tylko wtedy, kiedy wybieram się na ryby.

— Wiem, że nie jesteś uprzedzony — odparła Cam. — Po prostu nie chciałabym, żebyś mówił tak, jakbyś był.

— Cóż, z mojego punktu widzenia, uprzedzenia to bezdomne przekonania pozbawione środków do życia, aleja łożę dużo argumentów na utrzymanie swoich przekonań. A wy, ludzie...

— Zostałam zaliczona do kategorii „wy, ludzie”, tylko dlatego, że mieszkam w Nowym Jorku?

— Najbardziej uprzedzeni są ci, którzy uważają się za wolnych od uprzedzeń — ostrzegł Dozier.

— Błagam was — Josie podniosła rękę. — Tylko się nie kłóćcie.

— Mamo, ty nigdy tego nie rozumiałaś! Kiedy ludzie się spierają, określają swoje stanowisko, słuchają i się zmieniają.

— Zazwyczaj nie słuchają — odparowała Josie. — I zazwyczaj się nie zmieniają. To nie chodzi tylko o to, co ludzie mówią. Chodzi o sposób, w jaki to mówią. Zaczynacie sobie zaprzeczać, nie dlatego, że słuchacie tego, co mówi druga osoba, ale dlatego, że nie podoba wam się ton, jakim to mówi.

— Cóż, to prawda — zgodził się Dozier, myśląc o swoich niemal codziennych sporach z Edną, lecz patrząc na tnię Cam nie mógł oprzeć się ostatniemu prztyczkowi. — Ale wiesz, ja zawsze słucham, tylko Cam robi się ostra, kiedy się spiera.

— Ej, wujku Dozier...

— Przekomarzam się z tobą, Cam — powiedział bez troski. — Ciągnę cię za warkoczyk, tak jak wtedy, kiedy byłaś mała. Zawsze się tak śmiesznie złościś. A złościś się zawsze. Boże, dziewczyno, ależ ty musisz być postrachem dla facetów.

Cam przeniosła wzrok za okno, usiłując sobie przypomnieć coś, co Sam powiedział o jej potrzebie wygrywania sporów. Ale czy nie był to sposób, w jaki mężczyźni rozbijają kobiety? Mówią im o ich obsesyjnej potrzebie wygrywania, kiedy tak naprawdę to jedyne, na czym zależy właśnie im.

— Noo, wyglądasz jak to patrzące spode łba popiersie Beethovena na pianinie mojej ciotki — odezwał się Dozier. A gdy nie zareagowała uśmiechem, drażnił ją dalej. — Nazwałbym starego Walta homoseksualistą — powiedział, wciągając powietrze — ale nie wiedziałem, że nim był.

— No był — skrzyżowała ramiona na piersi. Milczała chwilę, gdy Dozier wjechał na parking Domu Spokojnej Starości „Azalia” — Mamo, wiem, że powinnam cię była spytać, czy mogę zaprosić do nas Rebę, ale nie było cię w domu, a ona była tak roztrzęsiona i...

— Nie przejmuj się, Cam. — Josie wzięła prezenty oraz pojemnik z kremem budyniowym, który przygotowała dla Mawmaw, i zaczęła wysiadać. Kiedy wróciła od Peatsy i Cam powiedziała jej, że zaprosiła swoją przyjaciółkę, Rebę, pierwszą myślą Josie było: Och nie, jeszcze jedna komplikacja. Ale potem przypomniała sobie coś, co Cam często powtarzała, kiedy była nastolatką — wtedy owo wyrażenie wyjątkowo ją irytowało, ale po namyśle uznała, że wcale nie jest takie głupie: płyn z falą. Zatem popłynie z falą. — Jutro będziemy mieć komplet, ale chyba nie masz nic przeciwko temu, że będzie spała z tobą.

— Oczywiście że nie. I przy okazji... nie sądzę, żeby to było istotne, ale Rebajest lesbijką. — Wysiadła i zamknęła za sobą drzwi. — Nie chciałabym, żebyście ją pytali, czemu nie ma męża czy coś takiego. Josie obruszyła się.

— Nie sędzę, żebyś musiała nas uczyć, jak mamy zachowywać się przy gościach, Cam.

— A tobie nie przeszkadza, że będziesz z nią spała? — spytał Dozier z udawaną nonszalancją.

— Jest lesbijką, a nie gwałcicielką — powiedziała Cam nieco zbyt głośno. Dozier spojrział za nią, uniósł dłoń w geście powitania, uśmiechnął się szeroko i promiennie niczym reflektor.

— Wesołych świąt, państwu.

Cam odwróciła się i zobaczyła, przysłuchującą się ich rozmowie, parę w średnim wieku, których dłonie zastygły w na wpół otwartych drzwiach czarnego cadillaca.

— I szczęśliwego Nowego Roku — dodała Cam, odalając się wielkimi krokami, licząc, że rozsuwane szklane drzwi otworzą się automatycznie. Zawahała się, kiedy nie drgnęły, ale nie zwolniła. I rozsuneły się, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

Hol Domu Spokojnej Starości „Azalia” przypominał motel, który dostał dwie gwiazdki jako „bardzo czysty z nowoczesnym wyposażeniem” od klubu samochodowego —jasnoniebieskie ściany, beżowe zasłony w duże kwiaty o odcieniach błękitów oraz bordo i pseudo mahoniowe meble. Słońce wpadało przez okna, ale ogrzewanie było nastawione na dość wysoką temperaturę. Pachniało ciepłymi ciasteczkami z cukrem i sosnowym środkiem czyszczącym oraz, ledwie wyczuwalnie, moczem. Choinka, udekorowana łańcuchem z czerwonego i zielonego papieru oraz gwiazdkami z folii aluminiowej, które z pewnością były wykonane przez uczniów na zajęciach plastycznych, stała obok dużego telewizora. Dwie stare kobiety siedziały na bordowej kanapie, trzymały splecione ręce na brzuchach i przysypiały przed teleturniejem, a jakiś potężny mężczyzna zgarbiony nad chodzikiem mamrotał: — To nie jest prawidłowa odpowiedź, ty durniu — do uczestnika, który nie poradził sobie z pytaniem.

Przy recepcji pochylała się nad biurkiem młoda kobieta. Na jednej dłoni opierała brodę, w drugiej trzymała ołówek, a tylna część ciała podrygiwała do niesłyszalnego rytmu dochodzącego z iPoda przymocowanego do paska jej poliestrowego fartucha.

Na czubku jej głowy widać było prawie trzycentymetrowe ciemne odrosty rozchodzące się promieniście po gęstej miedzianozłotej czuprynie.

— Tiffany — pozdrowiła ją Josie — co słyhać, moja droga?

Tiffany podniosła głowę i wyciągnęła słuchawki, aż zadzwoniły klipsy w kształcie bombek choinkowych. Miała śliczne niebieskie oczy i malutki kolczyk w perkatym nosie. Uśmiech wydał jej policzki z potrądzikowymi bliznami.

— Pani Tatternall i pan Robido. Tak myślałam, że dziś państwo przyjdą. — Spojrzała na Cam, czekając na jej przedstawienie.

— To moja córka, Camilla; przyjechała w odwiedziny z Nowego Jorku.

Cam uścisnęła dłoń Tiffany, zauważając brak obrączki.

— Miło mi poznać.

Twarz Tiffany przywodziła na myśl osiedla domów na kółkach, porośnięte krzakami podwórka z rozrzuconymi zabawkami, dyskoteki dla samotnych w barach country & western, Elvisa namalowanego na aksamicie. Mogła mieć dwadzieścia trzy lata, jak i dobijać czterdziestki. I jednocześnie widziała, że Tiffany robi to samo, usiłuje odgadnąć jej wiek, myśląc pewnie coś w stylu: „Babsztyl nastawiony na karierę. Nie ma dzieci. Stać ją na kosmetyczkę, mani-kiur i porządne ciuchy. Musi być starsza, niż wygląda”. To pieniądze je różnią, Cam była pewna, że co do tego by się zgodziły. Nie żeby ona sama miała ich kiedykolwiek dużo, ale to, co miała, poza datkami na Świadome Macierzyństwo, kampanie przeciwko analfabetyzmowi, organizacje zajmujące się sztuką i tym podobne, głównie wydawała

na siebie. Niby jak ma przetrwać ciążę, znaleźć większe mieszkanie, wynająć porządną opiekunkę, która zajmowałaby się dzieckiem, kiedy ona wróci do pracy? Nawet zakładając, że będzie miała do czego wracać. Nie majak. I nie chce.

— A co u Kayli i Lance'a? — spytała Josie.

Tiffany zaśmiała się, odsłaniając dziurę pomiędzy trzonowymi po prawej stronie.

— Och, skreślają w kalendarzu dni do świąt. Zupełnie jak skazańcy w tych starych więziennych filmach odznaczali dni do wyjścia na wolność. Przedszkole jest zamknięte na święta, zajmuje się nimi mój sąsiad, więc on też skreśla dni. — Pochyliła się konfidencjonalnie nad biurkiem. — Mama czuje się znacznie lepiej od czasu, kiedy bierze ten nowy lek, pani Tatternall. Pamięta pani, jak się denerwowała, kiedy zaczynało się robić ciemno? Martwiła się, czy dzieci wróciły do domu ze szkoły albo że mąż zginął w wypadku samochodowym? Jest dużo spokojniejsza pod wieczór od czasu zmiany leku. Doktor Levinson jest na urlopie na Bahamach w tym tygodniu, ale na pewno wszystko pani opowie, jak wróci.

— Dziękuję, Tiffany. A na wypadek, gdyby cię tu nie było, jak będziemy wychodzić — Josie wyjęła metalowe pudełko i mniejszą paczuszkę z torby — mam tu taki mały drobiazg. Pralinki z burbonem i ciasteczka kokosowe są dla wszystkich pracowników, ale ta mała dla ciebie.

— Aaaale pani jest przekochana! Pani mama jest po prostu wspaniała — Tiffany zwróciła się do Cam, jakby musiała ją o tym przekonywać. — Idźcie do niej. Jest u siebie. Pani Aiken czyta jej Biblię.

Josie podziękowała skinieniem głowy i ruszyli korytarzem. W świetle jarzeniówek odbijały się wzory, jakie elektryczna froterka zostawiła na cętkowanym linoleum. Wieńce z wstążeczkami z krepiny i plastikowymi jagodami ostrokrzewu (kolejne dzieła z lekcji plastyki, jak domyśliła się Cam) zdobiły drzwi, z których większość była otwarta, a z wnętrza pokoi dobiegały monotonne dźwięki telewizji.

— Wiem, że Tiffany wygląda na... — zaczęła Josie (Cam potaknęła, zdając sobie sprawę, że słowa „biała hołota” nigdy nie przejdą jej matce przez usta) — ...ale to miła dziewczyna. Mąż ją zostawił, kiedy ledwie odstawiła od piersi jedno dziecko i była w ciąży z drugim, naprawdę nie było jej lekko. O, jest Beatrice.

Zbliżała się do nich przypominająca amazonkę czarnoskóra kobieta z kośćmi policzkowymi jak u Nefretete, która ciepłym głosem zachęcała opierającego się na jej ramieniu staruszka. Pozdrowiła Josie wzrokiem, nie przerywając swego: „Doskonale. Świetnie panu idzie”, przy jego każdym niepewnym kroku.

— Zapewne masz coś i dla pani Aiken? — spytał Dozier.

— Znalazłam płytę kwartetów śpiewających gospel, które chyba mogą się jej spodobać.

— Ciekawe, czy skończyła już Księgę Powtórnego Prawa. Dobry Boże, mam nadzieję, że nigdy nie zestarzeję się na tyle, by zostać religijnym człowiekiem.

— Zawsze miałam cię za wierzącego — zdziwiła się Cam. — Chodziłeś do kościoła. Nawet śpiewałeś w chórze u Świętej Heleny, więc sądziłam...

— Dozier zawsze miał przepiękny baryton — Josie ucięła dalsze dociekania na temat jego religijnych przekonań. — A oto jest pokój Mawmaw.

Josie zapukała, zerknęła przez uchylone drzwi, po czym weszła, gestem pokazując im, że mogą iść za nią. Dozier podniósł kciuk na znak, że będzie dobrze, i wszedł za Josie, ale Cam zawahała się, obawiając się, co tam zobaczy. Czy w ogóle widziała kogoś, kto dożył dziewięćdziesięciu trzech lat? Dla niej Mawmaw zawsze była stara — choć, z czego teraz zdała sobie sprawę, Mawmaw z jej najwcześniejszych wspomnień była znacznie młodsza, niż ona jest teraz. Wówczas czterdziestoparoletnia Mawmaw miała ciężkie opadające powieki i zmarszczki wokół oczu oraz policzki nadymające się w uśmiechu niczym małe poduszcзки, co jednak nie zdarzało się zbyt często. Długie ładne włosy kasztanowego koloru przetykała siwizna. Mawmaw zazwyczaj nosiła je spięte w kok na karku, ale na szczególne okazje zbierała na czubku głowy i dodając objętości specjalną gąbką, formowała w okazały walek. Nie przepadała za przytulaniem, właściwie to w ogóle nie lubiła być dotykana, ale pozwalała Cam czesać sobie włosy przed pójściem spać. Na pianinie Mawmaw stała fotografia, która podobno przedstawiała ją za młodu, lecz Cam nie potrafiła sobie wyobrazić, jak ta żywa dziewczyna z łukowatymi, namalowanymi ołówkiem brwiami, ukąszonymi przez pszczołę ustami i przylizanymi lokami stała się jej babką.

Gdy jej włosy zrobiły się całkiem siwe, Mawmaw podcięła do ucha, z króciutką podwiniętą grzywką jak u Mamie Eisenhower, żeby zakryć zmarszczki na czole. Kiedy

Cam widziała ją po raz ostatni, babka poddała się modzie na trwałą i ta biała purchawka sprawiała, że jej duża głowa wydawała się jeszcze większa. W miarę upływu czasu Mawmaw najpierw przytyła, a potem schudła. Na szyi wisiały jej luźne fałdy skóry, łokcie były pomarszczone, a ręce pokryła sieć żył. Jedynie biust zdawał się nigdy nie zmieniać. Był pokaźny, ale mimo stanika Mawmaw nosiła go nisko, niczym Eleanor Roosevelt. Powodowało to wieczne zażenowanie u Cam, aż w liceum na Gwiazdkę kupiła jej stanik na fiszbinach. Mawmaw powiedziała wówczas: „Jeśli podniosę je tak wysoko, będą jak półka, na której mogłabym oprzeć brodę. Jest naprawdę śliczny, ale nie mogę go nosić”. I nigdy nie nosiła. Cam skrzyżowała ramiona na piersi, wyczuła granatowy biustonosz, który Sam podarował jej na ostatnie walentynki, i weszła do pokoju.

Znajdowały się w nim dwa pojedyncze łóżka przykryte jasnoniebieskimi kapami, dwie jednakowe komody, dwa stoliki nocne zastawione chusteczkami do nosa, kremami do suchej skóry w opakowaniach z dozownikiem, środkami na kaszel, pomarańczowym plastikowym dzbankiem na wodę i styropianowymi kubkami. Przydziałowa reprodukcja— zachód słońca nad moczarami —wisiała niedaleko okna, przy którym pani Aiken, ubrana w bure kolory, odpowiednie do jej kluskowatych kształtów, siedziała w głębokim fotelu z otwartą Biblią na kolanach. Spojrzała na Cam przez grube szkła okularów, nie okazując ani zaskoczenia, ani zaciekawienia.

— Bardzo miło, że pani przyszła — powiedziała, jakby Cam była tu stałym gościem. Cam skinęła głową

i uśmiechnęła się, ponownie uśmiechnęła się i skinęła, ponieważ kątem oka widziała Josie pochylającą się nad małą, niemal łysą postacią zwiniętą niczym krewetka w drugim fotelu, i nie chciała tam patrzeć.

Dozier stał z rękoma splecionymi na plecach i wyglądał przez okno.

— Gdzie ja skończyłam? — zastanowiła się pani Aiken, jakby to było prawdziwe pytanie. Znalazła odpowiednie miejsce i zacytowała: „I padł los dla plemienia synów Benjamina według ich rodów, mianowicie obszar ich wyłosowanego działu wypadł między synami Judy a synami Józefa. Granica ich po stronie północnej zaczyna się od Jordanu, potem granica ciągnie się od grzbietu górskiego na północ od Jerycha...”.

Dozier mrugnął do Cam.

— Wtedy to dopiero były kłótnie o działki budowlane.

— To Jozue, rozdział osiemnasty, wers jedenasty — poinformowała go pani Aiken, licząc, że wzbudzi większe zainteresowanie. Gdy tak się nie stało, wygładziła zakładkę ze wstążki na stronie, zamknęła Biblię, oparła się dłońmi o poręcz fotela i dzwignęła z trzaskiem kości. — Bardzo miło, że pani przyszła — powtórzyła, powłócząc nogami do drzwi. — Zostawię państwa samych. Jeśli zrobi się nieznośna i będę potrzebna, to znajdą mnie państwo w pokoju rekreacyjnym.

— Mamo, zobacz, kto przyszedł cię odwiedzić — powiedziała Josie i odsunęła się, ugniatając ramię staruszki, jakby to było ciasto. — Mawmaw drgnęła z otwartymi ustami, nieprzytomnym spojrzeniem — zupełnie jak czterolatka, której przeszkodzono w oglądaniu kreskówek w niedzielny ranek.

Przeniosła wzrok z Cam na Doziera, a potem pochyliła głowę i wpatrzyła się w swoje dłonie, zwinięte na kolanach niczym pazurki martwego ptaka.

— Czasami odzyskuje świadomość, jak już tu trochę posiedzę — powiedziała Josie bez przekonania, wyjmując okrągły pojemnik, serwetkę i łyżkę z torby. — Mamo, to krem budyniowy — wyjaśniła, pokazując jej pojemnik.

— Zawsze taki lubiłaś. — Podsunęła jej miskę, namawiając do jedzenia. Nie wywołało to żadnej reakcji, ale zaczęła karmić staruszkę, wkładając jej łyżkę do ust i wycierając spływającą strużkę serwetką. Mawmaw przyjęła jeszcze jedną porcję, chyba jej nawet smakowało.

— Lubię tę restaurację — powiedziała.

— To dobrze. — Josie uśmiechnęła się i znowu zanurzyła łyżkę w misce. Cam miała wrażenie, że nie może oddychać, i zorientowała się, że liczy kolejne łyżki. Przy czwartej Mawmaw szarpnęła głową w bok i zamrugła szybko. Josie poczekała, zobaczyła, że Mawmaw mocno zacisnęła usta, a zapadnięte oczy patrzą na nią wrogo. — Zostawię to Beatrice. Przywykła, że to ona ją karmi. Może później zje.

Dozier usiadł na krześle i wziął Biblię. Cam, która poczuła się nagle bardzo zmęczona, usiadła na łóżku pani Aiken. Mawmaw przechyliła głowę i zaczęła się jej przyglądać. Cam uśmiechnęła się, lecz błysk oczu, który miała nadzieję przerodzi się w rozpoznanie, tylko zmienił się w podejrzliwość.

— Ona to same kłopoty. Zawsze była. Zawsze będzie. — Cam przełknęła ślinę, ukradkiem zerknęła na zegarek i przeniosła wzrok na okno.

Josie wyjęła z torby przybory do manikiuru, poszła do łazienki i wróciła z miską pełną ciepłych mydlin.

— Tutejsi pracownicy... — machnęła wolną ręką w tę i z powrotem, nie chcąc kończyć zdania. — ...są bardzo mili, ale...

— Mieliśmy nadzieję — Dozier powtórzył gest Josie

— ale najwyraźniej stare powiedzenie się sprawdza. Nie można kupić dobroci, a przynajmniej nie za dwa tysiące miesięcznie.

— Dwa tysiące miesięcznie?! — niedowierzała Cam.

— Miała trochę oszczędności — szybko wyjaśniła Josie

— a my się dokładamy. Głównie Dozier się dokłada. To najlepsze miejsce, jakie znaleźliśmy. Pracownicy są generalnie naprawdę mili, ale po prostu nie mają czasu na tak precyzyjne zabiegi. Pamiętasz, jak Mawmaw była zawsze zadbana?

— Była wyznawczynią zasady, że „schludność to jedna z cnót” — wtrącił się Dozier, nie podnosząc wzroku znad Biblii.

— Jak długo potrafisz zadbać o czystość, tak długo utrzymasz się na powierzchni, tak twierdziła. To chyba dlatego, że musiałaś prowadzić dom rodzinny, kiedy byłaś bardzo młodziutka, prawda? — spytała matkę Josie, rozkładając ręcznik na stoliku nocnym i wykładając na niego przybory do manikiuru. — Mawmaw miała zaledwie trzynaście lat, gdy jej mama straciła rozum i, jako najstarsza z dziewczynek, musiała zająć się domem.

— Och — zaśmiała się Cam — no to potwierdziły się moje przypuszczenia, w naszej rodzinie były przypadki obłądu. Nie wiedziałam, że moja prababcia naprawdę

straciła rozum. Czy trafiła do zakładu dla psychicznie chorych?

— W tamtych czasach rzadko takich ludzi zamykano — powiedziała spokojnie Josie, wkładając palce Mawmaw do miski z mydlinami. — Twoja prababcia była w ciąży co dwa lata — od chwili, kiedy wyszła za męża, do czasu przekwitania. Wiele ciąży skończyło się poronieniem i chyba to ją złamało.

— Nikt mi nigdy o tym nie mówił. Zajmowałam się książką dotyczącą rozrodczości na przestrzeni historii, więc wiem, że na przełomie dziewiętnastego i dwudziestego wieku przeciętnie aktywna seksualnie kobieta była w ciąży co najmniej sześć razy.

Dozier zachichotał.

— Aktywna seksualnie? Dobrze, że Mawmaw nie rozumie, co mówisz. Dałaby ci takie lanie, że długo byś je pamiętała.

— Nie była wstydliva w sprawach seksu. Rozmawiała ze mną o tym, jeszcze zanim mama to zrobiła.

Josie gwałtownie podniosła głowę.

— Cóż, na pewno nigdy nie mówiła o tym wiele ze mną i nie wiedziałam, że rozmawiała o tym z tobą.

— To była jakaś reklama w „Vogue'u” czy w którymś z jej pism o modzie... — Cam dobrze to pamiętała: zajmująca całą stronę fotografia szalenie wytwornej kobiety, ubranej w suknię balową z błękitnej jedwabnej satyny, opartej o fortepian, a pod zdjęciem powściągliwie tajemniczy podpis: „MODESS, ponieważ...”*. Spytała Mawmaw,

* Marka podpasek reklamująca się w latach 1940-1970.

co to znaczy, i to doprowadziło o przekazanych ściszym głosem wyjaśnień o „miesiączkach”, po których nastąpiły surowe ostrzeżenia o niebezpieczeństwach prowokacyjnych zachowań wobec chłopców i, pozornie sprzecznej, rady, że jeśli kobieta chce pozostać mężatką, nigdy nie wolno jej odmawiać tego mężowi. Cam zaśmiała się.

— Więc, jak widzicie, nie mówiła o seksie tak, jak się dziś uczy dzieciaki.

— Nie. Na pewno nie tak, jak się dziś uczy dzieciaki

— mruknął Dozier. — Dotowane przez władze podręczniki szkolą dziesięciolatki w kwestii pederastii.

— Och, wujku Dozier! — zawołała Cam, a potem zwróciła się do Josie. — Kiedy Mawmaw zaczęła gonić w piętke?

— W piętke? Ach, chodzi ci o to, kiedy zaczęła tracić pamięć? O, dawno, dawno temu — odpowiedziała Josie, odsuwając Mawmaw skórki delikatnymi ruchami patyczka do manikiuru. — Dziwne, ale jako pierwszy zauważył to twój tata. Pamiętasz, jak jeździliśmy do Mawmaw na niedzielny obiad?

— Jak mogłabym zapomnieć?

* * *

Niedzielne obiady u Mawmaw, ten plemienny rytuał, od którego tylko śmierć mogła wybawić. Josie i Mawmaw krzające się w kuchni. Lila i Evie nakrywające do stołu, ona uciekająca, żeby czytać książkę, Niedźwiedź podenerwowany, chodzący po werandzie z rękoma w kieszeniach, dopóki późnym popołudniem posiłek nie znalazł się na stole, a potem pożerający puree ziemniaczane, kukurydzą,

zapiękaną z kabaczkim, smażone kurczaki, marynowane buraki, bułeczki, ubite w domu masło, placek brzoskwiowy — zadowolony podczas jedzenia, ale po nim jeszcze bardziej podenerwowany, odrzucający usmarowaną serwetkę na bok, wzrokiem szukający wyjścia z pokoju. I Josie, patrząc na resztki ze stoickim spokojem, lecz nieco rozczarowana, że godziny przygotowań zostały zmiecione w dwadzieścia minut. Jak tylko Mawmaw i Josie zaczęły sprzątać, Cam znowu zabierała książkę i uciekała do łazienki, ponieważ było to jedyne pomieszczenie wyposażone w zamek. Leżała na chłodnych płytkach, czytając i ignorując wołania, ale jednym uchem słuchała skrobania i szorowania, żeby wiedzieć, kiedy będzie można bezpiecznie wyjść. Niedźwiedź już zazwyczaj zdążył zniknąć, wymawiając się zajęciami w bazie, koniecznością umycia samochodu, a czasami po prostu wychodząc z zapowiedzią, że wróci przed zmrokiem po Josie i dzieci.

Gdy Josie odstawiała naczynia, Mawmaw i dziewczynki szły na werandę. Evie i Lila siadały na huśtawce, Cam na schodach, a Mawmaw w swoim fotelu bujanym, wmasowując olej migdałowy w ręce i opowiadając nieprawdopodobne, ale szalenie fascynujące historie ze swojej młodości — o tym, jak kuzyn Joe utonął, jak huragan zerwał dach z domu, jakby był to domek dla lalek, jak Mildred uciekła z mężczyzną, a Agnes umarła z rozpacz. („Czy Agnes dostała wysypki, zanim umarła?", spytała pewnego wieczoru Evie, która akurat przechodziła odrę. Mawmaw ją wydrwiła, jak to często miała w zwyczaju, jeśli chodziło o Evie: „Miej trochę rozumu, dziecko — rozpacz to nie odra. To choroba serca". Wtedy Lila wtrąciła się: „Nie

wydaje mi się, żeby można było umrzeć z rozpacz. Moja pani od biologii mówi...", a Mawmaw warknęła: „Nie obchodzi mnie, co mówi twoja nauczycielka. Rozpacz to choroba serca i można od niej umrzeć”).

Latem Mawmaw opowiadała od zachodu słońca aż do nocy, kiedy niebo iskrzyło się od gwiazd, a Josie wychodziła w końcu z kuchni, niosąc dzbanek mrożonej herbaty i dolewała wszystkim, a potem podchodziła do barierki. Stała tak i wydawała się ich nie słyszeć, wpatrzona w ogród, nie zabijając komarów ani nie pocierając miejsc ukłuć, takjak to wszyscy robili, tylko przesuwając dłońmi w górę i dół gołych ramion, jakby wcierała w siebie magiczną maść ochronną. „Nie przejmuj się, kobieto — mówiła wtedy Mawmaw. — Odszedł. Ale wróci. Oni zawsze wracają. Tym gorzej”.

— Och, tak, pamiętam te niedzielne obiady u Mawmaw, jakby to było wczoraj — Cam wyrwała się ze wspomnień.

— Mawmaw chyba nie przepadała za tatą, prawda?

— Zawsze była mu przeciwna — powiedział Dozier, mrużąc oczy i przyglądając się pyłkom tańczącym w promieniach słońca wpadającego przez okna pokoju. — Ona szanowała pochodzenie, pieniądze i wykształcenie, w takiej właśnie kolejności, a Niedźwiedź nie miał żadnej z tych rzeczy. Ale nie powiedziałbym, że go nie lubiła — dodał lakonicznie. — Myślę, że coś w nim ją przyciągało. Rozumiesz, w jakim sensie. Walka płci. Bo on był jedną z niewielu osób, której nie mogła zmusić do zachowywania się po jej myśli.

Cam wyprostowała się zaciekawiona, ale Josie zignorowała tę uwagę.

— Pytałaś, kto pierwszy zauważył, że z Mawmaw coś się dzieje — powiedziała. — A ja ci powiedziałam, że twój tata zwrócił na to uwagę jeszcze przede mną. Z początku myślałam, że ją krytykuje, ale potem sama zaczęłam dostrzegać różne drobiazgi. Zapomniała dodać mleka do puree ziemniaczanego albo zalać brytfannę, w której kawałki skóry kurczaka przywarły do dna. A potem zaczęła mówić na Rangera — pamiętasz Rangera, Cam? — Floppy. A Floppy to był nasz pies, kiedy byłam dzieckiem. Złośliwy kundel. Raz mnie nawet ugryzł. Kojarzysz tę moją bliznę w kształcie półksiężyca nad kolanem? To właśnie Floppy. — Josie zachichotała, nadal wmasowując olejek w skórki Mawmaw i wróciła do opowieści. — Więc były takie drobiazgi, zapominanie rzeczy, używanie niewłaściwych imion, to się zaczęło już wtedy, ale nic więcej. Nie wydawała się w gorszej kondycji niż osoby w jej wieku, a pod pewnymi względami była nawet w lepszej. Ciągle miała tę niesamowitą intuicję, jeśli chodziło o ludzi.

— Nikt nie miał tak dobrego oka do ludzkich słabości co ona — wtrącił się Dozier. — Potrafiła rozpoznać flirciarza po tym, jak skomplementował kapelusz u kobiety, lub wypatrzeć kutwę, bo o sekundę za długo wydzierał czek z książeczki. Pewnemu czterolatkowi przepowiadała, że skończy w więzieniu. A najdziwniejsze jest to, że zazwyczaj miała rację. Nikt nie był w stanie jej przebić w dostrzeganiu wad. Ale — odchylił się, mrużąc oczy, oślepiiony słońcem — nie potrafiła znaleźć w ludziach zalet. Hdna jest taka sama. To znaczy zawsze znajdzie jakąś wadę.

Nie narzekam. Uratowała mnie przed kilkoma interesami, które mogłyby się źle skończyć. Ma oko do słabości, ale...

— zawiesił głos.

— Mawmaw zawsze bardzo cię lubiła — upomniała go Josie.

— Ach, prawda — pokiwał mądrze głową Dozier. — Chciałem powiedzieć, że doskonale oceniała charaktery.

— Nadal czuję się winna, że rozmawiamy o niej, jakby jej tu nie było — szepnęła Josie.

— Ale jej tu nie ma — powiedział łagodnie Dozier. Cała trójka spojrzała na Mawmaw. Patrzyła gdzieś niewidzącym wzrokiem.

Josie westchnęła.

— Cam, już zanim wyjechałaś z domu, zrobiła się nieco dziwna. Wściekała się na rząd, ale czyż wszyscy tego nie robiliśmy? A ona zawsze mówiła, co myśli. Z początku uważaliśmy, że te jej napastliwe przemówienia są dość zabawne. Potem zaczęła chomikować saszetki z cukrem i solą, które wносиła z restauracji, i tym podobne. Ale znowu nie zwracaliśmy na to większej uwagi. To się zdarza tym, którzy przeżyli ciężkie czasy. Potem zaczęła zbierać styropianowe kubki, stare pończochy i gumki receptur-ki. Trudno stwierdzić, kiedy oszczędność i gospodarność zamienia się w obsesję. — Josie potrząsnęła głową i popatrzyła w stronę okna. — W szafkach znalazłam pełno takich rzeczy, kiedy sprzątałam jej dom. Nie mogłam się powstrzymać od płaczu.

— Pierwszy raz, kiedy ja cokolwiek zauważyłam — Cam uśmiechnęła się ponuro na samo wspomnienie

— zdarzył się na pogrzebie taty. Była ubrana w tę swoją

czarną sukienkę w grochy i miała czarną torebkę, czarne rękawiczki, ale buty brązowe. A zawsze tak dbała o szczegóły.

— Nawet nie zauważyłam — odpowiedziała Josie

— ale pamiętam, że nie miałam czasu pomóc jej się ubrać tamtego dnia. — Temat pogrzebu Niedźwiedzia był kolejnym czułym miejscem i jakby za milczącą zgodą wszyscy zajęli się czym innym. — Ależ narośnięty naskórek!

— wykrzyknęła Josie, jakby dostrzegła czterolistną koni-
czykę, a Cam wstała z łóżka pani Aiken i uklękła przed Mawmaw.

Dozier sięgnął do torby.

— Może damy jej teraz prezenty? — zaproponował.

— Tylko to wytnę.

— A co też pani tu wyprawia? — Mawmaw naskoczyła na Josie, jakby ją atakowała, odtrąciła dłoń córki i miskę mydlanej wody.

Josie odzyskała równowagę.

— Miałaś zadartą skórę — tłumaczyła cierpliwie —
tylko próbowałam ją...

— Czy pójść po kogoś z personelu albo po panią Aiken?

— spytała Cam.

— Nie, nie. Daj mi tylko ręcznik z łazienki.

Cam przyniosła ręcznik, zebrała wodę ze spódnicy (osie,
wytarła podłogę.

— My tylko... tylko... — Josie zacisnęła oczy i odchyliła
się do tyłu, beznadziejnie zmęczona. — No dobrze, Dozier —
powiedziała po chwili — niech będzie. Spróbujmy dać jej
prezenty.

Dozier już wyjął z torby paczkę.

— Mawmaw, to dla ciebie. Odpakujesz czy chcesz, żebym ja to zrobił?

Gwałtownym ruchem odwróciła głowę w jego kierunku.

— Mężczyźni mają tu zakaz wstępu. Taki jest przepis. Tylko dziewczyny — ostrzegła go, szarpiąc paczkę. Położył prezent na jej kolanach. Popatrzyła na niego, na pakunek, potem znowu podniosła głowę, a podejrzliwość zmieniła się w przebiegłą minę oznaczającą, że go przejrzała. — Gdzie schowałeś Ednę?

— Wydaje mi się — Josie usiłowała ją zrozumieć — że ten papier przypomniiał jej o waszym ślubie, ale nie jest w stanie sobie tego poukładać. Och, jaka ona była dumna z waszego ślubu. Ileż pracy włożyła w przygotowania!

— Tych przygotowań było tak cholernie dużo, że prawie się rozmyśliłem, ale kiedy powiadomiła wszystkich, od Wilmington w Karolinie Północnej po Valdostę w Georgii, uznałem, że byłoby to nieeleganckie — powiedział Dozier żałośnie.

— To był jeden z piękniejszych okresów jej życia — ciągnęła Josie. — Gdy Edna miała za ciebie wyjść i Mawmaw zajęła się planowaniem uroczystości. Och, było cudownie. Co za przyjęcie! Pamiętam, że „Kurier Charlestoński” nazwał je jednym z najbardziej zachwycających wydarzeń sezonu. Edna wyglądała tak pięknie w tej sukience, pojechałyśmy po nią aż do Atlanty. I miała sześć drухen.

— Z których ty byłaś najładniejsza — przypomniiał jej Dozier. — Zawsze miałem wrażenie, że Edna wybrała pozostałe dziewczyny z powodu ich nieatrakcyjności, a nie przyjaźni. Marjorie Chiles w różowym jedwabiu? Boże, przypominała szynkę.

— I szampan, a przecież nie można było go zdobyć za żadne skarby.

_ Tak — zgodził się Dozier. — To był piękny ślub.

— Wydarzenie sezonu. Nie takjak mój — powiedziała Josie bez śladu rozgoryczenia. — Mawmaw nigdy mi tego nie wybaczyła.

— Pamiętam, jak stałem w zakrystii. — Dozier rozwiązał wstążkę z paczki dla Mawmaw, rozdarł papier i podniósł pokrywkę pudełka. — Jeb Amend miał piersiówkę i upierał się, że powinienem sobie łyknąć na rozluźnienie. Nie drżały mi dłonie, ale widziałam, że kolana mi się trzęsą. Wiedziałem wtedy, że nie zostanę bohaterem wojennym. Byle sierżant zaopatrzenia, i to jeszcze musiałem ich przekonać, żeby mnie wzięli mimo płaskostopia.

— Zrobiłeś więcej podczas tej wojny niż większość — zapewniła go Josie. — Mnóstwo ludzi w zaopatrzeniu podbierało, co się tylko da. Ty nigdy tego nie robiłeś.

— Nie. Nigdy.

— Edna? — powtórzyła Mawmaw, rozglądając się wyczekująco, gdy Josie wyjęła z bibułki puchatą żółtą koszulę nocną. Cam spuściła wzrok, myśląc, że nawet jeżeli Mawmaw nie wie, co mówi, i tak imię siostry musi bardzo ranić Josie, skoro to jej chciało się przyjść.

— Mamo, Edna przysłała ci tę śliczną koszulę nocną — powiedziała Josie. Zero reakcji. — Edna przyjedzie do ciebie niedługo. — Oddzielała słowa, wymawiając wyraźnie każdą sylabę, mając nadzieję, że ją pocieszy, ale w głębi ducha zastanawiała się, czy powinna składać fałszywe obiet-

nice. Pudełko ześliznęło się z kolan Mawmaw. — A tu coś ode mnie — oznajmiła Josie, wyjmując z torby pluszowego misia w meloniku. — Spójrz! Podoba ci się? Czy nie jest zabawny?

Odsunęła się i powiedziała do Cam:

— Kiedy tu byłam ostatnim razem, ktoś miał pluszowego misia, który się chyba jej podobał.

Mawmaw spojrzała na pluszaka, odwróciła go do góry nogami i pociągnęła za kapelusz.

— Edna — powtórzyła wzburzona, upuściła misia i zaczęła się trząść i rzucać.

— Chyba musi skorzystać z łazienki — wyjaśniła Josie i ruchem ręki wskazała Cam, że potrzebuje pomocy.

Z trudem postawiły staruszkę na nogi. Zrobiły kilka kroków, kiedy zaczęła się im wyrywać, a w drzwiach stanęła Beatrice.

— Zaprowadzę ją, pani Tatternall. Jest do mnie przyzwyczajona. Wiesz, kim jestem, prawda, słonko? No chodź już. Chodź. — Beatrice stanęła za Mawmaw, przepchnęła ją do łazienki i zamknęła drzwi.

Josie zebrała misia, koszulę nocną, prezenty dla pani Aiken oraz Beatrice i położyła je na komodzie, a potem oparła się na niej ciężko. Jej ramiona zatrzęśły się i cicho pociągnęła nosem, bardziej jakby chrapała, niż płakała. Cam spojrzała na Doziera. Odwzajemnił spojrzenie i położył dłoń na ramieniu Josie.

— Chyba pora już się zbierać — powiedział łagodnie. — Myślę, że już czas. — Poklepał ją delikatnie i stał blisko, kiedy wkładała do torby zestaw przyborów do manikiuru i pojemnik z kremem.

Beatrice podeszła do drzwi łazienki, zerkając za siebie i cały czas pilnując Mawmaw.

— Pani się nie martwi, pani Tatternall. Ona sobie świetnie radzi, ale dziś jest nieco nerwowa. Jak mówiłam, kiedy pani dzwoniła kilka dni temu i pytała o wzięcie jej do domu na święta, nie wiedziałyby, co się dzieje. Tu jest teraz twój dom, prawda, słonko? — Wróciła do łazienki i zawołała do nich: —Wesołych świąt wszystkim i do zobaczenia po. Zamknęła drzwi.

— Nie ma na co czekać — powiedział Dozier, czytając Josie w myślach.

Josie potrząsnęła głową.

— Dziecko można posadzić na biodrze i iść, ale...

— Masz rację, siostrzyczko. Nie ma światełka na końcu tego tunelu. Chodź. Wyjdźmy stąd na słońce. — W milczeniu przeszli do westybulu. Dwie kobiety i mężczyzna z chodzikiem zniknęli, ale telewizor nadal był włączony Tiffany która rozmawiała przez telefon, pomachała im na do widzenia. Gdy szklane drzwi rozsunęły się, Cam się zatrzymała.

— Cholera, zostawiłam torebkę w pokoju Mawmaw. Idźcie do samochodu, zaraz do was dołączę. — Odwróciła się i poszła szybko korytarzem, niemal biegnąc.

Beatrice sadzała Mawmaw z powrotem w fotelu. Cam zwróciła uwagę na jej ręce, skóra ciemna jak oberżyna i tak muskularna jak u lekkoatlety.

— Zapomniałam... — zaczęła.

— Tak, zauważyłam pani torebkę. Miałam ją zabrać do recepcji, jak tylko ją usadzę.

— Dziękuję. — Czuła, że powinna coś powiedzieć, ale nie była w stanie niczego wymyślić. — Musi być pani strasznie ciężko tu pracować — wyrwało się jej.

Beatrice wzruszyła ramionami.

— Nie przeszkadzają mi starzy ludzie. Pani trudno ją taką oglądać, bo to pani babcia. Pewno opiekowała się pa-ni jako dzieckiem.

— O tak. — Cam przypomniała sobie, że kiedy miała siedem czy osiem lat, Niedźwiedź znowu został przeniesiony, a Josie uznała, że szkoły w nowym miejscu nie są najlepsze i wysłała Cam do Mawmaw. Jakże ona tego nienawidziła. Wielki dom, w którym dziwnie pachniało, owsianka na śniadanie każdego dnia, nawet latem, włosy tak ciasno splatane w warkoczyki, że skronie ją bolały, nie podlegająca dyskusji godzina pójścia spać, żadnej lampki przy łóżku, żeby dało się czytać, i nieustanne napominanie o niegarbieniu się i dobrych manierach. „Mogę?” zamiast: „czy mogłabym?”, skutkowało automatyczną odmową. Do wszystkich dorosłych mężczyzn, nawet nastolatka, który kosił trawnik, należało zwracać się „proszę pana”, a do kobiet, nawet Sissle, która sprzątała w domu, „proszę pani”. Skarpetki podciągnięte, ramiona prosto, żadnego przytulania, zjedz wszystko, co masz na talerzu, i pomóż przy zmywaniu. — Mieszkałam z nią prawie rok — powiedziała do Beatrice.

Mawmaw podniosła wzrok, senna i spokojna, i sięgnęła po rękę Cam. Cam ucałowała jej dłoń, przytuliła głowę staruszki do piersi i pogłaskała ją, czując czaszkę przez rzadkie włosy.

- W moich najwcześniejszych wspomnieniach miała długie włosy. Kiedy je rozpuszczała przed pójściem spać, pozwalała mi je czesać, a podczas gdy to robiłam, ona opowiadała mi różne historie. Nie bajki dla dzieci, tylko bardziej plotki rodzinne. Mówiła tak długo, jak długo ją czesałam. Nie znosiłam, kiedy je obciąła. — I nagle sobie przypomniała: Mawmaw nie obciąła włosów. One musiały odrosnąć. Ponieważ wypadły. Garściami. Jakże mogła zapomnieć! Przecież ją to śmiertelnie przeraziło. Nie wiedziała, że to możliwe. Że kobieta może kompletnie wyłysieć niemal z dnia na dzień.

Sissle powiedziała, że takie rzeczy się zdarzały, jeśli zbyt wiele tragedii spadło na jedną osobę. „Szok nerwowy”, nazywała to. Młodszy brat Mawmaw, Billy, zginął w wypadku samochodowym w Phoenix. A jeszcze tego samego tygodnia zmarła również najlepsza przyjaciółka Mawmaw, Flora (której Cam szczególnie nie znosiła, ponieważ mówiła takie rzeczy, jak: „małe dzbanki mają duże uszy”, i wysyłała ją, żeby bawiła się przed domem, kiedy przychodziła, czyli właściwie codziennie). Po pogrzebie Flory Mawmaw zniknęła w swoim pokoju i nie wychodziła z niego całymi dniami. Sissle zostawiała jej pod drzwiami tacę z jedzeniem i zagroziła Cam, że spierze ją na kwaśne jabłko, jeśli będzie przeszkadzać babce.

Kiedy Mawmaw w końcu zeszła na dół, miała na głowie chustkę, tak jak Sissle, kiedy zabierała się do sprzątanía, i nie chciała wychodzić z domu, dopóki nie przyszła zamówiona peruka. A pewnego wieczoru — parnego wieczoru parę miesięcy później, kiedy Cam ubłagała Mawmaw o kupno lodów — wychodziły ze starego domu

i babka zatrzymała się, żeby zamknąć furtkę na haczyk. Cam popędziła do przodu, wołając do Mawmaw, żeby się pospieszyła, przybiegła z powrotem, obrażona. „Łysa, łysa, no chodź już, łysa”, dokuczała babce i w tej samej chwili, w której wypowiedziała te słowa, zrozumiała, że zrobiła coś bardzo złego i być może teraz dostanie za to lanie, które jej zawsze tylko obiecywano. Ale Mawmaw tylko schyliła się, jakby w zwolnionym tempie, nad słupkiem przy furtce. To był jedyny raz, kiedy Cam widziała ją płaczącą. Potrafiła już sprawiać ból — nie tylko kuksańcami czy szczypaniem, ale i słowami, na przykład kiedy drażniła się z Lilą — ale wtedy po raz pierwszy zdała sobie sprawę, że można kogoś skrzywdzić bezwiednie, zostawić bliznę na sercu, tak samo jak na ręce czy nodze.

— Tak — powiedziała — mieszkałam z nią może z rok. — zadrżała. Przyłożyła policzek do głowy Mawmaw. — Och, biedactwo. Moje ty biedactwo. — I rozplakała się. Zawsze bolało ją to, że babcia nigdy nie powiedziała jej, że ją kocha, lecz teraz zrozumiała, że jeszcze gorsze było to, iż to ona nigdy nie powiedziała tego Mawmaw. A teraz było za późno.

Beatrice położyła ręce na ramionach Cam.

— Nic jej nie będzie. Musi pani rozumieć, że ona nie widzi siebie, tak jak pani ją widzi. Czasami jest całkiem radosna. To dlatego mówię do ciebie słoneczko, prawda, moja droga? Proszę wziąć swoją torebkę i dziękować Bogu. Proszę pamiętać, on panią kocha. Tak samo jak kocha Mawmaw.

Cam wytarła oczy wierzchem dłoni, chwyciła torebkę i wyszła powoli z pokoju.

W drodze do domu Dozier kręcił pokrętłem radia.

— Przez te cholerne kolechy zaraz oszaleję. Już miesiąc temu miałem dość Rudolfa Czerwononosego — mamrotał. Znalazł swoją stację ze starymi przebojami. — Hej, Josie, to The Ink Spots. — Oparł się i zaczął śpiewać: — Gdyby mi nie zależało, czy czułbym się tak? Gdyby mi nie zależało... — Odwracając głowę do tyłu, zamilkł i uśmiechnął się szeroko do Cam. — Jako biały chłopak ze swoim talentem mogłem wylądować tylko w chórze kościoła episkopalnego, ale, prawdę mówiąc, zawsze chciałem być w tej grupie.

Kiedy wjechali na podjazd, Cam weszła do domu przez nasłonecznioną werandę, a Dozier poszedł za Josie do ogrodu — z pochylonymi głowami oglądali rośliny, wyciągali suche liście z krzaków.

— Dużo o tym myślisz, Josie? — spytał.

— Wystarczająco. — Nie musiała pytać, o co mu chodzi. — Chyba zaczęłam o tym poważnie myśleć, kiedy tata zmarł. Do tego czasu byłam na tyle głupia, żeby uważać się za nieśmiertelną. Nawet podczas wojny, mimo strachu, wojna nie wydawała mi się czymś rzeczywistym. Najtrudniej było kilka lat temu, gdy zdałam sobie sprawę, że mam nadzieję, że Mawmaw umrze.

— Gdyby była przy zdrowych zmysłach, sama by tego dla siebie chciała.

— Wiem. Nie czuję się już winna z tego powodu.

— To nie śmierci się boję — jest tak naturalna jak narodziny — tylko umierania. Modłę się do Boga, żebym pew-

nego dnia stracił przytomność, kiedy będę kopał w ogrodzie. Możecie na mnie narzucić trochę kompostu i tak zostawić.

— Mam podobnie.

— Wiem.

— Dobrze się tak wystawić do słońca, prawda? Cam nałała sobie szklanekę soku, podeszła do okna

i wyjrzała, zastanawiając się, co u licha Josie i Dozier wyczyniają. Stali w odległości metra od siebie, całkowicie znieruchomiali z odrzuconymi głowami, zamkniętymi oczami i lekko rozchylonymi ustami, jakby opalali się na stojąco.

Podskoczyła, kiedy rozległ się dzwonek telefonu. Podniosła słuchawkę.

— Halo? — I usłyszała: — Cam, kochana, to ja. Jestem przed sklepem alkoholowym, w którego oknie jest napis: „Mędracy nadal go błogosławią. Burbon w okazyjnej cenie!”, więc chyba jestem na miejscu.

— Dziewczyno — powiedziała Cam, używając jednego z powitań Mawmaw — twój widok raduje moje serce.

— Tak się ucieszyła, zobaczywszy Rebę, że aż ścisnęło ją w gardle.

— I wzajemnie — Reba przesunęła palcami po przyprószonych siwizną kędzierzawych włosach, cmoknęła Cam w policzek i rozejrzała się po pokoju. — Hej, tu jest znacznie lepiej. Z klasą. — Podniosła wysłużoną torbę podróżną z tkaniny dywanowej. — Przepraszam za nie najlepszy dobór bagażu. Cheryl zwróciła mi na to uwagę, kiedy wkładałyśmy rzeczy do samochodu, ale było już za późno na przepakowanie.

— Cam, czy to Reba?! — zawołała Josie z kuchni.

— Tak, mamó, chodź ją poznać! — odkrzyknęła Cam i zniżyła głos. — Jak się już poznacie, wyjdźmy stąd. Jak najszybciej.

— Ok — szepnęła Reba. Cam objęła przyjaciółkę w pasie i zaprowadziła ją do pokoju, kiedy Josie wyszła z jadalni. — Mamó, to Reba.

Reba wyciągnęła rękę.

— Słyszałam o południowej gościnności, ale niespodziewane odwiedziny w święta poddają ją prawdziwej próbie. Jestem wdzięczna, że pozwoliła mi pani przyjechać, pani Tatternall.

— Ależ oczywiście, jesteś tu bardzo mile widzianym gościem, Rebo — Josie uścisnęła podaną dłoń, a gdy spojrzała w twarz Reby, uśmiechnęła się szeroko. Był to taki typ twarzy, na której widok trudno się nie uśmiechnąć. Długa górna warga i wydatny nos wykluczały ją z jakichkolwiek kanonów piękna, lecz bystre brązowe oczy z łukowatymi, choć nie regulowanymi brwiami, i ruchliwe usta zapowiadały szelmowskie poczucie humoru. Jej ubiór był eklektycznym zestawem z ciucholandu: cygańskie kolczyki w stylu etruskim, fioletowy kaszmirowy sweter z dziurą na łokciu, welwetowa kamizelka wyszywana w lilie wodne, skarabeusze i hipopotamy z oczami wysadzanymi klejnotami, spódnica ze skosu z asymetrycznym dołem i kowbojki z czerwonej tłoczony skóry. — Masz ochotę na herbatę albo kawę? — Wyczuwając za sobą czyjąś obecność, Josie odwróciła się. Za nią stała pani Beasley. — To gość pensjonatu, pani Beasley. Pani Beasley, to przyjaciółka Cam, Reba...

— Golden. Niegdyś Goldinsky. Moi dziadkowie występowali w wodewilu. On był klaunem, a ona tańczyła z trupą o nazwie „Dziewczęta z Floradory”. Zmienili nazwisko, kiedy przefarbowała włosy — wyjaśniła Reba, podając rękę pani Beasley. Pani Beasley wyglądała, jakby właśnie poproszono ją o pocałowanie E.T.

— A może chcesz coś zjeść? — zaproponowała Cam, starając się zatuszować zachowanie pani Beasley.

Reba potrząsnęła przecząco głową i wepchnęła dłonie w rękawy swetra.

— Posiedzę chwilę, jeśli nie macie nic przeciwko temu — usadowiła się na kanapie. — Zeszłą noc spędziłam w dość obskurnym motelu i nie spałam dobrze, a pod-

czas ostatniej godziny jazdy tutaj musiałam ustawić radio na rockandrollową stację i wywiesić głowę przez okno jak pies, żeby nie zasnąć.

— To może chciałabyś pójść na górę i się zdrzemnąć

— zatroszczyła się Josie.

— Nie, dziękuję pani Tatternall. Jak już tu jestem, to zaraz się ożywię. Sam wjazd mnie rozbudził. Pomyślałam sobie: hej, od razu lepiej. Duże stare domostwa „te przypominające brody starców rośliny, które porastają drzewa”

— machnęła rękoma — i nikt na mnie nie trąbi, kiedy jadę wolno, sprawdzając numery posesji.

— Cieszymy się, że przyjechałaś. I proszę, mów mi Josie.

— Okej, Josie. Wiesz, czytałam o Południu jeszcze jako dziecko. A kiedy wybrałyśmy się z Cam na *lisięcia przy-
pływów*...

— Niektóre sceny kręcono kilka przecznic stąd — po-
kiwała głową Josie.

— Każdy, kto pisze o swojej rodzinie, tak jak robi to Pat Conroy... — zaczęła pani Beasley.

— Cóż, pisze się o tym, co się zna — zaśmiała się Reba, potarła głowę krótkimi palcami i zmieniła temat. — Ten dom jest naprawdę uroczy, pani Tatternall, to znaczy Josie.

— Został zbudowany w 1859 roku przez rodzinę, która miała plantację bawełny na wyspie Świętej Heleny

— podjęła szybko Josie. — Przetrwał wojnę, ale tej rodziny nie było stać na podatki i przejął go kupiec z Massachusetts. W latach dwudziestych dom popadł w ruinę i przez pewien czas stał niezamieszkały. — Widząc, że pani Beasley nadał gapi się na Rebę, mówiła coraz szybciej.

— Mój szwagier, Dozier, odziedziczył sąsiedni dom, a ten wystawiono na sprzedaż, gdy tata Cam odchodził z wojska na emeryturę. Akurat to miasto zaczynało się rozwijać, więc postanowiliśmy go kupić. — Josie złapała oddech.

— Wybacz. Opowiadam jak staruszka, dla której dom stał się całym światem i chlubą.

— Ależ proszę mówić dalej — nalegała Reba. — Ciągłe tkwi we mnie dziewięciolatka, która lubi szkolne wycieczki. Właśnie na taką opowieść liczyłam.

— Naprawdę uważam, że dom jest jak osoba — dodała Josie. — Jest znacznie ciekawszy, jeśli ma jakąś historię. A my, jak Cam zapewne ci mówiła, dużo się przeprowadzaliśmy z powodu pracy mojego męża, więc to, że wreszcie mam taki dom jak ten, to dla mnie, cóż, prawie jak gwiazdka z nieba. — Głos Josie zmiękł, a Reba potaknęła z tak zaciekawioną miną, że Josie miała ochotę opowiedzieć jej więcej.

— Przez te wszystkie lata, kiedy tu przyjeżdżałam — wtrąciła się pani Beasley kwękającym tonem — chyba ani razu nie pokazała mi pani całego domu ani nie opowiedziała jego historii.

Josie zwróciła się do pani Beasley.

— Sądziłam, że siostrzenica ma po panią przyjechać.

— Tak, ale się spóźnia.

— Cóż, Rebo — uśmiechnęła się Josie. — Jeśli naprawdę jesteś zainteresowana, chętnie cię potem oprowadzę. A teraz może pokażę ci twój pokój, żebyś mogła się odświeżyć. Proszę nam wybaczyć, pani Beasley. — Poprowadziła Rebę na piętro, a pani B. patrzyła na nie z miną porzuconego szczeniaczka.

— Na dzisiejszą noc mogę dać ci własny pokój — tłumaczyła Josie, wchodząc po schodach — ale jak Cam pewnie ci mówiła, jutro w Wigilię wszyscy u nas nocują.

Przyjeżdżają siostra Cam, Lila i jej mąż Orrie z dziećmi, a także ojciec Orriego, Jasper, i najmłodsza siostra Cam, Evie. Chór, w którym występuje moja gosposia, daje koncert w Wigilię i gdybyś chciała się na niego z nami wybrać, to będzie nam bardzo miło, ale nie musisz się czuć zobowiązana. Lila uznała, że dobrze by było otworzyć prezenty przed pójściem na koncert. W ten sposób będziecie mogli spać w świąteczny poranek, a po południu zjemy obiad. Więc, gdybyś chciała własny pokój na dziś...

— Och nie, od razu mogę być w pokoju Cam. Będziemy mogły pogadać. Piżamowe przyjęcie dla czterdziestolatek.

— Na pewno nie chcesz nic do jedzenia ani picia? — spytała ponownie Josie.

— Wystarczy... — Widząc, jak Cam wykrzywia się za plecami matki, Reba zrozumiała sygnał. — A wiecie, na co miałabym ochotę? Chciałabym, żeby Cam pokazała mi miasto. Będiesz moją przewodniczką, Cam?

— Nie było mnie tu tyle lat, że prawdopodobnie kiepsko się sprawdzę — odparła niewinnie Cam — ale mogę spróbować.

— Dzięki Bogu, że mnie stamtąd wyciągnęłaś — powiedziała Cam, gdy Reba zjechała wynajętym samochodem z krawężnika. — Jeszcze dziesięć minut i powiedziałabym tej kobiecie, co o niej myślę.

— Chyba nie mówisz o swojej mamie?

— Nie, o pani Beasley. Przy takiej jak ona mam wrażenie, że zostałam przeniesiona do powieści Dickensa. Dzięki Bogu tata nie dożył oprowadzania gości po pensjonacie.

— Ale twoja mama jest cudowna — naprawdę słodka, ale nie przesłodzona. Dlaczego mi nie powiedziałaś, że ona jest taka miła?

Cam poczuła się jak nastolatka: zadowolona, że jej najlepsza przyjaciółka podziwia jej matkę, i jednocześnie sfrustrowana, że Reba nie dostrzega pewnych cech, które utrudniają obcowanie z Josie.

— Ja też nie wiedziałam, co jest nie tak z twoją mamą, kiedy ją poznałam — powiedziała nie do końca uczciwie. Przebywanie w towarzystwie matki Reby było, tak jak to Reba zapowiedziała, równie atrakcyjne co utknięcie na pasie startowym w oczekiwaniu na zezwolenie odlotu. — Jasne, mama jest uprzejma, ale jest... — Cam usiłowała znaleźć odpowiednie przymiotniki, ale tylko wyjąkała — ...tak przygnębiająco domatorska.

— Cóż, kobiety z tego pokolenia miały takie być, czyż nie?

— Próbuję ci wytłumaczyć...

Reba oderwała dłoń od kierownicy w geście irytacji.

— Przestań próbować mi tłumaczyć, tylko mów, dokąd mam do cholery jechać.

— Do apteki. Prosto, potem wzdłuż zatoki.

— Apteki?

— Muszę kupić ten test ciążowy.

— Och cholera, przepraszam, zapomniałam. — Pokręciła głową i prychnęła. — Kto by pomyślał, że w święta będziemy jeździć po małym miasteczku na Południu, szukając apteki, żeby kupić test ciążowy?

— Taak, życie jest pełne niespodzianek.

— Naprawdę myślisz...

— A co mam myśleć? Spóźnia się już pięć dni.

— Przecież nigdy nie miałaś jakoś bardzo regularnego.

— No dobra, ale pięć dni!

— Stres. Sam wyjechał, nie wiadomo, co z pracą, są święta, a ty podróżujesz. Nie wspominając o tym, że masz już tyle lat...

— Nie. Coś jest nie tak. Ciągłe mi niedobrze. Czuję głód, ale nie mam ochoty jeść. Za każdym razem w łazience sprawdzam, czy się zaczęło. Przypominam sobie o tym sto razy w ciągu dnia. Czuję jakiś ból, ale nie wiem, czy to skurcze, czy gazy.

— Dzwoniłaś już do Sama?

Cam wypuściła ze świstem powietrze, jakby była balonem, któremu ktoś pozwolił odlecieć.

— Nie zamierzam dzwonić do Sama. Sam mieszka w innym stanie. Sam zniknął.

— Ale to ty zakończyłaś tę znajomość, to ty...

— Po czyjej jesteś stronie?

— A są jakieś strony? Przecież Sam nie potraktował cię tak jak Cheryl mnie. Czuję się padliną na szosie, przyczepioną do koła samochodu.

— Wiesz co, kiedyś znałam faceta, który został oskarżony o zakłócanie spokoju podczas demonstracji. Prawnik błagał go, żeby ściął włosy, ale on nie chciał tego zrobić. Wolał zostać skazany, niż nawet odrobinę się dostosować.

— A co to niby ma znaczyć?

— No, byłaś ubrana tak jak teraz, kiedy poznałaś rodziców Cheryl? Bo chyba musiałaś wiedzieć...

— Przepraszam bardzo, przyganiał kocioł garnkowi. Nie przypominam sobie, żebyś często z czegoś rezygnowała, żeby się dostosować. Niedługo skończę pięćdziesiąt lat. Nie mam sukienki z okrągłym kołnierzykiem. Nie mam pantofli na obcasach. Noszę kowbojki zimą i latem, ponieważ mam płaskostopie i takie buty ukrywają wkładki.

— Nie wiedziałam, że musisz je nosić.

— To jeden z objawów starzenia się, które ze stoickim spokojem postanowiłam ukryć nawet przed najbliższymi przyjaciółmi — powiedziała Reba bez troski, odwracając się, żeby popatrzeć w bok. — Hej, tu jest naprawdę ładnie. I tak cicho. Nie mogę się tylko przyzwyczaić do tego, że na ulicy jest tak mało ludzi.

Dlaczego ja się kłócę z Reba?, pomyślała Cam.

— To, co mówiłaś — zaczęła po chwili — o nieodgrywaniu przedstawienia dla rodziców Cheryl? Pamiętam, jak wstałam i poszłam do łazienki rano, po tym jak pierwszy raz spałam z Samem. Sięgałam po kosmetyki, ale pomyślałam: „Nie. Niech zobaczy cię taką, jaka jesteś”.

— Chcesz przez to powiedzieć, że?

— Ze dopóki nie poznałam Sama, zawsze robiłam przedstawienie ze swojej uczciwości, żeby zachować dla siebie wszystkie małe tajemnice.

— Nikt nie jest tak tajemniczy jak osoba, która daje pokaz otwartości. No tak.

— Zawsze miałam problem z zaufaniem, wiesz o tym. Szczególnie wobec facetów.

— Niektórym ludziom nie wolno ufać.

— Ale Sam...

Reba uderzyła dłonią w kierownicę.

— O tym właśnie mówię. Powinnaś do niego zadzwonić.

— A ty zadzwoniłaś do Cheryl?

— Nie. I nie mam takiego zamiaru. Niech się trochę podenerwuje.

— To dlaczego, do cholery, mówisz mi, co mam zrobić?

— No, to nie ja sądzę, że jestem w ciąży.

— Uważaj. Uważaj.

— O czym ty mówisz? Szanse na to, żebym ja zaszła w ciążę...

— Nie, uważaj na zjazd. Centrum handlowe po prawej.

— Cam, nie mogę rozmawiać, kiedy mówisz mi, jak mam jechać.

— Skreć. Skreć. O tu! Podjedź do tego małego budynku. Na koniec parkingu, blisko miejsca, w którym sprzedają choinki. Tam jest apteka.

Parking był całkowicie zapchany. Reba jeździła alejkami, szukając wolnego miejsca.

— Ostatni raz robiłam zakupy w centrum handlowym, kiedy byłam u kuzyna w New Jersey, jakieś dziesięć lat temu. Już wiem, dlaczego ich unikałam, ale to przypomina mi, że może znalazłabym tu jakiś prezent dla twojej mamy?

— Wyślij jakiś upominek z podziękowaniami z Nowego Jorku. O, widzisz tę czarnoskórą w zielonym chevrolecie? Ma zapalony silnik. Zaraz wyjedzie. — Cam odkreśliła szybę w oknie, zamachała i zawołała: — Wyjeżdża pani?! — Kobieta w chevrolecie odwróciła powoli zmęczoną twarz i popatrzyła błędnym wzrokiem.

— Szok zakupowy — stwierdziła Reba i już miała jechać dalej.

— Nie, czekaj. Ta blondynka w czerwonych spodniach wygląda, jakby szła do kombi obok chevroleta. — Młoda dziewczyna, z trudem dźwigająca torby, ubrana w elastyczne spodnie, które pokazywały więcej cellulitu, niż gdyby była naga, puściła rękę nieszczęśliwego malca, wymacała kluczyki, wrzuciła zakupy, warknęła na dziecko, żeby wsiadało, zatrzasnęła drzwi i uruchomiła silnik.

— Boże, jest gorzej niż piętnastego kwietnia na poczcie*.
— Reba zmieniła bieg i czekała. — Są jak rybki księżycówki wyskakujące na plażę.

— Zakupy na ostatnią chwilę zawsze są męczące.

— Ale przecież nikt im tego nie każe robić — zastanawiała się Reba. Kącik jej ust uniósł się w złośliwym uśmiechu.
— Czy może zrobisz mi kolejny wykład na temat konieczności dostosowywania się?

Cam odwróciła się, żeby spojrzeć przez tylne okno.

— Facet w hondzie — szepnęła głosem jak z *Mission Impossible*. — Zamierza... Jedź! Jedź! — Ale było już za późno. Gdy blondynka cofała samochód, mężczyzna w hondzie wyminął je szybko, prawie na nie wpadając, i wjechał na zwolnione miejsce. Reba wcisnęła gwałtownie hamulec. — Co za ekspansja terytorialna. I ta jego zawodowa mina. Poczekały aż kobieta w chevroletcie zdobyła się na to, żeby wyjechać. — Ojej, muszę się napić — powiedziała Reba, wyłączając silnik. — I zapalić.

— No chodź — ponagliła ją Cam, która już wysiadła i spieszyła się do środka.

* Ostatni termin składania zeznań podatkowych w USA.

Reba podążyła za nią.

— Czuję się, jakbym płynęła przez jakąś wirtualną rzeczywistość stworzoną dla klientów telezakupów.

— Wejdziemy tylko tutaj. — Cam pchnęła szklane drzwi do apteki, okrążyła stół z kartkami, światełkami i z ręcznie wypisaną kartką 50% TANIEJ! ZRÓB ZAKUPY NA PRZYSZŁY ROK!

— Chyba musimy szukać pod „artykułami damskimi” — wymamrotała Cam, patrząc na znaki nad alejkami.

— „Damskimi?” — zdziwiła się Reba. — Nie powinno być „kobiecyymi”?

— Na litość boską! — Cam pomaszerowała na przód, doszła prawie do lady, zza której sprzedawano leki na receptę, skręciła szybko w lewo i zawołała: — Okej, mam!

— Niezbyt szczęśliwe umiejscowienie, co nie? — spytała Reba na widok półki z prezerwatywami zaraz obok testów ciążowych. — Trojan, Szejk, Ramzes, Styl Życia, Pierwszorzędny Akt? Że co? Pierwszorzędny Akt? — Pochyliła się, oglądając pudełeczko. — Hm. Te są prążkowane i pogrubiają. A te mają fluorescencyjne kolory. Wiesz co, jak to widzę, to czuję się strasznie stara. Gdy byłam w liceum, to wszystko było pod ladą. Nic na widoku. Chłopcy czekali, aż będzie sprzedawał mężczyzna. A tu proszę, wszystko wystawione, fluorescencyjne kolory, co tylko chcesz. Tymczasem liczba dzieci pozamałżeńskich rośnie w zawrotnym tempie. I bądź tu mądry. A tu — Reba spojrzała w prawo i dotknęła kolejnego opakowania — kobieca strona tej kwestii. Te nazwy już nie są tak oderwane od rzeczywistości, nawet jak na świat reklamy. Jest Potwierdzenie, FAKT, Wczesny Test Ciążowy i Szybka

Odpowiedź! — Potrząsnęła głową. — Szkoda, że nie mieli ich, kiedy byłam w liceum. Musiałam kupić obrączkę w tanim sklepie i iść do lekarza na test. Cam przygryzła wargę.

— Okej. Potwierdzenie jest w promocji za 9,95. Sądzę, że działają na tej samej zasadzie. Niech zatem będzie Potwierdzenie.

Gdy zbliżały się do kasy, Cam zatrzymała się, nadal przygryzając wargę. Reba wręczyła jej kluczyki do samochodu.

— Idź, ja się tym zajmę. I tak muszę kupić sobie papierosy. Zobaczmy się w samochodzie.

Cam siedziała pochylona z łokciami na kolanach i głową w dłoniach. Radio grało: „Albowiem dziecko narodziło się nam, syn jest nam dany... ” z *Mesjasza*. Reba wsiadła, wyłączyła radio i spytała:

— Z powrotem do domu?

— Nie, pojedźmy do Bay Street. Muszę popatrzeć na ocean.

Niebo było zachmurzone, a od zatoki wiała chłodna bryza. Na promenadzie z widokiem na wodę w odpowiednio dużych odległościach ustawiono drewniane huśtawki. Cam siedziała na jednej z nich, z dłońmi pod pachami, stopami mocno przylegającymi do ziemi, i kołysała się w przód i w tył. Na prawo od niej, nieopodal centrum informacji turystycznej, cumował niewielki statek wycieczkowy, a za budynkiem znajdowała się pusta muszla koncertowa i trawnik, patia restauracji, lecz ona widziała głównie mały plac zabaw po lewej stronie: okrzyki i piski zachwytu, kobiecy głos obiecujący: „Nie bój się, kochanie, jestem tu na dole zjeżdżalni i cię złapię”.

— Proszę. — Za nią stanęła Reba z dwoma kubkami styropianowymi. — To Krwawa Mary. Pomyślałam, że dobrze ci zrobi. I mnie też.

— Jak udało ci się to wynieść?

— Zamówiłam dwa drinki i dwa kubki styropianowe. Nie patrzyli w moją stronę. Uznałam, że to bardzo kulturalne z ich strony.

— Nie powinnam — powiedziała Cam, ale upiła duży łyk.

— Hej, jak powiedziała Barbara Ehrenreich, gdyby mężczyźni wiedzieli, że przez prawie rok muszą obejść się bez alkoholu i papierosów, a nawet aspiryny, to uznaliby ciążę za chorobę przenoszoną drogą płciową, a aborcję traktowano by jak operację ostrego zapalenia wyrostka robaczkowego. Na zdrowie — napiła się łąpczywie i popatrzyła na wodę. — Tu jest tak ładnie i spokojnie. Chyba nie mogłabym wyprowadzić się z Nowego Jorku, ale dobrze było zdejmować zimowe ubrania podczas drogi na Południe. Rękawiczki i czapki nie były już potrzebne w St. Petersburgu, płaszcze tuż przed Raleigh; zupełnie jak Gypsy Rose Lee* w bardzo zwolnionym tempie. — Upiła kolejny łyk, popatrzyła na Cam kątem oka i przestała paplać. — Dlaczego nie chcesz wrócić do domu i zrobić testu? Nadal uważam, że nie jesteś w ciąży, ale...

* Aktorka, striptizerka i pisarka działająca w latach 1937-1969.

— Nie rób mi wykładu o stresie. — Cam zatrzymała huśtawkę i zamknęła oczy. — Wypadłam tak z apteki, bo wydawało mi się, że poznałam kobietę przy kasie. To chyba była dziewczyna, z którą w liceum chodziłam na angielski. Jeśli dobrze pamiętam, jej tata był pastorem i ona jako jedyna uważała, że zmuszenie Hester Prynne do chodzenia ze szkarłatną literą było w porządku*.

— Cholera, naprawdę ci odbija. Nawet jeżeli — powiedziała przytomnie Reba — są jakieś szanse, że ona cię pamięta.

— Gdybyś spędziła całe życie, nie ruszając się dalej niż pięćdziesiąt kilometrów, tobyś pamiętała. Jutro mówiłoby o tym całe miasto.

Zakołysały się znowu, cztery, pięć razy, łagodnie w przód i w tył, ciesząc się z lekkiej bryzy i ciepła słońca.

— I co, byłaś? — spytała Cam, nie otwierając oczu.

— Co byłam?

— Powiedziałaś, że robiłaś test ciąży w college'u.

— Mm.

— Wiedziałam, że spotykałaś się z mężczyznami. Ale nie wiedziałam...

— To był mój ostatni rok. Nikomu się nie przyznałam, że jeszcze nie spałam z facetem. A w ruchu pacyfistycznym był taki chłopak. Nadzwyczajnie zwyczajny, jeśli dobrze pamiętam. Chociaż byłam wygadana, chyba domyślał się, że ciągle jestem dziewicą. Ach, te emocje podboju. Ale ja byłam chętna. Chciałam myśleć, że budzę pożądanie.

* Bohaterka powieści *Szkarłatna litera* Nathaniela Hawthorne'a, na której ubraniu wyszyto szkarłatne „A”, od angielskiego słowa „*adulteress*”, oznaczającego cudzołożnicę.

Chciałam myśleć, że jestem normalna. Pierwszy raz spałam z nim po marszu pokojowym. Cóż, pamiętasz, jak to było — znaleźć w tłumie podobnie myślących ludzi, cały ten dreszczyk emocji, narcystyczna satysfakcja z własnej odwagi. To było sexy. Bardzo sexy.

— U mnie nigdy — powiedziała Cam. — Zawsze miałam poczucie, że maszeruję przeciwko wszystkiemu, czego nauczył mnie ojciec.

Promenadą przeszła para i kiwnęła im głowami, mówiąc dzień dobry.

— Więc — Reba poczekała, aż odeszli wystarczająco daleko — Jerry i ja zaczęliśmy się... nie wiem, jakbyś ty to nazwała, to nie był romans. Żadnych czułych słów, zwierzenia się czy dawania sobie prezentów, żadnych kolacji przy świecach. Podobnie jak wtedy, kiedy wujek wrzucił mnie do basenu, kiedy byłam mała i powiedział, że jeśli nie będę panikować, to nauczę się pływać. Ale nigdy nie nauczyłam się z Jerryem. — Opróżniła kubek, rozejrzała się za koszem na śmieci, postawiła kubek na ziemi i zapaliła papierosa. — Ciągnęliśmy to przez pół roku. Nie był to scenariusz do filmowego hitu tygodnia, nie zaszłam w ciążę po numerku z diabolicznym uwodzicielem.

— I co? — spytała Cam, kiedy Reba zamilkła.

— Nie chciał nawet iść ze mną do lekarza. Seks był wspólny, ale jego konsekwencje dotyczyły już tylko mnie. Ani wcześniej, ani później nie czułam się tak samotna, tak bezsilna. I przerażona! Wiesz, że aborcja była wtedy nielegalna. Byłam pewna, że albo umrę, albo pójdę do więzienia. Albo jedno i drugie.

— Dlaczego nigdy mi o tym nie powiedziałaś?

— Gdybyś ty była w ciąży, w co szczerze wątpię — Reba zignorowała jej pytanie — Sam nigdy by cię tak nie potraktował. Jest dżentelmenem.

— Mówisz jak moja matka. To nie chodzi o to, czy jest dżentelmenem. Sam ożenił się, jak miał dwadzieścia jeden lat, i ma już dwoje prawie dorosłych dzieci.

Reba zastanowiła się nad tym, a potem pokiwała głową.

— Jeżeli jesteś w ciąży, to ja pójdę z tobą.

— Dzięki, mała. Jeśli postanowię to zrobić, dam ci znać.

— Nie masz zbyt dużego wyboru. Bo, co z...

— Pieniędźmi? Ubezpieczeniem? Moją pracą? Znalezieniem większego mieszkania? Opiekunki, żeby zajmowała się dzieckiem, kiedy będę w pracy?

— Dobre pytania. I jeszcze jest twój wiek, jeśli wybaczysz...

— Ale dziwne, że to ty mówisz, że nie mam zbyt dużego wyboru.

— Nie chciałam... wiem, że zawsze opowiadałaś się za możliwością przerywania ciąży...

— Tak. A teraz, kiedy być może to ja będę musiała rozważyć taką możliwość... — Podniosła się i stała przez chwilę z ramionami skrzyżowanymi na piersi i wpatrzona w wodę.

— Przypuszczam, że nic nie powiedziałaś swojej mamie?

— Mina Cam starczyła jej za odpowiedź.

— Josie ma dziewięćdziesięcioletnią matkę z Alzheimerem, jedna z jej najlepszych przyjaciółek jest w szpitalu, mojej siostrze Liii za chwilę puszcza nerwy, chociaż jeszcze nie zdaje sobie z tego sprawy, moja druga siostra jest słodką idiotką do kwadratu, a wujek Dozier, jedyna osoba,

na którą mama może liczyć, wyjeżdża do Columbii z ciotką Edną odwiedzić dzieci. Chyba ma już dość na głowie, nie sądzisz? Ale wiesz co? — ciągnęła Cam. — To zabawne. Mama nigdy nie potrafiła rozmawiać ze mną o seksie, ale kiedy miałam jakieś piętnaście lat, powiedziała: „Gdybyś kiedyś znalazła się w kłopotach, przyjdź do mnie”. Chyba jestem w kłopotach. Po same uszy. Ech. — Potrząsnęła głową, pociągnęła nosem i spojrzała na niebo. Słońce schowało się za chmurami, a w powietrzu dało się wyczuć bagienny zapach, który zwiastował deszcz. — Jeśli już skończyłaś palić, wskakuj na konia, Tonto, wracamy na ranczo.

* * *

Gdy wróciły, na podjeździe nie było samochodu Josie i nawet pani Beasley wyszła. Udały się na górę, nie mówiąc ani słowa, krzywiąc się przy każdym skrzypnięciu schodów, i weszły do sypialni. Reba usiadła na łóżku, ściągnęła buty, wyjęła kupione w aptece pudełko i zaczęła czytać.

— „Wynik pojawi się po pięciu minutach. Nie stosować po upływie daty ważności podanej na opakowaniu” i tak dalej, i tak dalej. — Rozcięła celofan na górze pudełka paznokciem, otworzyła je, wyjęła instrukcję i przejrzała ją. — Tu jest napisane, że można zrobić test o dowolnej porze dnia, ale najdokładniejsze wyniki będą rano, zaraz po wstaniu.

Cam już rozpięła dzinsy. Wyciągnęła rękę.

— Zrobię teraz.

— Oczywiście, że tak. — Reba podała jej test i ściągnęła sobie skarpetki, udając, że jest bardzo zainteresowana paznokciami, gdy Cam szła do łazienki. Zdało jej się, że

usłyszała jakiś dźwięk w korytarzu, więc podeszła bezszelestnie do drzwi, przyłożyła do nich ucho, po czym przekręciła klucz w zamku i stała cicho niczym włamywacz. Usłyszała szelest zdzieranego zewnętrznego opakowania testu, potem chwilę wahania — domyśliła się, że Cam chciała je wyrzucić do kosza na śmieci, ale mądrze zmieniła zdanie — a potem cichszy dźwięk zdejmowanej folii z okienka testu. Długa cisza. Z korytarza nie dobiegał żaden dźwięk, ale Reba była tak wystraszona, że była przekonana, iż po drugiej stronie drzwi ktoś stoi. Odgłos moczu wpadającego do wody w muszli klozetowej wydawał się nienaturalnie głośny. Pomyślała o tym, co przed chwilą przeczytała w instrukcji: „Jeśli niebieska kreska pojawi się w okienku testowym w kształcie serca obok okienka kontrolnego na patyczku testowym, wynik testu jest pozytywny i oznacza to, że najprawdopodobniej jesteś w ciąży”. Dlaczego ten dumny producent uznał, że okienko powinno być w kształcie serca. — Hej, Cam! — zawołała cicho, kiedy usłyszała odgłos spuszczonej wody. — Hej, chodź tu! — To będzie bardzo długie pięć minut. — To drzewo za oknem. Co to za drzewo?

— Chyba miodla, ale nic wiem. Moja mama ci powie. — Cam podeszła do przyjaciółki i przycisnęła czoło do szyby. Było kojąco chłodne, gdy na jego powierzchnię padały krople deszczu. — Mama zna nawet łacińskie nazwy tych roślin, ale Mawmaw potrafiła, idąc przez las, podać nazwy wszystkich drzew i roślin i powiedzieć, które są jadalne. Nigdy nie nauczyłam się takich rzeczy.

Reba spojrzała na zegarek, zastanawiając się, co by jeszcze powiedzieć, ale nie potrafiła niczego wymyślić. Stały

obok siebie, patrząc, jak deszcz się wzmaga i zamazuje widok ogrodu. Pięć minut to naprawdę bardzo dużo czasu. — Chyba możesz już sprawdzić.

— Mm — Cam odwróciła się, drżąc. Miała nieobecny wyraz twarzy, ale skupiony, jakby słuchała jakiejś dalekiej muzyki. — Mam nadzieję, że jutro nie będzie padało — wymamrotała, idąc do łazienki.

Minęło tylko kilka sekund, zanim Reba usłyszała, jak Cam ją woła, ale było to wystarczająco dużo, żeby zastanowiła się nad naturą czasu — jak potrafi się rozciągać, aż minuty wydają się nigdy nie kończyć, jak potrafi być ciężki, że aż dusi, jak czyjś los może się zmienić w ułamku sekundy. Stojąc w drzwiach łazienki, widziała plastikowy patyczek testowy na wykładanym kafelkami blacie umywalki, obok miski potpourri, kostki mydła ogórkowego i wyszywanego ręcznika dla gości. Mały otwór w kształcie serca był zdecydowanie niebieski.

Deszcz padał niemal przez całą noc, spływając ulicami, wsiąkając w ziemię, zmieniając kolor poszarzałej opłaty na zielonkawą. Do popołudnia, kiedy volvo Liii podjeżdżało pod dom matki, na kredowo błękitnym niebie pojawiło się już słońce, a ciepły wietrzyk łagodził chłód powietrza i strząsał krople z tworzących łuk zimozielonych dębów na przednią szybę jej auta. Usłyszała klakson grający radosne ta-da-ta-da-da, zerknęła we wsteczne lustro, nic nie zobaczyła, a potem zorientowała się, że zbliża się do niej lincoln z Dozierem za kierownicą i Edną na przednim siedzeniu. Dozier zjechał na bok i odsunął szybę.

— Wesołych świąt, słonko.

— Minęłybyś nas. Nie zauważyłaś nas? — spytała Edna. Lila pokręciła przecząco głową.

— Chyba jestem zmęczona. Jedzicie już do Columbii?
— Tak, wyjeżdżamy wcześniej. Nie możemy się doczekać zobaczenia prawników.

Edna podniosła aparat fotograficzny.

— Dostałam wczoraj od Doziera. Podobno wystarczy nacisnąć i sam robi zdjęcia. Naprawdę znowu czuje się święta, kiedy w rodzinie są dzieci. Zamierzam strzelić im wszystkim fotki.

— Strzel im, doskonały pomysł — Lila uśmiechnęła się z własnego żartu i żeby uciąć ewentualne dalsze trajkotanie

o ślicznych słodkich dzidziusiach, zaczęła mówić o swoich planach. — Orrie i dzieci przyjadą później. Chciałam pojawić się wcześniej i przywieźć prezenty — wskazała głową tylne siedzenie wypełnione błyszczącymi złoto--białymi pudełkami — i zobaczyć, w czym trzeba pomóc mamie.

— Mama ma już pełne ręce roboty — powiedziała Edna. — Ta cała pani Beasley dostała migreny i Josie się nią opiekuje, a Cubie zepsuła się maszyna do szycia, więc przyszła skorzystać z maszyny Josie. Jest tam z kilkorgiem swoich wnuków i szykuje dziwaczny strój dla chóru. I jeszcze jest jakaś przyjaciółka Cam z Nowego Jorku

— wygląda tak cygańsko, Rita? Rosa? Jak ona ma na imię, Dozier?

— Reba Golden — podpowiedział Dozier.

— O właśnie. — Edna mówiła dalej konfidencjonalnym tonem. — Nie bardzo zrozumiałam, o co chodzi. Podobno była w Karolinie Północnej u swoich znajomych, coś tam zaszło i Cam zaprosiła ją tutaj.

— Tak, mama mi o tym mówiła. Ale też nie za bardzo wiem, co dokładnie się stało. Wydawałoby się, że powinna mieć dość taktu i zrozumieć, że to święta rodzinne.

— Im więcej, tym weselej — powiedział Dozier. — O to chodzi w świętach. Josie nie jest niezadowolona z jej obecności. I wiem, że naprawdę cieszy ją, że będzie mieć was trzy. Myślę, że to będzie bardzo dobre Boże Narodzenie dla was wszystkich, Lilu. No dobrze, moje panie.

— Włączył silnik. — Pora w drogę.

— Pa, Lilu. I raz jeszcze dzięki za cudowne przyjęcie

— zawołała Edna, kiedy odjeżdżali.

Lila wjechała na podjazd, przekreśliła kluczyk w stacyjce, odchyliła klapkę przeciwsłoneczną i obejrzała się w lusterku. Miała ściągnięte usta, ciężkie powieki i zwężone źrenice. Nic dziwnego, że nie dostrzegła Edny i Doziera. Wyglądała tak, jakby była ślepa z gniewu. I była. Wszystko, co zaplanowała na święta, zostało popsute. Zawsze szła na kompromis, zawsze dopasowywała się do pragnień i planów innych, uważała, że pół bochenka to lepsze niż nic, i zawsze zostawały jej tylko okruszki.

Zeszłej nocy we własnym domu poczuła się obco. Miała nadzieję, że ona, Orrie i dzieci siądą razem, zjedzą potrawy, które pozostały z przyjęcia, i porozmawiają, ale okazało się, że rozmowa, a co dopiero porozumienie, nikogo poza nią nie interesuje. Gdy powiedziała im, że w Wigilię przenocują u Josie, wszyscy zachowali się tak, jakby to ona zmieniła plany tylko po to, żeby zrobić im na złość. Ricky wymamrotał pod nosem: „O, cholera!”, co poprawił na opryskliwe „wszystko jedno”, kiedy rzuciła mu gniewne spojrzenie i, jak zwykle, wyszedł bez żadnego pożegnania. Susan zaczęła jęczeć: „Czy to znaczy, że zostaniemy tam na świąteczny obiad? Babcia przygotowuje to obrzydliwe jedzenie, jakiś indyk i szynka, i będzie chciała, żebym to jadła?”, i wymaszerowała zła do swojego pokoju. Orrie zabrał pełen talerz i poszedł oglądać telewizję. Lila wzięła prysznic, umyła głowę, pochodziła po domu, aż wylądowała w salonie z kieliszkiem wina wpatrzona w migające lampki na choince. Koło jedenastej poszła do łóżka z książką, ale nie mogła się skoncentrować. Wstała i wzięła proszek nasenny. Ale to też nie pomogło. Więc leżała z otwartą książką na brzuchu, nie mogąc ani jasno myśleć, ani odpocząć, i czekała, aż skończy się program publicystyczny i Orrie przyjdzie spać.

Gdy jednak wpełził pod kołdrę i położył jej rękę na biodrze, mruknęła i odsunęła się od niego. Wyłączył lampkę nocną i przytulił się do jej pleców. Gdy chuchnął jej w ucho, miała ochotę wrzasnąć. Zrobił to tego wieczoru, kiedy zaczęli ze sobą chodzić, mówiąc jej, że kumpel powiedział mu, że chuchnięcie dziewczynie w ucho ją podnieca. Na co stwierdziła, że tylko łaskocze. Stało się to ich stałym żartem łóżkowym. „Czy mogę cię połaskotać?”, pytał, kiedy chciał seksu. Dwadzieścia pięć lat, a jego repertuar nic się nie zmienił! Ale, zreflektowała się, gdy Orrie poddał się i przetoczył na swoją stronę łóżka, trzeba przyznać, że ona też nie zrobiła wiele, żeby wzbogacić ich pożycie.

Seks nigdy nie był nieprzyjemny, tylko po prostu przewidywalny, jak menu w McDonalddie. Orrie, będąc człowiekiem o niezmiennych przyzwyczajeniach, uważał to za rzecz dobrą — a przynajmniej ona tak przypuszczała — choć kilka lat temu kupił jedną z tych książek typu „Jak przedłużyć ekstazę orgazmu” i położył ją na jej stoliku nocnym. Z tyłu na okładce widniało zdjęcie autorów Hollingsworth i Rosenthal: małżeństwa (oczywiście), oboje z doktoratami (oczywiście), z bardzo białymi zębami i tak mdło zdrowymi uśmiechami, że równie dobrze mogliby oferować „Sto nowych przepisów na przygotowanie tofu”. Orrie zaznaczył niektóre fragmenty, jakby to był podręcznik, z którego znajomości będą musieli zdać

egzamin. W ciągu następnych kilku tygodni kupił tandetnie pachnący olejek piżmowy, masował jej plecy, czesał włosy łonowe i ssał palce u stóp w ramach gry wstępnej. Z początku uznała to za miłe, choć trochę głupie, lecz kiedy nalegał, a ona nie była w stanie odwzajemnić jego starań (rozdział ósmy: „Ze skrajności w skrajność. Pora na następny krok!”), zaczęła mieć już tego po prostu dość. Nie miała serca powiedzieć mu, żeby przestał, ale po kilku tygodniach sam się tego domyślił i wrócił do dawnej rutyny. Chyba mu to nie przeszkadzało. Doszła do wniosku, że książkę kupił, ponieważ widział jakiś film lub coś w telewizji, co go tak nastawiło, lub — co bardziej prawdopodobne — dostrzegł brak zainteresowania z jej strony, lecz nie potrafił o tym rozmawiać.

To prawda, że kochała się z nim z poczucia obowiązku, lecz nie uważała tego za poświęcenie. Po prostu zwyczajnie godziła się z naturalną kolejną rzeczą, ponieważ było to najlepsze możliwe rozwiązanie. Męskie pragnienia są bardziej stałe niż kobiece, mocniej związane z ego, i jeśli kobieta chce, żeby jej małżeństwo przetrwało, musi być przynajmniej dostępna.

Z początku, po ślubie, udawała, ale jak urodził się Ricky, znaleźli satysfakcjonujący oboje rytm. Nie oszukiwała Or-riego i nie oszukiwała siebie. Jej ciało reagowało i po seksie zazwyczaj czuła się dobrze, ale tak samo dobrze czuła się po meczu tenisowym lub po pływaniu. Nigdy w życiu nie przeżyła takiego obezwładniającego zapamiętania. Albo była zimną rybą, albo mnóstwo ludzi wyolbrzymiało swoje doznania. Podejrzewała to drugie. To, czego ludzie oczekiwali od seksu, w dużej mierze zależało od społeczeństwa i czasu, w którym się urodzili. Jej pokolenie w przeciwieństwie do pokolenia jej matki przypisywało mu ogromną wagę.

A przecież odwołując się do zdrowego rozsądku, nawet twarda jak diament namiętność musi się wypalić po dziesięcioleciach wspólnego związku i bez względu na to, co programy typu talk-show, pisma i psychologowie uparcie głoszą, małżeństwa nie trwają dlatego, że żona nosi czarne body i zna Kamasutrę.

Jeśli czegoś brakuje, rozmyślała, przewracając się na bok i podciągając kołdrę pod brodę, to czegoś trudnego do określenia. Spontanizacji. Ekscytacji. Ryzyka. Ale Orrie chyba nie jest w stanie tego pojąć. Dla Orriego spontanizacja oznaczałaby decyzję, że woli smażone ziemniaki zamiast kiełbasek na śniadanie. Nie mogła jednak narzekać, że Orrie ją zawiódł, ponieważ nadal miał dokładnie te cechy, które sprawiły, że się jej spodobał.

Był właśnie taki, jak chciała — stateczny, spokojny, solidny, majątny. Zupełne przeciwieństwo jej ojca, który miał cały zestaw wad — palił, pił i, była przekonana (choć matka nigdy o tym nie wspomniała), uganiał się za kobietami — i gdyby nie wyjątkowa siła jego osobowości, Niedźwiedź byłby banalny. Cam robiła z niego bożyszcze. Obsadziła go w roli wojownika, który nigdy nie dał się pokonać na placu boju, lecz padł pod naporem obowiązków rodzinnych (na przykład rat za lodówkę) i katalogów ogrodowych. Oczywiście Cam nie było, kiedy działo się najgorzej. Cam wyfrunęła do Nowego Jorku. Niedźwiedź spędzał całe wieczory w fotelu, lód rozpuszczał się w bur-bonie, a on podskakiwał przy najlżejszym dźwięku. Cam nie było wtedy, kiedy obudziły ją dobiegające z dołu krzyki

i wrzaski, a gdy podkradła się do schodów, zobaczyła, że Josie leży powalona na podłodze w kuchni z koszulą nocną zadartą powyżej kolan, a nad nią stoi Niedźwiedź ze zgarbionymi plecami i oszalałym wzrokiem. Jeśli dobrze wiedziała, zdarzyło się to tylko raz. Josie o tym nie mówiła — pewnie wyrzuciła to z pamięci — ale ona, Lila, nigdy tego nie zapomni.

Nie, nie ma powodu narzekać na Orriego. Orrie jest wierny. Dbaj o jej uczucia, pozwala jej decydować właściwie o wszystkim, kupił jej dom wart pół miliona dolarów. A jeśli dyszy jej do ucha dwa razy w tygodniu, potem masuje piersi, pyta: „Gotowa?“, zanim się na niej położy, to czyż można narzekać? Cmoknęła go lekko w ramię, ale ulżyło jej, gdy się nie poruszył. Kocha go. Tylko nie chce go dotykać ani być dotykana przez niego.

O pierwszej czterdzieści, kiedy Ricky nadal nie wrócił, poklepała delikatnie męża po ramieniu, a gdy to go nie obudziło, przesunęła kciukami w górę i w dół po kręgosłupie, jak robiła jej masażystka, żeby rozluźnić mięśnie.

— Orrie — szepnęła — już prawie druga. Ricky jeszcze nie wrócił do domu.

Orrie mruknął, podniósł się gwałtownie, spojrzął na zegarek.

— Hej, jest w porządku. Wiesz, że nic mu nie jest, śpij — wymamrotał.

— Ale przecież ustaliliśmy, że ma wrócić najpóźniej o pierwszej. Oboje to ustaliliśmy. Kazałeś mu obiecać.

Orrie odsunął się jeszcze dalej.

— Zaraz wróci. Śpij — wychrypiał.

Nic nie powiedziała, ale pomyślała sobie: Typowe! Cały ty. Nie potrafisz nakreślić granicy bez jej zatarcia, a on dobrze o tym wie.

Orrie znowu zaczął równomiernie oddychać przez usta z powodu zatkanych zatok, ale ona leżała spięta. Zastanawiała się, czy nie wziąć kolejnej pigułki nasennej, ale doszła do wniosku, że lepiej nie. Sen po lekach sprawi, że następnego dnia będzie jeszcze bardziej zmęczona, a jutro jest Wigilia i musi sobie poradzić z Cam i matką oraz z Evie i Jasperem. Szlag by ich wszystkich trafił. I jeszcze Ricky. Nawet Ricky nie mógł być tak egocentryczny, żeby nie rozumieć, że przysparza jej zmartwień. Ale Ricky był taki jak Cam, taki jak Niedźwiedź — robił, co chciał, nigdy nie dbał o innych. Od nasłuchiwania, czy nie podjeżdża jego samochód, irytująco wyostrzył się jej słuch. Sapanie Orriego doprowadzało ją do szału. Przypomniała mu, żeby wziął leki, ale zapomniał, jak zwykle. Słyszała ciepłe powietrze wychodzące z wentylacji, nieregularne bębnienie deszczu o szyby i nieznośne kapanie z rynny w klomb azalii. Zmusiła się do snu, lecz myśli wirowały w jej głowie.

Kiedy usłyszała, że szklane drzwi od strony basenu odsuwają się, usiadła gwałtownie jak trącona pastuchem elektrycznym. Spojrzała na zegarek. Druga czterdzieści pięć! W kilka sekund była na nogach, maszerując na dół.

— Co to do cholery wyczyniasz? — wyrzuciła się z siebie ostrym szeptem, gdy dotarła do salonu.

Widziała ciemną sylwetkę Ricky'ego na tle świateł basenu, z rozstawionymi nogami, jedną ręką opartą o ścianę dla utrzymania równowagi.

— Myślisz, że możesz traktować dom jak hotel? Myślisz, że możesz wchodzić i wychodzić, kiedy ci się podoba? Zostawiać mokre ręczniki na podłodze i niepościelone łóżko?

W mrugających lampkach choinki twarz Ricky'ego, rozmazana od alkoholu lub narkotyków, zrobiła się zielona, a potem czerwona.

— Jezu, mam się zameldować? Myślałem, że to twoja matka prowadzi pensjonat.

— Coś ci powiem, młody człowieku, jeśli będziesz się tak nadal zachowywać, to będziesz się musiał wymeldować.

Potrząsnął głową.

— Oj, mamó. Nie nudź!

— Ty zepsuty gówniarzu — ruszyła ku niemu. — Ty arogancki skurwysynu! — Zamachnęła się na niego, ale nie trafiła.

Zaśmiał się tak gwałtownie, że aż zgiął się wpół.

— Skurwysynu? Jeśli ja jestem skurwysynem, to kim ty jesteś?

Tym razem trafiła. Rozległ się ogłuszający odgłos ciosu w bok głowy.

— Co tu się do cholery dzieje? — Orrie zapalił światło i stał zaniepokojony z zapuchniętymi oczyma w drzwiach na korytarz.

— Maltretowanie dzieci! — wrzasnął Ricky, ogłuszony, ale śmiejący się histerycznie. — Maltretowanie dzieci! Dzwonię po gliny!

— Co tu się do cholery dzieje? — ponownie domagał się wyjaśnień Orrie.

— Twoja żona — Ricky pozbierał się, macając głowę — ma jakiś menopauzalny napad wściekłości.

— Nie mów tak do matki — ostrzegł Orrie. Ale Ricky już przeszedł koło niego, zataczając się w kierunku swojego pokoju. Jedną ręką machał za siebie lekceważąco. —Jezu, idę do łóżka. Ustalcie to między sobą — wymamrotał.

— Orrie! — Lila krzyknęła, jakby spadała z klifu. — Orrie!

Orrie spojrział w jedną stronę, potem w drugą, zastanawiając się, czy powinien ukarać syna, czy pocieszyć żonę, nie wierząc, że uda mu się którejs z tych rzeczy dokonać.

— Czyja muszę robić to sama? — zawodziła. — Czy wszystko muszę robić sama?

— Nie, nie, kotku. Oczywiście, że nie. — Objął ją. Wyrywała się. Spróbował ponownie, przytulając ją i prowadząc na korytarz. Kiedy mijali drzwi do pokoju Susan, w jej pokoju nagle rozbrzmiała muzyka z zestawu stereo, ale nie na tyle głośno, żeby nie usłyszeli piskliwego głosu córki:

— Nie jestem częścią tego wszystkiego. Nie jestem częścią tego wszystkiego. Zostawcie mnie w spokoju!

— Jesteś jego ojcem! — wrzasnęła Lila, gdy dotarli do ich sypialni. — Nie wiesz, co to oznacza? Czy nie masz jaj... — Jak tylko padły te słowa, zdała sobie sprawę, niczym dziecko, które wybiegło na ulicę, że zrobiła coś niebezpiecznego i zasługującego na karę.

Niemal chciała, żeby ją uderzył, ale zamiast się wściec, tylko się skrzywił.

— Och, Lila.

— Będę spała w innym pokoju — warknęła, wyrywając się.

— Posłuchaj, kotku...

— Żadnego „posłuchaj kotku”. Spij sobie sam. Mimowolnie ziewnął i nawet on wiedział, że był to niestosowny i działający na jego niekorzyść odruch.

— Przepraszam. — Położył dłoń na ustach i uśmiechnął się swoim najbardziej ujmującym chłopięcym uśmiechem, o którym fotograf robiący zdjęcia do kampanii wyborczej powiedział, że przyniesie mu wygraną. — Lila, wiesz, że gdy jesteś w takim nastroju, nic cię nie zadowoli.

— A już na pewno nie ty! — wrzasnęła, odchodząc zamaszystym krokiem. Doszła do salonu, zobaczyła choinkę i zwinęła dłonie w pięści, jakby chciała jej wymierzyć cios, odwróciła się i ruszyła do drzwi frontowych, otwierając je gwałtownie. Do cholery, odejdzie! Zostawi ich. Wtedy wreszcie zauważą wszystko, co dla nich zrobiła. Jasne, że ma wiele tych urządzeń ułatwiających pracę, ma nawet pomoc domową. Nikomu nie będzie jej żal. Ale niech zobaczą, jaka to mordęga robić dzień w dzień to samo. Niech poczują monotonię powtarzania bez końca tych samych czynności. Jak długo wytrzymają bez niej, bez uzupełniania zapasów w lodówce, szykowania posiłków, prania rzeczy, odbierania telefonów, umawiania ich do dentysty? Porzuci te wszystkie komitety i organizacje charytatywne, w których się udziela — gdzie tylko traci nerwy, a nie dostaje pieniędzy. Zostawi nawet matkę — przestanie być jej kierowcą, powiernicą, towarzyszką, jedyną posłuszną córką. A kiedy odejdzie, oni — wreszcie — zrozumieją, że ona też ma uczucia. Zrobiła nawet buntowniczy krok w przód.

Mżyło, ale światło nad wejściem, które zostawiła zapalone dla Ricky'ego, sprawiało, że wyglądało to na nieprzeniknioną zasłonę deszczu. Dokąd miałyby pójść? Nie może nawet pojechać do matki, bo u niej jest Cam. Odwróciła się, zamknęła drzwi i cicho poszła korytarzem. U Susan i

Ricky'ego cisza. Ale nie, do cholery, nie wróci do sypialni i nie będzie spała z Orriem.

Drzwi do mniejszego pokoju gościnnego były uchylone. Zamknęła je cichutko za sobą i zdała sobie sprawę, że piecze ją wewnątrz prawej dłoni. Uderzyła swojego syna. Uderzyła tę samą twarz, z której wycierała resztki jedzenia gdy był niemowłkiem i którą uważała za najpiękniejszą na świecie. Ale do cholery, testował jej cierpliwość od tygodni, sam się o to prosił. Ktoś musiał go przywołać do porządku. Kilka lat w wojsku... O czym ona myśli! Przecież nienawidzi wojska. Gdyby nie wojsko...

Wytarła z twarzy łzy, z których obecności nawet nie zdawała sobie sprawy, i stała, dysząc w ciemności. Przestało padać i w słabym świetle wpadającym przez okno zobaczyła na stoliku pośród płataniny wstążek butelkę perfum Joy, którą tego popołudnia kupiła dla Cam. Chwyciła i cisnęła ją o ścianę, a potem opadła na fotel, szlochając i czkając niczym trzylatek, który dostał napadu hysterii.

Gdy opary zaczęły ją dusić, wstała, otworzyła okno, myśląc: uduszona perfumami wartymi siedemdziesiąt dolarów!, i zaczęła się śmiać. Śmiech łączył się z łzami. Zatkąła usta pledem. Na kanapie leżało mnóstwo prezentów, ale zepchnęła je na bok, nie dbając o to, że niektóre spadły na dywan, i położyła się zwinięta w pozycji embrionalnej.

Nazajutrz obudziła się tak zeszywniała i zmarznięta, jakby spała na podłodze. Usłyszała w korytarzu ciche kroki — zapewne Susan jak co rano wychodziła pobiegać. Od-

czekała kilka minut, zamknęła okno i wymknęła się do gościnnej łazienki, żeby wziąć prysznic.

Odkręciła tylko zimną wodę i weszła w mgiełkę igiełek tak lodowatych, aż się zachłysnęła. Stała tak, póki nie zdrętwiała z zimna, po czym przekreśliła zawór w drugą stronę, a gorąca woda zaparowała lustro i mocno zaczerwieniła jej skórę. Ogoliła nogi i pachy, a nawet położyła maseczkę ogórkowo-algową. Nie chcąc budzić Orriego, zawinęła się w biały frotowy szlafrok, przeznaczony dla gości.

Kiedy Orrie pojawił się w drzwiach kuchni, z lewym okiem ciągle opuchniętym od spania na boku, boso, ale uczesany i ubrany w dzinsy i limonkową koszulę J. Crew, właśnie kończyła parzyć kawę.

— Tosty czy croissanty? — spytała, nie podnosząc wzroku, i usłyszała ulgę w jego głosie.

— Ach, mogą być tosty.

A więc. Jak zwykle. Cokolwiek się stało, lepiej to zignorować, niż wyjaśnić. Jedyne decyzje, jakie musieli podjąć, to croissanty czy tosty, ubrania z LL Bean czy Land's End, czerwony, biały i niebieski czy tylko biały i niebieski na plakatach wyborczych. A część niej nie miała nic przeciwko temu, że Orrie chciał zachowywać się tak, jakby nic się nie stało. Ale stało się, zachowała się źle i jeśli chciał, mógł jej to wyrzucić.

— Pszenne czy żytnie? — spytała, otwierając pojemnik na chleb.

— Chyba... — Spojrzał na nią, uśmiechnął się, sięgnął po pilota i włączył telewizor. — Chyba żytnie dla odmiany. Z serem śmietankowym.

Włożyła kromki do toster, wcisnęła przycisk i niemal położyła dłoń na urządzeniu, wręcz pragnąc, żeby ją oparzyło. I tak minie kolejny dzień — kolejny tydzień, kolejny rok. Cóż, wyparcie, jeśli nie jest lepsze, to przynajmniej wygodniejsze niż konfrontacja. Szczególnie podczas świąt.

* * *

Idąc przez ogród do kuchennych drzwi domu Josie, czuła ostry zapach podsmażanej cebuli oraz selera, słyszała warkot maszyny do szycia i głos matki rozmawiającej z kobietą, której nie rozpoznała. Naprawdę nie miała ochoty na kontakty z obcą osobą. Stała, czując się jak podsłuchujące dorosłych dziecko, ponieważ po tonie głosów zorientowała się, że to intymna, żeby nie powiedzieć, sekretna rozmowa. Ale dosłyszała jedynie kilka słów i fraz. Jej matka mówiąca: „Nie, nie wiedziałam...”, i cichnący, drugi głos: „Wiesz, że Cam nie chciałaby...”. Potem, albo dlatego, że doszły do jakiegoś odkrycia, nad którym obie się zamyśliły, albo wyczuły, że ktoś słucha, nastąpiła długa pauza, a następnie, gdy wróciły do rozmowy, Josie odezwała się radośnie, jakby recytowała listę:

— Białe rękawiczki. Tak. I bilety wizytowe. Zawsze, kiedy nas przeniesiono, zakładałam białe rękawiczki i zostawiałam bilet wizytowy w domu oficera dowodzącego. Nie wiem, czy jeszcze się to robi.

— I fartuchy. Jak panią zobaczyłam w fartuchu, to przypomniało mi się dzieciństwo. Moja babcia zawsze nosiła podomki i fartuchy.

— A dostawaliście mleko pod drzwi? Bardzo mi tego brakuje.

— I radio zamiast telewizji.

— Nadal chętniej słucham radia. Chyba wolę sobie coś wyobrazić, niż to zobaczyć. Kiedy ostatnio poszłam do kina z moją przyjaciółką Peatsy, mało nie umarłam ze wstydu. Po prostu nie mogę się przyzwyczaić do oglądania nagich ludzi w łóżku. Czuję się jak jakiś podglądacz.

— Moim ulubionym programem radiowym był *Gang Busters*.

— *Gang Busters*, *The Lone Ranger*, *The Shadow*, *Fibber McGee i Molly*. Lila lubiła *Let's Pretend*, ale oczywiście była młodsza. Cam wołała *Inner Sanctum*.

— Uwielbiałam ten program. Nawet Stephen King nie potrafi mnie przyprawić o ciarki tak jak tamte skrzypiące drzwi. Co jeszcze? Och, majtki wyszczuplające! Może sobie pani wyobrazić, że moja matka usiłowała zmusić mnie do ich noszenia, chociaż miałam zaledwie piętnaście lat i osiemdziesiąt sześć centymetrów w biodrach?

Josie zaśmiała się.

— Przyznam, że robiłam to samo Cam. Głupie, kiedy teraz o tym pomyślę, ale wtedy kołysanie pupą było nie do przyjęcia. Mój mąż, Niedźwiedź, nienawidził tego. Kiedy je nosiłam, nazywał je Dywizją Pancerną. Och i pamiętam, jak Lila niemal wpadła we wściekłość, kiedy Cam nie chciała ich włożyć na jej ślub. Ale Cam i Lila są do siebie tak podobne jak dzień do nocy. Nawet już jako dzieci były zupełnie inne.

Lila poczekała, czy powiedzą o niej coś więcej, ale kiedy usłyszała, jak obca kobieta mówi: — Tak, poproszę jeszcze filizankę — zapukała, wołając: — Jest tu kto?! — i otworzyła drzwi.

Josie stała przy kuchence, rozdrabniając bułeczki kukurydziane do dużego rondla z cebulą i selerem. Kobieta z niesfornymi włosami i za dużymi kolczykami siedziała przy stole, siekając orzechy pekanowe. Mały czarnoskóry chłopiec z oczyma jak u lemura właśnie wszedł z drugiego pokoju.

— Och, Liłu — Josie wskazała na drugą kobietę — to jest przyjaciółka Cam, Reba Golden, która przyjechała z Nowego Jorku. Rebo, to jest moja córka, Lila Gadsden.

Reba uśmiechnęła się, odłożyła nóż i wyciągnęła rękę, ale Lila nie zamierzała być miła i mówić, że się cieszy z tego spotkania, skoro się nie cieszy, więc tylko skinęła głową i przywitała się chłodno: — Cześć.

— A to jest wnuk Cuby, Antoine — szybko powiedziała Josie.

Antoine popatrzył na Lilę podejrzliwie i przysunął się do Reby, która go objęła.

— Jeśli umyjesz ręce, możesz mi pomóc wyjmować orzechy z łupinek — szepnęła.

Josie machnięciem łyżki cedzakowej wskazała jadalnię.

— Cubie zepsuła się maszyna do szycia, więc robi ostatnie poprawki szat dla chóru. Wybieracie się wszyscy na mszę, tak? Nadal nie ubrałam choinki. Może moglibyśmy to zrobić dziś, potem otworzyć prezenty i iść posłuchać chóru Cuby. Pasuje wam?

— Czemu nie.

— Cuba to takie niezwykle imię — wtrąciła się Reba. — Wie pani, skąd się wzięło?

— Dziadek ją tak nazwał. Był w tej jednostce czarnoskórych żołnierzy nazywanej Buffalo Soldiers podczas

wojny amerykańsko-hiszpańskiej i tak mu się spodobała Kuba, że zawsze chciał tam wrócić, więc zmusił matkę Cuby do nadania jej takiego imienia. Miała przez to same kłopoty, gdy Castro przejął tam władzę.

— Gdzie jest Cam? — spytała Lila, nie mając ochoty na pogaduszki.

— Położyła się. Chyba przywiozła tu jakiegoś wirusa albo to tylko przeziębienie — wyjaśniła Josie. — Uznałyśmy, że pozwolimy jej pospać.

Typowe, pomyślała Lila. Cała Cam, obijać się, udawać chorą i wykręcić się od pomocy.

— Co mogę zrobić?

— Weź krzesło i odpocznij. Reba i ja właśnie rozmawiałyśmy... ach, o dawnych czasach. — Lekkie wahanie w jej głosie potwierdziło podejrzenia Liii, że gdy podeszła do drzwi, mówiły o czymś ważnym. — To niesamowite pomyśleć o tych wszystkich zmianach, które zaszły za naszego życia — ciągnęła Josie. — Ajeszcze bardziej niezwykle jest, że Mawmaw rozmawiała ze swoimi dziadkami o wojnie secesyjnej, a teraz mamy helikoptery, komputery i ten Internet. — Wyczuwając, że jej wysiłki wciągnięcia Lilę w rozmowę zdają się na nic, spytała: — A gdzie Orrie i dzieci?

— Przyjadą na kolację. Nie wiem, czy razem, czy oddzielnie. — Wzięła orzech pekanowy i spojrzała na Rebę. — Dzieci już nie chcą ze mną jeździć, ale chyba nie ma się czemu dziwić, skoro na rodzinę przypadają cztery samochody. — Chciała okazać frustrację z powodu odrzucenia przez nastolatki, ale wyszło tak, jakby się przechwalała.

— Lubisz gotować? — spytała Reba wyciągając drugie krzesło i robiąc przy stole miejsce dla Liii.

Lila potrząsnęła przecząco głową.

— Nie. Jestem jak żydowska księżniczka. Jedyne, co robię na obiad, to rezerwację. — I to też nie wyszło z ręcznie. — Nie chciałam powiedzieć...

Reba, była bardziej zaintrygowana niż urażona. — Zarabiam najedzenie, robiąc jedzenie.

— Reba prowadzi catering — wyjaśniła Josie, zaczerwieniona i zmieszana nieuprzejmością Lili.

— To pani, pani Lilo?! — zawołała Cuba. Lila przeszła do jadalni. Cuba siedziała schylona nad maszyną do szycia, z ramionami zgiętymi jak u wołu w zaprzęgu, przekładając zwoje żółtej, zielonej, czarnej i czerwonej tradycyjnej afrykańskiej tkaniny Kente. — Moja maszyna się zepsuła i robię to dla Betsy Halls. Jest tak gruba — potrząsnęła głową — że jak podnosi ręce, to puszczają szwy.

Dziewczynka wyglądająca na ośmioletnią, z włosami ciasno splecionymi w zaczesane do tyłu warkoczyki ozdobione plastikowymi zielonymi i czerwonymi koralikami, nalewała odrobinę olejku cytrynowego na ściereczkę i wcierała go w kredens.

— Uważaj — ostrzegła dziecko Lila — żebyś niczego nie stłukła.

Dziewczynka przysunęła szmatkę do siebie, do napisu JEZUS MNIE KOCHA na koszulce i popatrzyła na nią nadąsana.

— Proszę się o nią nie martwić — powiedziała Cuba, przycinając nitki. — Shalalla nic nie zepsuje. Shalalla umie odkurzać, ścielić łóżka i uczę ją teraz prasować. Wszystkie moje wnuki potrafią po sobie posprzątać. — Lila nie umiała powiedzieć, czy są to przechwałki, czy subtelna

nagana dla tych, których dzieci, tak jak jej, nie sprzątają po sobie.

Cuba strzepnęła strój i uśmiechnęła się.

— Już uprzątnięte po przyjęciu, pani Lilu? To dopiero była uczta.

— A i owszem. — Ale słyszała, jak Cuba szepnęła wtedy do Josie, że Lila przepłaciła. — Och, Cuba — przeprosiła — zapomniałam zabrać czek dla ciebie.

— Nie ma problemu. I tak go nie zrealizuję przed świętami. Widzi pani włosy Shalalli? To jej prezent gwiazdkowy.

— Wyglądasz uroczo — powiedziała Lila do dziewczynki. — Czy babcia zabrała cię do salonu piękności? — Shalalla, która potrafiła rozpoznać, kiedy jest traktowana protekcjonalnie, spojrzała w okno, nie odpowiadając.

— Pani do ciebie mówi, Shalalla — zwróciła jej uwagę Cuba, ale uwolniła wnuczkę od kłopotu, odpowiadając za nią. — Jasne. Była w salonie pierwszy raz. Chciała też mieć paznokcie, ale na to nie pozwoliłam.

Shalalla zadarła podbródek, sięgnęła po młynek do pieprzu.

— Co to jest, babciu?

— Odstaw — powiedziała ostro Cuba, ale przywołała dziewczynkę gestem i objęła ją. — Ale da mi pani ten czek, pani Lilu. Inaczej wsadzą mnie do więzienia za niezapłacenie weksła.

— Zjawimy się dziś wieczorem w kościele, żeby cię posłuchać. Dam ci go wtedy.

— Lepiej przyjdźcie wcześniej. Będzie tłok.

— Tak zrobimy. Mam nadzieję, że ty i twoja rodzina spędzicie radosne święta. — Nie potrafiła nic innego wy-

myśleć. Wychodząc z pokoju, usłyszała, jak Cuba mówi: — To jest młynek do pieprzu. Przynieś go tu ostrożnie, to pokażę ci, jak działa.

W kuchni zobaczyła, że Josie podciągnęła krzesło bliżej Reby. Kobieta, która teraz trzymała Antoinne'a na kolanach, oglądała małą karteczkę z pudełka na przepisy Josie.

— Bardzo proszę, przepisuj sobie — mówiła do niej Josie. — Nie mam pojęcia, czemu mówi się na to tort hugenocki, bo ani to tort, ani hugenocki. Wolę mieszankę czarnych orzechów i pekanów, bo same czarne mają zbyt mocny smak.

Reba pokiwała głową. Schyliły się nad poplamioną masłem, zapisaną ręcznie karteczką, jakby to był jeden ze zwojów znad Morza Martwego. Lila poczuła się tak nieprzydatna, niepasująca i nieszczęśliwa jak zawsze pierwszego dnia w nowej szkole po kolejnych przenosinach Niedźwiedzia. Nie dbała o wyśzość pekanów nad czarnymi ani o działanie młynka do pieprzu. Niedobrze jej się robiło od towarzystwa kobiet i dzieci.

Josie podniosła wzrok. — Reba już ukręciła jajka do ajerkoniaku, tylko jeszcze go nie doprawiliśmy. Ale jeśli chcesz sobie nalać i dodać alkoholu...

— Zostawiłam paczki w samochodzie. Pójdę po nie.

— Pomogę ci — zaoferowała się Reba.

— Nie ma potrzeby. Poradzę sobie.

Wychodząc, uważała, żeby nie trzasnąć drzwiami, ale gdy otworzyła bagażnik samochodu i spojrzała na prezenty, nagle zamknęła go z trzaskiem i wsiadła za kierownicę. Zapaliła silnik, zaczęła cofać, ale nie miała pomysłu, dokąd

jechać. Gdyby ktoś ją spytał, powiedziałaaby, że ma mnóstwo znajomych — tak wielu, że nie miała czasu się z nimi kontaktować. Miała znajomych od Tidewater po Florida Keys — z college'u, z interesów Orriego i jego kampanii — ale nikogo na tyle bliskiego, żeby mogła pojawić się niezapowiedziana na dzień przed świętami. Nikogo na tyle zaufanego, żeby odwiedzić go, będąc w takim złym stanie.

Wyłączyła silnik, zamknęła elektrycznie sterowane szyby i włączyła odtwarzacz CD. Kiedy sopran wznosił się niczym wielki, kolorowo upierzony ptak, zamknęła oczy i usiłowała sobie przypomnieć techniki oddechow, których dawno temu nauczyła się na zajęciach porodu naturalnego. Bycie samą nie jest takie złe. To przebywanie z osobami, z którymi nie można się porozumieć, sprawia, że człowieka gnębi poczucie izolacji.

Pukanie w okno wyrwało ją z zamyślenia. Jeszcze bardziej zaskoczył ją widok Bedforda Bethune'a, ubranego jak zwykle w dżinsy i drelichową koszulę, z rozpuszczonymi włosami, który gestem pokazywał jej, żeby opuściła szybę.

— Nie chciałem cię przestraszyć — powiedział. — Zacząłem podjeżdżać, ale nie wiedziałem, czy parkujesz czy wyjeżdżasz.

— Ja też nie. Masz czasem taki dzień?

— Nie tylko dzień, ale tydzień, a nawet miesiąc, kiedy nie wiem, czy przyjeżdżam, czy wyjeżdżam. — Przykucnął, krzyżując ramiona i opierając się o samochód z przekrzywioną na bok głową. — Czego słuchasz?

— „Dôme épais” z *Lakmé*.

- Nie pomyślałbym, że jesteś wielbicielką opery.

Miał rzęsy gęste jak u dziecka, a prawa brew była diabo-licznie wygięta, co zauważyła wcześniej, ale nie pomyślała, że to może atrakcyjnie wyglądać.

— Nie jestem. Widziałam tylko dwie opery i to dlatego, że byłam w komitecie finansowym festiwalu Spoleto. I szczególnie mi się nie podobały. Pewnie jestem dyletant-ką. Po prostu lubię niektóre arie.

— Ta jest naprawdę ładna. — Sposób, w jaki to powiedział, wydawał się sugerować, że skierował ten komplement pod jej adresem. Nie flirtował jak inni — nie obsypywał komplementami, nie uśmiechał się zalotnie, nie rzucał znaczących spojrzeń — w zasadzie jego typowym zachowaniem było zamyślenie graniczące z gburowatością. Ale tamtej nocy na przyjęciu patrzył na nią tak, jakby uważał ją — no, nie za tajemniczą, z pewnością nie było w niej niczego tajemniczego — ale za interesującą. Interesującą kobietę. Przekonywała sobie, że to tylko jej wyobraźnia i to, że gdy wszedł do pokoju, Ruth Cremoni wyszeptała do niej: „Działacz ekologiczny, tak? Nie miałabym nic przeciwko pójściu z nim do lasu”. I dodała, że spał z każdą wolną kobietą (i wieloma zajętymi) pomiędzy osiemnastym a sześćdziesiątym rokiem życia z hrabstw Beaufort i Colleton. Bethune był miejscową znakomitością, a uchylanie się od poboru i podróże po świecie przydawały mu ekscytującej odmierności. To, plus fakt, że było tu niewielu przystojnych, nieżonatych i heteroseksualnych mężczyzn w jego wieku, czyniło z niego główny obiekt przesadzonych stwierdzeń, pobożnych życzeń i plotek. Osobiście jej to nie dotyczyło.

Nagle zastanowiła się, co on tu robi, przed domem jej matki. Zorientował się po jej minie, o czym myśli, i wyjaśnił.

— Kiedy spotkałem Cam tamtego wieczoru, powiedziałem jej, że może zajrzeć, będąc w mieście.

— Zdaje się, że Cam śpi. Chyba przyjechała z gripą czy coś takiego.

— W takim razie...

— Nie chciałam cię wyganiać. W domu jest mnóstwo ludzi i mama z przyjemnością cię ugości. Po prostu wejdź.

— To nic ważnego. Nie wiedziałem, co ze sobą zrobić.

— Wiem. Czas pomiędzy. Już po przygotowaniach, jeszcze przed uroczystościami.

— Nie robiłem żadnych przygotowań z wyjątkiem porąbania drewna do kominka. Wypisałem się z rodziny do jutra. Pojadę do matki, posłucham wykładu brata na temat konstytucyjnego prawa do noszenia broni, zjem indyka i wyjdę, tłumacząc się wcześniejszymi zobowiązaniami.

Uśmiechnęła się, nie wiedząc, co powiedzieć. Podciągnęła lekko nogawki spodni, wyprostował się i szybkim ruchem głowy odrzucił do tyłu włosy.

— Masz ochotę pojechać do Emily's na drinka?

— Och, chyba nie. Nie chcę się pokazywać publicznie.

— Ale dobrze wyglądasz. Ten niebieski sweter podkreśla kolor twoich włosów.

Zastanowiła się, czy zauważył, że są kilka tonów jaśniejsze, niż były w liceum. Nie żeby wtedy zwracał na nią uwagę. Niewiele osób interesowało się nią, chyba że jako młodszą siostrą Cam.

— To sweter mojej córki — powiedziała szybko i od razu pożałowała, że nie ugryzła się w język.

Wciągnął policzek i rzucił jej kpiące spojrzenie.

— Czyli nie chcesz, żeby cię zobaczono ze mną, bo to politycznie kompromitujące?

— Ależ nie. — Chociaż przeszło jej to przez myśl. — Tylko po tych wszystkich zakupach i przyjęciach mam dość tłumów.

— A tak. Myślałem o tobie w czasie kampanii Orriego. Widziałem cię na jednej z debat.

— Wyglądałam na nieszczęśliwą?

— Zdecydowanie nie. Byłaś czarująca. Absolutne opowanie. Pomyślałem tylko, jak trudno musi być cały czas tak nad sobą panować.

— Nie robię tego cały czas. Spotkania polityczne to nie rozrywka.

Zebrał włosy na karku.

— Naprawdę? Zawsze myślałem, że tak.

Uśmiechnęła się, ale odwróciła wzrok. Nie wiedziała, jak prowadzić taką rozmowę z mężczyzną. Te niuanse i sugestie sprawiały, że czuła się niezręcznie.

— Cóż... — spojrzała na deskę rozdzielczą. — Wejdę z tobą. Może Cam już wstała.

— Mówisz, jakbyś nie miała na to szczególnej ochoty.

— To dlatego, że u mamy jest pełno ludzi, a jak wspomniałam, że mam dość tłoku.

— Nie muszę się widzieć z Cam teraz. Co powiesz na spacer?

— W The Point? Z sąsiadami mamy w oknach?

— Nie. Po plaży. Jedź ze mną na wyspę Hunting. Mogła skłamać, że wyszła po prezenty i miała zaraz wrócić, ale zamiast tego powiedziała:

— Jest za zimno.

— Cykor. Jest osiem stopni i świeci słońce. Poza tym to najlepsza pora na chodzenie po plaży. Żadnych tłumów, parasolek, ratowników, żadnych siatkarzy, romansujących nastolatków, wrzeszczących dzieciaków, bliskich udaru. I co najważniejsze: żadnych radioodbiorników. — Przybrał poważną minę. — Lubię myśleć o sobie jako o człowieku spokojnym i pokojowo nastawionym, ale mógłbym błyskawicznie chwycić jedną ze strzelb twojego teścia i zabić tych wszystkich hałasujących idiotów. Ale co tam. — Wyszczrzył się jak łaskotany dzieciak. — To co? Cała plaża dla nas?

Odwróciła się, żeby spojrzeć na torbę podróżną i na ubranie, które miała włożyć na mszę Cuby.

— Chyba nie...

— No dalej, chodź na wagary — upierał się. — Dwadzieścia minut jazdy na wyspę, dwadzieścia minut spaceru i dwadzieścia minut jazdy z powrotem. Skoro tam się tyle dzieje, to nawet nie zauważą, że cię nie ma. — Otworzył szeroko drzwi auta i wyciągnął rękę, żeby pomóc jej wysiąść. Zignorowała ten gest. Stała blisko niego, mając oczy na wysokości drugiego guzika jego drelichowej koszuli. Klatka piersiowa mężczyzny była gładza, niżby mogła przypuszczać, sądząc po gęstych włosach na skroniach i przedramionach. — Zatem — po jego swobodnym tonie poznała, że on zdaje sobie sprawę z tego, że mogą zostać zobaczeni — przyjeżdżasz czy wyjeżdżasz? Wiesz, co powiedział Thoreau.

— Sądzę, że Thoreau powiedział wiele rzeczy. — Nie ufała sobie na tyle, żeby na niego spojrzeć.

— Jedną z nich było: „Jeżeli będę czegokolwiek żałować, to najprawdopodobniej swojego dobrego zachowania”.

Rozejrzała się, żeby sprawdzić, czy nikt nie patrzy, i poszła przed nim w dół podjazdu do jego samochodu. Spodziewała się land rovera, a przynajmniej pikapa, ale było to stare bmw.

— Zacytowałem to w mowie pożegnalnej na koniec liceum — powiedział, wsiadając. — Chyba miałem nadzieję, że będziesz pamiętała.

* * *

Cam leżała skulona na łóżku z zamkniętymi oczami, ale nie mogła zasnąć, a jej myśli pędziły w tym samym kierunku i ciągle natykały się na ścianę. Czy nadawała się na bycie matką? Co ma zrobić z pracą, pieniędzmi, ubezpieczeniem, mieszkaniem? Ale jak zniesie aborcję?

Słyszając trzask drzwi i uruchomiony silnik samochodu, otworzyła oczy, zastanawiając się, czy to nie Cuba odjeżdża z wnukami i czy nie musi zejść na dół i się pożegnać. Nie powinna liczyć na to, że Josie i Reba zajmą się sobą, skoro właściwie się nie znają. Zaczęła się podnosić, ale usłyszała dźwięk zamykanego okna i ciche stąpanie tuż pod swoimi drzwiami. Bez wątpienia pani Beasley sprawdza, przez okno na końcu korytarza, kto przyjeżdża i kto wyjeżdża. Opadła na poduszki i zwinęła się w kłębek. Przykładając rękę do ucha, myślała o tym, jak Sam po raz pierwszy powiedział jej, że ją kocha.

Była połowa lipca, jakieś siedem miesięcy po tym, jak się poznali. Weekend zaczął się źle. Lato było okropnie

upalne, niemal opustoszałe chodniki skrzyły się w słońcu, temperatura przekraczała trzydzieści pięć stopni, a klimatyzacja w jej mieszkaniu padła. Sam obudził się przed świtem, odruchowo przyciągając ją do siebie, ale kiepsko spała, czuła się lepka i miała podły nastrój.

— W porządku — westchnął — zniosę odmowę. Ale tylko jedną dziennie. Ponieważ wybieramy się później do centrum, co powiesz na to, żebyśmy teraz wstali, przeszli Mostem Brooklińskim i obejrzeni wschód słońca?

Jedną z rzeczy, które uwielbiała u Sama, była jego nieślabnąca ciekawość. Nauczył się o nowojorskiej architekturze więcej, niż jej się chciało dowiedzieć, a ostatnio zachwyił go Most Brookliński.

— No dobrze — ziewnęła. — To chyba jedyna okazja, żeby zażyć dziś trochę ruchu. Zmuszę się do tego wysiłku z najwyższym trudem. Nie dlatego, że chcę, wyłącznie dlatego... — Nieomal powiedziała: „dlatego, że cię kocham”, co chciała już zrobić wiele razy, ale nie mogła się przemóc i wyznać tego jako pierwsza, nawet w żartach.

Kiedy szli mostem, po ulicy nie jeździły prawie żadne samochody, a w zasięgu wzroku nie było ani jednego pieszego. Niebo zmieniło barwę z grafitowej na jasnoniebieską, a w powietrzu czuć było niosącą ulgę wilgotność. Sam mówił o projekcie mostu, opowiedział, jak go budowano, i o tym, że gdy został ukończony w 1883 roku, był najdłuższym mostem wiszącym na świecie, a potem rozplýwał się nad jego pięknem. Zawsze zachwycało ją, gdy entuzjazm brał w nim górę nad jego zwyczajową nieśmiałością. Miała wówczas wrażenie, jakby znała go wtedy, gdy był młodym człowiekiem, a i sama odzyskiwała przy

nim dziecięcą zdolność do zachwyty i zapału. Z nim się po prostu fajnie spędzało czas.

Schronili się w klimatyzowanej kawiarni na Brooklynie, gdzie wypili kawę i przeczytali gazety, a potem zamówili taksówkę i pojechali spotkać się z Joshem i Betsy w Chinatown. Ponieważ było to jedno z pierwszych wyjść Betsy od czasu porodu, po przedpołudniowych chińskich przekąskach dim sum zachciała zrobić zakupy spożywcze, więc ruszyli parnymi ulicami, zaglądając do pełnych ostrych zapachów sklepów spożywczych i zielarskich, gdzie kupili olej sezamowy oraz suszone grzyby i zdumiewali się innymi, nieznanymi im produktami. Kiedy zegnali się przed straganem na Mott Street, włosy przykleiły się jej do głowy, a limonkowa luźna lniana sukienka przyłgnęła do pleców i była przekonana, że dezodorant nie podołał swojemu zadaniu. Gdy Josh i Betsy wsiadali do taksówki, Cam wyrzuciła ręce do góry w teatralnym geście pożegnania... i strąciła piramidę pomarańczy. Cam, sprzedawca i jego mały syn pospiesznie zaczęli zbierać toczące się owoce. Z okna odjeżdżającej taksówki Betsy zaśmiała się i zawołała: „Jak ty możesz z nią wytrzymać?!”, a Sam, schylając się po pomarańczę, odkrzyknął: „Nie mam wyboru, jestem w niej zakochany!”, tak po prostu i zwyczajnie, jakby odpowiadał komuś obcemu na pytanie o godzinę. Sięgając do portfela po pięciodolarówkę dla sprzedawcy, wziął Cam pod ramię i powiedział:

— Chyba masz udar, kochanie. Muszę cię zabrać z tego słońca.

— Nie chcę wracać do mieszkania — zaprotestowała, gdy wsiadali do samochodu.

— Nie jedziemy do ciebie. Każdy, kto ma odrobinę oleju w głowie, wyjechał z miasta. Zarezerwowałem dla nas pokój w Płazie.

— Co? To znaczy kiedy?

— Zadzwoń im, kiedy płaciłem za lunch.

— Aleja... — Spojrzała na swoją pogniecioną sukienkę i sandały.

— Założysz te wielkie okulary przeciwsłoneczne i odrzucisz odpowiednio głowę do tyłu, a wszyscy wezmą cię za jakąś sławę. Marmurowa wanna, widok na park, jednakowe szlafroki... klimatyzacja! Co ty na to? Wszystko, żeby moja dziewczyna była szczęśliwa.

— A ja na to, że jesteś cudowny.

— To rozumiem.

Po kąpieli owijał ją w jeden z tych szlafroków, ale nagle przestał, odsunął jej włosy i dotknął ucha.

— Wiesz, czemu uszy mają taki kształt? — Potrząsnęła przecząco głową, czując się jak pięciolatka. — Ponieważ to jest idealny kształt do szeptania w nie sekretów. Wiesz, jaki jest mój sekret? — Musnął płatek jej ucha wargami i wyszeptał: — Kocham cię.

Kochają. Zrobiliby wszystko, żeby była szczęśliwa. Ale bycie zmuszonym do zobowiązania na całe życie to nie do końca to samo co weekendowy romans w hotelu Płaza.

Znowu usłyszała trzask drzwi i koła obracające się tak szybko, że pryskał spod nich żwir. Niebo ciemniało, zwiastując burzę. Czowała zapach gotujących się potraw. Słyszała więcej głosów na dole. I ciągle nie mogła wstać.

— Może ktoś to skończy? — Josie wskazała na salaterkę, w której nadal mieściła się spora porcja krewetek, przypraw korzennych, kielbasy, kukurydzy i ziemniaków składających się na Kociołek z Wybrzeża Południa.

Reba, siedząca koło Cam, powiedziała, że to przepyszne, ale już zjadła dwie dokładki. Cam oglądała haft na obrusie. Orrie uśmiechnął się, zebrał palcem okruszki bułeczki kukurydzianej z talerza i potrząsnął głową. Susan bawiła się widelcem przy skorupce krewetki, której zjedzenie zajęło jej dziesięć minut, a Evie, jak było do przewidzenia, zaczęła coś seplenić o diecie. Jasper, którego intensywnie pachnąca woda toaletowa niemal przytłumiła zapach jedzenia, odsunął się od stołu, poluzował pasek i poklepał się po brzuchu. Tylko Ricky który wydawał się potrzebować najmniej jedzenia ze zgromadzonych przy stole osób, sięgnął bezceremonialnie nad talerzem siostry i nadział na widelec kukurydzę. Nosił czapkę baseballową drużyny Braves odwróconą daszkiem do tyłu, T-shirt i ogrodniczki z tylko jedną zapiętą szelką nad warstwą trzęsącego się tłuszczu. Josie patrzyła z obrzydzeniem, gdy jego wyprostowane przez ortodontę zęby i pokryta szczecina broda (Lila wyjaśniła jej, że trzydniowy zarost jest *de rigueur*, wymagany, wśród chłopców z college'u) zajmowały się kukurydzą. Mój Boże, pomyślała, kiedy

Niedźwiedź miał zaledwie kilka lat więcej niż ty teraz, latał na niebezpieczne misje przez pół świata. Miała ochotę powiedzieć: „Młody człowieku, nie sięga się ręką przed czyimś nosem bez powiedzenia przepraszam. Nie siedzi się w czapce przy stole. I jeśli uważasz, że możesz wejść do kościoła Cuby w tym stroju, to przemyśl to jeszcze raz”. Ale to nie pora na danie upustu swoim uczuciom odnośnie do manier i wyglądu Ricky'ego.

— To letnie danie i najlepiej robić je ze świeżych składników, ale ponieważ Reba nigdy go nie próbowała, a jest tak łatwe do zrobienia, pomyślałam, że możemy równie dobrze zjeść je dziś.

— Było bardzo smaczne, mamó — zapewnił ją Orrie. — Po prostu nie mam dziś apetytu.

A niby czemu miałbyś mieć, pomyślała Josie, skoro jest już ciemno, a twojej żony nie ma od paru godzin?

— Nie uważacie... — zaczął.

— Nie, nie, Orrie — uspokoiła go Josie. — Na pewno wszystko w porządku. Pani Beasley mówiła mi, że widziała, jak Lila rozmawiała z jakimś znajomym przed domem i potem razem odjechali. Pewnie pojechali na Bay Street na drinka i zapomniała, która godzina.

— Zapomniała, która godzina, w Wigilię? — spytała Susan piskliwie.

— Trochę się wczoraj posprzeczaaliśmy — przyznał Orrie. — Przedświąteczny stres, jak sędzę. Ale wszystko było w porządku, kiedy dziś po południu wyjeżdżała z domu.

— Nieobliczalne zachowanie nie jest wcale rzadkością podczas świąt — powiedziała im Evie — Dostałam mnóstwo listów po tym artykule, który napisałam w zeszłym tygodniu o stresie i depresji podczas świąt.

— Wściekła się, bo wczoraj późno wróciłem — odezwał się Ricky. — No ale przecież w końcu są wakacje, a ona nadal nie może sobie wbić do głowy, że jestem dorosły i chciałbym trochę posiedzieć ze znajomymi.

— Mógłbyś mieć na tyle przyzwoitości, żeby zadzwonić, jeśli wiesz, że będziesz parę godzin później — powiedział Orrie. — Wiesz, jak twoja matka się martwi.

— Czasami pomaga — poradziła Evie — jeśli obie strony przestają patrzeć na kwestię późnego wracania do domu jak na siłowanie się pomiędzy rodzicami a dziećmi. Gdybyście tak oboje potrafili myśleć o sobie jak o współ-lokatorach.

— Współlokator nie płaci za ciebie czynszu — zauważył Jasper.

— Tata może by to potrafił, ale mama nigdy — powiedziała Susan.

— Ej, nie muszę mówić swoim współlokatorom, o której wrócę — Ricky zadowolony z siebie rzucił Evie uśmiezek wyższości.

— Ale z czystej uprzejmości mógłbyś zadzwonić i współlokatora poinformować — upierała się Evie.

Cam czuła się tak, jakby była pod wodą i nie miała siły wypłynąć na powierzchnię.

— Kłopoty z wami, dziećmi, biorą się stąd, że wszystko wam łatwo przychodzi. — Jasper zakołysał szklaneczką z resztkami burbona. — Dobre jedzenie. Piękne kobiety... — Spojrzał na Evie, która przechyliła głowę i rzuciła mu spojrzenie mówiące „och, przeestań”. — Nie rozumiem,

jak ktokolwiek może być przygnębiony. — Nie chcąc być uznanym za mato eleganckiego, zwrócił się do Reby. — A co pani myśli o naszym pięknym stanie, panno Golden?

— I nie czekając na odpowiedź, dodał: — To nie najlepsza pora na jego oglądanie. Powinna pani tu przyjechać w kwietniu lub w maju, kiedy kwitną azalie.

— Tak, z pewnością jest uroczo — odpowiedziała Reba z taką delikatnością, że Cam aż przygryzła wargę.

Przy stole znowu zapadła cisza. Orrie spojrział na zegarek.

— Mamo, nieważne, co powiesz, jeśli ona nie wróci w ciągu dwudziestu minut, dzwonię na policję i proszę Freda o pomoc.

— Wróci — zapewniła go Josie. — Mówiłam ci, pani Beasley powiedziała, że odjechała z jakimś znajomym.

— Zastanawiała się, jak długo będzie mogła to powtarzać, zanim ktoś spyta, o jakiego znajomego chodzi. — To co, podam deser, dobrze?

— Zaraz, to jak to jest, że ona może, a ja nie? — zrzędził Ricky.

— Ricky — Josie czuła, że zaraz straci panowanie nad sobą. — Pomimo to, co sądzi Evie, twoi rodzice nie są twoimi współlokatorami. Nie są nawet twoimi przyjaciółmi.

— Mogą się nimi stać dużo później — powiedziała Reba — jeśli któreś z was jest wystarczająco dorosłe, żeby przyznać, że nie jest doskonałe.

— Mój tata nigdy nie był moim przyjacielem — powiedział Jasper do pustej szklanki. — Aż do dnia swojej śmierci groził, że utnie witkę z brzoskwini i mnie spierze. I zrobiłby to, gdybym nie był od niego większy.

— Moi rodzice nigdy by mnie nie tknęli — zapewniła Susan. — Ty nigdy nie biłaś dzieci, prawda, babciu?

Josie otworzyła usta, żeby jej odpowiedzieć, spojrzała na Cam i je zamknęła.

— Cóż — zająknęła się, zwijając palcami serwetkę — nie mieliśmy takiego podejścia do tej kwestii jak dzisiaj. Dyscyplina — w sensie kary fizycznej — była na porządku dziennym, kiedy dorastałam. Nie uważaliśmy, że jest to coś strasznego. Liczyliśmy się z nią. A czasem... czasem człowiek traci panowanie nad sobą.

— Rodzice nie powinni tracić panowania nad sobą. Są dorośli — powiedział Ricky. — Powinni dawać nam przykład.

— Bzdura — wymamrotała Cam. — Reprodukacja nie oznacza, że człowiek automatycznie staje się święty. — Zamknęła oczy. — Mamo, chyba jednak poproszę burbona.

Znowu zapadła cisza.

— Tak, oczywiście. — Josie wstała i podeszła do barku. Jasper podniósł swoją szklanę.

— Możesz przy okazji dolać mnie, Josie. To co, jaki jest plan? Kończymy ubierać choinkę?

— Tak. — Josie wyjęła lód z wiaderka. — Dzieci Cuby ubrały dziś po południu dolne gałęzie, ale jeszcze trochę zostało. Otworzymy prezenty — na Boga, niech już Lila się pojawi — a potem pójdziemy do kościoła Cuby.

Jasper zachichotał.

— Nadal nie mogę pojąć, dlaczego w Wigilię mamy wylądować w kościele czarnuchów.

Josie zeszywniała.

— Chór Cuby... — zaczęła.

Reba poczuła się, jakby ktoś jej chlusnął zimną wodą w twarz. Nie żeby nie słyszała tego słowa — ostatni raz słyszała je, gdy jeden czarny wyrzeszczał tak do drugiego, który zajął mu miejsce parkingowe niedaleko Broadwayu i Osiemdziesiątej Szóstej — ale żeby tak swobodnie rzucone...

— Panie Gadsden — zaczęła, podnosząc się z krzesła, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć, ale pewna, że coś powiedzieć musi. I nagle wszyscy zaczęli mówić jeden przez drugiego.

— Ej, dziadek — Ricky pokręcił głową. — To politycznie niepoprawne...

— Tato, wolałbym, żebyś... — ostrzegł Orrie. Evie błagała.

— Proszę, nie kłóćmy się.

— Wiesz, Jasper... — zaczęła Cam wojowniczym tonem typu „coś ci powiem, koleś”.

Nad wszystkich wybił się głos Reby, donośny i wyraźny niczym u szekspirowskiego aktora starającego się, by usłyszano go na balkonie.

— Josie, pomogę ci z naczyniami!

I znowu zapadła cisza, którą przerwała Josie po wzięciu głębszego oddechu.

— Mowy nie ma. Nie pozwalam moim gościom na sprzątanie. — Dotknęła ramienia Susan. — Ale ty panienko, będziesz mi w kuchni potrzebna.

— Babciu, to seksistowskie. Dlaczego nie spodziewasz się, że Ricky ci pomoże — zajęczała Susan. — Ciociu Cam, czy to nie jest seksistowskie?

— Czasami kuchnia jest najbezpieczniejszym miejscem
— odparła Cam.

_Każdy musi pomóc. Możecie wszyscy zanieść swoje talerze do kuchni — powiedziała Josie. — Potem możecie się rozejść, bo wolałabym posprzątać sama. Następnie pójde na górę się przebrać i wy dzieci też.

_Nie mam innego ubrania — odezwał się Ricky.

— Ricky, mówiłam ci... — zaczęła Susan.

_Trudno — zareagowała Josie. — Skoro nie wzięłaś przyzwoitego stroju, to nie pójdziesz na mszę. Ricky wzruszył ramionami.

— I tak się nie wybierałem.

Ton Josie był zjadliwy: — Tego się spodziewałam. — Sięgnęła na środek stołu i zabrała salaterkę. — Przejdziecie do salonu? Jest tam adapter, może Reba chciałaby posłuchać starych płyt Niedźwiedzia.

— Żebyś zobaczyła, jak tatko tańczył. — Evie poruszyła ramionami. — Potrafił, jak on to nazywał, „wywijać” na parkiecie?

- Tak, tak to właśnie nazywał — powiedziała zmęczonym głosem Josie i wycofała się do kuchni. Jasper podszedł do barku nalać sobie kolejnego burbona, a pozostali wzięli swoje talerze i ruszyli do kuchni. Susan, mijając krzesło Reby, wyszeptwała: — Dziadek wcale nie jest taki okropny, tylko tak się nauczył mówić. To pokoleniowe.

— Z pewnością — Reba starała się, żeby z jej głosu nie przebijał sarkazm.

- Nie, naprawdę — powiedziała Susan z przekonaniem. — Dziadek naprawdę lubi czarnych.

— Z pewnością — powtórzyła Reba.

— Lubi ich bardziej niż ja. Za wyjątkiem panny Gif-fens. To moja nauczycielka gimnastyki. Pani mi ją bardzo przypomina.

— Jest Żydówką? — spytała kpiąco Reba, zabierając talerz Evie, która już poszła do salonu i klęknęła koło Jaspera, który usiłował uruchomić adapter.

— Nie. Ale jest... nie wiem. Po prostu pani mi ją przypomina. I nie rozumie pani dziadka. Zatrudnia mnóstwo czarnych ludzi. I nie dlatego, że rząd mu każe, ponieważ nienawidzi rządu.

— Jeśli twój tata ma być w legislaturze stanowej, to może stanowić pewien problem.

— Nie, pani nadal nie rozumie — upierała się Susan. — Dziadek chce, żeby tata wygrał. Sfinansował jego kampanię.

Tym razem Reba zaśmiała się i powiedziała:

— Z pewnością. — Ale Susan miała tak napięty wyraz twarzy, że aż ją objęła.

— Jak pani myśli, dlaczego moja mama zniknęła? — spytała dziewczyna półgłosem.

— Myślę, że takjak powiedziała twoja babcia, nieco ją przerosły te wszystkie rodzinne sprawy, więc zrobiła sobie wolne, spotkawszy kogoś znajomego. To przecież nic koniec świata, prawda?

— Nie, jeśli szybko wróci — przyznała Susan.

— Idź do nich do salonu.

— Nie, chcę pomóc. — Susan poszła za Rebą do kuchni, gdzie Josie stała przed otwartą lodówką, patrząc na jej zawartość, jakby po raz pierwszy zobaczyła *Guernicę*.

Tego popołudnia kilkakrotnie poprzestawiała w lodówce półki, ale i tak rzeczy ledwo się mieściły. Naczelné miejsce zajmował potężny i zimny jak zwłoki indyk. Koło niego stała wciśnięta duża miska nadzienia z pieczywa kukurydzianego i dwa kartony śmietany kremówki, dalej opakowania mleka, soku, sosu żurawinowo-pomarańczowego i galareta z piankami, której by nigdy nie przygotowała, gdyby nie było to jedno z ulubionych dań Orriego. Na dolnej półce zawinięte w folię pokrojone surowe warzywa, oliwki, sery, dodatki do sałat, fasolka szparagowa, puree z rzepy i zapiekanka z częściowo ugotowanych batatów ledwo mieściły się obok butelek sosu chrzanowego, własnoręcznie marynowanej ketmii, sosu barbecue, sosu do sałatki, sosu brzoskwiowego i marynowanej kukurydzy. Butelka wina leżała wetknięta pod dziwnym kątem. Wszędzie powtykała pomarańcze i jabłka, świeże ananasy, paczki wędlin i resztki pasty łososiowo-serowej, której nie chciała wyrzucać, ale pojawiły się na niej szaro-zielone wykwit. To grzech pozbywać się jedzenia, ale gdzie zmieści resztki z Kociołka? Jak ma to wszystko zorganizować? A skoro nie potrafi nawet uporządkować lodówki...

Zerknęła na Cam, która metodycznie zgarniała resztki z talerza do zlewu. Zdawała sobie sprawę, że popołudniowa drzemka córki była zwyczajnym uchylaniem się od obowiązków. Czasami, gdy Cam była małą dziewczynką, po zmianie bazy nie była w stanie stawić czoła nowej szkole, więc dostawała bólu brzucha, żeby móc spędzić cały dzień na czytaniu w łóżku. Josie była skłonna pozwolić jej zostać w domu, ale Niedźwiedź, którego dewizą było: „W tej kompanii nie ma miejsca dla leserów i dekowni-

ków", jeśli dzieci nie miały gorączki powyżej trzydziestu ośmiu stopni, nie wyrażał na to zgody.

Josie miała ochotę otulić ją teraz kołdrą, usiąść obok i szepnąć: „Twoja przyjaciółka Reba powiedziała mi, że masz jakieś kłopoty. Proszę, opowiedz mi wszystko". Zamiast tego zwróciła jej uwagę:

— Nie wrzucaj skorupki po krewetkach do zlewu, Camillo.

Cam przytaknęła, nie podnosząc głowy. Nie na takie spotkanie rodzinne Josie liczyła. Cam nie powiedziała żadnego serdecznego słowa od przyjazdu, ale Josie uznała, że to pewnie jej wina. Pierwszym błędem było przywiezienie Cam na przyjęcie Liii, ale obiecała Liii, że do niej przyjedzie. Obecność pani Beasley na pewno nie pomogła. A odwiedziny u Mawmaw trudno uznać za okazję do porozmawiania z Cam o jej życiu. Nie ma co, wszystko popsuła. Usiłowała dostosować się do zbyt wielu osób, zrobić zbyt wiele rzeczy. Spojrzała na maselniczkę, którą trzymała, i głos jej zadrżał: — Nie mam pojęcia, gdzie...

— Mamo — Cam położyła rękę na jej ramieniu — idź na górę, weź długą ciepłą kąpiel i przygotuj się przed mszą. Reba i ja wszystko sprzątniemy.

— Może tak—Josie poddała się, postawiła maselniczkę na zlewie, zamknęła lodówkę i ruszyła do drzwi, gdzie odwróciła się i nakazała: — Nie wyrzucaj niezjedzonych krewetek. Obierz je i włóż do pojemniczka. Nie wiem, jak je zmieszczę w lodówce, ale do czegoś ich użyję.

— Mamo, idź się kąpać.

Kiedy Josie odeszła, Cam zaśmiała się i pokręciła głową.

- „Niczego nie wyrzucaj. Zaceruj, załataj, na kościach ugotuj zupę". To dopiero mentalność kryzysowa!

— Myślisz, że babcia przechodzi jakiś kryzys? — spytała Susan.

— Mentalność kryzysowa oznacza coś zupełnie innego — wyjaśniła Cam, upijając łyk burbona. — Widzisz, Susan, twoja babcia, nawet Jasper, żyli w innych czasach. Gdy dorastali, ludzie naprawdę martwili się o to, czy zdołają spłacić pożyczki albo czy będą mieli co jeść.

Susan podsunęła sobie stołek, objęła rękoma kościste kolana. — Aha — wymruczała, zachęcając Cam, żeby mówiła dalej.

— Nie uczą was tego w szkole?

_Noo, mieliśmy przeczytać *Grona gniewu*, które są chyba o tym Wielkim Kryzysie, ale niektórzy uznali, że to komunistyczna książka, więc...

Do kuchni wszedł Ricky, a za nim Orrie.

_Panowie przyszli nam wreszcie pomóc? — spytała sarkastycznie Susan, ale Ricky i Orrie pochłonięci byli negocjacjami.

_O Jeeezu, tato. — Ricky przewrócił oczyma, splótł palce, wyciągnął ręce i strzelił palcami. — Jeśli nie chcesz mi dać samochodu, to po prostu powiedz.

— Dam ci kluczyki, musisz tylko mi obiecać...

Nie chcąc słuchać tej rozmowy, Cam włączyła młynek zlewozmywakowy i wepchnęła do niego surówkę i niedojedzone ziemniaki, myśląc, że nadeszły straszne czasy, jeśli rodzice boją się własnych dzieci.

— Chcesz powiedzieć, że mi nie ufasz? — najeżył się Ricky.

— Mówię tylko...

Boże, chroń ten kraj, pomyślała Cam. Orrie ma chronić interesy stanu, a nie potrafi się nawet postawić własnemu dziecku. Wyłączyła młynek i usłyszała brzęk kluczyków spadających na wyciągniętą rękę Ricky'ego.

— To ja zjeżdżam! — zawołał chłopak, trzaskając drzwiami.

— To ci dopiero kąsanie ręki, która cię karmi — wyszeptała Reba do Cam, a potem głośniejszy spytała: — Czy mam zdjąć skorupki z krewetek, czy jak?

— Ja to zrobię — zaoferowała się Susan. — Babcia nauczyła mnie tego, kiedy sama byłam niewiele większa od krewetki. Proszę, trzeba ją złapać za ogon, pociągnąć za nóżki, a potem szarpnąć tu, żeby...

Orrie spojrział na zegar wiszący nad zlewem.

— Jak wam mogę pomóc, moje panie?

— Och tatusiu, wiesz, że tłuczesz w kuchni wszystko, czego się tylko dotkniesz.

Orrie zaśmiał się.

— Tak mnie mój tata nauczył unikania prac domowych.

— Chyba we trzy damy radę — odpowiedziała mu Cam. — Idź do Evie i Jaspera. — A widząc jego minę, dodała: — Przestań się martwić, Orrie. Ona zaraz wróci.

— Jeśli nie pojawi się w ciągu dwudziestu minut... — przeniósł wzrok z zegara ściennego na swój zegarek na rękę.

— Pojawi — uspokoiła go Cam. — Idź, naley sobie drinka i się odpręż.

Kiwnął głową i odszedł.

— Tata prawie nie pije alkoholu. Na przyjęciach i tym podobnych tylko chodzi z kieliszkiem wina, ale go nie pije. Nie lubi alkoholu — powiedziała Susan. — Wicie, z powodu dziadka.

— Którego dziadka? — spytała Reba. Susan wzruszyła ramionami.

— Chyba obu. Ciocia Evie mówi, że od dawna jesteśmy rodziną dysfunkcyjną.

— To twoje dziedzictwo, złotko — Cam pacnęła ścierką Susan po łydkach. — Postaraj się go nie zmarnować!

Susan chwyciła ręcznik i zaczęły udawać, że przeciągają linę, aż Cam puściła ręcznik i Susan zakołysała się na stołku.

— Wiesz co, ciociu Cam — zaśmiała się, odzyskując równowagę — prawie cię nie pamiętałam, ale cieszę się, że jesteś. Mama była zdenerwowana z powodu twojego przyjazdu.

— Naprawdę?

— Aha. Myślała, że będziesz się ze wszystkimi kłócić.

— Jasne — Reba mrugnęła do Cam — twoja ciotka jest strasznie swarliwa, nic tylko się rwie do sprzeczki.

— O co miałabym się kłócić? — naciskała Cam. Susan wzruszyła ramionami.

— O wszystko. Na przykład z tatą o dziewczyny idące do college'u wojskowego. Albo o aborcję. Oczywiście mama też się kłóci z tatą o tę aborcję, ale tylko w domu. Nie może nic powiedzieć publicznie z powodu — no wicie — pozycji taty. Ja nie jestem pewna, co o tym myśleć.

Reba zaczęła śpiewać piosenkę z reklamy Virginia Slims:

— „Przeszłaś długą drogę, by dotrzeć tu, gdzie jesteś”.

— Postanowiłam nie uprawiać seksu, dopóki nie wyjdę za mąż. — Susan trąkotała dalej. — I zamierzam zadbać o to, żeby dla nas obojga był to pierwszy raz. A co do aborcji, to wiem, że nigdy bym tego nie zrobiła. Przecież zabicie dziecka to coś strasznego. U nas w szkole jest taka dziewczyna...

— „Masz teraz własne papierosy, przeszłaś bardzo długą drogę” — śpiewała Reba głośniej. Co ma zrobić, żeby ten dzieciak się zamknął. Była pewna, że Cam zadreżca się, musząc podjąć decyzję. Ostatnie, czego jej trzeba, to jakaś niewydarzona paplanina o zabójcach dzieciątek. Westchnęła. — Tak naprawdę to chyba wcale nie przeszłyśmy długiej drogi. Susan, mam nadzieję, że cię nie zszokuję, jeśli zapalę. — Wyciągnęła paczkę z kieszeni spódnicy, wysunęła papierosa i zapaliła go. — Powinnam iść do ogrodu, Cam? — Cam pokręciła przecząco głową.

— Większość dziewczyn, które znam, palą — przyznała się Susan. — Ja nie. No, w zasadzie to tak. — Odczekała, żeby sprawdzić, jakie wrażenie wywarło jej wyznanie. — Ale nie robię tego często, ponieważ trenuję.

— To nie rób tego — powiedziała Reba. — Cieszę się, że nie jestem rodzicem i nie muszę świecić przykładem, ponieważ to jedyna rzecz, w przypadku której musiałabym powiedzieć: „Nie rób tego, co ja robię, rób to, co ci każę”. To gówniany nawyk, Susan. I ja się go wstydzę, ale cóż. Nikt nie jest doskonały.

Susan wyglądała na zadowoloną, być może dlatego, że dorosła osoba otwarcie przyznała się przed nią do słabości, albo tylko dlatego, że Reba powiedziała przy niej „gównia-

ny". Cam nie była pewna. Z salonu dobiegały hałaśliwie dźwięki nowoorleańskiego jazzbandu.

— Więc ta dziewczyna w szkole — ciągnęła Susan — Chantal, jest czarna i ma stypendium, bo jest naprawdę mądra, ale zaszła w ciążę i...

— Ile ma lat? — spytała Reba.

— Szesnaście.

— Sprawa zamknięta. Za młoda na bycie matką. Przede wszystkim za młoda na seks.

— Ale go już, znaczy skoro go uprawiała i skoro...

— To oryginalne nagranie Original Dixieland Jazz Band z 1936 roku — przerwała Cam. — Może idźcie do salonu go posłuchać?

— Ajak się nazywa? — spytała Susan.

— *Tiger Rag*, twój dziadek Niedźwiedź go uwielbiał. Och, kiedy był wstawiony, rozśmieszał nas do łez. Tańczył i grał na harmonijce. A blues? Potrafił śpiewać bluesa tak autentycznie...

— Prawie go nie pamiętam — powiedziała Susan. — W zasadzie tylko tyle, że kazał mi się prostować i salutować na widok flagi, i mówił takie rzeczy jak „naprzód marsz”, kiedy chciał, żebyśmy się pospieszyli i wsiadali do samochodu. Mama za nim nie przepadała, prawda? Mówiła, że się nad wami znęcał i wszystkich tyranizował. Pamiętam jak raz, kiedy byliśmy na jakiejś paradzie, dał Ricky'emu w tyłek, bo ten się wydurniał. — Sądząc po minie Susan, było to miłe wspomnienie. — Nie przypominam sobie, jak dziadek wyglądał, ale pamiętam jego zapach — cygara, pasta do butów i jakieś lepkie coś, co nakładał na włosy, żeby je przygładzić. Jaki był naprawdę?

— Może i tyranizował, ale nigdy nie zastraszał — sprostowała Cam. — Nienawidził takich, co znęcali się nad słabszymi.

— Jaka jest różnica?

— Tyran — zaczęła Reba, wycierając blaty — to ktoś, kto wykorzystuje swoją władzę, ponieważ to on, rzadziej ona, jest na szczycie hierarchii. A łobuz, który zastrasza innych, to ktoś, kto dręczy słabszych.

— Nadał nie rozumiem.

— Niedźwiedź miał — powiedziała kategorycznym tonem Cam — szczególny kodeks postępowania. Kierował się nim w życiu i uważał, że inni też go przyjmą. Nie można było się z nim spierać, tylko mu podporządkować. Albo zbuntować. Mam wrażenie, że tak naprawdę dużo bardziej poważał bunt niż posłuszeństwo. — Popatrzyła za okno, a potem się odwróciła. — No dobrze, Susan, teraz masz DK. Wiesz, co to znaczy?

— Jasne, nawet mama tak mówi. Dyżur kuchenny.

— No to zbieraj tylek i maszeruj z tymi skorupkami i kolbami na kompost do ogrodu babci.

— Ta-est, panie generale. Znaczy pani generał. — Susan zeszła ze stołka, zebrała cedzak i wyszła.

Cam oparła się o zlew ze schyloną głową. Reba położyła dłoń na jej ramieniu. — Ja skończę — powiedziała Cam, odwracając się do niej. — Może chcesz iść do salonu?

— I patrzeć, jak Evie i Jasper odstawiają ten prostacki taniec godowy? To dopiero popisywanie się i straszenie piórek!

— Dość obrzydliwe, nie? Myślisz, że mama zauważyła?

— Musiałaby być ślepa, żeby nie zauważyć. Wierz mi, twoja mama ma bardzo dobry wzrok, jeśli chodzi o dostrzeganie tego, co się dzieje z ludźmi.

— Chryste — wzdrygnęła się Cam — co ja mam zrobić?

— Dopóki nie pójdziesz do lekarza, nie będziesz miała pewności...

— Jasne, jasne. A nawet wtedy nie będę musiała podejmować żadnej decyzji, tak? Po prostu poronię, jak te wszystkie dobre bohaterki filmów. — Odkręciła kurek i ponownie się schyliła, trzymając dłonie pod strumieniem wody. — Chryste. Co ja mam zrobić? — wymamrotała, a Reba wzięła ścierkę do naczyń.

Gdy Lila wysiadła z samochodu Bedforda na rogu ulicy, przy której stał dom jej matki, poczuła się jak Dorotka, która wróciła do Kansas po przygodach w krainie Oz. Nocne powietrze ciągle było wilgotne i nieruchome, w niektórych domach nie paliły się światła, bo ich mieszkańcy wyjechali na święta, inne przystrojono kolorowymi lampkami, a przez okna widać było choinki. W domu jej matki na piętrze paliło się tylko światło w łazience, a cały dół był rozświetlony i słyszała odgłosy rozmów przebijające przez jedną z jazzowych płyt Niedźwiedzia. To Original Dixieland Jazz Band grający *Livery Stable Blues*, pomyślała, słysząc brzęk „krowich dzwonek” wygrywających energiczne, defdadowe tempo. Pogratulowała sobie pamięci. Jej umysł wydawał się pracować na najwyższych obrotach, zmysły były niemal boleśnie wyostrzone, ale miała problem z zaplanowaniem nawet najprostszej czynności. Dopiero gdy poczuła, jak żwir podjazdu boleśnie wbija się jej w stopy, zdała sobie sprawę, że jest boso.

Otworzyła drzwi swojego samochodu i zorientowała się, że ubranie na zmianę i kosmetyczka zniknęły, ale w przebłysku zrozumienia domyśliła się, że ktoś musiał je zabrać do domu. Ruszyła ku ciemnej kuchni. Zakradnie się na górę, wykąpie i przebierze i... no właśnie, co dalej?

Pociągnęła siatkowe drzwi tak powoli, że ich charakterystyczne skrzypienie zamieniło się w trzy ciche piski, przekręciła gałkę ostrożnie, aż spocły się jej palce i... zza kuchennych drzwi wyłoniła się Josie. Ręka Lili uniosła się do gardła.

— Mamo, mało nie dostałam ataku serca!

— Ja cię chętnie o niego przyprawię — powiedziała wściekłym szeptem Josie. — Mój Boże, dziewczyno, gdzieś ty się podziewała? — Chwyciła Lilę za ramię, wciągnęła ją i zamknęła drzwi. Pachniała lawendowym mydłem oraz lakierem do włosów i nawet w słabym świetle Lila zauważyła, że matka jest ubrana w niebieskofioletową sukienkę z szantungu i założyła najlepsze perły. Jednak wygląda na tak wzburzoną i zrozpaczoną jak wtedy, kiedy w środku nocy czaiła się pod drzwiami w pluszowym szlafroku, czekając na powrót Cam. — Pytałam, gdzie się podziewałaś?

Lila siąknęła, wytarła nos wierzchem dłoni i trzymała ją przy ustach, żeby Josie nie poczuła jej oddechu.

— Spacerowałam po plaży.

Josie spojrzała na jej przylizane przez deszcz włosy i męską wełnianą koszulę w kratę.

— Jest Wigilia, a ty spacerowałaś po plaży?

— Wszyscy już są?

— Wszyscy tu są od dawna. Ricky pojechał, ale powinien zaraz wrócić. Już zjedliśmy. Orrie miał już dzwonić na policję. — Josie wzięła oddech. — Pani Beasley powiedziała, że widziała cię z okna na górze i...

— Och, pani Beasley!

— ...i myślała, że zostałaś porwana.

— Porwana? — prychnęła Lila. — Z The Point? — Muzyka się urwała. Obie zamarły. W salonie rozległ się śmiech przypominający brzęk tłuczonego szkła, przez który przebił się głos Cam: — A Niedźwiedź zawsze uwielbiał ten numer. — I rozbrzmiała piosenka *Minnie the Moocher*.

— Dobry Boże, wyglądasz jak coś, co kot przytargał z ulicy. Twoje ubrania i kosmetyczka są na górze w moim pokoju. Już. Idź na górę. Weź prysznic. Doprowadź się do porządku. — Pchnęła Lilę w stronę schodów. — Pomóc ci? — spytała cicho i tak blisko, że jej oddech połaskotał Lilę w ucho.

— Nie, jestem dorosła.

Josie przygwoździła ją spojrzeniem bazyliuszka i za-syczała:

— To do cholery zachowuj się jak dorosła. Idź! Poczekała, aż Lila, trzymając się barierki, wejdzie na

górze. Wróciła do kuchni, ciężko stąpając, włączyła światło i powiedziała donośnym głosem: — Och, Lila, jesteś wreszcie! Tak się martwiliśmy! — Zrobiła pauzę, a potem dalej: — Oczywiście. Idź na górę i się przygotuj. Powiem wszystkim, że już jesteś. — Ale co im powie? Ze Lila pojechała z jakimiś znajomymi i... (dzięki Bogu, pani Beasley wreszcie udała się do siostrzenicy i nie wróci do jutrzejszego popołudnia) burza... tak, Lilę złapała burza i nie mogła zadzwonić, bo nie było prądu. Dość wiarygodne, a od tego punktu Lila będzie musiała coś sama powiedzieć. Ona tylko wspomni o burzy. Bo co mogłaby jeszcze wymyślić? Przecież to jasne jak słońce, że Lila nie tylko pojechała z jakimś mężczyzną, ale i kochała się z nim.

Lila zdjęła przez głowę sweter i powąchała go. Wydawało się jej, że czuje zapach marihuany, ale nie była pewna. Z trudem zsunęła mokre od deszczu spodnie i gdyje ściągała, z mankietów wysypał się piasek na terakotę. Sięgnęła ręką na plecy, do biustonosza, i zdała sobie sprawę, że go nie zapięła po tym, jak rozpiął go Bedford, strząsnęła go z siebie i pozwoliła mu opaść na podłogę. Nie czuła zimna, ale na całym ciele miała gęsią skórę, a jej sutki przybrała kolor truskawek. Spojrzała na swoje odbicie w lustrze. Rzeczywiście wyglądała jak coś, co przywłókł kot. Włosy, potargane i oklapnięte, wyglądały na ciemniejsze, prawie jak jej naturalne. Pod prawym okiem miała rozmazany tusz, usta były spuchnięte i różowe jak u dziecka. A co najgorsze, nie była w stanie rozszyfrować własnej miny. Gdyby tak mogła zanurzyć się w kąpieli na dwadzieścia minut, a potem zdrzemnąć... Ale nie może tego zrobić. Musi wymyślić jakieś alibi. Zdjęła majtki i odkręcając kurek pod prysznicem, zastanawiała się, ile widziała pani Beasley — niech szlag trafi jej dobry wzrok. Ale nie była w stanie się skoncentrować na pani Beasley.

Przed jej oczyma przesuwwały się obrazy niczym film — a raczej jego zwiastun, ponieważ widziała tylko migawki — jego nagą pierś w blasku ognia, czarno-czerwony indiański koc, nawałnicę, która runęła z nieba, kiedy oboje biegli, żeby się schować, haczyk, który zaczepił o jej sweter — wszystko wyraziste, ale chaotycznie, nie po kolei.

Usiłowała ustawić te obrazy w odpowiedniej kolejności, przypomnieć sobie, co do czego doprowadziło i co nastąpiło po

czym. Zjazdy na wyspę w zasadzie niczego nie pamiętała — gdy uświadomiła sobie, że z nim jedzie, wpadła w jakiś szok. Rozmowa zaczęła się nieszkodliwie — coś o oglądaniu delfinów i o poławiaczach krewetek sprzeciwiających się wprowadzeniu urządzeń umożliwiających żółwiom wypłatywanie się z sieci. Nie było mowy ani o Cam, ani o Orriem, za co była mu wyjątkowo wdzięczna.

Pierwsze, co pamiętała wyraźnie, to ręka Bedforda — opalona, porośnięta ciemnymi włosami i z sygnetem z kamieniem księżycowym na palcu wskazującym — która przekreśliła kluczyk w stacyjce, gdy zjechał na piaszczysty podjazd koło chaty. — Myślałam, że jedziemy na plażę — zabrzmiała jak nastolatka przestraszona, że została uwiedziona, więc poczuła się głupio, gdy wzruszył ramionami:

— Plaża jest tam. Pomyślałem, że przyda ci się kurtka. Chata została zbudowana na palach. Weszła za nim po rozchwianych schodach i zdziwiła się, gdy otworzył drzwi bez pomocy klucza.

— Nie zamykasz?

— Wreszcie dotarłem do tego punktu w życiu, w którym nie mam nic, co by warto było ukraść.

— Jak Mahatma Gandhi — powiedziała chytrze, przypominając sobie plotki o tym, jak się obłowił na Wall Street.

— Nie masz akcji?

— Jasne, ale lepiej rozumiem tych złodziei. Wnętrze pachniało drzewnym dymem i mieloną kawą oraz czymś słodkawym. W salonie znajdowały się sponiewierana wiklinowa kanapa i fotel obity drogim, choć już wypłowiałym materiałem zdobionym w motyw palm (od matki?), wymagający czyszczenia kominek i ogromny stos drewna.

Obok niego na gołej sosnowej podłodze leżały stosy książek i czasopism, a na stoliku do kawy, wyglądającym jak relikwiarz, półkole dolarków piaskowych, piórko z ogona gwarka, łądyga owsa nadmorskiego i kość przypominającą kształtem haczyk. Na ścianach nie wisiało nic poza korkową tablicą ze zdjęciem żółwia przypiętym pinezkami obok kalendarza pływów.

Słyszając, że szuka czegoś w drugim pokoju, zerknęła przez drzwi i zobaczyła podwójne łóżko przykryte czerwono-czarnym indiańskim kocem. Odwróciła wzrok i spojrzała na zapowiedzi pływów.

Wyszedł z sypialni, niosąc czerwono-zieloną wełnianą koszulę i obmacując kieszenie, wyjął skręta i zaproponował jej. Potrząsnęła przecząco głową z, jak się jej wydawało, nonszalancją, ale on się zaśmiał.

— Och, Lila, po twojej minie można by sądzić, że dopiero co obejrzałaś *Mańhuanowe szaleństwo** na pokazie w liceum. Ale chyba nie masz nic przeciwko temu, że ja zapalę?

Miała, ale nie mogła tego powiedzieć, żeby nie wyjść na pruderyjną, a poza tym on już wyjął zapalną z pudełka nad kominkiem i podpałił skręta. Pokój wypełnił słodki, żywiczny zapach. Czują go czasem na ubraniach syna, ale Ricky bez mrugnięcia okiem mówił, że on nie pali.

— Lepiej się pospieszmy — powiedziała.

* Film z 1936 r. opowiadający o wzorowym nastolatku, który przez marihuanę stacza się w świat rozpusty i przemocy, ostatecznie popadając w szaleństwo.

Uśmiechnął się szeroko i głęboko zaciągnął.

— Lila, ty ciągle się spieszysz, a życie ci ucieka. Mówił przyduszonym głosem, bo nie wypuścił jeszcze

dymu. Bardziej zła na siebie niż na niego, wyszła i usiadła na schodach. Gdyby to Orriemu tak otwarcie okazała swoją irytację, poszedłby za nią albo przynajmniej przeprosił, ale Bedford się nie spieszył. O dziwo, gdy tak posiedziała chwilę na schodach i posłuchała bicia fal, jej zniecierpliwienie zniknęło. Może jest „na haju przez wdychanie”, jak to mówią dzieci. A może powinna się kilka razy zaciągnąć. Och, jasne. Kobieta w średnim wieku, żona przedstawiciela legislatury popalająca skręty w chacie na plaży. Co też jej przyszło do głowy?

— Gotowa? — spytał, mijając ją na schodach. — Zostaw tu buty. — A więc, pomyślała z ulgą, to nie będzie uwiedzenie, tylko wycieczka z przewodnikiem. Zsunęła obuwie, podwinęła nogawki spodni i ruszyła za nim na plażę.

W zasięgu wzroku nie było nikogo. Szedł zamaszystym krokiem przed nią i mówił o wspaniałej widoczności zimowego nieba i erozji powodującej powstawanie pudrowych kupek piasku na dalszej części plaży.

— Ej, tylko popatrz... — Wziął ją za łokieć, a ona podniosła wzrok. — Widzisz te pilnujące nas mewy?

Uśmiechnęła się, jakby była jedenastoletnią dziewczynką na szkolnej wycieczce, i zastanowiła, dlaczego nigdy nie wybrała się na plażę zimą, a w zasadzie to i rzadko latem, chyba że mieli z Orriem gości spoza miasta. Puścił jej rękę, więc odeszła dalej, chlapiąc stopami po wodzie. Przeszył ją rozkoszny wstrząs, gdy fala uderzyła ją w kostki, łydki i uda.

Czuając, że on się jej przygląda, stała twardo, nie uciekając przed falami i podnosząc poły wełnianej koszuli, gdy woda ochlapała jej krocze. Patrzyła na morze, udając, że go nie widzi, aż zorientowała się, że on już na nią nie patrzy. Odwróciła się i zobaczyła, że idzie dalej plażą.

Wyszła z fal przyboju i pomachała; odmachał i kontynuował marsz. Ale to było w porządku. Jak Robinson Crusoe i jego Piętaszek albo jeszcze lepiej jak na *Błękitnej lagunie* — jednym z najseksowniejszych filmów, jakie kiedykolwiek widziała — gdzie chłopiec i dziewczyna ocaleli na wyspie z katastrofy morskiej, zbudowali sobie szałas, żywili się owocami i rybami, pozbyli się porwanych ubrań oraz zahamowań i chodzili niemal nadzy i szaleńczo zakochani. No teraz dopiero myśl jak jedenastolatka! Ale miała to gdzieś. Lęk spowodowany pójściem na wagary zniknął dzięki ekscytacji wolnością.

Szła powoli, podziwiając zmarszczki wyżłobione na piasku, przesuwając dużym palcem po zagłębieniach i wzniesieniach, schylając się, żeby obejrzeć jakieś wodorosty, szczypcy krabów i korale, patrząc, jak miniaturowe delty spływają z powrotem do morza.

Nie było żadnego widowiskowego zachodu słońca, tylko powoli robiło się coraz ciemniej, aż ledwo widziała Bedforda, mimo że kucał jakieś dziesięć metrów od niej, oglądając wyrzucony przez wodę kawałek drewna.

— Spójrz — powiedział, przesuwając po nim dłonią, gdy stanęła za jego plecami — zostało wygładzone przez fale i piach, ale jeśli się uważnie przyjrzyysz, to zobaczysz, gdzie świdraki okrętowe wygryzły tunele.

Niebo przybrało ciemny burzowy kolor i wiatr wzmógł się, wydymając mu koszulę na plecach i miotając włosami po twarzy i ramionach.

— Jest za ciemno, nic nie zobaczę — powiedziała, odsuwając się.

— To poczuj. — Wyciągnął rękę, pociągnął ją, żeby kucnęła koło niego i nakierował jej dłoń na drewno. Było wilgotne, jedwabiście gładkie i twarde.

Wstała.

— Muszę już wracać.

W tym momencie zapadła całkowita cisza i bezruch, jakie zdarzają się tuż przed burzą, wywołując osobliwą mieszankę strachu i wyczekiwania.

A potem lunął deszcz.

— Chodź! — wrzasnął, podnosząc się gwałtownie, chwytając ją za dłoń i przyciągając bliżej brzegu, gdzie po twardym piasku łatwiej było biec.

Widać było tylko ścianę deszczu.

Puściła jego rękę, biegła pod wiatr i wyprzedziła go — ach, wolność — ledwo słysząc, jak woła: — Tutaj! Tutaj!, gdy skręcał ku drzewom i brnął w piachu do chaty.

— Rozpalić ogień? — spytał, gdy stała przemoczona i dysząca w drzwiach.

— Nie... ja... ee.... — zaśmiała się, nie mogąc złapać tchu i otrząsając się jak pies. — Ja...

Potał jej głowę ręcznikiem kąpielowym, który był już wilgotny, osuszył jej czoło i szyję. Ich spojrzenia zetknęły się na moment, potem ponownie i poczuła, jak przeszywa ją dreszcz. Owinął ręcznik na jej ramionach i podszedł do kominka, gdzie ukląkł i zaczął dmuchać na podpałkę.

— Koło tostery jest butelka Courvoisiera. Nalej nam trochę, dobrze?

Z trudem zdjęła z siebie mokrą koszulę, wytarła włosy i odgarnęła je do tyłu, idąc do kuchenki. Butelka koniaku stała wepchnięta za toster, który wyglądał, jakby pochodził z darów Armii Zbawienia. Otworzyła szafki: paczka chrupek kukurydzianych, brązowy ryż, puree z czarnej fasoli z torebki, dziwacznej kształtu puszka importowanego pasztetu z wątróbki z truflami i zielonym pieprzem (sądziła, że jest wegetarianinem), dwa plastikowe talerze, dwie plastikowe szklanki i kryształowa koniakówka.

— Jest tylko jeden...

_Masz coś przeciwko picciu ze wspólnego kieliszka?!

— zawołał, szturchając pogrzebaczem drewno, aż zapłonęło, i usiadł na czerwono-czarnym indiańskim kocu, który przyniósł z sypialni. — Pewno tak. Oczywiście, że masz. Jako republikanka chcesz mieć własny kieliszek.

_Oj, Bedford, daj spokój — powiedziała znużonym głosem, przeciągając samogłoski, aż się zaśmiała. Postawiła butelkę i koniakówkę na stoliku do kawy i usiadła na wiklinowej kanapie. Nalał podwójną porcję i zaproponował jej kieliszek. Pokręciła przecząco głową.

— Nie pijesz?

— Rzadko. Dobrze wiem, jakie mogą być przez to problemy.

_Wszyscy wiemy, ale jak powiedział jakiś polityk:

„Jeśli przez alkohol rozumiemy to przekleństwo ludzkości, które niszczy rodziny i odbiera godność, to jestem mu przeciwny; lecz jeśli mamy na myśli napitek, co leczy rany, wywołuje serdeczność i daje przyjemność z dzielenia

się nim z innymi, to jestem za". —Wziął łyk, lekko rozchylając usta i wciągając powietrze, gdy go połykał. — To pozwala odczuć pełnię smaku — wyjaśnił. — Potrzymaj między dolnymi zębami a nasadą języka, a potem oddychaj, żeby go dobrze natlenić.

— Wiem, jak się pije koniak — powiedziała, chociaż nigdy nie widziała nikogo, kto by tak robił — po prostu nie chcę alkoholu.

— Lila. — Znowu spojrzał jej w oczy. — Chyba nie myślisz, że obchodzą mnie podziały między demokratami a republikanami, prawda? Ja się po prostu nie mogę powstrzymać, żeby cię nie drażnić, bo za każdym razem dajesz się nabrać, a kiedy to robisz, jesteś taka — wzruszył ramionami — słodka. Nie ma lepszego słowa. Jesteś słodka. — Wolałaby, żeby powiedział piękna albo interesująca. — Nie chcesz zdjąć ubrania? To znaczy... —Widząc jej reakcję, potrząsnął głową, że to nie tak miało zabrzmieć. — W sypialni jest szlafrok, a ciuchy ci wyschną przy ogniu.

— Nie, nie mogę zostać tak długo. W zasadzie...

— Cóż, ja jestem przemoczony. — Rozpiął koszulę, poluzował pasek i zaczął odpinać górne guziki dzinsów. Przez chwilę myślała, że też je zdejmie, ale rzucił jej kolejny uśmiešek mówiący: „mam cię”. Wyjął ze spodni koszulę i ściągnął tak naturalnie i bez najmniejszego skrepowania, że byłoby z jej strony pruderią zareagować czy w ogóle dać po sobie poznać, że to zauważyła. Ludzie mają różne normy zachowania. To, co dla niej jest już uwodzeniem, dla kogoś takiego jak Bedford jest zapewne niczym więcej jak towarzyską swobodą.

Gdy ponownie wyciągnął ku niej rękę z koniakówką, wzięła mały łyeczek, trzymając go pomiędzy dolnymi zębami a nasadą języka

— czy w ogóle wiedziała, że ma tę małą wrażliwą jamkę?

— wciągnęła powietrze i przełknęła słodki, ognisty płyn.

Łzy napłynęły jej do oczu.

— Dziwne, że Cam wróciła — powiedział, siadając ze skrzyżowanymi nogami na kocu.

— Prawie z nią nie rozmawiałam. Zniknęła z mojego przyjęcia z H.A.

Zachichotał.

— Cała Cam. Nic się nie zmieniła.

— Myślisz?

— Nie, no, jasne, że tak. Ma tę patynę, ten lśniący lakier. Od bycia kobietą sukcesu w wielkim mieście. Nie da się tego uniknąć. Ale taki rodzaj niezależności i wszystko-wiedzenia nie przemawia do mnie, wolę... — urwał, ale spojrzał na nią, wyraźnie dając do zrozumienia, że uważa ją, przy wszystkich jej zahamowaniach, za bardziej pociągającą.

— Myślisz, że ona i HA?... To znaczy kiedyś. Myślisz, że oni byli... — nie była w stanie skończyć pytania.

Wziął poduszkę z kanapy, położył ją sobie pod głową i wyciągnął się z rękoma za głową.

— Skąd mam wiedzieć? Czy to ma znaczenie? Chciała wiedzieć, czy on i Cam byli kochankami, ale nie potrafiła mu zadać tego pytania. Miał płaski i umięśniony brzuch. W świetle ognia jego pierś była złotobrazowa. Dostrzegła ciemne włosy pod pachami, dziwny wzór, w jaki układały się włosy na piersi, kręcone przy obojczykach, ale krótsze i proste wokół sterczących sutków, środek jedwabiście gładki, prawie żadnych włosów wokół

pepka i znowu mocne owłosienie pod rozpiętymi guzikami dzinsów. Przeniosła wzrok za okno. Jest najwyżej siedemnasta, ale przez burzę wydawało się później.

— Powinnam wracać — powiedziała, biorąc kolejny łyk.

"wydawał się jej nie słyszeć, przez szparki zmrużonych oczu wpatrzony w ogień.

— „A deszcz płynie, szloch i dar niebios”.

To, co powiedział, wydało się jej tak piękne, tak pasujące do jej nastroju, że musiała to zbyć, by się pilnować.

— Moja babcia mówiła, że nie wolno ufać mężczyźnie, który cytuje wiersze.

— I pewnie miała rację. Hej, czy ty zawsze musisz być tak spięta? Nie możemy stąd wyjechać, dopóki jest burza. Chodź przypiec sobie paluszki. — Chwycił jej duży palec i nim poruszał, po czym nagle go puścił. — Aa, musisz się pewnie zameldować. Przy łóżku jest telefon.

Najeżyła się.

— Nigdzie się nie muszę meldować! — Chociaż powinna była to zrobić.

Poklepał koc obok siebie. Siedzenie na kanapie okazało się zarówno nienaturalne, jak i niewygodne, więc przeniosła się na koc, podwijając pod siebie nogi.

— Wiesz, jakie są te burze — ciągnął — za dziesięć minut się skończy. Wtedy wyjedziemy. Obiecuję.

To wydawało się rozsądne. Poza tym nie miała ochoty wyjeżdżać. Nie teraz. Ciemność na zewnątrz, mrugający ogień, bębnienie deszczu o dach, koniak — wszystko tworzyło przypominające kokon poczucie prywatności i bezpieczeństwa, które koło jej lęk, sprawiało, że chciała

się rozkoszować każdą chwilą. Zamknął oczy i sięgnął po jej dłoń, znalazł ją od razu bez macania po kocu i poklepał przyjaźnie.

— Mała Lila Tatternall. Powieś swoje ubrania na krzewie morwy, ale nie podchodź do wody.

Ulewa chłostała o dach. Kropla żywicy zapłonęła i za-skwierczała. Leżał tak spokojnie, jakby spał. Położyła się na boku, zwinięta w kłębek, ze stopami zwróconymi w stronę ognia, podparta na łokciu, przyglądając się jego profilowi i włosom rozrzuconym na poduszce. Czując przemożną chęć dotknięcia go, odwróciła się do stolika do kawy i sięgnęła po pierwszy przedmiot, na jaki natknęły się jej palce.

— Co to takiego? — spytała, choć zastosowanie tego przedmiotu można było odgadnąć po jego kształcie.

Obrócił głowę, patrząc rozmarzonymi oczyma.

— To haczyk na ryby wyrzeźbiony z kości — odparł lakonicznie. — Na plaży jest mnóstwo indiańskich artefaktów. — Sięgnął po przedmiot i też go obejrzał, a potem wyciągnął rękę i zahaczył o rękawkiej swetra, ciągnąc go delikatnie. — Mam cię — wyszeptał, przyciągając ją. Ich usta dzieliły tylko centymetry. Myślała, że ją pocałuje, ale usunął haczyk, lekko go przekręcając, i pozwolił mu opaść na podłogę, po czym odsunął się, robiąc obok siebie miejsce.

Leżeli blisko siebie i nieruchomo, oddychając w tym samym rytmie, a wtedy, jakby odgadując jej myśli, wziął jej dłoń i położył sobie na piersi. Przypomniała sobie, co powiedział wcześniej, co sprawiło, że tu z nim przyjechała: „Jeżeli będę czegokolwiek żałował, to najprawdopodobniej swojego dobrego zachowania”.

Przesunęła dłonią, ślizgając się po mięśniach jego ręki, znajdując zagłębienie przy szyi, delikatnie sunąc w górę, aż czubkami palców dotknęła jego włosów, a potem wplotła je w jego gęste, wilgotne loki. Całe jego ciało wygięło się jak u zwierzęcia w reakcji na jej dotyk. Przekreślił się ku niej, wziął jej głowę w dłonie, wsunął palce we włosy, kręcąc, płacząc i rozplątując je, aż mrowienie skóry głowy wywołało znacznie przyjemniejsze mrowienie pomiędzy nogami. Jej wargi znalazły jego usta —już rozchylone, język wyginający się w niecierpliwym wyczekiwaniu. Był to jeden z nielicznych przypadków w jej życiu, kiedy raczej to ona całowała i dało jej to ogromny zastrzyk energii, aż znalazła się na nim, a jej sweter podjeżdżał tak wysoko, że czuła, jak stykają się ich nagie brzuchy —jej zadziwiająco gorący, jego zimny, jakby cała krew przepłynęła mu do genitaliów.

Odsunęła się nieco, zadziwiona i bez tchu, mrugając i patrząc w jego twarz. Miał zamknięte oczy, otwarte usta, ale nie łapał powietrza tak jak ona, tylko oddychał wolno i rytmicznie, jak wytrenowany pływak, który sam ustala sobie tempo. Jego dłoń poruszała się tak wolno, że już chciała zacząć krzyczeć z niecierpliwości, uwolnił jej pierś z miseczki i całował ją, sięgając do tyłu i rozpinając stanik jednym wprawnym ruchem. Myślą wróciła do czegoś, co powiedziała Orriemu kilka tygodni temu, kiedy wróciwszy do domu z przyjęcia, starał się urozmaicić ich pożycie i zaczął ją rozbierać, tak nieudolnie manipulując przy zapięciu jej biustonosza, że w końcu sama go rozpięła i oboje się zaśmiali po jej słowach: „Kochanie, nigdy nic zdobyłbyś kobiety bez jej pełnej współpracy”.

Odepchnęła dłonie Bedforda i odchyliła się, siedząc na nim okrakiem i dysząc, usiłując dojść do siebie. Przeturlała się na bok. Został na swoim miejscu, sięgając dłońmi w dół, żeby się uspokoić, po czym powoli przekreślił się w jej stronę, przyciągnął jej pośladki i całował ją raz za razem. Rozpiął suwak jej spodni, wsunął w nią palce, język w jej usta, w ucho, przesunął nim po szyi, prześliznął pomiędzy jej piersiami na brzuch. Zwolnił, puszczając ją. Teraz i on oddychał ciężko, ale jego pieszczoty były drażniąco lekkie, niczym dotyk motyla, obliczone na jej sprowokowanie. Trwało to tak długo, że nie mogła tego nazwać grą wstępną — bardziej rytualnymi starożytnymi pieszczotami. Jej podniecenie sięgnęło zenitu, płonęła i była cała obolała, pragnąc się wyzwolić, wiedząc, że eksploduje przy pierwszych pchnięciach. Przyciągnęła go, wciągając w siebie, oddając mu się w pełni.

— Powiedz mi — szepnął. — Powiedz mi, że mnie - pragniesz.

Mało go nie zabiła. Odepchnęła, wysunęła się spod niego, dopęłzła do kanapy, podciągnęła się i usiadła. Nie wiedziała, czemu jego słowa zniszczyły cały urok, ale nagle wszystko się zmieniło i wyczuła coś groźnego: bardziej niż jej pragnął poświadczenia, że ona pragnie jego. Chciał przyznania się do całkowitego poddaństwa. Wybuchła płaczem, nie wiedząc, czy bardziej nienawidzi jego czy siebie.

Wstał, poklepał ją po ramieniu, dolał koniaku do kieliszka i podsunął do jej ust.

— Hej, dziewczyno, chyba się pogubiłaś. W porządku? — Pokręciła gwałtownie głową, przełykając alkohol.

Pogląskał ją po głowie i odwrócił się, wciągając i zapinając spodnie. Rozgarnął pogrzebaczem polana, po czym oparł ręce na półce nad kominkiem i schylił głowę, czekając, aż ona się uspokoi.

— Chcesz... to znaczy ty chcesz...

— Hej, ja wiem, czego chcę. To ty się pogubiłaś. Ale rozumiem, że to wszystko jest dla ciebie nowe.

Burza ustała. Poza trzaskaniem dogasającego ognia było słychać tylko jej łkanie.

— Dobrze — powiedział, kiedy ucichła, a głowa opadła jej pomiędzy kolana. — Pora jechać.

Gdy doprowadziła ubranie do porządku, okrył jej ramiona wełnianą koszulą i ruszył do drzwi. Popatrzył w górę, pstrykając włącznik latarki.

— Spójrz na niebo. — Było ciemnogrnatowe, bezgwiazdne, a księżyc krył się za sunącymi deszczowymi chmurami. Zakreśliło się jej w głowie, więc spuściła wzrok i trzymała się barierki, schodząc po chwiejnych schodach za skaczącym kręgiem światła.

* * *

Nie można było już dłużej odwlekać chwili prawdy. Na-talkowała ciało, zwinęła w kulkę ubrania, w których była na plaży, i wepchnęła je do małej torby podróżnej, włożyła świeżą bieliznę i rozejrzała się za suszarką Josie, której jednak nigdzie nie było widać. Usiadła na sedesie i wciągnęła pończochy, zasunęła suwak kakaowej sztruksowej spódnicy, zapięła guziki złotej jedwabnej bluzki z szerokimi rękawami i przepasała ją wysadzonym topazami pasem. Świeżo umyta twarz nadal wyglądała blado i dziwnie bezbronne.

jakby widać było na niej każdą myśl i uczucie. Nakładając mocniejszy niż zwykle makijaż, zorientowała się, że nuci słowa piosenki, która tkwiła jej w głowie niczym reklamowa melodyjka: „Och kochany, miły mój, za dotykami tęsknię twym, sama długo tak...”. Wsunęła stopy w pantofle na obcasach, zapięła złotą bransoletkę z przywieszkami, którą zabrała specjalnie, ponieważ Orrie dawał jej nowy wisiołek na każde święta, i wyszła do holu.

Na dole wyłączyli już muzykę i słyszała gwar rozmów — miała nadzieję, że nie o niej, choć istniały spore szanse, że jej zniknięcie będzie jednym z głównych tematów. Idąc do schodów, zdała sobie sprawę, że ciągle drży. Czuła się jak dziecko zawezwane do gabinetu dyrektora szkoły i ogarnęło ją rozżalenie. Czyż nie ma prawa pójść na kilka godzin tam, gdzie ma ochotę? Ale kogo ona oszukuje? Zachowała się karygodnie, niezrozumiale nawet dla samej siebie, więc jak ma to wyjaśnić innym? Nadal nie wymyśliła, lila żadnej wiarygodnej historii, a gdy schodziła na dół, słyszała jedynie ostatnie słowa Bedforda, kiedy wysiadała z jego samochodu: „Jak następnym razem pojedziemy na plażę, może nie będzie burzy”. A ona przytaknęła, jakby miał być następny raz.

Orrie stal w wejściu do salonu, jak na czatach. Zobaczywszy ją, podszedł do schodów, a niepokój na jego twarzy zamienił w blady uśmiech.

— Hej, złotko, gdzieś ty się podziewała. Zamartwiałem się o ciebie. — W jego głosie nie było słyhać oskarżenia, tylko ulgę.

— Przepraszam — powiedziała tak lekkim tonem, jakby zapomniała kupić jego ulubionych ciastek, ale kiedy spojrzała na jego twarz, złękła się, że zaraz wybuchnie płaczem. Może powinna go poprosić, żeby zabrał ją teraz do domu, opowiedzieć mu wszystko ze szczegółami i błagać o wybaczenie.

— Orrie... — zaczęła.

— Gdzie ty się, do cholery, dziewczyno podziewałaś? Już mieliśmy dzwonić na policję — huknął Jasper.

— To niepodobne do ciebie, żeby tak wyjść, nic nikomu nie mówiąc — tłumaczył Orrie, prowadząc ją do salonu.

Susan siedząca po turecku przy choince złajała ją:

— No wiesz co, mamó!

Ricky, wyciągnięty obok niej na podłodze, uśmiechnał się z wyższością.

— Oto kobieta, która poucza innych, że są nieodpowiedzialni.

— Myśleliśmy, że Cyganie cię porwali — włączyła się Evie, a Cam, siedząca na kanapie koło swojej przyjaciółki Reby, dodała:

— Naprawdę się martwiliśmy. Pani Beasley...

— Wiem, że powinnam była zadzwonić, ale.. — zaczęła Lila i nie wiedziała, co ma dalej powiedzieć.

— Nieważne — przerwała Josie, nastawiając dość głośno płytę *Perry Como śpiewa wasze ulubione piosenki świąteczne*. — Jesteśmy już wszyscy razem i... — zerknęła na zegarek. — Nadal mamy czas, żeby otworzyć prezenty, zanim pojedziemy na mszę Cuby. Ja już sprawdzałam, co jest dla kogo i potrzasałam pudełkami — ciągnęła radośnie niczym opiekun dzieci na obozie. Wręczyła prezent Susan, po czym odwróciła się do Reby z wyjaśnieniem: — Mamy taką tradycję, że najmłodszy roznosi prezenty. Wiem, że większość ludzi czeka do bożonarodzeniowego poranka, ale kiedy dziewczynki były małe, Lila, a może to była Cam, wstała w nocy i przyłapała nas z Niedźwiedziem na gorącym uczynku, więc od tego czasu otwieramy je w Wigilię. To chyba była Cam. Tak, tamtego roku odkryła, że nie ma Świętego Mikołaja.

— Cam już jako pięciolatka była cyniczna — Evie poinformowała Jaspera.

— Nie, nie była. To ona poprosiła mnie, żebym wam nic nie mówiła, żeby nie psuć zabawy. Tak więc od tego czasu... — Josie plotła trzy po trzy i dobrze zdawała sobie z tego sprawę.

Susan przejęła od niej pudełko.

— Ha, pierwszy prezent jest dla mnie, od babci. To chyba książka. — I zaczęła rozwiązywać wstążkę.

Przez chwilę wydawało się, że wszystko potoczy się tak, jakby nic się nie stało, ale wtedy Evie spytała:

— To gdzieś ty była, Lilu? — I znowu oczy wszystkich zwróciły się ku niej.

— No właśnie. Gdzie byłaś? Zamartwialiśmy się — Ricky naśladował jej głos. — Chyba wiedziałaś, że się martwimy. Nie mogłaś zadzwonić?

— Ach, bo to tak spontanicznie i przypadkiem wyszło... Wyjmowałam właśnie prezenty z samochodu, kiedy — Lila zaryzykowała — przejechali znajomi i...

— Kto? — chciał wiedzieć Orrie.

— Nie znasz ich. — Mało prawdopodobne. — To znaczy, chyba ich poznałeś, ale pewnie nie pamiętasz — zmieniła wersję. — Jim i Constance Tidewell? Z Charlestonu. Pracowałam z nią przy zbiórce na rzecz festiwalu Spoleto, pamiętasz?

Orrie wzruszył ramionami.

— Nie jestem pewien, ale co...

— Czy ja jej nie poznałam? — Josie pospieszyła Liii na ratunek. — Wysoka ciemnowłosa kobieta ze śliczną cerą?

Niech Bóg cię błogosławi, mamó!

— Tak, to ona. Ma chyba ponad metr osiemdziesiąt, kiedyś była modelką. — Nie zdając sobie sprawy, że potrafi to robić tak szybko, zaczęła zmyślać. — Nie widziałam jej od zeszłego roku, ale ona i Jim jechali do krewnych na wyspie Fripp, przez The Point, bo Jim nigdy tu nie był i...

— Są z Charlestonu i nigdy nie widział The Point? — zdziwiła się Evie.

— Nie. Nie są z Charlestonu, tylko z Los Angeles.

— Kątem oka zauważyła, że Reba przygląda się jej znad kieliszka ajerkoniaku. Cam schyliła głowę, oglądając swoje dłonie. — Ona się tu chyba urodziła, ale pojechała do Hollywood. Tam poznała Jima. Kiedyś był w telewizji. Jakimś producentem zdaje się. — Evie łyknęła to wyjaśnienie niczym foka, której rzucono rybę, i chciała więcej.

— Przeszli na emeryturę. Oczywiście nie wyglądają na tyle lat, przynajmniej nie... — Jakie imię dała tej kobiecie?

— ...ona, ale chyba jest od niego dużo młodsza. Przeprowadzili się tu kilka lat temu i tak bardzo im się spodobało, że namówili jego brata na wspólne kupno mieszkania na wyspie Fripp. — Jasper, już znudzony, osuszył kroplę burbona, która kapnęła mu na kamizelkę. — Całkiem ładne to mieszkanie, chociaż tylko z widokiem na mokradła...

— Zniecierpliwiona Susan wywróciła oczyma. — Ale tak bardzo podoba im się wybrzeże Południa, że myślą o kupnie domu... — Ricky ziewnął i naciągnął na oczy czapkę — ...ale powiedziałam im, że powinni obejrzeć także Hilton Head, ponieważ oboje grają w golfa... — Josie potaknęła zachęcająco, jakby czekając na puentę znanego dowcipu

— ...w ogóle to ich do nas zaprosiłam... — opowiadała tak szczegółowo i z dygresjami, oddalając się od zasadniczej historyjki, że sama musiała się hamować — ...ale wątpię, czy przyjadą, bo są tu tylko do sylwestra. Tak czy inaczej jechali przez The Point w drodze na Fripp i byli zaskoczeni, jak mnie zobaczyli na podjeździe mamy, i pytali o The Point, więc...

— Dlaczego nie zaprosiłaś ich i nie pokazałaś domu mamy? — Evie była dociekliwa.

Lila miała ochotę ją spoliczkować.

— I bardzo dobrze, że tego nie zrobiła — Josie ponownie pospieszyła jej na ratunek. — Tylko tego nam brakowało. Cam źle się czuła, była tu Cuba z kilkorgiem swoich wnucząt, Reba i ja zajęłyśmy się gotowaniem...

— ...więc oprowadziłam ich po The Point — ciągnęła Lila. — A potem powiedzieli, żebym podjechała z nimi na wyspę i poznała ich krewnych. Powiedzieli, że jego szwa-gierka jest aktorką, więc nie mogłam się oprzeć.

— Która to? — zainteresowała się Evie.

— Okazało się, że jej nie kojarzę, ale z uprzejmości udawałam, że owszem. Tak czy inaczej sądziłam, że wrócę w ciągu godziny, ale zaczęła się burza i...

— I nie mogłaś zadzwonić, bo co? — zadrwił Ricky. — Są zbyt biedni, żeby było ich stać na telefon? Rękę sobie złamałaś?

— Nie, panie Mądralo. Prąd wysiadł. A ponieważ to nie ich mieszkanie, nie wiedzieli, gdzie są bezpieczniki, i wszyscy się potykaliśmy i szukaliśmy świec, których nic mogliśmy nigdzie znaleźć.

Cam podniosła głowę i rzuciła jej uśmiech starszej siostry. Kombinacja rozbawienia, ostrzeżenia i wzgardy mówiła: „Nie kupuję ani słowa z tego, co mówisz”. Ty suko, pomyślała Lila, zorientowałaś się, że zmyślam tylko i wyłącznie dlatego, że sama się kiedyś tyle nakłamałaś. Ale wiedziała, że to nieprawda. Cam zawsze pakowała się w kłopoty, ponieważ mówiła prawdę.

— Och, prooooszę — jęknęła Susan. — Czy mogę już otworzyć ten prezent? — Nie czekając na odpowiedź, zerwała papier i podniosła książkę. — To o Billie Jean King

— oznajmiła wszystkim. — Och, babciu, wiedziałam, że ją od ciebie dostanę, bo pamiętam, jak widziałyśmy to w księgarni, a ty zawsze mówisz, że mało czytam. — Przeszła na czworakach do Josie, która usiadła w fotelu i ją ucałowała.

— Teraz ja? — spytał Ricky.

— Nie — odparła Susan, przeglądając stos. — Jestem najmłodsza i to ja ustalę kolejność.

— Komu kolejkę? — spytał Jasper, dźwigając się z trudem. Evie zakryła dłonią swoją szklaneczkę. Reba powiedziała, że jej już wystarczy. Orrie oznajmił, że zostanie przy piwie imbirowym. Cam, chociaż miała wielką ochotę poprosić o podwójnego burbona, pokręciła przecząco głową. Ciężarna kobieta nie powinna pić ani palić. A ona — zacisnęła dłonie, aż kostki jej zbieleły, usiłując pogodzić się z nową sytuacją—jest ciężarną kobietą. Poczowała skurcz w podbrzuszu i miała ochotę pobiec na górę, by sprawdzić, czy to może jednak menstruacja. Przez głowę ciągle przelatywał jej cytat z tomiku poezji, którego wydaniem kiedyś się zajmowała: „Żaden mężczyzna nie sprawdzał swojej przyszłości, zaglądając sobie w majtki”.

— Nie wstawaj, droga gospodyni — powiedział Jasper do Josie, która się nawet nie ruszyła. Podszedł z przesadną pijacką powolnością do barku.

— Mamo, proszę — Susan wręczyła duże pudełko Liii. — To dla ciebie, od taty.

— Dalej, otwórz — zachęcił ją Orrie. Na jego twarzy nadal malowało się mnóstwo wątpliwości, ale na razie zachował je dla siebie.

— Otwórz — poparła go Josie.

— Mnie też możesz nalać! — zawołała Lila, zsuwając wstążkę z pudełka. Udało się jej. W głowie się jej kręciło od poczucia ulgi. Nie musi już nic mówić. Nic. A biorąc pod uwagę dzisiejsze standardy, to czy w ogóle zrobiła coś strasznego? Trochę ostrzejszych pieszczot po ponad dwudziestu latach małżeństwa. Przecież nawet nie doszło do seksu. — Tylko coś słabego.

Jasper uniósł brwi na tę niecodzienną prośbę, po czym się zaśmiał.

— Dobrze, dziewczyno, zaczynasz się rozluźniać i wchodzić w nastrój. Wesołych świąt.

— Ja też poproszę — odezwał się Ricky.

Lila, która rozcinała paznokciem taśmę klejącą i ściągała opakowanie z prezentu, rzuciła mu ostrzegawcze spojrzenie, ale Jasper, grzebiąc w wiaderku z lodem, poparł wnuka.

— Do licha, Lila, może już pić. Wjego wieku...

— Jasne. Pół litra piwa dziennie chłopakowi ze wsi nie zaszkodzi — powiedział Orrie tak cicho, że Cam była pewna, że tylko ona go usłyszała. Jego chłopięce rysy twarzy wykrzywiła niechętna zgoda. Ty biedny sukinsynu, pomyślała, masz Jaspera za ojca, Ricky'ego za syna, a teraz wygląda na to, że Lila, po której nikt by się tego nie spodziewał, ma kogoś na boku, a ty nigdy nie będziesz miał jaj, żeby to dostrzec ani jej to powiedzieć.

Lila, uśmiechając się, jeszcze zanim podniosła pokrywkę z pudełka, wyciągnęła czarną jedwabną koszulkę i pe-niuar firmy Natori, zdobione aplikacjami w złote motyle.

— No, no, jest na czym oko zawiesić — powiedział z aprobatą Jasper, wręczając jej dużą szklaneczkę burbo-

na z pływającymi w niej zaledwie paroma kostkami lodu.
— Orrie zapomni, że od dwudziestu lat jest żonaty.

— Dwudziestu trzech, ale kto by liczył? — Orrie uśmiechnął się, gdy Lila pocałowała go w policzek. — Dla mnie to nadal najpiękniejsza na świecie dziewczyna.

— Fu, ohyda! — jęknęła Susan, sięgając po kolejny prezent. — A to dla babci od taty. Nie mamy i taty, tylko taty.

— Ach, Orrie, dziękuję ci. — Josie rozwiązała wstążkę, zwinęła ją i położyła na kolanach, po czym ostrożnie rozwinęła papier i zaczęła go składać. Cam mrugnęła do Evie, która uśmiechnęła się znacząco do Liii. Lila spojrzała na Cam i wszystkie zaczęły chichotać, jakby były dziećmi grającymi w głuchy telefon i szepczącymi po kątach na przyjęciu urodzinowym.

_Co? — spytała niewinnie Josie.

— Mentalność kryzysowa — powiedziała Cam i wszystkie siostry wybuchły śmiechem.

_Nie ma nic złego w zachowywaniu wstążek — odparła Josie z godnością.

— Ani papieru do pakowania — dodała Cam zakrywając usta.

— Ani gumek recepturek — włączyła się Lila, przechylając głowę.

Evie, która nie była w stanie pohamować śmiechu, wiała się i podciągnęła spódnicę, odsłaniając uda.

— Pamiętajcie, jak Mawmaw kazała nam nie wyrzucać starych pończoch, bo można ich użyć do odkurzania mebli?

— Ojej, dziewczynki, to grzech wyrzucać — zaczęła Josie, jakby były dziećmi. — Gdybyście przeżyły...

— Wielki Kryzys — powiedziały jej córki chórem.
Dostały kolejnego ataku śmiechu, zjednoczone dzięki wesołemu wykpiwaniu zwariowanych nawyków swojej matki.

— To jest dla mnie — Ricky chwycił jedno z biało-złotych pudełek. Sposób, w jaki zdarł wstążki i zerwał papier, tak prostacko kontrastował z łagodnymi ruchami oszczędnej Josie, że Cam przestała się śmiać i wpatrywała w niego, nie będąc w stanie ukryć malującego się na twarzy niesmaku. Jak on z tym chciwym poczuciem uprzywilejowania znajdzie sobie miejsce na świecie, gdzie zabraknie pobłażliwych i dogadzających mu rodziców?

Josie podniosła porcelanową figurkę z wyłożonego bibułką pudełka.

— Och, dziękuję ci bardzo, synu — powiedziała, pokazując wszystkim ozdobę. Cam uznała, że chyba nawet gust jej matki jest zbyt wyrafinowany na drozda na gałęzi czereśni, ale twarz Josie rozświeciła wdzięczność.

— Sam go wybrałem — powiedział Orrie, gdy Ricky wyszarpnął ze swojego pudełka granatowy sweter, uśmiechnął się i pokręcił głową.

— Wiedziałem, że od ciebie dostanę coś jak dla elegan-cika, mamó.

Lila wzruszyła ramionami i upiła kolejny łyk burbona.

— Jeśli ci się nie podoba, to go oddam. Albo może zatrzymam dla siebie. Uniseks jest modny.

Cam pomyślała o granatowym kaszmirowym swetrze, który kupiła dla Sama na święta. Wiele miesięcy temu, gdy wybrali się na jeden ze swoich długich sobotnich popołudniowych spacerów, zobaczyli taki sweter w oknie wystawowym i Sam wspomniął, że nigdy nie miał kaszmirowego swetra. Studiował dzięki stypendium, zawsze żył oszczędnie, nigdy nie miał więcej niż kilka par dzinsów i

swetrów z anilany a gdy odszedł z wojska i poszedł na studia doktoranckie, miał już żonę i dziecko. A nawet kiedy już zarabiał dość pieniędzy, utrzymywał dwójkę dzieci, które wkrótce chciały pójść na studia. Kupował drogie garnitury, bo były mu potrzebne do pracy, ale nie pozwalał sobie na kosztowne ubrania codzienne. Nie opakowała swetra, ponieważ zamierzała dać go Samowi, gdy ten wyjdzie spod prysznic. Chciała go wytrzeć ręcznikiem, poprosić, żeby zamknął oczy, i włożyć sweter przez głowę, i zsunąć na ramiona — nadal miał cudowne ramiona, i pocałować go, zanim poprosi, żeby otworzył oczy. Uznała, że nie zwróci swetra do sklepu. Chociaż nie wiedziała, jak długo będzie mieć pracę, chciała, żeby go dostał. Dowie się, jaki jest jego adres w Atlancie, i mu go wyśle. Cholera, musi się napić! I nie chce tu siedzieć. Może Reba ma rację. Powinna powiedzieć Samowi, że jest w ciąży. Poczula przemożne pragnienie nie tylko porozmawiania, ale i zobaczenia się z nim.

Perry Como śpiewał *Have yourself a merry little Christmas* po raz drugi. Zatopiona w myślach Cam zorientowała się, że przegapiła rozpakowywanie kolejnych prezentów. Wokół Susan piętrzył się mały stosik: książka o Billie Jean King, rakietka tenisowa, zestaw świec zapachowych, książka kucharska dla wegetarian, dwa swetry, kilka T-shirtów i płyt, buty do biegania, perfumy, telefon w kształcie samochodu z lat pięćdziesiątych, muzealna reprodukcja pre-kolumbijskiej misy na malutkich stopach. Na kolanach

dziewczyna trzymała pluszowego dinozaura. Evie, Jasper, Orrie i Ricky też zebrali już pokaźną liczbę prezentów. Jak przez mgłę skojarzyła, że doszło do jakiegoś zgrzytu — Lila była zaskoczona, a Josie pełna dezaprobaty — kiedy Jasper dał Evie niestosownie drogi zegarek. A teraz Lila wyjęła z pudełeczka na biżuterię złotą przywieszkę w kształcie budynku parlamentu stanowego i odczytała dołączoną notkę: „Dla mojej kochanej żony: replika naszego nowego domu. Kocham cię i dziękuję, że pomogłaś mi się tam dostać”.

— Cholera, mam nadzieję, że nie będzie kolejnej kampanii — poskarżył się Ricky. — To była masakra.

— Przyzwyczaj się, chłopcze — powiedział rozpromieniony Jasper. — To dopiero początek.

Lila nachyliła się do Orriego, objęła jego kark ramieniem.

— Dziękuję ci — wyszeptała. Cam zerknęła na Josie i upewniła się, że nie ona jedna zauważyła, iż Lila powiedziała to dość bełkotliwie.

Co z niej za hipokrytka, pomyślała Cam: jedno oko promienieje jej czułością, drugie wyrachowaniem. A jednak zrobiło się jej żal siostry. Hipokryzja to zajęcie na pełny etat.

— Susie, Susie, kochanie, podaj tacie tę zieloną kopertę — zarządził Jasper. Susan spełniła jego prośbę. Orrie rozdarł kopertę. — „Wakacje na Karaibach — ty ustalasz datę. Pięć dni i cztery noce na St. Kitts. Obojgu wam się to należy po kampanii. Gratulacje. Tata” — przeczytał Orrie. Kolejne okrzyki zaskoczenia, całusy i uściski.

— Cam i Reba są tu całkiem ignorowane — odezwała się Josie. Susan, podaj naszemu gościowi to czerwone pudełko, o to pod dużą srebrną paczką.

Susan wręczyła je Rebie, która w środku znalazła egzemplarz książki kucharskiej Josie, słoik domowej roboty galaretki paprykowej i drugi dżemu brzoskwiнового.

— Gdybym wiedziała wcześniej — zaczęła Josie, ale Reba wstała, podeszła do niej i objęła ją.

— Hej, przyjęłaś mnie pod swój dach. Nawet nie potrafię powiedzieć, jak wiele to dla mnie znaczy.

— A teraz Cam — powiedziała Josie. — Susan, daj, proszę, cioci Camilli tę małą paczkę z gałązką jemioli. Cam, uważaj, proszę — ostrzegła, gdy córka zerwała papier. — To naprawdę stare.

Była to mała, oprawiona w skórę i ręcznie zszyta książka. — *Praktyczny receptariusz farmaceutyczny* — Cam głośno odczytała tytuł. — Nie ma daty wydania, ale dedykacja brzmi tak: „Dla Wielmożnej Pani Wallice Houseman” i jest datowana na rok 1800. Och, mamó, skąd ty to wzięłaś?

— Znalazłam w rzeczach Mawmaw. Nie mam bladego pojęcia, kim była Wielmożna Pani Wallice Houseman, chociaż pamiętam, jak Mawmaw opowiadała, że nasz daleki wujek był aptekarzem.

— Posłuchajcie: „Do użytku aptekarzy, perfumiarzy, cukierników, komiwojażerów mikstur leczniczych i sprzedawców artykułów luksusowych do łazienek, zebrane starannie z receptur stosowanych obecnie w najpopularniejszych rodach Francji”. Mamó, to cudowne. — Reba

spojrzała jej przez ramię, gdy Cam ostrożnie przewracała poplamione przez czas stronicę. — Posłuchajcie tylko tego, to pod recepturami dla włosów: „Aby zrobić boską pomadę: weź baraniego łożu dwie uncje, białego wosku pół uncji. Nadaj zapachu olejkiem lawendowym”. Reba zaśmiała się.

— Jeśli tylko znajdziemy barani łój, to z pewnością wypróbujemy.

— To wspaniałe, mamó. „Malowidła do twarzy, które można bezpiecznie stosować”. I „Mydło na wypryski”, i „Oczu przemywanie”, i „Pasta do dłoni”, i „Portugalski róż do policzków”. Jest boska. Nigdy jej nie sprzedam, choć pewnie jest co nieco warta.

— Mam kuzyna zajmującego się handlem rzadkimi książkami — powiedziała Reba. — Poproszę, żeby rzucił na to okiem.

— Reba, ty masz wszędzie kuzynów, od przeszczepów serca po naprawę samochodów.

Reba ściągnęła ramiona, uniosła oczy do góry i podniosła dłoń.

— Co mam ci powiedzieć? Parę pokoleń temu moja rodzina była bardzo płodna.

Cam zaśmiała się i ją uścisnęła.

— Czyż to nie cudowne? — spytała, odwracając się do Liii i wyciągając do niej książkę.

Lila, bezskutecznie usiłująca przypiąć nową przywieszkę do bransoletki, udała, że nie widzi pokazywanej książki, i wyciągnęła nadgarstek do Orriego. Gniew rósł jej w gardle niczym niestrawiony tłuszcz. Ona i Josie natknęły się na tę książkę, przeglądając zawartość kufrów Mawmaw tuż

przed tym, jak zabrano ją do domu opieki. Spytała Josie, czy może ją wziąć, ale Josie odpowiedziała, że nie czułaby się dobrze, rozdając rzeczy Mawmaw, póki ta jeszcze żyje. Ale po jej śmierci, zapewniła Josie, może sobie wziąć, co tylko zechce. A ona wyraźnie powiedziała, że chce tę książkę. Mogła się tylko domyślać, że Josie, rozglądając się za prezentem dla nagle pojawiającej się tu Cam, zapomniała o swojej obietnicy.

— Ta mała paczuszka — powiedziała Lila, niecierpliwie wskazując palcem. — Tak, ta, złoto-biała, jak wszystkie moje prezenty. To dla Ricky'ego. Daj mu ją, Susan. To nie tylko ode mnie i taty, od dziadka też.

Susan niechętnie posłuchała, wyciągając dłoń z paczuszką i ją cofając, drażniąc się z Rickim, który rzucił się i chwycił prezent.

— Tak! Tak! — zawył Ricky, wytrząsając kluczyki. — Nie sądziłem, że to zrobicie, ale jednak. A niech mnie! Kluczyki. Kluczyki do nowego samochodu, tak? — Jasper, Orrie i Lila przytaknęli. — Czad! Dwa lata jeździłem tym gruchotem mamy — Ricky wyjaśnił Rebie. — Co to jest? Gdzie stoi?

— Nowy czerwony saturn — powiedział Orrie. Jasper, dolewając sobie kolejnego burbona, uniósł butelkę.

— Kupuj amerykańskie towary.

— Jest u nas, na podjeździe. — Lila promieniała satysfakcją, widząc zadowolenie Ricky'ego. — Jeśli sprzedawca go podstawił dziś po południu, jak było umówione.

— Podstawił — potwierdził Orrie. — Zadzwoń do niego sprawdzić.

— Ekstra! — wrzasnął znowu Ricky, bijąc się w pierś, jakby sobie samemu gratulował.

— Jak mówi Ivan Boesky — szepnęła Reba do Cam — zachłanność jest w porządku. Zachłanność jest zdrowa.

Susan nadała się.

— Zawsze mówicie, że on jeździ jak wariat.

— Ty też dostaniesz, kwiatuszku — zapewnił ją Jasper. — Jak ze wszystkimi dobrymi rzeczami, trzeba tylko cierpliwie na nie poczekać.

— Kiedy skończę szkołę? — dopytywała się Susan. Ricky skakał po pokoju, kuksnął Orriego w ramię, przybił piątkę z Jasperem. — Mogę wziąć twój samochód i po niego teraz pojechać, tato?

— Na pewno nie — odpowiedziała Lila — siądziesz tu grzecznie i poczekasz, aż wszyscy otworzą swoje prezenty, a potem idziemy do kościoła Cuby.

— Babcia powiedziała, że nie chce, żebym tam szedł tak ubrany, więc chyba...

— Teraz już masz odpowiednie ubranie, więc idź na górę i je załóż — upomniał go Orrie.

— Aj tato. Dlaczego nie mogę...

— Siadaj, Ricky — nakazał Jasper, krótko i ostro, jakby szkolił psa. — Po prostu usiądź. — Ricky wrócił na podłogę, machając Susan przed nosem kluczykami. — Ja nie mogę iść na mszę, tak samo panna Evie — ciągnął Jasper, więc jak będę odwoził pannę Evie do Savannah, to cię podrzucimy.

Josie podniosła wzrok zaskoczona.

— Sądziłam, że wszyscy tu dziś nocujecie.

— Pomyślałem, że powinienem sprawdzić łódź po tej burzy — wyjaśnił Jasper. — A skoro Evie powiedziała, że musi wrócić do Savannah do pracy, to upieczemy dwie pieczenie przy jednym ogniu.

— Evie? — powiedziała Josie na wpół pytająco, na wpół ostrzegawczo.

— Och, mamó, wiesz, że chętnie bym poszła z tobą do kościoła — zaczęła Evie tym swoim głosikiem małej dziewczynki — ale byłam tak zestresowana, że nie skończyłam swojego felietonu.

Reba i Cam wymieniły szybkie spojrzenie.

— I jedziesz do domu pracować nad felietonem w Wigilię? — spytała cicho i z niedowierzaniem Josie. Chciała, żeby Evie wiedziała, że nie upiecze się jej z tą marną wymówką. Nie, nie wymówką. Kłamstwem. Czowała się jednocześnie wykorzystana i pokonana. Jak to możliwe, że ona, która kłamała tylko w błahy, altruistyczny sposób — mówiąc otyłej osobie, że wygląda szczupło, zbywając operatora telefonicznego, że nie otrzymała rachunku — wychowała dzieci na kłamców? Lila właśnie skłamała, a ona jej w tym pomogła, sądząc, że mała nieściskość oszczędzi mnóstwa bolesnych wyjaśnień. Teraz Evie kłamie, i to tak głupio, niezgrabnie. — Evie — powiedziała ponownie, zamierającym głosem, zastanawiając się, kiedy Evie i Jasper zaplanowali swoją ucieczkę.

— Wrócimy jutro na obiad świąteczny — oznajmiła radośnie Evie.

— Evie — powtórzyła. Ale co może zrobić? Im starsze są jej dzieci, tym trudniej powiedzieć im prawdę. Nawet

gdyby wzięła Evie na bok, czy przywołałaby ją do porządku mówiąc: „Jak śmiesz?”. Czy może wywołać u niej wyrzuty sumienia, pytając: „Nie wiesz, że nie powinnaś prowadzić się z teściem twojej siostry, na tyle starszym od ciebie, że mógłby być...”. Nie, to nic nie da. Skoro kazania, że „pozwalanie na pieszczoty nie zdobędzie ci popularności” trafiły w próżnię, kiedy Evie miała szesnaście lat, dlaczego miałyby liczyć na to, że powstrzymają przed romanssem, kiedy Evie jest po czterdziestce?

— Mamo, dlaczego jesteś taka smutna? — spytała Lila. Była w tym niebezpiecznym stanie upojenia alkoholowego, kiedy człowiek jest wyczulony na uczucia innych, ponieważ zaraz pograży się we własnym wszechświecie uzalania się nad sobą. — Mamo, nie bądź smutna. Poczekaj, aż zobaczysz, co mam dla ciebie. — Zsunęła się z kanapy i na czworakach zbliżyła się do drzewka. Wybrała jeden z nielicznych pozostałych prezentów i podpełzła do Josie, od razu rozwiązując złotą kokardę, gdy podawała jej pudełko. — Mamo, myślę, że to ci się spodoba. — Odchyliła się i usiadła na podwiniętych nogach, gdy Josie rozpakowywała prezent, jak w zwolnionym tempie zwijając wstążkę i składając papier.

— Patrzcie, znowu to robi — wytknął Ricky. — Mentalność kryzysowa. — Tym razem zaśmiała się tylko Evie.

Josie wyjęła wełniany kraciasty szlafrok.

— Ach, Lilu, kochana jesteś. Taki miły w dotyku i ciepły, i...

— Wygląda jak koc, którym moja przyjaciółka Melissa nakrywa konia — zaśmiała się Susan.

— Faktycznie! — ryknął Ricky, odrzucając głowę i rżąc.

— Ma żywe kolory, jest taki radosny — powiedziała Evie, widząc że Lila krzywi się rozczarowana.

— Idealny, żeby usiąść przy kominku. — Reba wyczuła nadchodzącą awanturę.

— Ciepły i wygodny — wymamrotał Jasper, który już tak przestał się pilnować, że poklepał Evie po kolanie i odchylił się, zamykając oczy.

— Kupiłam go w specjalnym sklepie z importowanymi rzeczami w Atlancie. Zrobiono go w Szkocji — oznajmiła Lila.

— Tak, jest bardzo radosny — zgodziła się Josie, uśmiechając i składając szlafrok. — Właśnie tego potrzebowałam.

— Ma kieszenie — Lila nie przestawała. — Zawsze mówisz, że lubisz kieszenie, bo są praktyczne. To tartan klanu Stuartów, importowany ze Szkocji. Widziałaś metkę? — Powstrzymała się przed podaniem ceny.

— Tak, babciu, będziesz w tym wyglądała jak szczęśliwa stara klacz — Ricky znowu zarżał, a potem pochylił się do dziadka. — Jedziemy zaraz?

— Zamknij się, Ricky — warknęła Lila i trzepnęła go, wcale nie żartobliwie, wracając do choinki. — A to dla ciebie, Cam. — Wybrała paczuszkę i rzuciła ją Cam na kolana. — Mam nadzieję, że lubisz Chanel. Miałam dla ciebie Joy ale... — Odgarnęła włosy do tyłu, potrząsnęła głową, jakby chcąc się czegoś pozbyć, i jęknęła: — Aj!

— Oczywiście, że lubię Chanel. Dziękuję — powiedziała Cam, wachając jedno z mydełek. — Czy dostałaś już album Mary Cassat, który ci wysłałam, Lilu? A ty, Evie? Wysłałam ci również album *Z modą przez wieki*, a to-

bie, mam, o ogrodach wiktoriańskich. Nie sądziłam, że tu przyjadę, więc...

— A dlaczego miałybyś? — wymamrotała Lila. — Nie przyjeżdżałaś przez dziesięć lat.

— Nie musisz nam nic dawać, ciociu Cam. — Susan przytuliła do Cam pluszowego dinozaura. — Twoja obecność jest dla nas wystarczającym prezentem.

Reba pokazała jej kciuki na znak uznania.

— Jak tylko wrócę do Nowego Jorku, zrobię wam wielką paczkę u Zabara albo Balduccigo. Kawa z Jamajki, żabie udka z Francji, oliwa z oliwek extra virgin z Włoch, żółwie jaja — coś naprawdę specjalnego.

— Nie potrzebujemy żadnego zagranicznego jedzenia

— zaprotestował Jasper z tak nieoczekiwaną wojowniczością, że Evie aż poklepała go po kolanie, przechyliła się i wyszeptała mu coś do ucha.

Orrie nachylił się ku Rebie i wykrzywił z przeproszącą miną.

— Nie zwracaj uwagi na tatę. Kiedy wypije kilka, robi się...

— Och, w porządku — odpowiedziała łobuzersko Reba, rzucając mu swój najbardziej olśniewający uśmiech.

— Przecież wszyscy południowcy nie mogą być uprzejmi, w końcu to byłoby strasznie stereotypowe.

— Został jeszcze jeden — Cam pokazała ręką Susan, rozpaczliwie pragnąc, żeby ta farsa już się skończyła i ledwie poskramiając chęć, żeby po prostu wstać i pójść do drzwi.

— To od cioci Cam dla babci — powiedziała Susan po oględzinach pudełka z logo Lord&Taylor.

— Zdążyłam zająć się tylko jednym prezentem przed wyjazdem — zaczęła wyjaśniać Cam.

— Spójrz na ten bałagan! — wykrzyknęła Lila, zgarniając papier, wstażki i zgniatając je w kulę.

Josie dała wzrokiem znak Orriemu, który nachylił się do Liii.

— Zostaw to kochanie — szepnęła i ostrożnie pociągnęła ją z powrotem na kanapę.

— Mam nadzieję, że nic będziesz prowadził, Jasper — powiedziała Josie — bo wyglądasz — zamaskowała ostrzeżenie oklepanym uprzejmym frazesem — na zbyt zmęczonego, żeby siadać za kółkiem.

— Oczywiście, że nie — odpowiedziała z oburzeniem E_{vie} — ja będę prowadzić. Jasper, gdzie masz kluczyki?

— Ja wypilem tylko jednego, mogę jechać — zgłosił się Ricky.

— Cicho bądź — zganiała go Susan — nie widzisz, że babcia otwiera swój prezent?

Gdy Josie wyciągała różanej barwy szlafrok z pudełka, nic nie powiedziała, lecz kiedy go podniosła, cichy wydech świadczył o jej zadowoleniu.

— Coś takiego, to... to jest...

— Piękne — skończyła za nią Reba.

— Och tak — zgodziła się Josie. — Kolor jak z łuny zachodzącego słońca, a materiał... patrzcie na te pliski. A te fałdy od pasa są jak...

— Kaskada — pomogła jej Reba. — Cały wygląda, jakby spływał i tak gładko się ześlizgiwał. Będziesz się czuła jak nimfa stojąca pod wodospadem, kiedy go włożysz.

— Absolutnie przepiękny. Bardzo seksowny.

— A czy to nie jest, no wiecie, dla kogoś młodszego? — spytała Susan.

— W zaciszu swojej sypialni mogę mieć tyle lat, ile zechcę — oznajmiła z uśmiechem Josie.

— Właśnie, też tak mam — zachrypiał lubieżnie Jasper.

— Och, Camilla — Josie celowo zignorowała prostactwo Jaspера, przyciskając peniuar do piersi. — Jest...

— Więc teraz będziesz miała coś nowego do strojenia się. Możesz w końcu wyrzucić tę jaszczurczozieloną szmatę, która wygląda, jakby wzięła się z burdelu. — Głos Liii był zgrzytliwy niczym kreda drapiąca o tablicę. — Od lat mówiłam jej, żeby wyrzuciła to zielone coś, ale nie mogła się do tego zebrać, bo to od ukochanej córki marnotrawnej. — Dźwignęła się i podeszła do barku, nalewając sobie dużą porcję kolejnego burbona.

— Lila, myślę... — zaczęła Josie.

— Co myślisz, mamó? Co ty myślisz? Kobiety tak rzadko mówią to, co myślą. Tylko biadolą i mizdrzą się, i starają się, żeby było miło, tak jak nas nauczyłaś. Z wyjątkiem Cam. Ona zawsze mówi to, co myśli, i robi to, na co ma ochotę, dokładnie takjak tata. I nic jej nie obchodzi, czy komuś zrobi przykrość.

— Jezu... — jęknęła Cam.

— Ona jest... — szepnęła Reba.

— Wiem.

— Co tam mówicie? — spytała wyzywająco Lila, obracając się szybko. — Co tam szepczesz do swojej przyjaciółki, którą musiałaś importować z wielkiego miasta, żeby mieć z kim rozmawiać, zamiast z nami, prowincjonalnymi głupkami?

— Hej, nie chcę być częścią rodzinnej kłótni. Reba podniosła rękę, jakby ktoś jej wbił nóż w żebra, i zrobiła minę klauna, żeby rozluźnić napiętą atmosferę, po czym wstała i ruszyła z zamiarem opuszczenia pokoju. — Po prostu pójdę na górę.

— I się spakuję — dopowiedziała Lila. Josie wstała z krzesła.

— Lila, proszę. Reba, nie.

— Nie, Reba. — Cam ruszyła za przyjaciółką, ale zmieniła zdanie i zawołała: — Zaraz do ciebie przyjdę!

Odwróciła się, a wściekłość zamieniła się w lodowaty spokój.

— Lila — powiedziała cicho i spokojnie — jesteś pijana.

— Pozna swój swego, Cam. Byłaś pijana na moim weselu i pijana na pogrzebie Niedźwiedzia. Jeśli uważasz, że kiedykolwiek wybaczę ci te straszne rzeczy, które powiedziałaś...

— Mamo! — napomniała ją Susan. Ricky wstał, podrzucając kluczyki.

— Poczekam u dziadka w samochodzie. Jedzicie wszyscy, tak? Czy chcecie patrzeć, jak szalona kobieta traci panowanie nad sobą, tak jak ja muszę oglądać to co noc? — Zatrzasnął za sobą drzwi.

— Czy nie moglibyśmy po prostu... — błagała bliska łez Evie.

— ...wszyscy żyć w zgodzie, jak powiedział Rodney King, bo mu adwokat kazał? — Jasper, sapiąc, podźwi-gnął się i zaczął macać po kieszeniach. — Raczej nie mam ochoty siedzieć i słuchać dwóch swarliwych bab walczących jak koty. Idziesz, Evie?

— Jak tylko znajdzie torebkę. — Patrzyła za nim, macając skraj kanapy, aż ją *znalazła..* — Mamo, ja po prostu...

— przeprosiła, wstając. — No wiecie, kocham was wszystkich, ale nie mogę...

— Och, przestań pieprzyć — warknęła Lila. — W ogóle by cię tu nie było, gdyby twój żonaty chłopak zdołał się wyrwać ze swojej rodziny.

Evie stała bezradna niczym łania złapana w światło reflektorów samochodowych.

— Lila, dlaczego ty jesteś taka pełna nienawiści? Czym ja cię tak...

— W porządku, Evie. — Josie podeszła do niej. — Idź. Nie pozwól żadnemu z nich prowadzić.

— Mamo, nie uważasz...

— Idź. — Josie sięgnęła do kieszeni po chusteczkę. — Nigdy nie mogłaś znaleźć swojej — powiedziała, wycierając plamy z tuszu pod oczyma Evie. — No leć. Zadzwoń do mnie później.

Evie, pociągając nosem, rzuciła jeszcze na odchodnym uwagę, którą i tak się nie przejęły: — Obie jesteście tak pełne nienawiści. Wstyd mi, że jesteście moimi siostrami.

— I wyszła.

Josie podeszła do barku, delikatnie wyjęła butelkę z ręki Liii.

— Wystarczy — powiedziała łagodnie. — Idź na górę i...

— Zdrzemnij się — zaproponował bezradnie Orrie, to niezdarnie wstając, to ciężko opadając na kanapę.

— Nie potrzebuję drzemki. To Cam musi się zdrzemnąć — warknęła Lila. — Przyjeżdża tu raz na dziesięć lat, ale wszystko jest tak szalenie męczące dla jej wrażliwych

uczuc — jej głos wzrósł do rozsierzonego krzyku — ze dostaje waporów i znika na popołudnie, podczas gdy reszta z nas usiłuje — przełknęła ciężko — usiłuje... - Ma-mo! — krzyknęła piskliwie Susan.

— Co usiłuje? — zaszydziła z nagłą gwałtownością Cam. — Co usiłowałaś zrobić dziś po południu, Lila? Trochę się zabawić? Zapomnieć o...

Jednocześnie i Orrie, i Josie obrócili się do Cam, jakby usłyszeli wystrzał.

— Cam! — zagroziła Josie. — Cam, usiądź i się ucisz.

— Chwila! — Cam trzęsła się z oburzenia. — Moment! Co ja takiego zrobiłam? — Stała sztywno z opuszczonymi rękoma. — Błagasz mnie w ostatniej chwili, żebym przyleciała. Kupuję bilet za siedemset dolarów. Siedemset dolarów! Na co, ponieważ nie mam bogatego męża, ledwo mnie stać. A kiedy tu przyjeżdżam, ta drażliwa, świętosz-kowata hipokrytka traktuje mnie z góry na swoim głupim przyjęciu, obraża moich znajomych... — Jej głos zdawał się dochodzić z jakimś dziwnym pogłosem. Była pięciolatką, która została zepchnięta ze zjeżdżalni, posłana do łóżka bez kolacji, wyjąca z rozżalenia ofiarą niesprawiedliwości, którą nagle przestano kochać. — Nie wiem, jak mogłam myśleć, że mogę tu wrócić. Ale jestem cholernie pewna, że nie będę na tyle głupia, żeby tu zostać.

— Tak jest, ucieknij! — wrzasnęła Lila. — Ucieknij, tak jak zawsze uciekałaś. Przybywasz tu tylko na wielkie okazje, co, Cam? Ty jesteś centrum całego świata. Tak jak tata. Pojawiasz się na chwilę, żeby wszystko zepsuć. Ja nie chciałam, żebyś tu przyjeżdżała, i mam nadzieję, że nigdy nie wrócisz.

— Lila, przestań. Natychmiast przestań — potrząsnęła niajosie. — To jest mój dom. Żadnej z was nie pozwolę w ten sposób mówić.

— Mną się nie przejmuj, mamó, bo już mnie tu nie ma. — Cam odwróciła się i powoli podeszła do schodów.

— O Boże. O mój Boże — wymamrotała Josie.

Lila padła jej w ramiona, szlochając: — Zawsze była twoją ulubienicą. Tak się starałam znaleźć odpowiedni prezent, a ona... ona zawsze wszystko robi dobrze, a ja nigdy... tak się starałam, mamó i... to po prostu niesprawiedliwe.

Klepiąc Lilę po plecach, jak niemowlę, któremu musi się odbić, ruchem głowy przywołała Orriego. — Nie wiem, synu. Chyba...

— Tak, chyba lepiej będzie, jak pojedziemy do domu. Susan? Zbierzesz swoje rzeczy czy...

— Nie obchodzą mnie te gówniane rzeczy. Wszyscy jesteście pełni nienawiści. Wszyscy. Mamó, jak mogłaś?

— Przepraszam. — Lila połykała łzy. — Tak bardzo, bardzo...

— Przepraszam się nie liczy! — krzyknęła Susan.

— Przepraszam się liczy — powiedział Orrie z niespodziewaną stanowczością. — A teraz, moja panno, pakuj się do samochodu i poczekaj. Zaraz tam przyjdziemy z mamą.

Lila, pociągając nosem, przestępując z nogi na nogę, wytarła oczy.

— Jeśli myślisz, że przeproszę Cam...

— Za późno na przeprosiny. Nie potrzebuję przeprosin i nie chcę wyjaśnień — powiedziała Josie z przeraża-

jącym zmęczeniem w głosie. — Chcę tylko trochę ciszy i spokoju.

Kiedy wyszli, usiadła na kanapie, wpatrując się w prezenty i resztki opakowań zaścielające dywan. Perry Como śpiewał: *Have yourself a merry little Christmas* po raz piąty, więc podniosła igłę, zdjęła płytę, przełamała ją na pół, równo i spokojnie, jakby rozbijała jajko, po czym upuściła na podłogę.

Pomyślała, że powinna pójść na górę, spróbować wszystko załagodzić, przekonać Cam, żeby została, ale na to też była zbyt zmęczona. Wyłączyła wszystkie światła z wyjątkiem lampek na choince. Spojrzała na zegarek, znalazła torebkę, wygładziła włosy przed lustrem w korytarzu, choć za całe oświetlenie miała tylko blask księżyca wpadający przez półkoliste okienko nad drzwiami wejściowymi. Musi już iść, żeby zdążyć na mszę Cuby. Nie była pewna, czy ma dość siły, żeby przejść do kościoła, choć to tylko kilka przecznic stąd. Ale, oczywiście, postara się. Obiecała, że przyjdzie, a żona wojskowego zawsze odpowiada za zobowiązania.

Choć The Point zamieszkiwali niemal wyłącznie biali, pierwszy afroamerykański kościół baptystyczny został po wojnie secesyjnej zbudowany w tej dzielnicy i nadal skupiał czarnych parafian. Ta spora dwukondygnacyjna drewniana budowla z wieżą, zadbana i atrakcyjna w swej prostocie, mieściła się na dużym placu. Pomalowana na biało, z jasnożółtym światłem w oknach, w blasku księżyca wyglądała bajkowo. Ponieważ w dzielnicy nie było chodników, samochody parkowały bezładnie po obu stronach ulicy, a ludzie, głównie czarnoskórzy, choć także i pokaźna mniejszość białych, którzy przyszli posłuchać chóru, przemierzali się pospiesznie do kościoła. Przestało padać, ale nadal wiał wiatr i niektórzy nieśli parasolki, żeby się osłonić przed kroplami strzasanymi ze zwisających gałęzi dębów.

Josie, wchodząc po trzech stopniach prowadzących do otwartych drzwi, trzymała dłonie na wysokości brzucha, jakby niosła Biblię, i patrzyła prosto przed siebie, przyjmując powitalne: „Dobry wieczór” i „Wesołych świąt” uśmiechem i lekkim skłonieniem głowy, nie sprawdzając nawet, czy to jacyś znajomi, czy po prostu przyjaźni wierni. Za stołem, na którym znajdował się stos kaset, pudełko po cygarach pełne banknotów i monet oraz notatnik i ołówek, stali Shalalla i Antoine. Antoine, tak wyszorowany, że

jego mały nosek i czoło wydawały się błyszczeć; wyglądał jak karzełek w jaskrawoniebieskim trzyczęściowym garniturze i muszce w czerwone grochy. Shalalla miała fałdzistą sukienkę z zielonej tafty z czerwoną lamówką pasującą do koralików we włosach. Na drobnych rękach wystających z falbaniastych rękawów widać było gęsią skórę.

— Tu jest zimno — powiedziała Josie. — Chyba powinnaś włożyć sweterek.

Shalalla wzruszyła ramionami. — Mamy wyłączone ogrzewanie. — Zrobiła krok bliżej, a oczy jej błyszczały z rozbawienia i zakryła usta dłonią, żeby ukryć chichot. — Pastor tak się wściekł, że powiedział, „cholera”.

Josie uśmiechnęła się.

— Tym bardziej powinnaś włożyć sweter lub płaszcz.

— Ale wtedy nie będzie widać mojej sukienki — wyjaśniła Shalalla i wskazała na swoje stopy.

— Widzi pani moje buty i skarpetki? — Josie pokiwała głową z uznaniem, patrząc czarne lakierki i wykończone koronką białe skarpetki.

— Pani Josie, bawimy się w sklep — powiedział Antoinne, układając dziesięciocentówki w stosik.

— Wcale się nie bawimy — poprawiła go Shalalla. — Sprzedajemy nagrania chóru. Chce pani kupić?

— Pamiętasz, co mówiła babcia? — Antoinne uszczypnął Shalallę w ramię. — Nie wolno pytać. Mamy tylko mówić: „Wesołych świąt” i czekać, aż sami zechcą kupić.

— Cóż, zobaczmy... — Josie wzięła kasetę do ręki. Nie wiedziała, że chór Cuby jest aż tak przedsiębiorczy, żeby wydać nagrania, a raczej — sądząc po tym, że na naklejce

widniał wypisany na maszynie cytat z Biblii („Po cienistych zielonych łąkach Bóg prowadzi swoje dzieci”) i prymitywny rysunek baranka przy krzyżu — że Cuba sama je zrobiła. — Ile kosztują?

— Osiem dolarów. Bez podatku — odpowiedziała Shalalla.

— To w takim razie chyba wezmę dwie. — Pomyślała, że Dozier bardzo się ucieszy, jak dostanie jedną.

— To razem szesnaście, tak? — Shalalla wypisała liczbę w notatniku.

— Zgadza się. Aja ci dam banknot dwudziestodolarowy, więc musisz mi wydać... ile?

Shalalla skupiła się, przygryzając język.

— Cztery?

— Tak jest.

— Pani jest nauczycielką, pani Josie? — spytał Antoinne.
— Zawsze pani mówi jak nauczycielka.

— Nie, jestem po prostu mamą i babcią.

— To dlaczego dzieci z panią nie przyszły?

Josie zamilkła, zastanawiając się, jak sformułować odpowiedź, ale Shalalla, mająca jak na swój wiek dużo oglądy towarzyskiej, napomniała kuzyna.

— Nie należy zadawać pytań klientom.

Antoinne przestąpił z nogi na nogę, co oznaczało, że albo musi iść do łazienki, albo jest czymś podekscytowany.

— Wie pani co? — nie wytrzymał. — Moja mama przyjechała. Wsiadła w pociąg dziś rano i przywiozła mi różne rzeczy z...

— Filadelfii — podpowiedziała Shalalla.

— Nie. Z... Z Pencilanii.

— Z Pensylwanii. To stan, a Filadelfia to miasto — pouczyła go Shalalla. — Filadelfia jest w Pensylwanii, głup-tasie.

— Nie należy się sprzeczać przy klientach, pamiętajcie — powiedziała Josie półgłosem i schowała kasety do torebki. — Powiedzcie babci, żeby do mnie rano zadzwoniła, dobrze? — I czując, że ktoś koło niej stanął, dodała: — Może ten dżentelmen również chce kupić nagrania.

— Owszem. — Był to H.A. Staples. — Miło panią znowu widzieć, pani Taternall.

— Mnie również.

— To moja żona, Constance. — H.A. dotknął dłoni przystojnej kobiety, z wyprostowanymi włosami obciętymi na pazia, ubranej w dopasowany kremowy kostium z udrapowanym na ramionach kwiecistym szalem. — I moja córka, Christine. Christine przyjechała do domu w uniwersytetu Howarda na święta. — Młoda kobieta z krótko ostrzyżonym afro, ubrań" w spódniczkę panienki z dobrego domu i granatową marynarkę, która nie do końca zakrywała T-shirt z napisem UWOLNIĆ ABU-JAMALA*, przywitała się z nią. Na jej twarzy, chyba nawet ładniejszej od matki, widać było rozbawienie i protekcyjność, jakby uznała ten małomiasteczkowy baptystyczny kościół i jego wiernych za zbyt dziwacznych i staroświeckich, by mówić coś więcej. — Sądziłem, że Cam tu będzie — powiedział H.A. — Cam to córka pani Taternall. Mówiłem ci, ta dawna znajoma z liceum, na którą nieoczekiwanie

* Aktywista polityczny, którego wieloletni proces i wyrok śmierci za zabicie policjanta stal się przyczyną wielu kontrowersji.

wpadłem na przyjęciu u Gadsdenów, pamiętasz? — wyjaśnił, zwracając się do żony.

— Cam złapała jakieś przeziębienie — wyjaśniła Josie i żeby H.A. nie zaczął się dopytywać o pozostałych członków rodziny, rozejrzała się i dodała: — Przyszło sporo osób. Chyba lepiej wejść, jeśli chcemy usiąść. Miło mi było was poznać; pani Staples, Christine. Wesołych świąt. I dzieci — nachyliła się nad stolikiem i wyprostowała muszkę Antoinne — nie zapomnijcie powiedzieć Cubie, żeby z samego rana do mnie zadzwoniła. — Po tym, co się stało, wiedziała, że nic nie wyjdzie z jej obiadu świątecznego i musiała pozbyć się czterech zapiekaneek i dziesięciokilogramowego indyka.

Popatrzyła na schody, myśląc, że mniej osób ją zauważy, jeśli siądzie na balkonie, ale były tak zatłoczone, że groziło to wybuchem pożaru. Na dole, skąd dobiegał szum prowadzonych ściszonymi głosami rozmów, również było tłoczno. Stała, szukając wolnego miejsca i mówiąc: „Przepraszam” do mężczyzny w dżinsach dźwigającego kamerę telewizyjną i do ładnej blondynki, którą widziała w lokalnych wiadomościach wieczornych. Nie podobała się jej telewizja w kościele, ale uznała, że w tych czasach ludzie nie uwierzą, że coś się wydarzyło, dopóki nie zobaczą tego na ekranie. Powoli przesuwiała się nawą boczną — Boże, ależ tu zimno! — dopóki jakaś wyglądająca znajomo pyzata czarnoskóra kobieta nie przesunęła się i nie zrobiła dla niej miejsca. Wsuwając się do ławy kościelnej, wymamrotała podziękowanie, usiłując sobie przypomnieć, gdzie widziała tę kobietę. Może to objaw wieku, a może skutek tego, że miasto rozwija się tak szybko, ale ciągle natykała się na ludzi, którzy wyglądali znajomo, tyle że nie pamiętała, skąd ich zna.

I wtedy sobie przypomniała: pyzata kobieta była kasjerką w NationsBank, a siedzący koło niej nastolatek, najwyraźniej jej syn, czasami kosił trawnik u sąsiadów Josie. Rozejrzała się ukradkiem i na szczęście nie dostrzegła nikogo znajomego. Jest bezpieczna.

Poczuła, że swędzi ją kark, i gdy się odwróciła, zobaczyła Margaret Crosby — członkinię klubu ogrodniczego, bardziej zainteresowaną plotkami niż azaliami — siedzącą pomiędzy mężem i wyłupiastooką córką. Margaret rzuciła jej triumfujący uśmieszek. No tak. Teraz całe miasto dowie się, że spędziła samotnie Wigilię i domysły będą rosły szybciej niż magiczna fasola Jasia. Wyobrażała sobie rozmowy pełne współczującego cmokania: „Zawsze starała się być dobrą matką, ale..”. Policzki ją paliły i czuła ucisk w gardle na myśl o tych komentarzach. A to, co mogą powiedzieć o dziewczynkach, było jeszcze gorsze. Dzięki Bogu, że Niedźwiedź nie żyje!

Jednak głównym źródłem jej bólu było to, co sama wiedziała i czego się obawiała. Co, jeśli Evie będzie się prowadzić z Jasperem? Co, jeśli ktoś widział Lilę nietrzeźwą z tym mężczyzną — kimkolwiek on był (ciągle zastanawiała się, kto mógłby to być, ale nikt nie przychodził jej do głowy). Nigdy by nie pomyślała, że Lila może zdradzić Orriego. Jak ta dziewczyna mogła tak skrzywdzić tego biedaka? Dlaczego zaryzykowała i naraziła na szwank swoją reputację i przyszłość Orriego? Bo jeśli to się wyda, nie skończy się na miejscowych plotkach, wiadomość rozejdzie się na cały stan. I kto by pomyślał, że Lila będzie katalizatorem tej okropnej awantury? Zupełnie jakby Lila

odpłaciła im wszystkim za całe życie głęboko skrywanych uraz, o których istnieniu Josie nie miała nawet pojęcia. I Cam. Od chwili, gdy ją tylko zobaczyła, wiedziała, że coś jest nie w porządku, ale oczywiście Cam nie miała ochoty jej o niczym powiedzieć. Nie zwierzała się jej i najlepiej będzie, jeżeli Josie pogodzi się z tym, że córka nigdy tego nie zrobi. Dzięki Bogu Reba powiedziała jej, w najgłębszej tajemnicy, że Cam martwi się o pracę i rozstała się z człowiekiem, którego nadal kocha. Intuicja podpowiadała jej, że jest coś więcej, ale trudno było sobie wyobrazić, co może przewyższyć nieudany romans i niepewność finansową. A teraz Cam wyjechała — tak jak Niedźwiedź zawsze wyjeżdżał — bez przeprosin, zapewne bez żalu, a nawet bez należytego pożegnania.

Pod presją spojrzenia Margaret Crosby niemal miała ochotę się tak skurczyć, żeby nikt jej nie widział. Cam zawsze mówiła, że przejmowanie się tym, co myślą inni ludzie, świadczy o małostkowości, ale co jest złego w tym, że chce mieć dobrą opinię wśród sąsiadów czy być dumną ze swojej reputacji? Wznieść się ponad dumę to piękna rzecz bez wątpienia; ale żeby to zrobić, trzeba najpierw mieć ją z czego czerpać.

Zerkając na główną nawę, dojrzała rodzinę Cuby. Zajmowali całą ławkę. Gdy przyglądała się każdemu z nich, słyszała komentarze Cuby. Najbliżej środka nawy siedziała Thalia, najstarsza córka, tak podobna do matki, że mogłaby być jej klonem. Jako dyrektorka liceum, Thalia zazwyczaj ubierała się konserwatywnie, lecz dziś paradowała w garsonce w panterkę marki Carol Little. Była pierwszą osobą w rodzinie, która zdobyła wyższe wykształcenie, ale nigdy

nie wyszła za mąż („Umysł jak brzytwa, ale nie ma szczęścia w miłości. Częściowo sama jest sobie winna — nawet nie spojrzysz na gorzej wykształconego od siebie, a ilu widzisz czarnych prawników i lekarzy w kolejce po żonę?”). Josie odgadła, że niemowlę na kolanach Thalii musi być dzieckiem najstarszego syna Cuby, Russella, który siedział obok.

Zarówno Russell, jak i jego żona Eugenia, która schyliła się, żeby wyszeptać ostrzeżenie do ich wiercącego się sześciolatniego syna, byli tak sztywni jak manekiny na wystawie sklepowej. Russell był ubrany w lekki jasnobrązowy garnitur, odpowiedni zarówno na zimę, jak i na lato, a Eugenia w beżową szmizjerkę i kakaowy żakiet, a z biżuterii miała tylko okazały pierścienek zaręczynowy i obrączkę oraz okulary w złotej oprawce („Wcisnęli się do klasy średniej jak stukilowa kobieta usiłująca nosić gorset. Oboje mają dodatkowe prace, bo muszą mieć dom z dwiema łazienkami, nowe samochody. Russell musi mieć komputer. A przez większość czasu zapominają mi dać cokolwiek za opiekę nad ich dziećmi, a ceny jedzenia rosną; tu to, tam to i się nazbiera”).

Matka Shalalli, Bernice, nadal tak bardzo w stylu country, że nosiła duży kapelusz „damy”, siedziała koło swojego ruchliwego bratanka. Zbliżała się do trzydziestki i była najładniejsza z całego rodzeństwa. Rzuciła studia, żeby wyjść za gwiazdę koszykówki, który jednak nigdy nie znalazł się w czołówce. Teraz mieszkała z Cubą, usiłując wyciągnąć od byłego męża alimenty i ucząc się do egzaminu na urzędnika państwowego („Mówiłam jej, że ładny wygląd często jest wadą, a nie zaletą, ale czy ona mnie słucha?”). Koło Bernice siedział najmłodszy syn Cuby, Seth, z dre-

dami wepchniętymi pod czerwono-czarno-zielono-żółtą czapkę robioną na drutach i z kolczykiem w jednym uchu. Był, jak mówiła Cuba bez domieszki ironii, jej „czarną owcą” — aresztowany za posiadanie narkotyków, teraz na zwolnieniu warunkowym, żył ze sprzedawania plakatów i ręcznie robionej biżuterii z furgonetki na koncertach i kiermaszach. Koło Setha młoda kobieta, która musiała być Aletheą, matką Antoine'a. Miała splecione w warkoczyki i wysoko upięte włosy, a złote kółka w uszach niemal ocierały się o jej ramiona. Unosiła namalowane brwi, pokazując, jak bardzo tu cierpi („Myśli, że jest królową Egiptu, nosi głowę tak wysoko, że nie widzi, jak łódka jej przecieka”). I na końcu ojciec Cuby, który także z nią mieszkał, wyprostowany jak struna, ale wyglądał blado i słabowicie.

Dobry Boże, pomyślała Josie, Cuba wychowała piątkę dzieci w zasadzie sama. Pochowała dwóch mężów, widziała, jak aresztowano jej syna, a teraz zajmuje się wnukami i ojcem. Kim ja jestem, żeby narzekać? Przeniosła wzrok na ołtarz.

Światło przygasło. Chuda kobieta w różowej sukience, w okularach o szklach tak grubych jak denka butelek coca-coli i z włosami ułożonymi w fale, wyszła z bocznych drzwi za ołtarzem i zajęła miejsce za pianinem otoczonym donicami gwiazd betlejemskich i koszami jedzenia. Po niej pojawił się brzuchaty mężczyzna, który usiadł za perkusją. Nawą przebiegli Shallala i Antoine, którzy wcisnęli się do ławy koło swojego pradziadka. Josie spodziewała się, że teraz przed ołtarz wyjdzie cały chór, ale nic się nie działo. Zakwiliło jakieś dziecko. Ktoś zakaszłał. Dzieci zaczęły się wiercić i szeptać.

I wtedy, jakby celowo odczekała, aż zgromadzeni stracą czujność, żeby z zaskoczenia przykuć ich uwagę, z tyłu kościoła rozbrzmiał rozdzierający serce, mocny głos Cuby, śpiewającej: „O Panie, wiesz, że się nie odwrócę...” (Josie pamiętała, jak Cuba mówiła, że inni członkowie chóru chcieli zacząć od *Cichej nocy*, lecz albo siłą swojej osobowości, albo dlatego, że to ona wykonała większość pracy przy szyciu nowych szat, Cuba nakłoniła ich do zmiany zdania). „O Panie, wiesz, że się nie odwrócę...”, zaśpiewała ponownie Cuba. Ten wers powtórzył niski baryton, a potem czysty jak promień słońca sopran, jakby śpiewali jedno do drugiego przez mokradła. Akompaniorka zagrała trzy donośne dźwięki na pianinie i chór ruszył nawą, każdy z palącą się świecą, a ich głosy współbrzmiały ze sobą idealnie. Cuba, olśniewająca w swej wielobarwnej *dashiki* zakończonej złotą taśmą i włosami owiniętymi dopasowanym szalem, prowadziła z głową tak podniesioną, że nie było widać fałd na szyi, i wyglądała na młodszą i silniejszą. Gdy mijiała ławkę Josie, na króciutką chwilę zerknęła na nią, objęła wzrokiem całą ławkę i w jej oczach, choć wyraz twarzy prawie się nie zmienił, pojawiło się zrozumienie. Josie przełknęła ślinę. Siedząca przed nią biała para, najwyraźniej turyści, zaczęła nieśmiało klaskać do rytmu muzyki.

Po umieszczeniu świec w napełnionej piaskiem tacy znajdującej się przed krzyżem chór ustawił się w półkole. Cuba prowadziła ich od hymnu do hymnu, a każdy kolejny śpiewali coraz pewniej i bardziej z serca. Niektórzy ze zgromadzonych klaskali, inni cicho śpiewali lub odkrzykiwali z aprobatą. Niektórzy zdejmowali swetry i żakiety. Prócz temperatury rosły także emocje i Josie, zatopiona

w rozmyślaniach, doznała dziwnego uczucia: zupełnie jakby siedziała przy ognisku w bardzo ciemną noc, chroniona nie tylko przez zwierzęce ciepło innych, ale także przez świadomość, że każdy z otaczających ją ma swoje nadzieje i lęki, smutki i radości, każdy inne, a przecież w pewien sposób tożsame.

Chór kołysał się i nucił, gdy Cuba podniosła rękę i smutnym, dźwięcznym głosem powiedziała:

— Gdy myślimy o narodzinach Jezuska, myślimy także o jego Matce. Kiedy urodziła Go dzisiejszej nocy, nie wiedziała, co jej przyjdzie znieść po paru latach, kiedy przyniosą Jego ciało zdjęte z krzyża i złożą w jej ramiona. Ale tej nocy jej trud się zakończył i trzymała Go w ramionach, krzyczącego i ledwo co narodzonego — i czuła tylko radość. Wy, matki, wiecie, co mam na myśli. — Perkusista nabił szybki, synkopowany rytm i chór zakołysał się w energicznym radosnym reggae. — „Mary miała malutkie jagniątko, o tak, o tak...”

Josie uśmiechała się z rękoma złożonymi na podołku i schyloną głową. Dopiero kiedy łza spadła jej na dłoń, zorientowała się, że płacze. Sięgnęła do torebki i nie znalazwszy tam chustki, wytarła policzki palcem. Pyszta kobieta wcisnęła jej do ręki paczkę jednorazowych chusteczek i poklepała po dłoni. Josie nie czuła skrępowania, tylko wdzięczność, co jeszcze bardziej doprowadziło ją do płaczu. Łzy płynęły niehamowanie, oczyszczając ją, zdejmując cały ból z serca, niczym długie, łagodne westchnienie. Wszystko zrozumiała. I mogła już wszystkim wybaczyć. Mogła nawet wybaczyć sobie, bo przecież w końcu, jak powiedział Dozier, robiła, co mogła.

- Eureka! — wrzasnęła Reba na widok światła rozpadającego się sklepienia z pustym straganem warzywnym z boku i jednym jedynym dystrybutorem paliwa z przodu. — Wygląda jak z horroru, ale przynajmniej jest czynne. Już się bałam, że skończy nam się paliwo i będziemy musiały spać w rowie. — Cam zapowiedziała, że nie chce jechać autostradą, więc od ponad godziny starały się dostać do Charlestonu bocznymi drogami.

— Ja wyczyszczę przednią szybę, a ty zatankuj — powiedziała Cam, gdy zaparkowały i wysiadły z samochodu.

Poklepując się w lewy pośladek, który jej ścierpł, Reba rzuciła okiem na instrukcję obsługi dystrybutora.

— Kiedy byłam dzieckiem, ze stacji wybiegali mężczyźni w małych czapczkach oraz muszkach i robili to za kierowcę — narzekała, walcząc z pistoletem węża.

— Jasne, jasne. Gdy byłaś dzieckiem, słodczyce kosztowały pięć centów, a wszyscy, którzy skończyli szkołę średnią, potrafili czytać. — Cam ziewnęła i rozciągnęła się, przyciskając dłonie do krzyża i patrząc na księżyc nad sosnowym lasem. — „Kraino straconego szczęścia, dziś mogę cię jasną ujrzeć, radosne drogi, którymi szedłem, i nigdy już nie pójdę”*.

* Przekł. Joanna Jagiełło.

— Wymyśliłaś to?

— Co ty. To A.E. Housman. W liceum miałam taką surową starą nauczycielkę angielskiego, która uważała, że uczenie się na pamięć kształtuje dyscyplinę umysłową. Kazała nam wkuwać wiersze i słynne mowy. Nienawidziliśmy jej za to, ale wiesz co, to chyba jedyne, co potrafię zacytować. Jak wrócimy na drogę, wygłoszę ci Orędzie Gettysburskie Lincolna.

— Nie sądzę, żebyś przebiła swoje wykonanie *Me and Bobby McGee*, ale możesz próbować. — Nie chcąc rozmawiać o szybkim i niefortunnym wyjeździe, od czasu opuszczenia domu Josie śpiewały piosenki Beatlesów, Joni Mitchell, Boba Dylana, Supremes, potem Gershwina, Portera, Berlina, aż skończyły na pieśniach patriotycznych i melodyjkach z reklam telewizyjnych.

— Nie zamierzam przejmować się sarkastycznymi uwagami Żydówki, która nie pamięta słów *Hava Nagila*. — Cam schyliła się i rozglądała wokół dystrybutora. — Tu jest wiadro z wodą, ale nie ma gąbki. Może wezmę ręczniki papierowe z toalety. Chcesz coś?

— Szykowałam się na jutrzejszą wspaniałą ucztę, ale chyba mogę przerwać post i zjeść snickersa.

— Przepraszam, że musiałyśmy wyjechać.

— Jest okej. Myślałam, że będę na planie *Opowieści wigilijnej*, ale okazało się, że gram w nowej wersji *Thelmy i Louise*.

— Myślisz, że nie powinnyśmy były wyjeżdżać?

— Nie tak. Nie bez pożegnania się z twoją mamą.

— Powiedziałam jej, że wyjeżdżam, zanim poszłam na górę.

A kiedy zeszyliśmy wszyscy udali się do kościoła.

Co miałyśmy robić? Czekać na kolejną rundę? No proszę cię, Reba, zarówno Jasper, jak i Lila byli wobec ciebie tak nieuprzejmi i...

— Cam — Reba wpakowała wreszcie dyszę do baku i nacisnęła dźwignię, żeby zatankować — przygotowuję jedzenie na ekskluzywne wieczorki towarzyskie. Jeżeli miałabym się jezyć za każdym razem, jak obraża mnie ktoś nietrzeźwy... no dobra, może w Nowym Jorku robią to w lepszym stylu, ale co za różnica? Pijak z pretensjami do całego świata to pijak z pretensjami do całego świata.

— Przepraszam.

— To nie twoja wina. Cam sposepniała.

— Tak. Choć raz nie była to moja wina.

— Chodziło mi o to, że to nie ty się upiłaś.

— Tak, to nieoczekiwana zamiana. Jasper zawsze przesadza z alkoholem, ale Lila? Mówiłam ci, że to ona była Panną Sztywmarą. I nagle znika, potem pojawia się ubzdryngolona i ewidentnie była z jakimś facetem. Wszystko staje na głowie. Ale nadal nie rozumiem, czemu tak na mnie naskoczyła. Miałyśmy swoje spięcia w przeszłości, ale sądziłam, że puściła to w niepamięć.

— Nie no, urosnie trawa i zakwitną kwiaty, ale nikt nigdy nie zapomni, gdzie zakopał topór wojenny. — Spust pistoletu dystrybutora odskoczył w dłoni Reby. — Hej, co się dzieje?

— Nie naciskaj tak mocno, wystarczy delikatnie.

— Och, jakbyś dużo wiedziała o nienaciskaniu i delikatności — droczyła się Reba.

— Daj, ja zatankuję, a ty idź zapłacić i weź nam coś do picia.

— Co chcesz?

— Wybiore, jak przyjdę. I tak muszę do toalety. Kiedy Cam weszła do środka podłego sklepiku, Reba

była już pogrążona w rozmowie z pracownicą o rzadkich prostych włosach. Cam kiwnęła jej głową na powitanie i rozejrzała się za toaletą.

— Trzeba sobie otworzyć — powiedziała kobieta i podała jej klucz przywiązany do kawałka drewna niemal tak wielkiego jak laska.

Cam wzięła go i przeszła na tył sklepu, mijając stojak z magazynami dla dziewcząt, programami telewizyjnymi, brukowcami pełnymi artykułów o morderstwach, kazirodztwach, stusześcdziesięciokilogramowych bliźniętach syjamskich, dziewięcioletnich ciężarnych dziewczynkach oraz odpowiedzią na niezmiennie ważne pytanie: „Czego pragnie Oprah?”.

Dalej były półki z kiepskimi książkami i kasetami z muzyką country, zabrudzona lada z napisem SAMO-OBSŁUGA, na której stały styropianowe kubki, dzbanek kawy koloru smoły, papierowe serwetki, saszetki cukru, śmietanka, pikle i keczup, siedmiolitrowy pojemnik żółtej musztardy i hot dogi przypominające ogromne, schorowane palce obracające się na rożnie w pleksiglasowym pudełku. Toaleta śmierdziała lizolem i stęchłym dymem papierosowym. Zardzewiały pojemnik na podkładki toaletowe był pusty. Nie dowierzając badaniom, według których szanse złapania jakiejś choroby z deski toaletowej wynosiły milion do jednego, przypomniła sobie ostrzeże-

nia Josie i wyłożyła ją resztkami ręczników papierowych. Po umyciu rąk kilkoma dozami ohydnie perfumowanego i mocno dezynfekującego różowego mydła strząsnęła wodę, wytarła dłonie o spodnie i wróciła do kasy, tym razem idąc alejką pełną puszkowanych kukurydzy i spaghetti, chilli do mikrofali, skondensowanego mleka, środków na przeziębienie, tabletek z kofeiną, jednorazowych pieluch, chipsów ziemniaczanych, chrupek bekonowych, popcornu karmelowego, aż dotarła do lady chłodniczej z lodami, sześciopakami piwa, colą, pogniecionymi pudełkami pieczonego kurczaka i mlekiem, czyli tym, czego szukała. Sięgnęła na koniec półki, sprawdziła datę ważności i zaniósła mleko do kasy.

— By się pani zdziwiła — mówiła kasjerka do Reby. — Sporo ludatujeździ, nawet w Wigilię. Niektórzy, no wiadomo, muszą się wyrwać z chałupy na trochę, ale inni... Mój znajomek jakieś dziesięć minut temu jechał samochodem z wypożyczalni i wioził kołesia aż z Walterboro na lotnisko do Charlestonu. Koleś przyjechał na jakąś imprezę rodzinną i coś się pożarło, i kuzyn tego faceta nie chciał go zabrać na lotnisko. — Wzruszyła ramionami, jakby chaos stanowił dla niej naturalny porządek rzeczy, a jej bladoniebieskie oczy powędrowały do małego odbiornika telewizyjnego zawieszzonego nad jej głową na półce z papierosami.

— Nie boi się tu pani sama siedzieć? — spytała Reba.

— No pewno. Słyszy się o tych wszystkich napadach i morderstwach w całodobowych sklepach, ale... — Nie odrywając wzroku od telewizora, sięgnęła pod ladę i wyciągnęła pistolet. Widząc, że Cam wzdrygnęła się, schowała go. — Nie chciałam pań przestraszyć — powiedzia-

ła i zaczęła podliczać rachunek. — Z benzyną to będzie czterdzieści jeden pięćdziesiąt.

— Czterdzieści jeden pięćdziesiąt! — wykrztusiła Cam.

— Noo, trzydzieści za benzynę, cztery za te małe flagi, trzy za tabakę...

Cam spojrzała na rzeczy leżące w nieładzie przy kasie: dwie miniaturowe flagi konfederackie, kilka puszek brzoskwiniowej tabaki i torebkę czegoś o nazwie *Chrupki z drogowej padliny*.

— Pamiątki — wyjaśniła Reba, kuląc ramiona. — I jeszcze snickers i paczka marlboro.

— I mleko. — Kasjerka z trzaskiem rozłożyła brązową papierową torbę i trzymając ją przy skraju lady, zgarnęła wszystko z wyjątkiem kartonu mleka, który Cam ciągle trzymała. — Będzie je pani teraz piła?

Cam kiwnęła głową.

— Głównie to faceci i dzieciaki piją mleko. Pewno dlatego, że nie byli długo karmieni piersią. Przychodzi tu taki gość, co jeździ na tirze — wygląda jak Sylvester Stallone

— ale wypija trzy i pół litra mleka naraz, stojąc o tu przede mną. Większość kobiet nie przepada za mlekiem, chyba że są w ciąży. Pewno nie chcą kalorii. Wiem, że jak byłam w ciąży z Eriką, to mogłam je cały czas pić. Mleko i lody. Zjadłabym kredy, cholera, wszystko...

— Dostarczało pani wapnia — powiedziała Cam, gdy Reba wyciągnęła banknoty z portfela i przestąpiła z nogi na nogę, dając znać, że chce już wyjść.

— Tego nie wiem, ale na pewno chciało mi się mleka. — Kobieta wydała im resztę i uśmiechnęła się blado.

— Wesołych świąt. Trzymajcie się dziewczyny.

- Dzięki, wzajemnie — powiedziała Reba przez ramię.
— Dobry Boże — wzdrygnęła się Cam, gdy wyszły na zewnątrz. — Widziałaś kiedyś tyle gówień, co w tym sklepie?
— Noo, wszystko, czego potrzebujesz do życia, które będziesz chciała jak najszybciej zakończyć.

— Mam cię zmienić i prowadzić?

_Nie, dam radę. — Reba usiadła za kierownicą i zapięła pas.

_A wiesz, co jest nienormalne? — spytała Cam, otwierając karton mleka i pociągając długi łyk.

_Wszystko było nienormalne — odpowiedziała Reba, włączając długie światła i zjeżdżając na nieoświetloną drogę.

_Ona miała rację. Przecież nie przepadam za mlekiem, ale teraz naprawdę musiałam się go napić. Czy to nie jest niesamowite, że hormony tak szybko zaczynają działać?

Reba pokiwała ponuro głową.

— Mogę włączyć radio?

_Proszę, nie. Raczej nie znajdziesz niczego poza kołędami, a jeśli teraz usłyszę kołędę, to albo zacznę krzyczeć, albo się rozpłaczę. — Jechały w milczeniu, Cam głęboko zamyślona, popijając mleko. — Uważasz, że źle zrobiliśmy tak wyjeżdżając, co? — spytała nagle.

— Już mnie o to pytałaś. Nie wydaje mi się w porządku tak karać twoją mamę.

— Nie karałam mamy. Nie mogłam tam już dłużej wytrzymać. I jeszcze ciebie obrażali.

_Mówiłam ci, Cam, nie musiałyśmy wyjeżdżać z mojego powodu.

Cam wiedziała, że Reba mówi prawdę.

— Ja po prostu nie mogłam... mój stan...

— Hej, nie czepiam się ciebie. Pytałaś, to odpowiedziałam.

Cam skończyła mleko, wytarła górną wargę i odwróciła się do Reby.

— Masz rację — powiedziała głucho. — Co do wyjazdu. Mama najbardziej to odczuje, a przecież nawet nie byłam na nią zła. Nawet jest mi teraz bliższa niż kiedykolwiek. Tego ranka, kiedy byłam w domu sama, zaczęłam myśleć o tym wszystkim, przez co przeszła.

— Wybaczy ci — zapewniła Reba, widząc jej nieszczęśliwą minę. — Jest matką.

— Znaczy to jest w umowie? Bo jeśli tak, to się nie nadaje. W ogóle nie mam do tego żadnych kwalifikacji.

— Ale nadal chcesz urodzić?

— Nie wiem. Wczoraj byłam pewna, że tak. Dziś... — Potrząsnęła głową. — Zastanawiam się, czy kiedykolwiek byłam tak nieszczęśliwa. Po prostu nie wiem. Oczywiście, jeśli tak, to mama będzie musiała sobie z tym poradzić. Zawsze musiała wszystkim wybaczać. Kiedyś sądziłam, że to świadczy o jej słabości.

— Nawet kiedy wybaczyła twojemu tacie? — Widząc, że zajmie chwilę, zanim Cam to zrozumie, Reba mówiła dalej. — Czasem myślę, że przebaczenie to słabość, wiesz, po prostu sposób manipulowania winowajcą, że ma u ciebie dług. Ale nie wydaje mi się, żeby tak było z Josie. Sądzę, że to ona kocha ludzi, może w taki sposób, w jaki ty i ja nie potrafimy.

— Boże, jacy oni byli niedopasowani. Tata tam na górze, w niebieskich przestworzach, a mama przejmująca

się szkolnymi obiadami. Zawsze chciałam być taka jak on. Sądziłam, że to przez nią mu się nie udało. Ale niedawno zaczęłam się zastanawiać, że mama mogłaby uszczęśliwić wielu mężczyzn, ale tatę? On w ogóle nie powinien się być żenić. Żadna kobieta nie byłaby dość dobra. Faj — wzdrygnęła się. — Małżeństwo to dno. — Osunęła się w fotelu i oparła głowę o zagłówek, z wysuniętą brodą, zaciśniętymi ustami i ledwie otwartymi oczyma wpatrującymi się w szybę.

— Słuchaj, Cam, nie chciałam, żebyś się źle poczuła. Co więcej, nie czuj się źle. Wiem, że Josie ci wybaczy, ponieważ długo z nią dziś po południu rozmawiałam, kiedy spałaś.

— Co? — Cam się wyprostowała.

— Okej, bądź na mnie wściekła. Martwiła się o ciebie, więc jej powiedziałam...

— Powiedziałaś jej!

— Nie o ciąży, kretynko. Powiedziałam jej po prostu, że masz kłopoty w pracy i rozstałaś się z Samem. No proszę cię, ta kobieta nie jest głupia. Wie, że coś jest nie tak, a ty jej nic nie mówisz, więc jedyną sensowną rzeczą było uwolnić ją od zamartwiania się i podać część faktów. — Cam otworzyła usta, ale nic nie powiedziała. — I nie zaczynaj mi tu, że gdybym to ja — ostrzegła ją Reba — bo gdybyś była na moim miejscu, zrobiłabyś dokładnie to samo. A jak się nad tym zastanowisz, to jeszcze mi podziękujesz.

Cam rozważyła jej słowa. Choć nie podobało się jej, że Reba i Josie o niej rozmawiały, musiała przyznać, że przyniosło jej to ulgę. W zasadzie była wręcz wdzięczna.

— No dobra, więc rozmawiałaś z nią. To chyba dobrze.

— Zadzwoiłam też do informacji telefonicznej w Atlancie. Numer Sama nie był zastrzeżony — powiedziała szybko Reba.

Cam błysnęła oczyma.

— No widzę, że byłaś bardzo zajęta.

— I... — Reba wzięła głęboki oddech — rozmawiałam z nim.

— Jak to!

— Proszę bardzo, nazwij mnie wtrącałką! Powiedz, że zepsułam naszą przyjaźń! — Reba zirytowana wyrzuciła w górę rękę. — Powiedz, że mi nigdy nie wybacysz!

— Do cholery, Reba, trzymaj kierownicę.

— O mnie się nie martw. Ja tylko wyglądam, jakbym nad niczym nie panowała, podczas gdy ty wyglądasz, jakbyś miała wszystko pod kontrolą, ale i ja wiem, i ty wiesz, że tak nie jest.

Cam kipiała ze złości.

— A więc — zaczęła, naśladowując głos Reby — „rozmawiałam z Samem”. Kiedy do niego zadzwoniłaś i co mu powiedziałaś?

— Zadzwoiłam do niego, kiedy poszłam na górę, bo wiedziałam, że wyjedziemy. Powiedziałam mu, że jesteśmy u twojej mamy i jakoś jutro będziemy w Atlancie. — Pauza. — W jego głosie było słycać radość. — Dłuższa pauza. — No. To albo dzwonicz i mówisz mu, że nic przyjeżdżamy, albo sięgasz do schowka po mapę. A teraz, proszę, rozpakuj mi snickersa.

CZĘŚĆ DRUGA

— Dziś jest trzynaście stopni, a pogodynka mówi, że przez całe święta będzie słońce. — Mary Gebhardt przetasowała karty i zwróciła się do szwagierki, która przyjechała w odwiedziny z Cleveland i usiadła do stolika jako czwarta do brydża. — Zdecydowanie lepiej niż rok temu. Nie uwierzyłabyś, gdybyś tu była. Lało całe święta.

— I to jak — wspomniała Peatsy, poprawiając sweterek. — A ja leżałam z powtykanymi wszędzie rurkami, jak byk z powbijanymi banderillami. O Boże, to dopiero było.

— Zebrała swoje karty, powachlowała się nimi z typową dla siebie, przypominającą zachowanie gejszy fałszywą ko-kieteryjnością i odwróciła, żeby spojrzeć na Josie, która niosła z kuchni na werandę dzbanek z kawą i drugi z herbatą. — Josie, chodź usiądź. Jak mam wygrać, kiedy moja partnerka nie koncentruje się na grze?

— Na deser — zaproponowała Josie — mam kulki rumowe, ciasteczka pekanowe albo pomonki. Lubisz słodcyce, Esther?

Esther, której rozmiar sugerował, że raczej tak, spytała:

— A co to takiego?

— To takie staromodne cukierki z drobno posiekanych owoców i orzechów — wyjaśniła Peatsy. — Robi się to pół dnia, więc już nikt tego nie przygotowuje poza Josie.

— Chciałabym — westchnęła Mary, sięgając do torebki po gumę Nicorette — ale od kiedy rzuciłam palenie, przybyło mi co najmniej pięć kilo.

— Oj, Mary — Peatsy potrząsnęła głową. — Najpierw przyklejasz sobie wszędzie te plasterki nikotynowe, okazuje się, że masz na nie alergię, i puchniesz niczym szczeniak, który się struł, a teraz żujesz gumy, od których co najwyżej wypadną ci plomby. Gdybyś nie była taką upartą Jankeską, tobyś wiedziała, że jesteś za stara na zmiany.

— Mój lekarz powiedział...

— Rok temu mój lekarz dawał mi tylko kilka dni życia

— zaśmiała się Peatsy — ale kiedy zobaczył, ile na mnie zarabia, postanowił dać mi jeszcze trochę czasu. Myślisz, że lekarze się na czymś znają?

— Oj Peatsy, jesteś okropnie cyniczna — upomniała ją Mary. — Nie możesz narzekać, że nie miałaś najlepszej możliwej opieki. Ci lekarze uratowali ci życie.

— Jasne, że miałam najlepszą opiekę. Ale jak ktoś, kogo dopiero co poznałam, ma więcej wiedzieć o moim ciele, niż ja nauczyłam się o nim przez... — Zdolna stawić czoło wszystkim nieprzyjemnym realiom z wyjątkiem swojego wieku, Peatsy urwała na moment — ...przez całe życie. Josie, usiądź wreszcie! Widzisz, Esther, Josie przez większość życia skakała wokół męża i dzieci, a kiedy ich zabrakło, nie mogła się odzwyczaić, więc otworzyła pensjonat.

— Głównym powodem, dla którego zaczęłam prowadzić pensjonat — wyjaśniła Josie — było to, że nie chciałam sprzedać tego domu i potrzebowałam pieniędzy.

— Wiedziała, że większość ludzi, w tym Peatsy, prędzej

opowie o swoim życiu seksualnym niż o swoich finansach, i ona również kiedyś wstydziła się przyznać do problemów z pieniędzmi. Ale ostatnio przestała mieć już takie kłopoty ze szczerością. — Zebrałam całkiem dobrą klientelę

— powiedziała do Esther — ale w zeszłym roku tyle się zdarzyło, że musiałam większości odmówić i nie wiem, czy mam siłę, żeby znowu zacząć.

Mary przytaknęła.

— Ten ostatni rok był dla ciebie jak jazda górską kolejką, Josie.

— Jak telenowela w przyspieszonym tempie — wtrąciła się Peatsy.

— Mama Josie zmarła tuż po Nowym Roku — powiedziała Mary do Esther. — Potem...

— Och, nie przypominaj tego wszystkiego — nalegała Peatsy.

— Przykro mi, że straciłaś mamę — zwróciła się do Josie Esther.

— Nie straciła jej — poprawiła ją Peatsy. — Nie znoszę, gdy ludzie mówią, że kogoś się „straciło”, jakby to była zawieruszona paczka czy coś. Mawmaw zmarła. I należy błogosławić ten dzień.

— Tak, to było błogosławieństwo dla niej — Josie usiłowała załagodzić sytuację. — Mama była bardzo stara i od dawna liczyliśmy się z jej odejściem.

— Mimo wszystko — zaczęła Esther. Bojąc się, że jakiegokolwiek konwencjonalne wyrazy współczucia spowodują kolejny wybuch u Peatsy, uśmiechnęła się i rozejrzała.

— Masz przepiękny dom i ogród, Josie. Nie dziwię się, że miałaś dużo gości.

— Dziękuję. Przyznam, że jestem z niego dumna, ale jest o wiele za duży dla jednej osoby.

Peatsy uniosła brwi:

— Jednej? Co przyjdę, to widzę Doziera.

— Owszem — powiedziała beztrosko Josie. — Jeszcze kawy, Esther?

— I mogę się założyć, że znowu zaczniesz przyjmować gości — powiedziała Peatsy — ponieważ nigdy nie wyleczysz się ze skakania wokół ludzi.

— To nie choroba — odpowiedziała Josie. — A jeśli tak, to nie mam ochoty zdrowieć. — Ponieważ obsługiwanie ludzi było tak obce naturze Peatsy, Josie nie spodziewała się, że zrozumie, jaką szczególną satysfakcję jej to sprawia.

— Josie, siadaj! — nakazała ponownie Peatsy. — Nie mam całego popołudnia na wyciąganie od was drobniaków. Mam sprawy do załatwienia, miejsca do odwiedzenia, ludzi do spotkania. Waring... mój syn, moje jedyne dziecko — poinformowała Esther—Waring i jego przyjaciel Alonzo już przyjechali i czekają na gości z D.C. To jakaś para handlująca antykami. Pewnie będą ganiać po całym domu, zadając cwane dwuznaczne pytania i usiłując odgadnąć, co będą mogli sprzedać, kiedy ja wykituję.

— To niesprawiedliwe — zaprotestowała Josie. — Waring nigdy nie zachował się tak, jakby...

— Oczywiście, że się nie zachował, i nie zachowa — powiedziała Peatsy z oburzeniem. — W końcu wychowałam go na dżentelmena. Ale to całkiem naturalne, że zastanawia się nad podziałem łupów. Wiem, co robiłam, kiedy moi rodzice mieli się zabrać z tego padołu. I rów-

nie naturalne dla tych, którzy mają odejść, jest chęć zachowania najmocniejszej karty na koniec. Niech sobie Waring obmacuje szyfoniery i waży srebra. I tak dostanie wszystko, co jest w domu. Nie wie jeszcze — przełożyła trzymane na rękę karty — że wszystko z wyjątkiem mebli zapisałam fundacji na rzecz edukacji uniwersyteckiej dla czarnoskórych.

— Naprawdę? — niedowierzała Mary.

— Może tak, może nie — Peatsy przyjęła swój uśmiech Mony Lisy. — Wszyscy musicie grzecznie poczekać.

— Peatsy, urodziłaś się ironistką i umrzesz jako ironistka — zganiała ją Josie. Podejrzewała, że Peatsy tylko drażni się z Esther i Mary, dlatego że są Jankeskami, ale też, nawet po trwającej całe życie znajomości, nigdy nie było wiadomo, co Peatsy może zrobić.

— Ale ty się nie martw, Josie — silnie przeciągnęła samogłoski Peatsy, a oczy jej błyszczały nad kartami. — Zostawię ci ten srebrny serwis do herbaty, który zawsze podziwiałaś, i posąg z brązu, który tak lubisz. Nigdy nie rozumiałam, co w nim widzisz. Nie bardzo sobie wyobrażam, dlaczego miałybyś identyfikować się z kobietą z obnażonymi piersiami niosącą pochodnię.

— Wyobrażanie sobie, co czują inni ludzie, nigdy nie było twoją mocną stroną — odpowiedziała lekko Josie.

Esther, nie potrafiąc ocenić, co jest na poważnie, a co tylko żartem, zmieniła temat.

— Chyba poproszę... pomonkę, tak? I może jedną kulkę rumową.

— Nie da się jednej. Kulki chodzą parami — zaśmiała się Peatsy. — Właśnie, słyszałyście ten dowcip o Marilyn

Monroe, po tym jak wyszła za Arthura Millera? — Nikt go nie znał. — Miller był oczywiście Żydem i gdy jego matka podała zupę z kulkami macy, Marilyn się zdziwiła: „Zupa z kulkami macy! Pierwsze słyszę. A co pani robi z resztą macy?”.

— Peatsy! — Mary udawała, że jest zszokowana.

— Oj, daj spokój, Mary. Mamy trochę za dużo lat, żeby udawać, że nie odróżniamy Suspensorium od procy. A mówiąc o seksie...

— A mówiłyśmy o tym? — spytała Ester zawstydzona, ale i podekscytowana.

— Kilka tygodni temu przyszła do mnie wnuczka mojego brata, ponieważ chce wziąć ślub. Rozmawiałyśmy o jej planach weselnych, bo jak wiemy, zorganizowanie teraz wesela niewiele odbiega od wystawienia sztuki na Broadwayu. Ale kiedy już wypła kilka burbonów, spytała mnie — Peatsy potrząsnęła głową — spytała o orgazmy. Dacie wiarę? Sądziłam, że dziewczyny z jej pokolenia to wiedzą. Ale zaraz to przemyślałam. No bo mają te swoje zajęcia z edukacji seksualnej, ciągle o tym gędzą w telewizji, ale przecież to nie jest coś, czego się można nauczyć w szkole albo z telewizora, prawda? Okazało się, że ona prawie nic o tym nie wie. Poszła z nim do łóżka kilka razy, ale nie czuła niczego, czego się spodziewała poczuć. I nadal chce zostać jego żoną. Poza tym już rozesłali zaproszenia. Więc powiedziałam jej: „Złotko, może coś poczujesz, a może nie, ale jeśli nie, to wywróć oczyma i zachowuj się, jakbyś miała lekki atak astmy”. A ona mi na to, cała oburzona: „Ale to będzie nieuczciwe”. „Zejdź na ziemię”, powiedziałam jej — tak teraz mówią — „Zejdź na ziemię. Udawanie

orgazmu to jedna z nielicznych sytuacji, w której kobiety mają przewagę. Bo mężczyzna nie zniesie myśli, że nie potrafi zaspokoić kobiety — choć większość nigdy nawet nie próbuje się tego nauczyć, a tych kilku, którzy próbują, potrafi zamienić twoje życie w piekło".

Josie zaśmiała się. Jeżeli ktokolwiek sądził, że otarcie się o śmierć zmieni lub złagodzi charakter Peatsy czy, jak to określiła Mary, „pozwole jej odkryć swą duchową stronę”, to musiał być srodze rozczarowany. Jak tylko odzyskała siły, dokonała w swoim życiu kilku zmian: pojechała, ciągnąc ze sobą Waringa i Alonza, na wycieczkę do Paryża. Po powrocie przemalowała dom, zmieniła obicia mebli w salonie i kupiła sobie suczkę — miniaturowe rasowe coś tam, którą nazwała Scarlett, a ta truchtała ze lśnjącymi oczyma i machała dobrze ostrzyżonym ogonkiem, ale nie dawała się nauczyć czystości. (Josie w końcu musiała poprosić Peatsy, żeby nie przynosiła psa ze sobą, bo siusiał na jej dywany, a Peatsy niezbyt życzliwie się do tego zastosowała). Peatsy teraz chodziła do salonu piękności nie raz, ale dwa razy w tygodniu. I planowała kolejny wyjazd

— do Londynu z okazji otwarcia nowego sezonu teatralnego. Poza tym...

Josie podniosła dzbanek z kawą nad filiżankę Peatsy.

— Dolać ci?

— Nie. Miałabyś może składniki do wódki z tonikiem?

— Sprawdzę.

— Wiem, że to letni drink! — zawołała za nią Peatsy.

— Ale kto wie, czy będę tu następnego lata. Więc jeśli masz wszystko...

Josie odstawiła dzbanki do zlewu, napełniła szklanke lodem, wycięła ósemkę cytryny i ruszyła do barku, ale zatrzymała się, słysząc głos Mary.

— Tak, prawie rok bez dnia. Dokładnie tu, gdzie teraz siedzimy. Byłyśmy w środku robra, gdy Peatsy straciła przytomność i poleciała na stół... — Josie podeszła do okna wychodzącego na werandę, skąd mogła patrzeć, sama nie będąc widzianą, gdy Mary kontynuowała: — Nigdy nie zapomnę miny Edny i dźwięku monet spadających na podłogę. Edna chwyciła Peatsy za nogi, a ja pod ręce — a może odwrotnie — tak czy inaczej — Mary zaczęła chichotać — z trudem doniosłyśmy ją do salonu, żeby ją położyć na kanapie, kłócąc się, czy dobrze robimy, że ją ruszamy, i przestraszone, że ją upuścimy.

Peatsy zawtórowała jej śmiechem.

— Założę się, że mnie upuściliście, tylko nigdy się do tego nie przyznasz.

— Niemal — potwierdziła Mary. — Pamiętam, jak myślałam, że jesteś jak najcieńsza porcelana i jeśli cię upuścimy, to się stłuczysz. Ale Josie była przewspaniała. Zupełnie jakby byłajasnowiedzem. Dzwoniła pod 912, jeszcze zanim zniosłyśmy Peatsy z werandy. Potem Edna zaczęła na mnie prychać, że palę, a ja byłam bliska łez, i Josie starała się nas uspokoić, i przyszli medycy, i Edna... — Mary przestała się śmiać i w zamyśleniu żuła gumę. — Biedna Edna. Kto by wtedy pomyślał, że ty...

— Mm. Kto by wtedy pomyślał, że ja przeżyję, a Edna zaraz umrze. To był luty? Mary przytaknęła.

— Połowa lutego. Pamiętam, bo Cam brała ślub w Atlancie w walentynki, a Dozier musiał zadzwonić do Josie, żeby wróciła.

Josie odeszła od okna. Ale się działo. Naprawdę miała wtedy wrażenie, że jedzie kolejką górską.

Ledwo pochowała Mawmaw, zadzwoniła Cam, przyznając się, że prawdziwym powodem, dla którego nie uczestniczyła w pogrzebie, nie było, jak początkowo powiedziała, to, że złapała jakiegoś wirusa, ale to, że od sześciu tygodni jest w ciąży, miała krwawienie i ginekolog kazał jej leżeć. Ledwo Josie doszła do siebie po tej wiadomości, a już Cam powiedziała, że rzuciła pracę i przenosi się z Nowego Jorku do Atlanty i że biorą z Samem ślub w walentynki („Pomysł Sama. Jest nieuleczalnym romantykiem”). I chcą, żeby Josie była obecna. („Kiedy mówię «najbliższa rodzina», mam na myśli najbliższą. Tylko ty”).

Sam odebrał Josie z lotniska, idąc prosto do niej, jakby już ją znał, ucałował ją w policzek i przeszedł od razu do sedna sprawy.

— Dobrze, że pani przyjechała. Cam jest kłębkim nerwów.

Intuicja podpowiadała jej, że Sam jest z natury tak samo powściągliwy jak ona, lecz sytuacja zmusiła ich oboje do nietypowej otwartości. W drodze do swojego mieszkania opowiadał o Cam — lakonicznie i zdecydowanie niebezkrytycznie, ale z taką czułością i poczuciem humoru, że wiedziała, że ten mężczyzna kochaj jej obdarzoną trudnym charakterem córkę niemal tak mocno jak ona. Podzieliła

się z nim obawami, które skrywała przed Cam, ale zapewnił ją, że jest pod opieką lekarza, który specjalizuje się w ciążyach dojrzałych kobiet, a on zamierza ją rozpieszczać przez całe dziewięć miesięcy.

Gdy dowiózł ją do kawalerskiego mieszkania — drogiego, wynajętego już z meblami w wysokościewcu, które można by wziąć za biuro dyrektora, gdyby nie było zastawione pudłami z rzeczami Cam, które Reba i jej przyjaciółka Cheryl przetransportowały z Nowego Jorku dużym samochodem firmy przewozowej — ucałował obie, Josie i Cam, na do widzenia i wrócił do pracy. Cam, przemęczona i apatyczna, ale wyraźnie zadowolona z jej obecności, zaproponowała, żeby poszły na zakupy. Nadal nie znalazła odpowiedniego stroju na ślub i w sklepach spędziły kilka godzin. Josie, pamiętając rozczarowanie własnym strojem ślubnym, zaproponowała coś powłóczyściego do ziemi, ale Cam, neurotycznie zaniepokojona, że może wyglądać, jakby się popisowała, odrzucała wszystko, co wyglądało odświętnie. („Może i jestem zawstydzoną panną młodą, ale wstydzę się z zupełnie innych powodów”). W końcu wybrały bladożółty jedwabny komplet z dopasowanym żakietem do bioder i wąską spódnicą. Reba i Cheryl, z którymi spotkały się na popołudniową herbatę, sprezentowały Cam komplet czerwonej bielizny.

— Skoro masz już coś starego: metrykę — i coś nowego: nowe życie w Atlancie — i coś pożyczonego: trudno mi sobie wyobrazić, że kiedyś przebijesz tę nowo nabytą mieszczańskość — a że niebieski to kolor smutków, a te się już dla ciebie skończyły, więc dlatego czerwony — wyjaśniła Reba.

Tej nocy, gdy Josie usiłowała zasnąć na kanapie w salonie Sama, słyszała, jak on wstaje i przynosi Cam wodę oraz krakersy, żeby uśmierzyć jej głód. Słyszała też, jak cicho rozmawiają, i poczuła przyływ optymizmu. Wszystko im się dobrze ułoży.

Następnego ranka zebrali się w gmachu administracji hrabstwa: Cam roztrzęsiona, Sam zdecydowany, Reba zadowolona z ekscentrycznym uśmiechem, Cheryl ocierająca łzy roztkliwienia, i do kompletu stary kumpel Sama z marynarki o stosownym imieniu Buddy. Zjedli elegancki lunch w hotelu Ritz-Carlton, Cam wcinała łososia i kawior, Reba dowcipkowała, Sam wyglądał, jakby mu wreszcie ulżyło, a Buddy po pierwszej butelce szampana był tak błogo nieświadomy tego, co się dzieje, że zaczął przystawiać się do piegowatej Cheryl.

Sam opłacił Rebie i Cheryl kilkudniowy pobyt w hotelu, a Josie miała zatrzymać się w mieszkaniu Sama, rozpakowując rzeczy Cam, podczas gdy oni pojechali na dwutygodniowy miesiąc miodowy do Włoch. Jednak jeszcze tego samego wieczoru zadzwonił Dozier z informacją, że Edna trafiła do szpitala.

— Cam i jej mąż zaproponowali, że zrezygnują z miesiąca miodowego i przyjadą pomóc, ale Josie im tego zabroniła, ponieważ to nie wyglądało tak poważnie. — Josie usłyszała, jak Mary opowiada. — No bo kto by pomyślał, że Edna jest w złym stanie. Przecież była pierwszą osobą, która informowała wszystkich, jak się czuje. Ale nikt, nawet jej mąż, nie miał pojęcia, że jest chora.

— Na co zmarła? — spytała Esther.

— Pęknięty wrzód trawienny — wyjaśniła Mary. — Była w szpitalu tylko niecały tydzień i Josie planowała zabrać ją do domu i się nią opiekować, ale wdały się komplikacje i zabrała się — Mary pstryknęła palcami — ot tak.

— Edna zawsze była stanowcza — powiedziała Peatsy. — Należy jej pogratulować ładnego, eleganckiego zejścia.

Josie zaparła się dłońmi o stół wjadalni i schyliła głowę. Może i miała przeczucia przy ataku serca Peatsy, ale nawet nie podejrzewała, że Edna ma jakieś poważne problemy zdrowotne, a przecież kiedy ona i Dozier rozmawiali z jej lekarzem, okazało się, że Edna leczyła się od dłuższego już czasu. Nie wiedzieli także, że wyraziła życzenie niepod-trzymywania życia w razie śmiertelnej choroby. W wieczór poprzedzający operację oświadczyła Josie, że jest gotowa odejść, i poprosiła ją, żeby zajęła się Dozierem. Josie objęła ją i powiedziała, w co święcie wierzyła, że gada bzdury, i nim się obejrzy, wyzdrowieje.

Tak jak przewidziała, operacja poszła pomyślnie. Lekarze mówili, że wypiszą Ednę ze szpitala za kilka dni. I wtedy dostała zapalenia płuc.

Wszystko potoczyło się tak szybko, że Josie była oszołomiona i pełna niedowierzania. Siedemdziesiąt dwie godziny całodobowego czuwania, Edna otoczona syczącymi respiratorami, wielokolorowymi elektronicznymi wyświetlaczami, pikającymi monitorami... a potem wiadomość przyszła przed świtem, niecałe pół godziny po tym, jak ona, Dozier, syn Edny, Skip, oraz jej córka Marilyn wraz z mężem wyszli ze szpitala i wrócili do niej do domu po

całonocnym czuwaniu. Siedzieli w kuchni Josie, zastanawiając się, czy zrobić wczesne śniadanie, czy też powinni się najpierw trochę przespać, gdy zadzwonił telefon i doktor poinformował ich o śmierci Edny.

Dozier był sparaliżowany na skutek szoku i bólu, ani Marilyn, ani Skip nie znali już dobrze miasta, więc Josie wszystkim się zajęła. Miała mnóstwo pracy, trzeba było zadbać o pogrzeb, przygotować jedzenie, spotkać z wieloma ludźmi.

Dopiero w dzień po pogrzebie, kiedy obudziła się w środku nocy i pomyślała: Muszę pamiętać, żeby rano powiedzieć Ednie..., wszystko do niej dotarło. Wykrzyczała imię siostry błagalnym głosem, tak jak ponad sześćdziesiąt lat temu, kiedy Edna popędziła przed siebie, zostawiając ją w drodze ze szkoły. Wówczas Edna nie zatrzymała się i teraz też łkanie Josie nie mogło jej sprowadzić.

Rankiem, kiedy Dozier przyszedł na śniadanie, opowiedziała mu o tym.

— Wiem — odpowiedział, sącząc kawę. — Kilka razy dziennie mówię sobie, że bym pamiętał jej o tym czy tamtym powiedzieć. Wczoraj nawet zawołałem do niej, że jestem już w domu, kiedy wróciłem ze stacji benzynowej. Marilyn była na górze, gdzie przeglądała jej rzeczy i mnie usłyszała. Była wstrząśnięta. Myślała, że mi odbiło. Wiesz, Marilyn ma tę cudowną pragmatyczność, którą ma Edna — to znaczy miała — no znowu, nie mogę się przestawić...

— Och, to się każdemu zdarza.

— Wiem. Ale Marilyn... jest równie pragmatyczna jak Edna, tylko czasem brakuje jej wyobraźni.

I wycucia, pomyślała Josie. Jak w ogóle ktokolwiek, szczególnie jego córka, może być krytyczny wobec Doziera, który tak dzielnie to wszystko znosił!

— Powinna wiedzieć, że jeśli mieszkało się z kimś przez ponad pół życia... — Słyszając rosnące oburzenie we własnym głosie, dodała spokojniej: — Nie wiem, czy kiedykolwiek ci to przejdzie. Niedźwiedź nie żyje już tyle lat, a ja czasem nadal słyszę jego głos w głowie. Albo jak jestem w sklepie i widzę coś, co lubił, na przykład stek z kostką, to prawie wkładam go do koszyka.

— Mogę prosić dolewkę kawy?

— Przyjdą tu zaraz na śniadanie? Miałam właśnie zrobić placuszki jagodowe.

— Chyba nie. Rodzinka Skipa się pakuje. Mówią, że chcą już jechać do domu. Sam Skip zostanie jeszcze dzień, żeby porozmawiać z prawnikiem o wydzierżawieniu sklepu Edny.

Josie widziała, że wygląda na bardzo zmęczonego.

— Dobrze, że nie musisz się tym zajmować.

— A Marilyn mówi, że pojedzie do sklepu pomóc przy inwentaryzacji.

Założę się, że nie tylko go spisie, pomyślała Josie, dolewając mu kawy.

— A ty?

— Wiesz, na co tak naprawdę mam ochotę?

— Na stertę placuszków jagodowych?

— Zawsze. A potem... — Dotknął jej dłoni, kiedy nalewała sobie kawy i usiadł. — Jeśli tylko utrzyma się pogoda. Przechodziłem wczoraj koło centrum ogrodniczego. Chodziłem po ich szklarni przez ponad godzinę, więc

wypadało mi coś kupić. — Rzucił jej zmieszany uśmiech.

— Do licha, Josie, zaszalałem. Kupiłem każdą nową odmianę wiosennych cebulek, jakie mieli. Wydałem ze sto dolarów. — Potrząsnął głową i przeczesał palcami włosy.

— Sto dolarów! Kupiłem tulipany, irysy, narcyzy. Częściowo z powodu ich nazw: Trąbka o złotym gardle, Sen Lady Murasaki.

Pokiwała głową.

— Parę miesięcy temu kupiłam szminkę, tylko dlatego że nazywała się Pikantna Brzoskwinia.

— No tak. To co, masz czas na ogrodnictwo dziś po południu?

— Chyba tak. Mam gości koło drugiej.

Dozier zapatrzył się gdzieś przed siebie i już myślała, że usłyszy coś doniosłego, ale po chwili rozmyślenia powiedział:

— Straciłaś dużo pieniędzy, nie przyjmując klientów przez ostatnie kilka tygodni. A ja ci jestem winien dużo więcej, nie tylko pieniądze.

— Zapomnij, Dozier — odpowiedziała, choć rzeczywiście rósł stos niezapłaconych rachunków.

Westchnął.

— Czy pomyślisz, że jestem okropny, kiedy powiem, że się ucieszę, gdy dzieci i wnuki już pojedą?

— Ależ oczywiście — udała szok, a potem się uśmiechnęła. — Ale cię rozumiem. Zrobię te placuszki.

Ulżyło jej tak samo jak Dozierowi, kiedy Skip, Marilyn oraz ich rodziny wyjechały. Na prośbę Doziera wraz z Cubą poszły spakować ubrania Edny i inne jej rzeczy. Zrobiły cztery stosy: jeden z rzeczami, które Dozier mógł

chcieć po przejrzeniu zatrzymać, a pozostałe trzy dla niej, dla Cuby i dla sieci sklepów z rzeczami dla biednych.

— To mi wygląda na dobrze przegrzebane — mruknęła Cuba, podając Josie szkatułkę z biżuterią, gdy były w sypialni Edny i Doziera. — I — dodała oschle, przetrząsając szafę —widzę, że futro i kapelusz pani Edny już zniknęły.

Josie odpowiedziała, że to całkiem naturalne, że Marilyn chciała zatrzymać większość rzeczy matki. Cuba przygarbiła się.

— Aha, tak się tylko zastanawiam, czy jak będziemy przeglądać kredens w jadalni, to nie okaże się, że pan Dozier musi jeść plastikowymi nożami i widelcami.

Josie zaśmiała się i odpowiedziała, że istnieje taka możliwość, ale wiedziała, że Dozier się tym nie przejmie. Wiele ludzi chętnie deklaruje, że nie dbają o dobra materialne, ale Dozier naprawdę się nimi nie przejmował. Choć pracował jak szalony, żeby odnieść sukces w firmie handlującej drewnem, którą odziedziczył, większość zarobionych pieniędzy przekazywał Ednie, a sam zatrzymywał sobie jedynie tyle, żeby starczyło na książki i narzędzia.

Josie nie znalazła w skarbach zgromadzonych przez siostrę wielu rzeczy, które chciałyby zatrzymać. Edna, uważając, że pamiątki z przeszłości świadczą o sentymentalizmie, już dawno oddała jej większość rzeczy po Mawmaw. Josie wzięła tylko zaśniedziałą broszkę przedstawiającą dłonie splecione w geście przyjaźni (którą najwyraźniej Marilyn uznała za nic niewartą) i pudełko starych zdjęć, które Edna zawsze zamierzała powkładać do albumów, ale nigdy tego nie zrobiła. Przeglądając je, natknęła się na jedno, przy

którym się rozplakała: ona, Edna i Mawmaw na plaży w staromodnych kostiumach plażowych. Mawmaw, trzymająca parasolkę i spod przymrużonych powiek patrząca gniewnie na słońce; Edna (musiała mieć wówczas jakieś jedenaście lat), objęta przez Mawmaw, już z pączkującymi piersiami widocznymi pod kostiumem; i ona — Josie — stojąca krok za nimi, z wiaderkiem, wyglądająca na samotną i zagubioną. Zatrzymała to zdjęcie, a pozostałe wkleiła do albumu, który położyła na górnej półce w bibliotece Doziera, sądząc, że może będzie chciał go dać wnukom.

Po odjeździe rodziny Dozier kręcił się tu i tam, do-kańczając różne sprawy związane ze sklepem Edny i płacąc lekarzom oraz prawnikom. Postanowił, że nie da się żałobie ani nie będzie nią obarczał Josie, i robił wszystko, żeby nie mieć wolnego czasu: pracował jako wolontariusz w bibliotece, prowadził zajęcia z renowacji mebli w kościele episkopalnym, pojechał odwiedzić Marilyn, ale wrócił po niespełna tygodniu, tłumacząc to Josie tym, że „oni jedzą przed telewizorem”. Odrzucał mnóstwo zaproszeń obiadowych od rozwódek i wdów (najwięcej przychodziło od Peatsy); potem przyjął zaproszenie na zjazd koleżeński ze swojego college'u, ale w ostatniej chwili zrezygnował. Josie zauważyła, z pewnym niepokojem, że ucina sobie popołudniowe drzemki i nie zawsze jest ogolony, kiedy przychodzi na śniadanie, choć starał się być wesoły i witał ją słowami: „Obudziłem się i poczułem zapach kawy”. Ponieważ byli sami, często rozmawiali o innych — rodzicach, małżonkach, dzieciach — o żyjących i tych, którzy już odeszli, a którzy wywarli na nich wpływ. Jak większość mężczyzn Dozier niechętnie poruszał tematy osobiste, ale

jeśli Josie powoli na nie przechodziła, włączał się i te rozmowy chyba dobrze mu robiły. Czasami pili herbatę czy wręcz drinka późnym popołudniem, a jeśli nie miała gości, zwykle dał się namówić i zostawał na kolacji. Z rzadka zapraszał ją na hamburgery w Shoney's, a od wielkiego dzwonu ubierali się elegancko i jechali do Savannah na niedzielny lunch do Desoto Hilton.

Pod koniec maja Lila, która była w Komitecie Sztuki, dała im kilka biletów na Spoleto Festival. Uznali, że będą zbyt zmęczeni, żeby wracać do Beaufort po całym dniu i wieczorze w Charlestonie, więc postanowili przenocować w hotelu, a zszokowani wywindowanymi na czas festiwalu cenami, doszli do wniosku, że jedynym sensownym wyjściem jest zarezerwować wspólny pokój. Z dwoma pojedynczymi łózkami.

Pogoda była doskonała, a oni tak uszczęśliwieni wyjazdem, nawet jeśli było to tylko sto kilometrów od Beaufort, że zachowywali się jak turyści, wykupując wycieczkę powozem i uśmiechając się do siebie, gdy przewodniczka, zwalista młoda kobieta w białej koszuli i za ciasnych szarych spodniach mających być repliką konfederackiego munduru, opowiadała urocze, ale niezbyt zgodne z prawdą historie o mieście i wojnie secesyjnej. Poszli na wystawę sztuki i zgodnie uznali ją za beznadziejną, a potem wybrali się na spacer po starym przykościelnym cmentarzu, gdzie każde szukało czego innego. Doziera ciągnęło do pomników słynnych ludzi, a Josie nachylała się nad małymi, zarośniętymi mogiłami małych dzieci. Gdy słońce zaczęło zachodzić, dźwięk organów grających Toccate i fugę d-moll Bacha przyciągnął ich do pustego kościoła.

Usiedli w tylnej ławce otoczeni cudowną muzyką. Wiedząc, że mają zarezerwowany stolik na kolację, i pamiętając, jak bardzo Niedźwiedź nie lubił wszelkich odstępstw od zaplanowanego rozkładu zajęć (chyba że to on akurat poszedł w tango), zerknęła na Doziera pytająco.

— To jak galowe przedstawienie na rozkaz króla — szepnął.

Pokiwała głową na znak zgody, rozkoszując się muzyką i obserwując zmianę natężenia światła w witrażach. Dozier był taki naturalny, taki spontaniczny. Bycie w jego towarzystwie to jak przebywanie z najlepszą przyjaciółką. Tylko że nie całkiem. Zostali do końca próby, a wtedy spojrzeli w górę i skłonili się w niemym podziękowaniu organiście, kiedy chował nuty.

Ponieważ wrócili do hotelu późno, zakłopotanie, jakie mogli odczuwać, przebierając się w stroje wieczorowe, zniknęło w pośpiechu, żeby nie spóźnić się na koncert jazzowy.

Po koncercie usiłowali wydostać się z tłumu.

— Nie ma to jak zestaw przebojów Duke'a Ellingtona — powiedziała. — Ten saksofonista...

— Był niezły, ale te organy dzisiejszego popołudnia — przerwał, biorąc ją pod ramię — nie ma to jak szczęśliwy traf. Masz ochotę iść do tej restauracji, którą polecała Lila?

— Tylko jeżeli jest nie dalej niż jedną przecznicę. — Była ubrana w niebieską dżersejową sukienkę i dobrane do niej buty na obcasach, które miała na ślubie Cam. — Pije mnie pasek i bolą stopy.

— Podobno w hotelu jest dobre jedzenie. Może odpoczniemy i zamówimy coś do pokoju?

— Nie korzystałam z tego od lat, nie, od dziesiątków lat. W zasadzie chyba tylko ze trzy razy dzwoniłam po kelnera z pokoju.

— To zrobmy to teraz.

Po powrocie do hotelu poszła do łazienki i przebrała się w koszulę nocną i szlafrok, podczas gdy on zadzwonił po obsługę, po czym ona usiadła na łóżku i z zakłopotaniem przeglądała program koncertowy, kiedy on się przebierał. Głupie to zakłopotanie, powiedziała sobie. Przecież widział ją w szlafroku i koszuli nocnej setki razy, jednak dziwnie było słyszeć, jak mężczyzna rozbiera się w hotelowej łazience...

Gdy przyszedł kelner, zsunęli krzesła, żeby utworzyć mały stolik, i zdjęli dzwonowate pokrywy z talerzy. Sałatka krewetkowo-krabowa, ostrygi (przyrządzone na dwa sposoby), ciepłe bagietki, butelka chardonnay.

— Doskonale — pochwaliła jego wybór. Stuknęli się kieliszkami. Rzucił jej taki uśmiech, że odczuła go między piersiami. Jedzenie było przepyszne, a ona spokojna i śpiąca po jednym kieliszku wina. Uśmiechnął się do niej ponownie, gdy zakryła usta dłonią, ziewając.

— Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek miała lepszy dzień.

Ich spojrzenia się spotkały, a czułość w nich aż prosiła się o dotyk, ale nagle przeszło ją przypomnienie: Ten mężczyzna jest mężem twojej siostry — tak prędkie, że było bardziej sygnałem od podświadomości niż myślą. Odwróciła wzrok i poczuła coś na kształt ulgi, gdy spytał, czy nie będzie jej przeszkadzało, jeśli włączy sobie wiadomości telewizyjne.

— Oczywiście, że nie — odpowiedziała i poszła do łazienki, gdzie wyszczotkowała zęby i zmyła makijaż. Siedział przy ściszonej telewizorze. Położyła się bez słowa i zamknęła oczy. Po chwili wyłączył telewizor i też się położył. Wiedział, że ona nie śpi, ponieważ wyciągnął rękę w dzielącą ich przestrzeń. Wzięła jego dłoń, uściśnęła ją mocno, po czym puściła i odwróciła się na drugi bok. Oboje wiedzieli, co myśli i czuje drugie, nie potrzebowali słów.

Jakby za obopólną zgodą w ciągu następnych miesięcy widywali się rzadziej, choć nadal wspólnie zajmowali się ogrodami: wykopywali wiosenne kwiaty — które jeszcze nigdy nie były tak piękne, a Josie nawet wygrała nagrodę w klubie ogrodnika za Sen Lady Murasaki — sadzili letnie zioła i warzywa. Zgodni co do tego, że jedzenie w samotności jest niecywilizowane, nadal wspólnie jedli śniadania, często z gośćmi Josie. Ale coraz częściej Dozier wyłamywał się i zaczął przyjmować zaproszenia na obiad, nawet od Peatsy. Gdy Josie powiedziała, że minęło co najmniej dziesięć lat, od kiedy została zaproszona do niej na obiad, i dokuczała mu, że jest kawalerem do wzięcia, odpowiedział obojętnie: „Człowiek gdzieś musi jeść”. Zauważyła jednak, że zawsze wracał na noc do domu, ponieważ widziała niebieską poświatę ekranu telewizora w oknie salonu, gdy oglądał wiadomości. Czasami miała ochotę do niego pójść, ale zwalczała ten impuls.

I wtedy, pewnego wieczoru w połowie września... było po siódmej i słońce jeszcze nie zaszło. Powietrze było wyjątkowo wilgotne. Nie miała żadnych gości, więc wyłączyła klimatyzację, nie tylko po to, by zaoszczędzić na rachunku za elektryczność, ale i dlatego, że miała na to ochotę.

Choć doceniała te wszystkie nowoczesne udogodnienia, szczególnie klimatyzację, w obyciu się bez nich było coś, co przypominało jej czasy młodości. Wzięła prysznic, na-talkowała ciało, założyła świeżą bieliznę i luźną sukienkę, upięła mokre włosy na czubku głowy, ale jej ciało było już przyjemnie wilgotne, zanim zeszła na dół. Nie chcąc mieć do czynienia z sąsiadami, którzy mogli wybrać się na spacer, postanowiła nie siadać na werandzie, tylko wzięła wachlarz z liści palmy sabałowej i usadowiła się w hamaku w ogrodzie za domem. Powietrze było gęste, ale słodkie od kapryfolium i jaśminu. Kołysała się lekko, rozmyślając nad dziwnością tego, że ciało tak bardzo się zmienia, podczas gdy osobowość pozostaje ciągle taka sama. Była pogrążona w półświadomym zamyśleniu, zadowolona z samotności, ale wcale się nie zdziwiła na widok Doziera idącego po trawniku.

— Jedyne sposob, żeby mieć czym oddychać, to pójść na plażę. Masz ochotę? — spytał.

Słońce zachodziło nad bagnami, zabarwiając niebo wspaniałą paletą złota, różu i koralu. Zdjęli sandały i podeszli do brzegu. Ożywieni chłodną wodą z pluskiem omywającą im stopy, szli, prawie nie rozmawiając. Dozier patrzył na morze, Josie przyglądała się rodzinie zbierającej przypieczone słońcem i marudne dzieci, ratownikowi zwijającemu siatkę do gry w siatkówkę, zawziętemu biegaczowi, młodej parze, która sobie nawzajem zapinała guziki koszul. Przeszli może z półtora kilometra, gdy rozmowa, jak to często bywało, zeszła na Ednę.

— Zawsze próbowałem wyciągnąć ją na spacer na plażę, ale jakoś nigdy nie miała tu ochoty przychodzić

— powiedział Dozier. — Nie lubiła zapiaszczonych stóp i potarganych wiatrem włosów.

— Ja uwielbiam być poza domem, tak po prostu iść przed siebie, ale gdy Niedźwiedź chciał jechać na biwak, było to dla mnie raczej ciężką pracą niż atrakcją. Od gotowania na dworze czułam się jakjakiś jaskiniowiec. Chyba powinnam się była bardziej dostosowywać.

— Myślę, że ty byłaś bardziej ustępliwa. — Ton Doziera świadczył o tym, że wiedział, co mówi. — To ja powinienem był się bardziej starać. Wiesz, Edna i ja dobrze się dogadywaliśmy, kiedy pracowałem, ale gdy przeszedłem na emeryturę... Chyba wierzyłem w te brednie o złotych latach. Byłem w kieracie tak długo, że chciałem przebywać w domu. Nie rozumiałem — nie starałem się zrozumieć — jej niepokoju i niecierpliwości. Nie dałem jej zbyt dużo wsparcia, gdy otworzyła sklep.

— Sfinansowałaś go.

— Owszem. Ale nie rozumiałem, dlaczego chce zarabiać własne pieniądze, i nie chwaliłem jej, gdy odniosła sukces. Nie zdawałem sobie wtedy z tego sprawy, ale to raniło moją — trudno to inaczej nazwać — męską dumę. Myślałem, że mnie nie potrzebuje i miałem do niej pretensje, że spędza tyle czasu poza domem.

— Wydaje mi się — powiedziała Josie po chwili zastanowienia — że gdy umiera ktoś, kogo kochamy, nawet jeśli traktowaliśmy tę osobę dobrze, to nadal mamy poczucie winy. Niedawno pomyślałam, jak bardzo się irytowałam, gdy Edna ciągle wydziwiała, że mamy za dużo cholesterolu w diecie. Gdybym tylko wiedziała, że ma problemy z żołądkiem... I myślałam, że jest taka nieczuła, nie chcąc

jechać do Mawmaw. Zapomniałam, ile przeszła — ile wy oboje przeszliście — pomagając Mawmaw w opiece nad tatą, kiedy Niedźwiedź i ja byliśmy na Filipinach.

— Ja byłem wtedy tak zajęty pracą, że spadło to głównie na Ednę. A wiesz, że Mawmaw nigdy jej nie podziękowała.

— Cała ona, prawda? Mawmaw nic uważała, że należy dziękować członkom rodziny za robienie tego, co należy do ich obowiązków. A Bóg jeden wie — dodała ze smutkiem — że według niej lista tych obowiązków była niemała. — Zaśmiali się. — Gdybym tylko wiedziała, jak bardzo przerażało Ednę przebywanie przy chorych... — ciągnęła Josie. — Ale nigdy nie rozmawialiśmy o takich rzeczach. W ogóle nie rozmawialiśmy na poważne tematy.

Zatrzymali się. Plaża była niemal całkiem pusta, na tle prawie granatowego nieba rysowały się czarne sylwetki palm, a ocean srebrzył się w świetle wschodzącego księżyca.

— Księżyc Karoliny — Dozier spojrzał na niego. — Najpiękniejszy księżyc na całym wielkim świecie. — Objął ją. — Dobrze jest rozmawiać. Zrozumiałem to dzięki tobie. Ale nie o wszystkim można rozmawiać. O tych najważniejszych sprawach się nie da. Tylko poeci to potrafią. Ale wtedy to nie rozmowa.

Przytuliła głowę do jego piersi i uniosła twarz. Przyciągnął ją bliżej, patrząc jej w oczy.

— Wiesz, kim jesteś? Jesteś — odgarnął jej zwichrzone przez wiatr włosy z czoła — cudowną kobietą i... — Pomyślała, że ją pocałuje, ale odsunął się, trzymając ją na odległość ramienia — ...moim najlepszym przyjacielem, jakiego kiedykolwiek miałem.

Odwróciła się od niego i wymamrotała: — Nie uważasz, że powinniśmy już wracać?

Staął obok niej. Cieszyła się, że jest ciemno i nie widać upokorzenia, które musiało malować się na jej twarzy. Jak mogła się zachować — otwarta, pełna wyczekiwania — jak rozmarzona nastolatka pragnąca pocałunku! Szli, milcząc, aż dotarli do palmy przewróconej przez ostatni huragan. — Tu trzeba zejść do samochodu — powiedziała. Odparł, że jeszcze dalej, bliżej latarni morskiej. — Skoro tak mówisz. — Jej głos był nieumyślnie nieznośny. Miał rację.

Od razu uruchomił silnik. Opuścili szyby, żeby wpadało świeże powietrze. Nawet gdyby od tego zależało jej życie, nie była w stanie zacząć rozmowy. Dotarli już prawie do autostrady, gdy oślepiony światłami reflektorów wybiegł im niemal pod maskę auta jelen. Chwyciła Do-ziera za nogę, on wcisnął hamulec, zwierzę stanęło jak sparaliżowane, a potem ruszyło z powrotem między drzewa. Napięcie pomiędzy nimi rozproszył dreszcz emocji z powodu zobaczenia z tak bliska zwierzęcia, zeszywniałego ze strachu, ale tak pełnego życia.

— Opowiadałem ci o szopie, którego miałem jako dzieciak? — spytał.

Potrząsnęła przecząco głową.

— Mówiłeś o swoim psie myśliwskim i tym żółwiu, którego przyniosłeś do domu i chowałeś w chłodni, ale o szopie nie.

— wstrętny mały szkodnik. Przegryzł się przez podłogę w moim pokoju i mama...

Znowu było jak dawniej, znowu czuli się swobodnie w swoim towarzystwie. Przyjaźń, jak gdzieś kiedyś przeczytała czy usłyszała, to miłość bez skrzydeł. Na tym etapie życia powinna się zadowolić wytworami swojej wyobraźni. Ponieważ i on był jej najbliższym przyjacielem, jakiego kiedykolwiek miała.

Trzymała już rękę na klamce, kiedy wjechał na swój podjazd.

— Dzięki. To był cudowny spacer. Odpoczęłam i jest wystarczająco chłodno, żeby pójść spać. — Cmoknęła go w policzek jak siostra. — Do zobaczenia rano na śniadaniu.

Zamknęła za sobą kuchenne drzwi, zasunęła rygiel i oparła się o nie, zrzucając sandały i sięgając po ręczniki papierowe, żeby wytrzeć piach spomiędzy palców. Mimo że była już prawie jedenasta, postanowiła wziąć kąpiel. Poszła do sypialni, zapaliła lampkę nocną przy łóżku i weszła do ciemnej łazienki. Odkręciła na maksimum kurki, dodała sole lawendowe, otworzyła okno i rozbierała się tak powoli, że wanna była już niemal pełna wody, gdy do niej - weszła. Oparła się, to pozwalając gąbce nasiąknąć wodą, to ją wyciskając, mydląc ją i gładząc się po wyciągniętej ręce. Umięśniona od zajmowania się ogrodem, w przyćmionym świetle wyglądała całkiem nieźle. Każdy, pomyślała, pamięta swój pierwszy prawdziwy pocałunek, ale nikt nigdy nie mówi o ostatnim pocałunku, ponieważ nie wiadomo, który będzie ostatni.

Długo leżała w wannie, w końcu wstała i, nie osuszając ciała, podeszła do komody. Tak jak powiedziała wnuczce w święta — w zaciszu własnej sypialni ma tyle lat, ile chce. W szufladzie leżał różany szlafrok, który dostała od Cam, ciągle zawinięty w bibułę. Materiał miał magiczny ciężar i fakturę, gęsty jak satyna, ale lekki niczym gaza, a gdy go

włożyła, wydawał się żyć własnym życiem, ześlizgując się, przywierając do mokrych rąk i piersi, ale wirując, gdy choć odrobinę się obróciła. Wyciągnęła ręce do wyobrazonego partnera, zamknęła oczy i zakołysała się, nucąc: „Czasem myślę, czemu spędzam sama noc o gwieździe śniąc, słysząc słodkie dźwięki te, marzyć zaczynam, że znów jesteś obok...”.

Urwała i zaczęła nasłuchiwać. Być może wyobraźnia wiedzie ją do miejsca, w którym nie chciałyby się znaleźć. Pukanie było prawdziwe. I natarczywe.

Gdy otworzyła drzwi kuchenne, wszedł do środka, biorąc ją w ramiona i jednocześnie delikatnie zamykając za sobą drzwi.

— Wiesz... — zaczął.

— Tak, wiem. — Sama była zaskoczona swoją śmiałością.

— Przy tobie...

— Wiem — powiedziała ponownie. A potem była naprawdę zaskoczona.

— O, dziękuję ci, moja droga — powiedziała Peatsy, gdy Josie postawiła wódkę z tonikiem przy jej łokciu i zestaw kulek rumowych oraz pomonki na środku stołu. — A teraz usiądźże wreszcie.

— Tak, Josie, siadaj — zawtórowała Mary. — Namówiłam Morta na choinkę w tym roku — Esther wcale nie wyglądała na zadowoloną — i musimy ją kupić dziś po południu, bo i tak te najładniejsze już sprzedano. A potem mam do zrobienia wielkie zakupy jedzeniowe. Daję słowo, ciągle ten pośpiech i pośpiech. Tak jak Evie napisała w swoim ostatnim felietonie: „Święta Bożego Narodzenia

- to nic, tylko stres. Skonsternowanie, a nie świętowanie”.

— Skonsternowanie, a nie świętowanie? Na miłość boską, Mary — powiedziała, przeciągając samogłoski Peatsy. — Mówisz jak Jesse Jackson.

— Naprawdę będzie mi brakowało felietonów Evie

— ciągnęła Mary. — Byłam jej wielką fanką i żałuję, że rzuciła tę pracę.

— Cóż — odpowiedziała Josie — wiadomo, że w gazetach kiepsko płacą. Szuka i jestem pewna, że wkrótce znajdzie coś innego. — Nowo odkryta szczerść Josie miała swoje granice. Evie nie zwolniła się z pracy, tylko została zmuszona do odejścia, ponieważ zbyt często brała wolne, głównie na wyjazdy z Jasperem. Z początku Evie kryła się

z ich podróżami, mówiła, że dostała niespodziewaną ofertę wyjazdu do Las Vegas czy na Hawaje, nieoczekiwane zaproszenie do Dallas. Nigdy nie tłumaczyła, skąd wzięły się te atrakcyjne okazje ani nie podawała Josic żadnych szczegółów, tylko pytała: „No jak mogłabym nie skorzystać?”. Początkowo twierdziła, że to wyjazdy służbowe, i wplatała je w swoje felietony, a jej wydawca to wytrzymał. Ale kiedy Evie kilka razy nie dostarczyła tekstu na czas, zwrócono jej uwagę, że nie została zatrudniona do działu podróźniczego, a jej teksty ograniczone do opisu drogich hoteli i restauracji nie są szczególnie interesujące dla czytelników. Skarżąc się Josie na ten brak redakcyjnej delikatności, Evie wygadała się albo udała, że się jej wymknęło — z Evie nigdy nie było nic wiadomo — że Jasper wybiera się w interesach do Dallas i chce jechać z nim, a skoro w gazecie traktują ją „tak podle”, jedzie tak czy inaczej, nawet jeśli straci przez to pracę. I tak się stało. W ostatnim felietonie, który pojawił się w zeszłym tygodniu, doradziła swoim czytelnikom, by zerwali z tradycją, odcięli się od rodzinnych traum i z okazji świąt zrobili sobie prawdziwe wakacje, wyjeżdżając z domu.

— Cóż, pozdrów Evie ode mnie — powiedziała Mary. — Przyjeżdża do ciebie na święta, prawda?

— Właściwie to nie. Ma okazję pojechać gdzieś na Karaiby, St. Kitts zdaje się, ze znajomymi. — Lila i Orrie nie wykorzystali wakacji, które Jasper sprezentował im w zeszłe święta, więc uznał, że nie mogą się zmarnować.

— A tak — powiedziała Peatsy. — Gloria Seymour mówiła mi, że na nich wpadła kilka dni temu, kiedy wyjeżdżali z miasta. — Położyła delikatny nacisk na słowo

„nich" i Josie wiedziała, że romans Jaspera i Evie nie jest już tajemnicą.

— Przepraszam, już się koncentruję — powiedziała Josie i wzięła swoje karty. Nie tylko była przeciwna romansowi Evie, ale uważała go za wstrętny. Myśl, że jakakolwiek kobieta — a co dopiero jej mała córeczka — mogłaby sypiać z Jasperem Gadsdenem, sprawiała, że skóra jej cierpła. Evie nigdy otwarcie nie przyznała się do romansu, ale jej wzmianki o Jasperze, choć przypadkowe, były coraz częstsze, no i miała nowe ubrania, walizki i biżuterię, na które nie byłoby jej stać. Kiedy ostatnio przyjechała w odwiedziny, włączyła telewizor na jakąś popołudniową telenowelę o potentacie i jego młodej kochance, a gdy Josie wyraziła swoją dezaprobatę, Evie oznajmiła beztrósco, że lepiej jest być ślicznotką jakiegoś starca niż niewolnicą młodzieńca. Cynizm tej uwagi zaskoczył i wzbudził obrzydzenie Josie. Z drugiej strony, może choć raz Evie - nie da się wykorzystać. I nawet Josie musiała przyznać, że Evie nigdy nie wyglądała na tak szczęśliwą.

„Cieszę się tylko, że Niedźwiedź nie dożył tej chwili i nie widzi, jak jego córka stała się utrzymanką — poskarżyła się Dozierowi, jedynej osobie, której się zwierzyła — ponieważ sprawiłby jej tęgie lanie, a na Jaspera wziął pejcz. Nic nie rozumiem. Wiesz, jak wychowywałam swoje dziewczynki, a wygląda to tak, jakby zajmowała się nimi Zsa Zsa Gabor".

Dozier przypomniał jej, że ponieważ „dziewczynki" są już wszystkie po czterdziestce, to już dawno straciła możliwość moralizowania. Najmądrzejsze, co może zrobić, to recytować modlitwę Anonimowych Alkoholików, prosząc

Boga, by użyczył jej pogody ducha, aby godziła się z tym, czego zmienić nie może.

— Josie, jesteś z nami? — przywołał ją do rzeczywistości natarczywy głos Peatsy.

— Przepraszam — Josie zorientowała się, że przegrała rozdanie.

— Może jeszcze jedno? — spytała Mary. — Dam wam, dziewczyny, szansę się odegrać.

— Rozdawaj. — Peatsy przyjęła wyzwanie.

— W porządku — zgodziła się Josie. — Ale już ostatni raz, bo Lila ma wpaść w drodze do domu z Columbii i musimy kupić jeszcze parę rzeczy.

— Widziałam wywiad z Lilą w telewizji któregoś dnia — powiedziała Mary, tasując karty. — Mówiła o ochronie mokradeł. Podobała mi się jej nowa fryzura.

— Josie, grasz ze mną? — dopingowała ją Peatsy. — Skup się.

Josie usiłowała skoncentrować się na grze, licytując i przebijając karty, robiąc oczekiwane pomruki, westchnięcia i zagrania. Ale myślami była zupełnie gdzie indziej. Zastanawiała się, czy Lila dotrzyma obietnicy i podjedzie do niej. Nastąpił dziwaczny i zupełnie niespodziewany przewrót w jej stosunkach ze starszymi córkami: teraz to Cam się z nią kontaktowała, dzwoniąc kilka razy w tygodniu, gdy tymczasem Lila utrzymywała emocjonalny dystans, który pojawił się pomiędzy nimi po okropnej zeszłorocznej kłótni. Przez całe tygodnie po tym smutnym wydarzeniu Lila nawet do niej nie oddzwaniała, ale gdy Orrie nalegał, by Josie przyjechała do Columbii na jego zaprzysiężenie, zachowywały się miło i uśmiechały, pozując do zdjęć.

Znowu zaczęły do siebie dzwonić, jadać luncha i chodzić na zakupy, ale Lila traktowała ją z pewną rezerwą. Josie tylko raz odważyła się poruszyć temat tego, co zdarzyło się podczas zeszłorocznej Wigilii, a Lila zeszywniała, mówiąc:

— Chciałabym mieć już ten temat za sobą i zająć się resztą życia.

Josie zdała sobie sprawę, że tak właśnie mówią sławy, przestępcy i politycy podczas wywiadów, jakby ich postęпки nie miały nic wspólnego z tym, co się wydarzyło, jakby nieprzyjemności były tylko okrutnym i niewytłumaczalnym wybrykiem natury — zupełnie jak huragan, którego nie byli w stanie przewidzieć, ale szczęśliwie przeżyli.

Intuicja Josie podpowiadała jej, że Lila była tamtej nocy z jakimś mężczyzną, ale miała niemal stuprocentową pewność, że cokolwiek się wówczas wydarzyło, było odstępstwem od normy — czymś jednorazowym, wywołanym małżeńską nudą, macierzyńską frustracją i siostrzaną rywalizacją, z której istnienia Lila albo nie zdawała sobie sprawy, albo do której nie potrafiła się przyznać. Ale wszystko się chyba ułożyło. Przynajmniej Lila i Orrie mieli się świetnie, więc... lepiej nie budzić licha. Miała o czym myśleć, wiedząc, że to, co musi powiedzieć rodzinie, wywoła kolejne wielkie poruszenie.

— Wygląda na to, że znowu wygrałyśmy — powiedziała Mary do Esther, zgarniając stos ćwierćdolarówek na swoją stronę stołu.

— To twoje ciamkanie i żucie tej gumy nas rozpraszało — powiedziała Peatsy. — Jeszcze jedno rozdanie, o całą stawkę? Esther była zdezorientowana.

— Ale przecież mówiłaś, że się spieszysz?

— Bo się spieszę, ale nie cierpię przegrywać — przyznała Peatsy.

Mary zerknęła na zegarek, zamknęła z trzaskiem torebkę i wstała.

— Z rozkoszą, ale naprawdę musimy już iść. Esther? Pożegnały się, życzyły wesołych świąt Peatsy, a Esther

łakomie spojrzała na ostatnią kulkę rumową, nim poszła za Mary i Josie do kuchni.

— Ach, zanim pójdziemy — Mary sięgnęła na półkę nad szafką z porcelaną. — Bardzo się pogniewasz, jeśli zapiszę sobie twój przepis na farsz kukurydziany? — Josie podała jej długopis i kartkę papieru. Mary, gryzmołąc, skopiowała przepis, a Josie w tym czasie zapakowała im trochę pomonek do domu. — To świetna książka kucharska — powiedziała Mary, nakładając skuwkę na długopis. — Wiesz, Esther, koniecznie musisz ją sobie kupić, jak będziesz w przyszłym tygodniu wracać do Cleveland.

Po tym jak upiekła dwie pieczenie przy jednym ogniu (pochwaliwszy książkę Josie, której sama nadal nie zamierzała kupić, i przypomniawszy szwagierce, że już za długo u niej gości), Mary ucałowała powietrze koło policzków Josie i po kolejnych pożegnaniach i życzeniach, wyszły tylnymi drzwiami.

Josie wzięła tacę i wróciła na werandę, gdzie Peatsy bawiła się swoim sznurem pereł i patrzyła na ogród.

— Przynieść ci coś jeszcze? — spytała, zbierając filiżanki i talerze na tacę.

— Chyba nie. Powinnam już iść, ale prawdę mówiąc, nie nadaję się do przyjmowania gości. Tak długo miesz-

kałam sama, że kiepskie ze mnie towarzystwo. Jeśli ktoś — nawet Waring — jest u mnie dłużej niż dzień, mam wrazenie inwazji. Dzięki Bogu, że Cuba mi pomaga, bo nie zamierzam skakać wokół gości i im dogadzać.

— Wiem, że Cuba jest ci wdzięczna za pracę — powiedziała Josie, choć od Cuby wiedziała, że mimo iż dom Peatsy pojawił się w magazynie „Domy Południa”, w jej szafkach kuchennych i szafach panował przeraźliwy bałagan, a lodówki nie rozmrażano tak długo, że jej wyczyszczenie przypominało torowanie sobie drogi na biegun północny.

— Chodź, siądź na moment.

Ponieważ uważała, że w życiu nigdy nie należy się spieszyć na tyle, żeby nie znaleźć czasu dla przyjaciół, Josie usiadła.

— Ale tylko na kilka minut — ostrzegła.

— Zastanawiałam się, jak Cam radzi sobie, mieszkając z mężczyzną po tylu latach wolności. To znaczy nie z mężczyzną, tylko z mężem.

— Mąż to nie mężczyzna?

— Zawsze uważałam, że to dwa różne pojęcia.

— Nigdy nie kochałaś Gibbsa, prawda? Peatsy prychnęła.

— Nie sądzę, by komukolwiek, poza jego adiutantem, zależało na Gibbsie, a i on podlizywał się tylko dla awansu. Och, co to był za wstrętny służalczy typek. Wiecznie tylko węszył i mnie sprawdzał, a potem raportował Gibbsowi.

— Dlaczego za niego wysłaś?

— Oj, josie, nie bądź naiwna. Wysłałam za niego, bo tak wypadało, poza tym uważano go za niezłą partię. Miałam

dwadzieścia jeden lat, skąd niby miałam wiedzieć, że jedyną siłę i osobowość, jaką ten człowiek miał, zakładał i zdejmował razem z mundurem. Ale pytałam cię o Cam.

— Chyba jest szczęśliwa. A nawet więcej niż szczęśliwa — zadowolona. A to nie jest słowo, które bym kiedykolwiek kojarzyła z Cam. Jej mąż to ideał. Nie jestem w stanie sobie wyobrazić lepszego zięcia i żałuję tylko, że Niedźwiedź nie doczekał i nie zobaczył, jak się córce ułożyło. Nigdy jej tego nie mówił, ale martwił się o nią. I wiem, że polubiłby Sama. Chłopak w jego typie.

— To może być i w moim typie. — Peatsy wyłowila limonkę ze swojego drinka i ją wysssała. — Chętnie go poznam.

— Upominasz się o zaproszenie?

— Już myślałam, że nie spytasz.

— Wszyscy będą tu na święta, to znaczy wszyscy z wyjątkiem Evie. Nawet przyjeżdżają dzieci Doziera z rodzinami.

— Zatem gotujesz dla całego plemienia?

— Nie mam z tym problemu. Sama to zaproponowałam. Więc zadzwoń pojutrze i jak tu się wszystko nieco uspokoi, przyjdź z Waringiem i jego przyjacielem.

— Zobaczymy.

Uderzyła ją wzmianka Peatsy o „byciu w jej typie”. Pomyślała: Czekałam czterdzieści lat na tą chwilę. I z zapamiętaniem niedoświadczonego pływaka rzucającego się z trampoliny spytała:

— Często zastanawiałam się, czy Niedźwiedź był w twoim typie.

— Niedźwiedź był w typie każdej.

— Tak. Niewątpliwie był atrakcyjny. Chodziło mi o... Popatrzyły na siebie.

— Wiesz — powiedziała powoli Peatsy — bardzo się zmieniłaś w ciągu ostatniego roku. Zrobiłaś się taka wyzwolona.

— Może po prostu zestarzałam się na tyle, że przestałam dbać o to, co myślą inni.

— To właśnie jest wyzwolenie. Nie chodziło mi o to, że maszerujesz bez stanika i niesiesz transparent.

— Pytałam cię...

Peatsy osuszyła usta serwetką, a potem ją wygładziła.

— Nadal używasz lnianych serwetek. I je prasujesz, prawda? — spytała, jakby to miał być decydujący czynnik w udzieleniu odpowiedzi.

— Zawsze tak robiłam i zawsze będę. Mówiłaś...

— Och, mężczyźni — westchnęła Peatsy, odchylając głowę do tyłu i przymykając oczy, które jednak spoglądały bystro. — Zawsze się zgadzałam, że prawdziwy mężczyzna potrzebuje dwóch kobiet: jednej, która wydobędzie to, co w nim najlepsze, i drugiej, która pozwoli mu o tym zapomnieć.

— I ja byłam tą pierwszą, a ty tą drugą? — spytała Josie, zachowując spokój, chociaż nie była w stanie opanować drgania lewej powieki.

— Josie — Peatsy spojrzała na ogród. — Chyba zawsze wiedziałam, że pewnego dnia...

Trzask frontowych drzwi sprawił, że obie podskoczyły.

— Hej, słodczy, gdzie się ukrywasz?! Mam dla ciebie coś specjalnego. — W łukowatym przejściu prowadzącym na werandę pojawił się Dozier z błyszczącymi oczy-

ma i gałązką jemioli w dłoni. — A niech mnie... toż to Peatsy Gibbs! — Zamaskował zakłopotanie zaskoczoną miną i nie mogąc już ukryć jemioli, uniósł ją nad głową Peatsy i cmoknął ją w policzek. — Wesołych świąt!

— Nie widziałeś samochodu Peatsy na podjeździe? — zaatakowała go Josie z płonąca twarzą.

— Nie wjeżdżałem. Zaparkowałem z przodu, ponieważ pojechałem po choinkę, którą chciałem wnieść od razu do ciebie do salonu. No, Peatsy — Dozier usiadł, rzucając jemiolę na stół i wkładając ręce do tylnych kieszeni dżinsów — miło cię widzieć. Czujesz się tak dobrze, jak wyglądasz w tym ślicznym fioletowym sweterku?

— To fuksja, nie fiolet — Josie nie była w stanie powiedzieć nic innego.

Peatsy poruszyła ramionami i uniosła brwi.

— Och, Josie, wiesz, że mężczyźni potrafią rozpoznać tylko kolory podstawowe.

— Tak, nader proste z nas stworzenia — powiedział Dozier z ledwie wyczuwalną nutą sarkazmu.

— Chcesz coś do jedzenia albo do picia, Dozier? — spytała Josie.

— Nie, dziękuję pięknie. Wpadłem do Steamera na lunch. Pomyślałem, że już skończyłyście panie grać.

— Wiesz, jakie są kobiety — powiedziała Peatsy. — Uwielbiamy plotkować.

— Nasłuchałem się niemało od kumpli w klubie, ale my, mężczyźni, nie mówimy na to „plotki”. Nazywamy to wymianą informacji i pomysłów.

Peatsy zaśmiała się i klasnęła w dłonie. Josie wstała.

— Na pewno nic nie chcesz, Peatsy?

— Och, może kropelkę. — Peatsy podniosła kieliszek.

— A potem naprawdę muszę już się zbierać. Mogłabyś już, pomyślała Josie.

— Jeśli to nie problem, to chyba napiłbym się herbaty
— powiedział Dozier.

Poszła do barku w jadalni, żeby nalać kolejną — tym razem bardzo małą — wódkę. Taka przerwa w ważnej rozmowie zdarza się tylko w sztukach. — Niewiarygodne — wymamrotała, kręcąc głową w drodze do kuchni, gdzie wrzuciła lód do szklanki i odkroiła kolejny plasterk limonki, zacinając się w palec. Wlewając wodę do czajnika, usłyszała wibrujący śmiech Peatsy (zarezerwowany tylko dla mężczyzn) i odpowiadający mu chichot Doziera. Z trzaskiem postawiła czajnik na gazie. Flirty... w jej wieku! I Dozier cieszący się z tego jak szczeniak. Skrzyżowała ręce na piersiach, ssąc palec, i czekała, aż zagotuje się woda. I zazdrość... w jej wieku! Nader żalosne myśleć, że ciągle potrafi przejąć nad nią władzę to upokarzające uczucie. Ale przeczytała kiedyś, że gdy zazdrość ucieka przez okno, Eros odchodzi z łóżka. Więc niech będzie. To część człowieczeństwa i jeśli jest się świętym, najwyraźniej jest się na nią skazanym do samego końca. Z drugiej jednak strony - zalała torebkę herbaty wrzącą wodą i czekała, aż naciągnie — nie musi jej okazywać i robić z siebie idiotki. Może zachować przynajmniej odrobinę godności, nawet jeśli w środku się gotuje. Z brodą wysoko uniesioną i ustami ułożonymi w lekki uśmiech zaniosiła herbatę i tonik z wódką na werandę.

Dozier i Peatsy milczeli, oboje patrząc przez łukowate wejście, jakby byli dwójką obcych ludzi czekających na

peronie na spóźniony pociąg. Dozier wstał i przeprosił, mówiąc, że pójdzie odwiązać choinkę z dachu samochodu, i zawołają, kiedy będzie potrzebował pomocy przy wniesieniu. Peatsy, dość teatralnie zerkając na zegarek i mówiąc, że chyba jednak nie ma czasu się napić, też wstała. Założyła torebkę na ramię i bez słowa przeszła przez kuchnię, sięgając dłonią do gałki przy drzwiach kuchennych.

— Peatsy — Josie położyła jej dłoń ramieniu — czy coś...

Nie odwracając się, Peatsy powiedziała:

— To, o co mnie pytałaś... — Oparła czoło na szklanej szybce. — Niedźwiedź nigdy by od ciebie nie odszedł. — Odwróciła się powoli, rzucając Josie enigmatyczny i nie całkiem przyjazny uśmiech. — Naprawdę cię kochał. A teraz... — Uniosła głowę i wzruszyła ramionami. — Wygląda na to, że będziesz kobietą, która wydobędzie to, co w mężczyźnie najlepsze, i jednocześnie tą, która pozwoli mu zapomnieć. Gratuluję. — Josie otworzyła usta. — Nie, poważnie. Gratuluję. I powodzenia. — W uśmiechu Peatsy widać było odrobinę złośliwości. — Bo jak podasz to do wiadomości, to zrobi się prawdziwa chryja. Zadzwoń, jak będziesz mogła, kochana. Zostawiłam ci prezent na stole.

Josie opadła na krzesło, ssąc skaleczony palec. Nie słyszała, jak wszedł, ale nagle Dozier znalazł się obok niej i zaczął masować jej ramiona.

— Mam nadzieję, że nie masz mi za złe, że jej powiedziałem. Po prostu czułem, że już pora przestać się ukrywać.

Pokiwała głową, chwyciła jego dłoń i przyłożyła ją sobie do policzka.

Gdy Lila zaczęła skręcać na podjazd swojej matki, wyjechał stamtąd tyłem czarny cadillac, gwałtownie zakręcił, niemal uderzając w jej samochód, i wyrwał przed siebie z taką prędkością, że kierowca musiał nie usłyszeć jej klaksonu. Patrząc za pojazdem, zdała sobie sprawę, że była to Peatsy Gibbs. Skoro policja mogła zabrać Ricky'emu prawo jazdy za niebezpieczną jazdę (za co była im bardziej niż wdzięczna), to powinni też trzymać z dala od dróg takich stukniętych emerytów jak Peatsy Gibbs.

Wstrząśnięta wjechała na podjazd, wyłączyła silnik i odwróciła się, żeby spojrzeć na prezenty, które spadły z tylnego siedzenia, kiedy ostro zahamowała. Zamknęła oczy. Prawie rok temu stanął tutaj, oparł się o jej samochód i spytał, czego słucha. Prawie rok temu szaleńczo zakochała się po raz pierwszy i z pewnością ostatni raz w życiu. Jej emocje miały niekontrolowaną siłę podobną do sztormu na plaży. Ale sztorm zwykle mija po godzinie, a romans z Bedfordem trwał niemal rok.

Gdy kochał się z nią po raz pierwszy — nie, poprawiła się sama — gdy pierwszy raz uprawiał z nią seks — padła na łóżko, dysząc, patrząc oszalałym wzrokiem przed siebie, drżąc, jakby przeżyła właśnie lekkie trzęsienie ziemi, a on powiedział — nigdy tego nie zapomni — „mam cię!”.

To powinno ją było ostrzec, że jego ego było dużo bardziej zaangażowane niż jego serce, ale wierzyła, ponieważ chciała wierzyć, że to zaborczy krzyk namiętności, ponieważ on musi szaleć za nią tak samo jak ona za nim. I bez wątpienia miał ją, takjak nikt dotąd. Od tego pierwszego popołudnia na początku stycznia przez wiosnę i lato aż po wrzesień przyjeżdżała do niego, kiedy tylko chciał. Ryzykowała nawet wtedy, kiedy wiedziała, że to czyste szaleństwo. Ale przyływ adrenaliny wywołany niebezpieczeństwem tylko potęgował ekscytację sypiania z nim.

Z początku spotykali się jedynie w jego domku na plaży, potem w miastach, w których miał odczyty na tematy ekologiczne — wówczas jechali do moteli lub mieszkań jego znajomych, a raz nawet do domu jego matki. Kilka razy, gdy trwała sesja parlamentu stanowego, a ona pojechała z Orriem do stolicy, zaryzykowali hotel w centrum Columbii. W końcu zrozumiała, że żądza może ogarnąć człowieka niczym choroba i ma on takie same szanse panowania nad nią co nad gorączką podczas grypy. Eksperymenty seksualne, które przy Orriem uważała za idiotyczne, z Bedfordem okazały się dawać jej cudowne poczucie swobody. Żyła od spotkania do spotkania, a szaleńcze wspomnienia ostatniego przeradzały się w wyczekiwanie następnego. Codzienne życie, nawet zgony w rodzinie, były tylko tłem jej sekretnego życia z Bedfordem.

Czasami była pewna, że Orrie wie. Mimo że był tak bardzo pochłonięty własnymi sprawami, jak mógłby nic wiedzieć? Potraktował swoje obowiązki jako przedstawiciela wyborców znacznie poważniej, niż sądziła: wyznał jej, że choć jego motywy nie były najlepsze (w zasadzie

kandydował bardziej po to, by zaspokoić ambicje Jaspera niż własne), teraz, gdy złożył przysięgę przed objęciem urzędu, zamierza dołożyć wszelkich starań, by zasłużyć na zaufanie ludzi. Chociaż przez większość czasu przebywał poza domem i nawet jeżeli po dwudziestu dwóch latach małżeństwa traktował ją bardziej jak część siebie niż odrębną osobę, jak mógłby nie dostrzec różnicy, gdy nawet inaczej wyglądała — miała jaśniejszą skórę i błyszczącej oczy. Jak mógł przeoczyć prowadzone szeptem rozmowy telefoniczne, nieobecności, których nie mogła racjonalnie wytłumaczyć wyjazdami na zakupy czy spotkaniami komitetów, nowe komplety Victoria's Secret?

Były chwile, kiedy już myślała: Wpadłam!, dygocząc, ale odczuwając dziwną ulgę, gotowa się już do wszystkiego przyznać: wtedy, gdy odwiózł ją do salonu piękności, ale wymknęła się na godzinę z Bedfordem i przyjechała spóźniona na przyjęcie w rezydencji gubernatora, z włosami ściągniętymi opaską. Albo kiedy powiedziała mu, że grała w golfa, a gdy odwieszał jej kurtkę, z kieszeni wysypały się muszelki. Tu była chwila niepewności, ale wykręcała się od jego pytań i korzystając z wykładów Bedforda, wygłosiła mowę o wyjątkowej urodzie wybrzeża i nakłamała go do przyjęcia właściwego podejścia do ochrony przyrody. Ponieważ Orrie nie znosił konfrontacji, wszystko się rozeszło. Między nimi było jak zwykle — a nawet lepiej niż zwykle, jako że miała więcej czasu dla siebie, a gdy była w domu, dbała, by seks był regularny i nie brakowało jego ulubionego jedzenia. Jak na ironię przysporzyła mu więcej sympatyków, ponieważ ludzie, którzy widzieli ją na spotkaniach poświęconych ekologii, postrzegali ją jako za-

niepokojoną żonę, zmuszoną do dyskrecji z powodu konserwatyizmu męża, ale mogącą przekonać go do bardziej liberalnych poglądów.

Czasami ona i Orrie wpadali na Bedforda na różnych uroczystościach. Uprzejmy i swobodnie przyjacielski sposób, w jaki zachowywali się z Bedfordem, przydawał romansowi sekretnej pikanterii, ale namiętność gasił widok podrywających go innych kobiet, a co gorsza, jego adorującego inne kobiety. Gdy z początku pytała go o te flirty, drażnił się z nią: „Dlaczego miałbym patrzeć na nie, skoro zmieniłem cnotliwą, szanowaną matronę w moją miłosną niewolnicę?”. To powinno zapalić jej czerwone światło w głowie, ale zignorowała te słowa. Później, gdy już zaczęła zauważać oznaki jego utraty zainteresowania (szybkość, z jaką zdejmował jej ubranie i potem wkładał swoje, wymówka, że nie kupił jej prezentu urodzinowego, ponieważ nie potrafił wymyślić niczego, czego Orrie by nie odkrył, choć ona dała mu drogą indiańską ceramikę i potrzebowała tygodni, żeby ukryć ten wydatek), spytała z duszą na ramieniu, wiedząc, że popełnia błąd, czy spotyka się z innymi kobietami. Oczywiście, że „spotyka się” z innymi kobietami, ale to część jego życia towarzyskiego, nic poważnego, nie ma żadnego znaczenia.

Jakoś w lipcu „Nie widzę świata poza tobą” zmieniło się w „Na miłość boską, Lila, przecież nadal sypiasz z Orriem, prawda?”. Ale dopiero na początku sierpnia przestał dzwonić, choć miał to zrobić, a we wrześniu nie spotkał się z nią w domku na plaży, jak się umówili. Później tego wieczoru, gdy powiedziała Orriemu, że skończyły się jej tampaksy i pojechała na stację benzynową, żeby do niego zatelefonować, odpowiedział rozdrażniony, że mu coś wyskoczyło i, do cholery, nie mógł do niej zadzwonić, ponieważ wiedział, że Orrie jest w domu.

Gdy przypomniała mu o ich tajemnym kodzie, którego używali wcześniej, by zawiadamiać się o zmianie planów, powiedział: „Och Lila, proszę”, zirytowanym głosem. Spanikowała i to ona przeprosiła, mówiąc, że odwoła wszystkie swoje spotkania, żeby mogli zobaczyć się następnego dnia, a on wygłosił sentencję — żołądek nadal podchodził jej do gardła na przypomnienie tego upokorzenia — „Kiedy kobieta leci na faceta, w ciągu godziny jest w stanie wymyślić więcej okazji niż on w ciągu miesiąca”. Nie wiedział, czy zdoła tak poprzestawiać swoje zajęcia, ale miał zadzwonić do niej rano.

To był koniec i wiedziała o tym. Ale nie potrafiła się z tym pogodzić, tak samo jak pacjent, który po raz pierwszy słyszy, że jest śmiertelnie chory. Musiała to dograć do końca, przejść przez ostateczne odrzucenie.

Cały następny dzień przesiedziała w domu, czekając na obiecany telefon. Rozpaczliwie potrzebując jakiegoś zajęcia, zrobiła porządki w szafie, wybierając ubrania do oddania dla organizacji dobroczynnej, wydepilowała nogi, rozliczyła książeczkę czekową, popatrzyła, jak zamówiona firma czyści basen, chodziła za ogrodnikiem, gdy okrywał mierzwą klomby i obcinał zwiędłe kwiaty. Po południu przejrzała kosz na brudną bieliznę i zamiast zawinąć koszule Orriego i oddać je do pralni, sama je wyprała i wyprasowała. Wczesnym popołudniem, co ostatnimi czasy rzadko robiła, przygotowała kurczaka zapiekanego w cieście, jedno z ulubionych dań Orriego. Wiedząc, że będą jedli tylko we dwoje (psychiatra Susan powiedział, że nie

powinni robić afery i nalegać, żeby jadła z nimi), nakryła do stołu, stawiając świece i kwiaty, a po jedzeniu, gdy Orrie wracał do Columbii, powiesiła czyste koszule w jego samochodzie i pocałowała go na do widzenia.

Obejrzała telewizję z Susan, zwalczając chęć spytania jej, co dziś jadła, ani nawet nie pytając, jak postępy z psychiatrą, do którego zabrali ją, gdy jej waga spadła do 47 kilogramów. Pozwoliła Susan trzymać pilota i przecierpiła *Beverly Hills 90210*, MTV, wiadomości o dziesiątej i talk-show Davida Lettermana. „Czy tylko ja jedyna w Ameryce uważam, że ten człowiek jest nieznośnie zadowolony z siebie i kompletnie niezabawny?“, spytała, kiedy byłajuz bliska krzyku. Susan, ziewając, odpowiedziała: „Ty nigdy nie miałaś dużego poczucia humoru, mamó“. W odpowiedzi oznajmiła, że pora spać. Susan najeżyła się, ale posłuchała. Gdy Lila upewniła się, że córka śpi, zadzwoniła do domku Bedforda i rozłączyła się, gdy odebrał. Wzięła gorący prysznic, przebrała się w dżinsy oraz koszulkę i wsiadła do samochodu. Jadąc przez most na wyspę Hunting, popatrzyła na oświetloną księżycem wodę i zastanawiała się, jakby to było, gdyby toń zamknęła się nad jej głową.

Pukała, aż rozboleła ją knykcie. Zapaliło się światło. Mrugający, zirytowany, ubrany tylko w bokserki Bedford otworzył szeroko drzwi, zobaczył ją i powiedział: „O cholera!“, po czym, potykając się, wszedł do środka, jedną ręką machając na znak, żeby poszła za nim. Weszła, mając wrażenie, że zaraz zwymiotuje. Ignorując ją, przeszedł do wnęki kuchennej, otworzył lodówkę i napił się soku z kartonu. Wytarł usta i podrapał się po piersi.

— Która w ogóle jest godzina?

Nie była w stanie mówić. Przewrócił oczyma na znak znudzenia.

— Pewnie chcesz rozmawiać? Kobiety zawsze chcą rozmawiać. Szczególnie, gdy nie ma o czym...

— Myślałam...

— Że to będzie trwać wiecznie?

— Myślałam...

— Nie, Lila — znowu jej przerwał. — Nie myślałaś. Ty nigdy nie myślisz.

Jego brutalność dosłownie ją ogłuszyła. Poczowała zawroty głowy i nie była w stanie złapać tchu.

— Ty podły nieczuły sukinsynu. Przynajmniej mógłbyś mieć dość przyzwoitości, żeby... — zatchnęła się.

Wyciągnął ręce i zwiesił głowę na bok w parodii ukrzyżowania.

— No dobra. Bij. Ale nie za długo, bo naprawdę muszę dziś trochę pospać.

Gdyby miała broń, toby go zastrzeliła. Zrobiła krok naprzód, z otwartymi ustami i podniesioną ręką, i wtedy zdarzył się cud — mogła to opisać tylko jako cud: nagle zobaczyła siebie i znienawidziła się za to, co robi, jeszcze bardziej niż jego, a to przywróciło jej godność. Odwróciła się i wyszła, nie zamykając nawet drzwi.

— Lila, Lila, wracaj! — zawołał, podchodząc do szczytu schodów, gdy ona jak w zwolnionym tempie schodziła na dół. Dotarła do samochodu, a on zaklął i zatrzasnął drzwi.

Nie mogła wstać z łóżka ani utrzymać jedzenia w żołądku przez pierwsze dni. Płakała, brała środki uspokajające i spała, spała i płakała, aż Susan powiedziała: „Zawsze wiedziałam, że to ty tak naprawdę potrzebujesz psychia-

try". Orrie, choć ujął to delikatniej, też tak uważał. Może chciałyby wstać, umyć włosy, ubrać się i „porozmawiać” z kimś? I czy woli z mężczyzną, czy z kobietą? „Płeć — odpowiedziała, uśmiechając się słabo ze swojego żartu — się nie liczy”. Orrie przejął inicjatywę, umówił ją i zawiózł do gabinetu doktora Darehera. Pierwszą sesję przesiedziała, wpatrując się w pejzaż morski wiszący nad jego głową i prawie nic nie mówiąc. Pod koniec pięćdziesięciominutowego spotkania spytał ją, czy chciałyby spróbować leków antydepresyjnych. Mruknęła potakująco. Ostrzegł ją, że minie kilka tygodni, nim lek zadziała, ale chemia nie jest substytutem wglądu w jej psychikę i chciałby ją widywać dwa razy w tygodniu.

W połowie października wznowiła większość swoich normalnych czynności i choć zdecydowanie nie była szczęśliwa, przynajmniej czuła, że wraca do życia. Doktor Dareher był cierpliwy, inteligentny i autentycznie zatroskany. W końcu zaczęła mówić, ale ogólnikami, o złudzeniach, manipulacji, zdradzie. Gdy dopytywał o konkretne przykłady z jej doświadczenia, zamykała się. Nigdy nie potrafiła się przemóc i opowiedzieć o Bedfordzie, choć nieustannie o nim myślała. Jak, pytała siebie, pozwoliła się uwieść (nie ma na to innego słowa) takiemu banalnemu (nie ma na to innego słowa) typowi? Wprawdzie nic miała dużego doświadczenia z mężczyznami, ale nie jest przecież idiotką. Dlaczego nie widziała, na co się zanosi? Ale, trzeba uczciwie przyznać, widziała, na co się zanosi — tego pierwszego popołudnia po burzy miała dość rozsądku, żeby wstać i wyjść, a potem, Bóg jeden raczy wiedzieć...

— Dlaczego — pytała doktora Darehera — działamy wbrew swoim najsilniejszym przeczuciom?

Jak się spodziewała, odpowiedział osobistym pytaniem na pytanie:

— Jak pani myśli, dlaczego pani zadziałała wbrew swoim?

W ciągu następnych kilku miesięcy, kiedy prowadził ją przez labirynt wspomnień i traum z dzieciństwa, zastanawiała się nad tym pytaniem. Nigdy jednak nie zdołała znaleźć na nic zadowalającej odpowiedzi. Mówiła o tym, jak się czuje jako żona Orriego, matka Susan i Ricky'ego, córka Niedźwiedzia i Josie, siostra Cam i Evie.

— A kim, poza tymi wszystkimi rolami, jest pani? — spytał. — Kim jest Lila, gdy jest sama?

Wpatrując się w pejzaż morski nad jego głową, myślała długo, a potem odpowiedziała, przepraszając, ponieważ zabrzmiało to tak banalnie.

— Naprawdę kocham przyrodę.

Jeździła na pobliską plażę każdego dnia po śniadaniu, lub przed śniadaniem, jeśli Orriego nie było w domu. Poranne spacerowanie, słuchanie oceanu, obserwowanie ptaków, oglądanie muszli i roślin uspokajało ją i pozwalało zapomnieć o problemach. Założyła ręce za głowę, nadal patrząc na obraz.

— Sądziłam, że kocham tego człowieka. Czy to nie dziwne, że ktoś, kto jest prawdziwym sukinsynem, może mimo to mieć doskonałe pomysły? — Doktor Dareher nachylił się, zachęcając ją do dalszych zwierzeń. — I tak... — powiedziała po chwili.

— I tak? — ponaglił ją delikatnie.

— I tak zastanawiałam się, czy nie wrócić do college'u. Nigdy go nie skończyłam, wie pan. Chętnie pochodziłabym na zajęcia z biologii morskiej.

— A ten mężczyzna?

— Och, to prawdziwy robak piaskowy.

— Co takiego?

— Robak piaskowy. Żyją zagrzebane w błocie i żwirze, mają szczeciniaste odnóża i potężne zrogowaciałe szczęki. Zakopują się dla bezpieczeństwa, ale jak zobaczą młode robaki, stają się agresywnymi myśliwymi. — Zastanowiła się nad tym. — Ach cóż. W przyrodzie można znaleźć wszystko.

Gdy nie powiedziała już nic, uśmiechnął się.

— Robaki piaskowe. Jak w określeniu, że „robak smutku kogoś gryzie”?

Spojrzała na zegarek, wstała z kanapy i sięgnęła po torbę.

— Chyba mój czas już minął. — Nie sądziła, że — nawet z pomocą psychiatry — zdoła pojąć mroczne odmęty swojej duszy. Bo tak naprawdę tego nie chciała. Przy drzwiach odwróciła się. — Nigdy nie widział pan robaka piaskowego? Wie pan, panie doktorze, naprawdę powinien pan częściej wychodzić z gabinetu.

* * *

Z domu dobiegały dźwięki big-bandu.

— Przyjechałam, mamó! — zawołała Lila po otwarciu drzwi kuchennych i przeszła do salonu.

Dozier i Josie tańczyli jitterbuga, tak tym pochłonięci, że z początku jej nie zauważyli.

— To był uwodzicielski krok — powiedział Dozier, trzymając Josie wirującą w przeciwną stronę. — A teraz z powrotem do mnie i krzyżujemy ręce, i...

Lila przyglądała się im, czując coś na kształt zazdrości. Może to pokolenie nie miało pigułki, ale z pewnością czerpali

dużo radości z tańca i, jeśli chodziło o relacje pomiędzy płciami, być może wcale nie mieli gorzej.

— Ach, Lila... — widząc ją, Dozier wyciągnął rękę, namawiając, żeby się do nich przyłączyła. — Chodź potańcować z nami.

— Nie mam czasu, jeśli mama chce zrobić ze mną zakupy.

Josie wyłączyła adapter.

— Już jadę, Lila. Tylko przeczeszę włosy i wezmę torebkę. Och, zapomniałam. Najpierw musimy pomóc Do-zierowi z choinką. Jego samochód stoi od frontu.

— Nie zauważyłam. A to dlatego, że gdy wjeżdżałam na podjazd, o mało co nie wpadła na mnie Peatsy Gibbs.

— To typowe dla Peatsy — zachichotał Dozier, gdy cała trójka podeszła do drzwi. — Myśli, że jest królową szos i całej reszty. O, patrz no. — Schylił się przy otworze na listy, podniósł rozrzucone koperty i podał je Josie. — Kiedy tańczyliśmy, był tu listonosz.

— Kartki świąteczne — stwierdziła Josie, oglądając koperty. — Ta jest od Joan Christianson — pamiętasz Christiansonów, Lilu?

— Nie, mam, nie pamiętam.

— Stacjonowali w Norfolk w tym samym czasie co my. Bawiłaś się z ich małym synkiem, Rogerem. Miał więcej piegów niż indycze jajo. Potem przenieśli ich do...

— Nie pamiętam, mamó — powiedziała niecierpliwie Lila, dając do zrozumienia, że nie ma ochoty sobie przypominać. Josie zachowała sprawny umysł, ale nadal uparcie odmawiała całą tę litanie sąsiadów i znajomych, których nikt nie mógł ani nic chciał pamiętać.

— A to od pani Beasley... — Josie sięgnęła po nóż do listów leżący na stoliku w holu, rozcięła kopertę i wyciągnęła kartkę przedstawiającą zwierzęta uśmiechające się do małego Jezuska, który wyglądał jak pucołowate dzieci ze starych reklam zup Campbell.

— Pani Bestia chciała znowu przyjechać na święta, ale stanowczo zabroniłem twojej mamie udzielać jej gościny — powiedział Dozier.

— Dzięki Bogu, że ktoś potrafi przebić się przez upór mamy — pogratulowała mu Lila.

— „Droga pani Tatternall — czytała Josie — mam nadzieję, że tegoroczne święta będą dla pani lepsze niż poprzednie. Byłam tak rozczarowana, dowiedziawszy się, że nie czuje się pani wystarczająco dobrze, by przyjmować gości...”

Lilajęknęła.

— Wredna żmija. Proszę, wyrzucaj od razu do kosza listy od pani Beasley.

— „...zapewne będzie pani, podobnie jak ja, bardzo samotna, ale...” — ciągnęła Josie.

— Niektórzy ludzie zasługują na samotność. Co jeszcze masz? — spytał Dozier.

— Och, to od Evie. — Gdy Josie otworzyła list, na podłogę upadło zdjęcie. — Píše... — Josie przejrzała list, żeby go w razie potrzeby ocenzurować, a Dozier podniósł fotografię. — „Świetnie się bawię...”

— Oryginalność nigdy nie była jej mocną stroną.

— Widać jej wszystkie strony — powiedział Dozier. - Ma kostium kąpielowy z alfabetu Morse'a.

— Ze jak?

— Kropka, kropka, kreska. — Mrugnął i pokazał im zdjęcie: Evie we wściekle różowym bikini, opalona na heban, w okularach wielkich niczym gogle pilota i szczerząca się do obiektywu na tle domku na plaży.

Lila pokręciła głową.

— Aż dziw, że Jasper był na tyle trzeźwy, żeby utrzymać aparat.

Josie zabrała zdjęcie.

— Nie pokażemy tego Orriemu.

— Och, Orne radzi sobie z tym lepiej niż ja — powiedziała Lila. — Albo po prostu jest zadowolony, że Jasper wyjechał i nie wie, jakiego syn głosował w sprawie ochrony mokradeł.

— Powiedz Orriemu, że bardzo się cieszę z tego, jak zagłosował — pochwalił go Dozier. — Kiedy go wybrano — a pewnie wiesz, że choć go lubię, nie głosowałem na niego — powiedziałem, że to niewłaściwy człowiek na niewłaściwym miejscu. Ale zaskoczył mnie. Okazał się właściwy.

- Owszem — przyznała Lila z odrobiną protekcjonalności. Orrie okazał się właściwy, jak to ujął Dozier. Zebrał dość eklektyczną ekipę ludzi będących specjalistami w swoich dziedzinach, i była w nim taka żarliwość i solen-ność, która sprawiła, że od nowa nabrała do niego sympatii i szacunku. Ku jej sporemu zdziwieniu zaczęło się jej podobać bycie żoną polityka. — Osobiście — powiedziała, oddając fotografię Josie — uważam, że Evie i Jasper są

załośni, ale Orrie mówi, żeby to ignorować. W epoce telewizji wyborcy lubią brudy.

— Wyborcy zawsze lubili brudy — poprawił ją Dozier.

— Tylko kiedyś wstydzili się w nich grzebać jak kury kąpiące się w piasku.

— Chciałabym, żeby się przeprowadzili w cholere na St. Kitts — mówiła Lila. — Byleby tylko trzymali się od nas z dala, a ten stary cap nie zostawił wszystkiego tej mojej lalkowatej siostrze zamiast moim dzieciom.

— „Och, radujcie się i cieszcie. O dobra, krzepiąca wieść” — droczył się Dozier, ale widząc skrepowanie Josie, zmienił temat: — Wniesiemy choinkę?

— Proszę. Zróbmy to — powiedziała Josie. — Wiesz, że Sam i Cam mają przyjechać jutro po południu i chcę...

— Sam i Cam. Brzmi jak nowa marka kociego jedzenia

— Lila zaśmiała się, żeby złagodzić ostrość swojej uwagi. Cam nadal zajmowała pierwsze miejsce w sercu matki, a teraz, gdy wyszła za męża i przeniosła się do Atlanty, Josie zachowywała się, jakby Cam dostała gwiazdkę z nieba. Jednak to, co Lila kiedyś postrzegała jako faworyzowanie siostry, już jej nie bolało takjak kiedyś. A jeżeli, z czego zdawała sobie sprawę, żyła niegdyś w cieniu Cam i wybrała konformizm, nie tylko by chronić siebie, ale i oszczędzić matce bólu, którego przysparzali jej Cam i Niedźwiedź, trudno było za to winić Cam. I nie zamierzała być jak Evie, wiecznie odgrywającą krzywdy z dzieciństwa, żeby wyjaśnić swoje problemy. Teraz, gdy między nią i Orriem tak dobrze się układa, a ona nie może doczekać się powrotu na studia, zajmie się resztą swojego życia. — No dobrze

— powiedziała uśmiechając się — chodźmy po tę choinkę.

Był rześki bezchmurny dzień, promienie słońca rozjaśniały twarz Sama i siwiznę na jego skroniach. Jechali spokojnie ze stałą prędkością dziewięćdziesięciu pięciu kilometrów na godzinę, z opuszczonymi szybami, żeby do środka wpadało świeże powietrze, i włączonym ogrzewaniem nakierowanym na wiecznie zimne stopy Cam. Trzymała głowę na jego ramieniu, a on dłoń najej udzie. Towarzyszyła im muzyka Mozarta.

— To idealna chwila — powiedziała w zasadzie do samej siebie.

— Proszę?

— Idealna chwila. Jak wtedy, gdy napisałam opowiadanie i na starej maszynie Underwooda wystukałam KONIEC, albo wtedy, gdy słyszałam jak Ray Charles śpiewa *Georgię* na żywo, albo wtedy, gdy poszłam do Muzeum Sztuki Nowoczesnej i zobaczyłam obraz Rousseau przedstawiający śpiącego Araba i stojącego nad nim lwa.

— O taak. Śpiący Arab i lew. Z pewnością wpisałbym to na listę dziesięciu ulubionych widoków.

— Filistyn — szczypnęła go w ramię, ale przytuliła się mocniej. — Wiesz, o co mi chodzi. Szczególne chwile wielkiej przyjemności. Dlaczego te chwile trwają tak krótko? Dlaczego nie możemy ich zatrzymać?

— Takie jest życie, mała — mówił, ruszając kącikiem ust. — Taka bystra babka jak ty nazywa to kondycją ludzką.

— Nie próbuj mi tu jechać Bogartem. Nie umiesz parodiować Bogarta. Ani nawet Ehdsa czy Johna Wayne'a. Marny z ciebie imitator.

— Myślałem, że Don Juan wyszedł mi wczoraj w nocy całkiem wiarygodnie.

— Owszem — wyszeptała mu do ucha.

— Ej, dziewczyno, chcesz, żebym zjechał z drogi?

— Tylko jeśli zobaczysz tani motel. — Zaśmiała się, ale śmiech przeszedł w westchnienie.

— Wariujesz, im bliżej domu twojej mamy?

— Nie. Nie mogę się doczekać, aż ją zobaczę. Trochę się o nią martwię. Kiedy wczoraj rozmawialiśmy przez telefon, wspomniała, że ma coś ważnego do powiedzenia, ale poczeka, aż się wszyscy zbierzemy. Z jej zdrowiem powinno być w porządku, ale zastanawiam się...

— Nie martw się. Gdyby coś było nie tak, toby powiedziała od razu. Josie się nie patyczkuje, mówi uczciwie.

— Kiedyś taka nie była. Nie jesteś sobie nawet w stanie wyobrazić, jak bardzo była, no wiesz, białe rękawiczki, wszystko milutko, oddać honory sztandarowi. — Uśmiechnęła się i pokręciła głową. — Evie uciekła na Karaiby z Jasperem! Kiedyś mama przez to zaciągnęłaby zasłony i włożyła głowę do piecyka, ale teraz chyba przyjęła to spokojnie. Szkoda, że nie poznasz Evie i Jaspera. To największe dziwactwo w cyrku Tatternallów. Jasper zaraz by chciał się zakumplować i zanudziłby cię na śmierć, a Evie prężyłaby pierś i trzepotała rzęsami, i gdybyś był miły, pomyślałaby, że na nią lecisz. A gdybyś nie był, powiedziałyby, że masz zachowania pasywno-agresywne i problemy we współżyciu z kobietami. No i Lila. Nie miałam z nią kontaktu od czasu, kiedy zadzwoniłam podziękować za prezent urodzinowy.

— Mówiłaś, że miło z tobą rozmawiała.

— Jasne, była miła, ale to nic znaczy, że nie wścieknie się, jak mnie zobaczy. Zawsze się wścieka na mój widok, chociaż po ostatnich świętach pewnie będzie się zachowywała idealnie.

— Tak jak ty.

— Tak ja ja — zgodziła się. — Chyba że stracę cierpliwość do dzieci Liii. Susan nie jest taka zła. W zasadzie mogłabym ją polubić, ale Ricky? Modelowy okaz Generacji X, a ma prawie dwadzieścia trzy lata. Rzuca się na podłogę i dostaje napadu hysterii, jeśli zniknie sygnał kabłówki. Oczywiście Lila i Orric mogą o to obwiniać tylko siebie. No a Orric... jak ci już mówiłam, nie chciałbyś znaleźć się z nim na bezludnej wyspie, ale nie sądzę, żebyś go przestał lubić.

— Może pozwolisz mi samemu wyrobić sobie opinię?

— Bardzo przepraszam! — powiedziała dostojnie, ale kontynuowała. — I wujek Dozier. Nie można go nie pokochać. Chcesz jabłko? — Pokręcił przecząco głową. Sięgnęła do torby, wyjęła owoc i wytarła o rękaw zrobionego ściąganiem warkoczowym swetra. — Tak więc cieszę się, że jedziemy.

— Mam nadzieję, to był twój pomysł. Ja mógłbym równie dobrze zostać w domu i wieszać półki w twoim biurze.

Zmarszczka na środku jej czoła pogłębiła się.

— Chyba nie porwaliśmy się z motyką na słońce... Światu nie potrzeba kolejnego małego wydawnictwa.

— Ufasz Janc i Fredowi. Sama powiedziałaś, że wasza trójka ma większe doświadczenie wydawnicze niż ośmioosobowy zespół.

— Skoro mamy wykonywać pracę ośmiu osób, to chyba się nam przyda.

— Mówiłaś też, że jesteś podekscytowana pomysłem założenia takiego „oddolnego” wydawnictwa.

— Nadal uważam, że „Radź sobie sam” byłoby lepszą nazwą niż „Annabell Lee”.

— Papier listowy jeszcze nie został wydrukowany. Może zdołasz przekonać swoich wspólników. Potrafisz być bardzo przekonująca, jeśli się przy czymś uprzesz.

Chrupała jabłko, głośno myśląc.

— Fred chce koniecznie wydawać wiersze i ja też chcę wydawać poezję, ale nie możemy skupiać się tylko na sztuce, bo nie będzie z czego płacić rachunków. Zastanawiałam się nad nową publikacją książki kucharskiej mamy. Dystrybucja przez niezależne księgarnie, sklepy turystyczne, izby handlu. Dobra książka o kuchni Południa mogłaby być tą dojną krową, która pozwoli nam wydawać tych wszystkich cudownych niedocenianych poetów. Nie wiem. — Wrzuciła ogryzek do papierowej torby. — Nie mogę sobie przez to znaleźć miejsca.

Poczuł, że jej temperatura emocjonalna spada.

— To nie tylko niepokój o działalność, prawda?

— Cieszę się, że jedziemy do mamy, ale jakaś część mnie jest zazdrosna o wszystkie chwile, których nie spędzamy tylko ze sobą.

— Przed nami jeszcze kawał życia.

— Wiesz co, czasami jak coś powiesz, brzmi to jak dialog z filmu Disneya.

— Przypadkiem bardzo lubię te disnejowskie filmy, w których zwierzątka łączą się w pary na całe życie.

— Cóż, może i my połączymy się na całe życie — burknęła zmęczonym tonem — skoro jesteśmy już w jego połowie. Wiesz, co Niedźwiedź mawiał.

— Słyszałem milion razy, co mawiał Niedźwiedź.

— „Mężczyzna jest spełniony dopiero wtedy, kiedy się ożeni, a wtedy jest też skończony”. Skończony w sensie wypalony

Sam zaśmiał się.

— Mówiłaś mi. A co z kobietami?

— Całe życie kobiety koncentruje się na usidleniu mężczyzny na mocy prawa, sprowadzeniu go na ziemię i zamknięciu w klatce.

— Nie czuję się zamknięty w klatce. A ty?

— Nie. Czuję się... — Zrobiła się przesadna; przyznanie się do szczęścia oznacza proszenie się o katastrofę.

— Wiesz co, Cam, gdy coś zaczyna iść źle, ty nigdy nie wierzysz, że będzie dobrze, ale kiedy coś idzie dobrze, ty zawsze czekasz na katastrofę.

Teraz była już całkiem ponura.

— Zastanawiam się, czy pobralibyśmy się, gdyby... Wjego głosie pojawiło się zdenerwowanie.

— Mówiłem ci, że nie byłem szczęśliwy, gdy wyjechałem z Nowego Jorku, ale też trudno powiedzieć, że uwiesiłaś mi się na szyi i błagałaś, bym został. Ani też nie dałaś mi żadnego znaku, że byłabyś gotowa pojechać ze mną. Uznałem, że nigdy nie rzucisz swojej pracy ani nie zechcesz wyjechać z tego cholernego szamba.

Najeżyła się.

— Nadal uwielbiam Nowy Jork. Ma mnóstwo zalet. Nowy Jork jest...

— Czy możemy trzymać się tematu? Możemy?

— A co jest tematem?

Zjechał na pobocze, zatrzymując się tuż koło rowu porośniętego kłęczami paproci.

— Ile razy mam ci to mówić? Nie ożeniłem się z tobą tylko z powodu... — Nie chciał powiedzieć „dziecka”, choć zanim je straciła, zaczął już tak o nim myśleć — ...dlatego, że byłaś w ciąży. Na miłość boską rozmawialiśmy o tym sto razy.

— Wiem — odwróciła się. — Ale gdybym nie była w ciąży... Gdyby nie zrobiło ci się mnie żal. No, musisz przyznać, to był katalizator.

— Tak, to był katalizator.

Kiedy Reba przywiozła ją do Atlanty, przegadali całe dwa dni, oboje świadomi nikłego prawdopodobieństwa całej sytuacji, rozważając alternatywy, a potem, w scenie, która zaczęła się gniewnymi słowami, a skończyła płaczem i deklaracjami miłości, postanowili, wbrew wszystkiemu, zdecydować się na dziecko. Położnik, specjalizujący się w późnych ciążach, ostrzegł ich o zagrożeniach, ale powiedział, że przy zachowaniu odpowiedniej ostrożności i najpewniej przez cesarskie cięcie Cam urodzi. I wówczas, po dwóch miesiącach coraz słabszych mdłości, ale rosnącego zmęczenia i nudy, dzień przed umówioną amniopunkcją, chwyciły ją skurcze, zemdląca i poroniła.

— Przyznaj się, że ci ulżyło — powiedziała cicho. — Przyznaj to.

— W pewien sposób tak — odparł nie bez poczucia winy. — Ale cały czas byłem z tobą uczciwy. Wiesz, że przeszedłem już przez wychowywanie dzieci, oczywiście-

cie, niepokoiłem się, że znowu mnie to czeka, zarówno finansowo, jak i emocjonalnie. I martwiłem się o ciebie. Czasem jesteś cholerną amazonką, ale byłaś taka zmęczona i zdenerwowana. Byłaś taka... — Sfrustrowany zacisnął pięści. — Nie musisz mieć dziecka, żeby być kobietą.

— Wiem to! — powiedziała gwałtownie. — Nie uważam...

— Ale może ciągle czujesz... — Przyciągnął jej głowę do swojego ramienia i pogłaskał po włosach. — Na wszystko jest pora. My po prostu trafiliśmy na tę niewłaściwą. A przed nami jest całe mnóstwo rzeczy, które możemy robić wspólnie.

Jej łzy zmoczyły mu koszulę.

— Kocham cię. Kocham cię tak bardzo. Nie wiem, dlaczego — po tym wszystkim, przez co przeszliśmy, i po tym, czego dowiodłeś — ciągle się boję. Nie wiem, czemu ciągle ci nie ufam. Gdy się rano budzę i nie ma cię obok, myślę, że odszedłeś i już nie wrócisz.

— Spokojnie.

— Dlaczego tak jest?

— Och, kochanie, dobrze wiesz dlaczego. Nie wierzysz w korzenie. — Zakołysał nią delikatnie. — Ale my obrośliśmy pnączami, a pnącza są takie wytrzymałe i silne... — Czując zbierające się łzy, wziął ją za ramiona i potrząsnął nią. — Weź się w garść. Mamy stawić się u twojej mamy o siedemnastej zero zero.

Uruchomił silnik.

Późnopołudniowe promienie słońca wpadały ukosem przez kuchenne okno, a w środku było ciepło i pachniało pieczonymi goździkami, cynamonem, rodzynekami, jabłkami i dynią.

— Mamo, przestań brudzić te miski i patelnie, bo mam już dość zmywania. — Cam stojąca przy zlewie wyjrzała przez okno i wskazała ręką pokrytą pianą. — Chodź, spójrz na Doziera i Sama. — Josie przestała karbować brzegi wierzchu z kruchego ciasta, wytarła dłonie w fartuch i podeszła do okna. Mężczyźni stali po obu stronach zimo-zielonego dębu z rękoma w tylnych kieszeniach spodni, z odchylonymi do tyłu głowami i oceniali wielkość zwisających gałęzi. — Czyż oni nie wyglądają jak podpórki?

— U sąsiadki jest chirurg drzew i miałam go sprowadzić, ale Dozier uznał, że szkoda pieniędzy. Od lat chciał przyciąć ten dąb, ale nie jestem pewna, czy to słuszne, żeby wchodził na drabinę.

— Sam mu pomoże. Zrobi wszystko, żeby być na dworze — powiedziała Cam. — Pierwsze, co robi, gdy wraca do domu wieczorem, bez względu na pogodę, to wychodzi i siada na tarasie. W następne lato chcemy go rozbudować, żeby zajmował większą część tylnego ogródka.

— Więc jednak nie będziecie zakładać ogrodu?

— Och, mamo, ogród wymaga mnóstwa ciężkiej pracy. W weekendy wolimy pospać.

— A jak reszta domu?

— Dobrze, powoli wszystko urządzamy — odpowiedziała Cam, choć trudno było jej sobie wyobrazić, żeby Josie uznała za rozsądne kupno wyposażenia biurowego i oryginalnego obrazu przedstawiającego akt, zamiast zainwestowania w komplet mebli do jadalni. Była zadowolona, że udało im się znaleźć dzielnicę blisko centrum Atlanty, która odpowiadała zarówno ich portfelom, jak i gustom. Nazywała się Little Five Points i mieściły się w niej głównie odnowione stare domy, księgarnie, sklepy specjalistyczne, etniczne restauracje, a mieszkańcy nie stanowili jednorodnej grupy. Ponieważ Sam dawniej mieszkał w komforcie podmiejskiej dzielnicy, nie uważał ich domu za szczególnie duży, lecz ona, spędziwszy większość dorosłego życia w nowojorskich mieszkankach, uważała go za przestronny i dający poczucie prywatności. — Nigdy nie sądziłam, że będę miała własną łazienkę i własne biuro. I szykujemy dodatkową sypialnię dla jego dzieci, kiedy przyjadą w odwiedziny.

Przyglądały się, jak obaj mężczyźni gawędzili; doszli do jakiegoś wniosku i ruszyli ku domowi.

- Być może tym razem Sam nie pomoże Dozierowi przyciąć tego drzewa do samego czubka, ale nie widzę przeszkód, żebyśmy przyjechali na długi weekend za kilka miesięcy.

Zadzwoił minutnik. Josie chwyciła rękawice kuchenne i podeszła do piekarnika, wyjmując kolejną zapiekankę dyniową.

- Mamo, to zaczyna wyglądać jak parodia *I Love Lucy*, gdzie nie mogą zatrzymać ciast zjeżdżających z linii montażowej.

— Już kończę. — Josie wstawiła zapiekankę z nadzieniem bakaliowym. — Kto wie, może to ostatni rok, kiedy robię Wigilię.

— Marne szanse.

— Może ty zrobisz w przyszłym roku.

— Wyszłam za mąż, mam, to jeszcze nie oznacza, że zamieniłam się w Marthę Stewart.

Josie poklepała po karku fartuchem, żeby otrzeć pot, i rozejrzała się po kuchni.

— Razem siedem. Powinno wystarczyć, nie sądzisz? Policzmy: ja i Dozier, ty i Sam, Lila, Orrie i ich dzieci, Skip i jego żona oraz ich dzieci, Marilyn, jej mąż, ich córka i zięć, i ich dzieci. Myślisz, że mogę posadzić dzieci na werandzie?

— Proszę, tak. Ślinienie się i piski nie wpływają najlepiej na mój apetyt.

Mężczyźni weszli przez tylne drzwi.

— Pięknie tu pachnie — powiedział Sam, patrząc łakomie na ciasta. Podszedł do Cam i przytulił ją.

— Właśnie oglądaliśmy dąb. — Dozier wysunął sobie krzesło. — Zastanawialiśmy się, ile może mieć lat. Kiedyś nie ścinano drzew. Ludzie wiedzieli, że poszliby za to do piekła.

Cam wytarła ręce i objęła Sama za szyję.

— Może otworzysz jedną z tych butelek wina, które przywieźliśmy, i chwilę usiadzimy, nim przyjadą Lila i Orrie?

— Gdzie jest korkociąg?

— W śmieciach.

— To znaczy w drugiej szufladzie od dołu — wytłumaczył Dozier. — W tej, w której Josie trzyma stare gumki

recepturki i sznurki, i korki, i niepasujące do niczego guziki, i rachunki za gaz sprzed ćwierć wieku. Josie skrzywiła się.

— Bardzo jesteś krytyczny jak na kogoś, kogo szopa z narzędziami wygląda niczym pobożowisko.

— Mamo, usiądź! — Cam powiedziała to takim tonem, jakby szkolila krnąbrne szczenię.

— Oj, no już. Nie potrafię usiąść, dopóki wszystko nie będzie...

— Tip-top.

— Gotowe — dodał Dozier. — To wpływ wojska.

— Nie — poprawiła go Josie — porządne prowadzenie domu zaczęło się u Mawmaw. Mawiała: „Kiedy się coś zacznie, nie wolno tego zostawić nieskończonego. Czy zadanie masz duże, czy małe, wykonaj je dobrze...”.

— ...albo nie rób go wcale — dokończyła Cam, śmiejąc się.

— Sądząc po tym, jak wygląda nasz dom — powiedział Sam, wyciągając korek z butelki wina — nigdy bym nie zgadł, że Cam była tego uczona.

— Tylko dlatego, że urodziłam się z macicą, nie oznacza jeszcze, że jestem skazana na szorowanie i skakanie wokół faceta.

— Oczywiście, że nie, skarbie — dokuczał jej Sam, nalewając wino. Josie i Dozier, nieco zakłopotani tą rozmową, podnieśli kieliszki.

— Toast? — spytał Dozier.

— Jasne, czemu nie teraz? — zgodził się Sam. — Może za miłość?

— Mówisz, jakbyś już za dużo wypił — powiedziała Cam.

— Josie, jakim cudem wychowałaś takiego cynika? — spytał Sam.

W oku Josie pojawiła się iskierka.

— Staralam się, żeby wyszło inaczej, ale była mądrzejsza od wszystkich.

— No dobrze, za miłość — zgodził się Dozier. — Tę całą bożonarodzeniową radość zostawmy sobie na jutro.

— Jeśli wszystko dobrze pójdzie — powiedziała cicho Josie.

— Ach, tak, jeśli wszystko dobrze pójdzie. — Dozier przytknął swój kieliszek do kieliszka Josie i rzucił jej spojrzenie, którego Cam nie potrafiła rozszyfrować.

Po wypiciu Dozier wstał i podciągnął opadające spodnie.

— Moje dzieci powinny już lada moment przyjechać, więc poczekam na nie u siebie i zostawię was samych.

— Myślałam, że wszyscy dziś przyjdziecie — zdziwiła się Cam.

— Nie. Jak Bóg da, jutro będziemy wspólnie ucztować, ale dziś zamawiam cztery duże pizze. Muszę porozmawiać z moimi dziećmi.

— Tak jak ja — odezwała się Josie. — Na pewno nie chcesz nic z tych pyszności, które przysłała nam Reba? — Wskazała na szafkę, na której piętrzyła się zawartość paczki („święteczna paczka z pomocą dla dotkniętego kryzysem Południa od Swatki i Wieśniary”). — Nawet nie robię kolacji. Po prostu postawię te wszystkie smakołyki na stole z sałatą i bochenkiem chleba. Weź trochę.

Dozier spojrzał na łososia w sosie koperkowym, oliwki greckie, pasztet z zielonym pieprzem, twarde salami, ko-

szernego wędzonego indyka, brie, ser kozi, marynowane kalmary, świąteczną roladę i migdałowe *biscotti*.

— Chyba zostanę przy pizzy.

— Konserwa — zganiła go Josie i dotknęła jego ramienia, zanim wyszedł, i zamknąwszy za nim drzwi, odwróciła się z nieobecny spojrzeniem, a potem opamiętała się. — Musicie być zmęczeni po podróży z Atlanty. Może pójdziecie na górę, odświeżycie się i trochę odpoczniecie, a ja tu dokończę?

Cam miał już odmówić, ale wyczuła, że Josie chce pobyc sama, poza tym Sam dotknął jej kolana pod stołem.

— Dobrze, mamó. Zrobimy sobie późniejszą sjestę. Zawołaj nas, jak tylko Lila i Orrie przyjadą.

Josie nie używała kominka w sypialni tej zimy, ale po tym jak pocałowała Cam i Lilę oraz ich mężów na dobranoc i odprowadziła ich do pokoi, wiedziała, że ogień dobrze jej zrobi. Była wyczerpana, ale zbyt spięta, żeby zasnąć, zbyt niespokojna, żeby czytać, zbyt pełna planów, żeby się odprężyć. Ogień będzie akurat. Postawiła kubek z kakao na gzymisie kominka i zapaliła podpałkę. Chciała włożyć swój różowy szlafrok, ale praktyczność zwyciężyła nad pragnieniem przepychu i sięgnęła po niebieską flanelową koszulę nocną. Kiedy się już przebrała, rozpuściła włosy, zgasła lampkę i otulona pledem usadowiła na fotelu, kładąc stopy w domowych pantoflach na miękkim podnóżku. Ogień z podpałki już lizał korę dużego polana.

Migotliwe światełko odbijało się w srebrnych ramkach zdjęć stojących na komodzie. Nie widziała ich dobrze

w półmroku, ale oglądała je tyle razy; w zasadzie Niedźwiedź zmarł już tak dawno, że gdy go sobie wyobrażała, wyglądał, jak na ich zdjęciu ślubnym. Lecz myślom o jej małżeństwie nie towarzyszyły już wyrzuty sumienia i rozczarowanie. Nikt nie jest w stanie przejść przez życie, nie żałując niczego. Najlepsze, na co można liczyć, to że będzie się żałować właściwych rzeczy i mieć świadomość, iż bez względu na to, ile się wycierpiało, jednak wykorzystano się szansę zdobycia miłości czy tego, czego się najbardziej pragnęło. A ponieważ Niedźwiedź był jej wielką miłością i wielkim smutkiem jej życia, wydawało się właściwe, że powinna go pamiętać jako wiecznie młodego i gotowego podbić świat. Zastanowiła się, co by pomyślał o niej i Dozierze. Nigdy nie był w stanie ukryć swojego niezadowolenia, ale też był ogromnie wielkoduszny. Była pewna, że cieszyłby się z jej szczęścia.

Szyszka zajęła się ogniem i zapłonęła, a krople żywicy zaskwierczały. W ogniu było coś szczególnego. Stanowił centrum domu. Wpatrując się w niego, popadła w rozmarzenie, nie tracąc jednak świadomości, była zrelaksowana, ale tak wyczulona, że słyszała tykanie zegara szafkowego niczym bicie serca domu.

Płomień zamienił się w żar, gdy drzwi otworzyły się i zamknęły ze skrzypnięciem. Już miała się zerwać, zaskoczona, ale on przyłożył palec do ust, po cichu do niej podszedł i usiadł na podnóżku, obejmując rękoma jej nogi i kładąc głowę na jej kolanach. Pogładziła go po włosach.

— Która godzina? — wyszeptała.

— Po pierwszej.

— Sądziłam, że nie przyjdiesz. Jak poszło?

— Lepiej niż się spodziewałem. Musiałem poczekać, aż położyli dzieci spać, co trochę potrwało, bo były pod-ekscytowane tak wielkim domem. Potem ich posadziłem i powiedziałem. Zabawne. Najbardziej zszokowana była Marilyn. Zastanawiała się, czy nie powinniśmy poczekać, i jak wyjaśni to dzieciom, czyli tak naprawdę chciała, żebym to ja wyjaśnił. Powiedziałem jej, że mamy mało czasu, żeby czekać na cokolwiek. Powinna po prostu powiedzieć dzieciom, że mają szczęście dostać babcię i prababcię, którą już znają. A żona Skipa, wiesz jaka jest, od kiedy zrobiła się taka religijna. — Zachichotał cicho. — Ci głęboko wierzący są zawsze tak strasznie zainteresowani seksem. Więc moja synowa próbowała ogródkami podpytać, czy już skonsumowaliśmy związek.

— Ale ty nie...

— Po prostu powiedziałem, że się kochamy. Po tym rozmowa zamieniła się w zasadzie w seminarium biznesowe. Chcieli wiedzieć, czy zamierzam sprzedać dom. Powiedziałem, że tak, chcę się przeprowadzić do ciebie, więc jeśli nie chcą w ramach swojego spadku się nim zająć, wystawię go na sprzedaż. Chcieli wiedzieć, czy zrobimy intercyzę i czy zmienię testament. Prawdę mówiąc, ich chłodna kalkulacja zaskoczyła mnie. A mówiąc o chłodzie, masz zimne ręce, siostrzyczko. - Ucałował je i splótł jej palce ze swoimi.

_ Nie czuję zimna. To pewnie wiek.

— Dla mnie nadal jesteś piękna. Chodź pod kołdrę, opowiem ci resztę. — Zdjął jej pantofle, objął i poprowadził do łóżka, a potem nakrył kołdrą aż pod brodę, gdy się położyła. Wziął pogrzebacz, rozgarnął żar i rozstawił osłonę przed paleniskiem, po czym zaczął się rozbierać.

Oparła się na łokciu.

— Myślisz, że będzie dobrze, jeśli tu zostaniesz na noc?

— Musi być, bo to właśnie robię. Nie martw się. Jak wstaniesz o świcie, żeby przygotować indyka, wykradnę się do siebie. — Rozebrał się do bokserek i koszulki. — Ależ zimno!

Odchyliła kołdrę.

— To chodź, tu już jest nagrzane.

— A teraz — przyciągnął ją do siebie, wsuwając rękę pod jej głowę — powiedz mi, jak tobie poszło. Dziewczyny się dogadały?

— Były miłutkie jak szczeniaczki, ku mojemu zdziwieniu. Wydzierałam ten ajerkoniak jak lek na receptę, nie za dużo, nie za mało. Wszyscy byli chyba w dobrym nastroju. Ubraliśmy choinkę... i wtedy im powiedziałam. Najlepiej przyjęła to Cam.

— Tak jak sądziłaś. Josie przytaknęła.

— Powtarzała tylko: „Dlaczego się wcześniej nie zorientowałam?”. Chciała pójść i cię przyprowadzić, ale jej zabroniłam i posłuchała, choć raz.

— A Lila?

— Z początku była niezadowolona. Wiesz, udaje, że jej nie zależy, ale cierpi z powodu sytuacji z Evie i Jasperem. Stwierdziła, że rodzina jest tak kazirodcza jak z *Poletka Pana Boga*.

— Kazirodcza?

— Óóóó! Sam to załagodził. Powiedział, że gdy ludzie z początku emigrowali tu ze swoich rodzinnych stron, bardzo często tak się działo. Podobno — nie wiem, może

tylko zmyślał — jego pradziadek poślubił siostrę jego prababki, kiedy ta zmarła. Mówił, że to wzmocniło więzi rodzinne. — Powstrzymała się od śmiechu i ramiona jej zadrgały. — Nie sędzę, żeby to przekonało Lilę, ale zrobiłam, co mogłam. Więcej nie uzyskam. Nie wyszło tak źle. Sam rozśmieszył wszystkich, mówiąc, że nie powinnam narzekać, jeśli nie będę szczęśliwa, ponieważ nie będę mogła powiedzieć, że nie wiedziałam, w co się pakuję.

— Chyba wiesz, w co się pakujesz. — Pocałował ją w policzek. — A Orrie?

— Tu była niespodzianka. Spytał, po co nam w ogóle ślub. Powiedział, że musimy sprawdzić to z księgowym, bo może z podatkowego punktu widzenia sensowniej będzie się rozliczać oddzielnie. Nie przyznałam się, że powiedziałam ci to samo. Po prostu powtórzyłam przemówienie, które wygłosiłeś, że małżeństwo to coś więcej niż kwestie finansowe.

— Powtórzyłaś całą tę mowę?

— Nie, nie, to jest nasza tajemnica. — Ziewnął, aż szczęka mu strzeliła. — Wyglądasz jak lew z czołówki MGM. Bardzo jesteś zmęczony?

— Oj tak. Poza tym...

— Wiem. Obecność dzieci w domu wpływa krepująco. Ale jutro wieczorem wyjadą.

Wtuliła się w jego ramiona i położyła mu dłoń na sercu, czując jego bicie, gdy powoli zasypiał.

— Myślę — westchnęła bezgranicznie szczęśliwa — że to będą najlepsze święta Bożego Narodzenia, odkąd pamiętam.